

Robert J. Sawyer



LUDZIE

ROBERT J. SAWYER

LUDZIE

(HUMANS)

Przełożyła: Agnieszka Jacewicz



SOLARIS: 2007

Spis treści

Karta tytułowa	
Podziękowania	
Prolog	
Rozdział Pierwszy	
Rozdział Drugi	
Rozdział Trzeci	
Rozdział Czwarty	
Rozdział Piąty	
Rozdział Szósty	
Rozdział Siódmy	
Rozdział Ósmy	
Rozdział Dziewiąty	
Rozdział Dziesiąty	
Rozdział Jedenasty	
Rozdział Dwunasty	
Rozdział Trzynasty	
Rozdział Czternasty	
Rozdział Piętnasty	
Rozdział Szesnasty	
Rozdział Siedemnasty	
Rozdział Osiemnasty	
Rozdział Dziewiętnasty	
Rozdział Dwudziesty	
Rozdział Dwudziesty Pierwszy	
Rozdział Dwudziesty Drugi	
Rozdział Dwudziesty Trzeci	
Rozdział Dwudziesty Czwarty	
Rozdział Dwudziesty Piąty	
Rozdział Dwudziesty Szósty	
Rozdział Dwudziesty Siódmy	
Rozdział Dwudziesty Ósmy	
Rozdział Dwudziesty Dziewiąty	
Rozdział Trzydziesty	

Rozdział Trzydziesty Pierwszy

Rozdział Trzydziesty Drugi

Rozdział Trzydziesty Trzeci

Rozdział Trzydziesty Czwarty

Rozdział Trzydziesty Piąty

Rozdział Trzydziesty Szósty

Rozdział Trzydziesty Siódmy

Rozdział Trzydziesty Ósmy

Rozdział Trzydziesty Dziewiąty

Rozdział Czterdziesty

Epilog

Podziękowania

Za rady z zakresu antropologii i paleontologii dziękuję dr. Milfordowi H. Wolpoffowi z University of Michigan; dr. Ianowi Tattersallowi i Garyemu J. Sawyerowi (niespokrewnionemu ze mną) z American Museum of Natural History; dr. Philipowi Liebermanowi z Brown University; dr. Michaelowi K. Brett-Surmanowi i dr. Rickowi Pottsowi z National Museum of Natural History, Smithsonian Institution; dr. Robinowi Riddingtonowi, profesorowi w stanie spoczynku z University of British Columbia, oraz wielu innym ekspertom wymienionym w mojej poprzedniej powieści, *Hominidzi*.

Szczególne podziękowania winien jestem: dr. Artowi McDonałdowi, dyrektorowi Sudbury Neutrino Observatory Institute oraz dr. J. Duncanowi Hepburnowi, kierownikowi placówki Sudbury Neutrino Observatory. Dziękuję też Krisowi Hollandowi, który dokładnie przeczytał wstępną wersję powieści.

Wielkie dzięki mojej cudownej żonie, Carolyn Clink; mojemu wydawcy, Davidowi G. Hartwellowi, oraz jego współnikowi, Moshe Federowi; mojemu agentowi, Ralphowi Vicinanza, i jego partnerom, Christopherowi Lottsowi i Vincebwi Gerardisowi; Tomowi Dohertyemu, Lindzie Quinton, Jennifer Marcus, Jennifer Hunt oraz wszystkim z Tor Books; Haroldowi i Sylvii Fennom, Robertowi Howardowi, Heidi Winter, Melissie Cameron, Davidowi Leonardowi i innym osobom z H.B.Fenn and Company; a także moim kolegom Terencebwi M. Greenowi, Andrew Weinerowi i Robertowi Charlesowi Wilsonowi.

Ogromnie dziękuję Byronowi R. Tetrickowi, którego zaproszenie do współtworzenia jego niezwykłej antologii z 2002 roku: *In the Shadow of the Wall: Yietnam Stories that Might Have Been* (wydanej przez Cumberland

House) pomogło mi skupić się na kilku najważniejszych sprawach; spora część rozdziału dwudziestego drugiego pojawiła się w innej formie w tej właśnie antologii.

Beta testerami tej powieści byli niezmiennie wnikliwi Ted Bleaney, Michel A. Burstein, David Livingstone Clink, Marcel Gagne, Richard Gotlib, Peter Halasz, Howard Miller, dr Ariel Reich, Alan B. Sawyer i Sally Tomasevic. Miałem też szczęście pracować ponownie z zespołem edytorskim Boba i Sary Schwagerów.

Fragmenty tej książki powstały w letnim domu Johna A. Sawyera nad jeziorem Canandaigua – dzięki, tato! Dziękuję również Nicholasowi A. DiChario, który gościł mnie podczas moich częstych wizyt w Rochester w stanie Nowy Jork, gdzie rozgrywa się część akcji tej powieści.

York University, Sudbury Neutrino Observatory i kopalnia Creighton istnieją naprawdę. Za to wszelkie postaci w tej powieści są wyłącznie wytworami mojej wyobraźni. Jakiegokolwiek ich podobieństwo do rzeczywistych pracowników tych czy innych organizacji jest zupełnie przypadkowe.

Gdybyż to było takie proste! – że są gdzieś te czarne charaktery, w czarnych zamiarach wykonujące swoją czarną robotę, i że trzeba tylko umieć je rozpoznać i zniszczyć. Ale linia podziału między dobrem a złem przecina serce każdego człowieka. A kto gotów jest odciąć kawałek własnego serca;

Aleksander Sołżenicyn *Archipelag GUŁag* przekład z rosyjskiego: Jerzy Pomianowski

Prolog

– Zrobiłem straszną rzecz – powiedział Ponter Boddit, siadając okrakiem na siodłowym krześle w gabinecie Jurarda Selgana.

Selgan należał do generacji 144, był o dziesięć lat starszy od swojego rozmówcy. Jego włosy miały mądry, siwy kolor, a przedziałek zmienił się w szeroką rzekę skóry łączącą się z niskim czołem tuż nad wałem nadoczodołowym.

– Mów dalej.

– Czuję, że nie mam wyboru. – Ponter spuścił wzrok, kryjąc się za własnym wałem nadoczodołowym, aby uniknąć spojrzenia szmaragdowych oczu Ścigana. – Myślałem, że muszę to zrobić, ale...

– Ale teraz tego żałujesz?

Ponter milczał, gapiąc się na porośniętą mchem podłogę.

– Żałujesz tego?

– Nie-nie wiem.

– Postąpiłbyś tak znowu, gdybyś mógł cofnąć czas?

Ponter parsknął śmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło? – W głosie rzeźbiarza osobowości brzmiała raczej ciekawość niż irytacja.

Boddit podniósł głowę.

– Sądziłem, że tylko fizycy, tacy jak ja, bawię się w tego typu eksperymenty myślowe.

Selgan się uśmiechnął.

– Nie różnimy się od siebie tak bardzo, ty i ja. Obaj szukamy prawdy, aby rozwiązywać tajemnice.

– Może i tak – przyznał Ponter, przyglądając się gładkiej, drewnianej ścianie cylindrycznego pomieszczenia.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Postąpiłbyś tak jeszcze raz, gdybyś mógł?

Boddit milczał przez jakiś czas, a Selgan nie ponaglał go, dając mu czas na przemyślenie odpowiedzi.

– Nie wiem – odparł w końcu Ponter.

– Nie? A może tylko nie chcesz powiedzieć?

Ponter ponownie zamilkł.

– Chcę ci pomóc – powiedział Selgan, zmieniając pozycję na siedzisku. – To mój jedyny cel. Nie będę cię osądzał.

Ponter się zaśmiał, ale tym razem w jego śmiechu pobawiła się nuta żalu.

– Właśnie w tym rzecz, prawda? Nas nikt nie osądza.

Selgan zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– To, że na tym drugim świecie – na drugiej Ziemi – oni wierzą, że istnieje... hm, my nie mamy na to odpowiedniego słowa, ale oni mówią na to „Bóg”. Nadrzędna istota, która stworzyła świat.

Selgan pokręcił głową.

– Jak wszechświat może mieć stwórcę? jeśli coś zostało stworzone, oznacza to, że miało początek. A wszechświat go nie miał. Istnieje od zawsze.

– Ty to wiesz i ja to wiem – przytaknęła Ponter. – Ale oni tego nie wiedzą. Uważają, że wszechświat ma zaledwie... hm, według ich miary jest to dwanaście miliardów lat; czyli mniej więcej sto pięćdziesiąt miliardów miesięcy.

– W takim razie, co istniało przed tym czasem?

Ponter zmarszczył czoło, przypominając sobie rozmowy z Lou Benoit, gliksińską kobietą-fizykiem. Ogromnie żałował, że nie potrafi dobrze

wymawiać ich imion!

– Twierdza, że czas wcześniej nie istniał, że zaczął się z chwilą stworzenia wszechświata.

– Zdumiewający pogląd – przyznał Selgan.

– Owszem – zgodził się Ponter. – Ale gdyby przyjęli, że wszechświat istniał zawsze, ten ich Bognie miałby w nim miejsca.

– Twój partner jest fizykiem, tak?

– Adikor Huld? Tak.

– Na pewno masz wiele okazji, by rozmawiać z nim o fizyce. Mnie bardziej interesują inne sprawy. Wspomniałeś o tym... tym ich „Bogu”... w odniesieniu do kwestii osądzania. Powiedz na ten temat coś więcej.

Ponter milczał przez kilka chwil, zastanawiając się, jak przedstawić ten koncept.

– Większość z nich, tych innych ludzi, wierzy w coś, co nazywają „życiem po śmierci” – zaczął.

– Przecież to śmieszne. Jedno przeczy drugiemu.

– Owszem. – Ponter się uśmiechnął. – W ich sposobie myślenia to dość częste. Mają nawet specjalną nazwę dla takich przypadków, tak jakby samo nazwanie ich usuwało paradoks. Nie potrafię wymówić tego tak jak oni; brzmi to mniej więcej tak: oksyhmoron.

Selgan także się uśmiechnął.

– Chętnie podjąłbym się terapii jednej z tych istot, zbadał, jak działa jej umysł. – Rzeźbiarz osobowości przerwał na chwilę, po czym dodał: – To istnienie po śmierci, jak ono według nich wygląda?

– Właśnie to jest najbardziej interesujące. Może ono przybierać dwie formy, zależnie od tego, jak postępowało się za życia. Ten, kto żył uczciwie, zostaje nagrodzony wyjątkowo przyjemną egzystencją po śmierci. Ale ten,

czyje życie było złe – albo kto choćby raz popełnił straszny czyn – po śmierci może liczyć tylko na byt w męczarniach.

– A kto o tym decyduje? Ach tak, już rozumiem. Decyduje ten ich Bóg, prawda?

– Tak. Wierzą, że tak właśnie jest.

– Ale dlaczego? Jak mogą wierzyć w coś tak dziwaczного?

Ponter nieznacznie wzruszył ramionami.

– Istnieją domniemane historyczne relacje o ludziach, którzy komunikowali się z tym Bogiem.

– Historyczne relacje? – zdziwił się Selgan. – A czy obecnie ktoś się z nim porozumiewa?

– Niektórzy tak twierdzą. Ale z tego, co wiem, nie ma na to dowodów.

– I ten Bóg jest sędzią każdego człowieka?

– Podobno.

– Ale przecież na świecie jest 185 milionów ludzi i każdego dnia umierają ich tysiące.

– Tak jest na naszym świecie. Na tym drugim jest sześć miliardów.

– Sześć miliardów! – Selgan pokręcił głową. – I każdemu z nich po śmierci przypada jeden z dwóch rodzajów egzystencji, o których mówiłeś?

– Tak. Wszyscy zostają osądzeni.

Ponter zauważył minę rzeźbiarza osobowości. Selgana wyraźnie intrygowały szczegóły wiary Gliksinów, ale najbardziej interesowało go to, co na ten temat myśli sam pacjent.

– „Osądzeni” – powtórzył, smakując to słowo, tak jakby było wybornym kawałkiem mięsa.

– Tak, osądzeni – powiedział Ponter. – Nie rozumiesz? Oni nie mają implantów. Nie mają archiwów alibi. Nie istnieją tam wierne zapisy wszystkiego, co robią w życiu. Nie mają nic takiego, ponieważ nie uważają,

że jest im to potrzebne. Wierzą, że ten ich Bóg wszystkiego pilnuje i wszystko widzi – a nawet czuwa nad nimi i ich chroni. Sądzą, że nikt nie uniknie kary za złe czyny, że każdy będzie musiał w końcu za nie zapłacić.

– Ale przecież mówiłeś, że sam zrobiłeś coś strasznego.

Ponter spojrział przez okno na swój świat.

– Tak.

– Tam? Na tamtym świecie?

– Tak.

– I nie wierzysz w istnienie tego ich Boga?

Ponter prychnął drwiąco.

– Oczywiście, że nie.

– Dlatego uważasz, że nigdy nie zostaniesz osądzony za zły postępek, który jak twierdzisz, popełniłeś?

– Właśnie. Nie twierdzę, że to zbrodnia doskonała, ale nie ma powodów, aby na tamtym świecie podejrzenie padło na mnie, podobnie jak nie ma powodów, aby tutaj ktokolwiek zażądał kiedyś dostępu do tej akurat części moich archiwów alibi.

– Użyłeś słowa „zbrodnia”. Czy była to zbrodnia według norm tamtego świata?

– O tak.

– A czy my uznalibyśmy twój czyn za zbrodnię, gdybyś dopuścił się go tutaj?

Ponter skinął głową.

– Co takiego zrobiłeś?

– Ja... wstydzę się o tym mówić.

– Powiedziałem przecież, że nie będę cię osądzał.

Ponter nagle zerwał się z miejsca.

– Właśnie o to chodził – wykrzyknął. – Nikt mnie nie osądzi, ani tutaj, ani tam. Popełniłem przestępstwo. Zrobiłem to z satysfakcją. A jeśli chodzi o twój myślowy eksperyment, to owszem, postąpiłbym tak znowu, gdybym miał możliwość wrócić do tamtych wydarzeń.

Selgan przez jakiś czas milczał, czekając, aż Ponter się uspokoi.

– Mogę ci pomóc Ponterze, jeśli mi na to pozwolisz. Ale musisz ze mną rozmawiać. Musisz mi powiedzieć, co się wydarzyło. Dlaczego dopuściłeś się tej zbrodni? Co do niej doprowadziło?

Ponter ponownie usiadł okrakiem na siedzeniu.

– Wszystko zaczęło się jeszcze podczas mojej pierwszej podróży na drugą Ziemię – powiedział. – Spotkałem tam kobietę, Mare Yaughan...

Rozdział Pierwszy

Ostatniego wieczoru w Sudbury Mary Vaughan towarzyszyły mieszane uczucia. Nie wątpiła, że wyjazd z Toronto wyszedł jej na dobre. Po tym, co się tam wydarzyło – *Mój Boże, czy naprawdę upłynęły dopiero dwa tygodnie?* – na pewno postąpiła słusznie, uciekając od wszystkiego, co przypominało jej tamten potworny wieczór. I choć przygoda skończyła się smutną nutą, Mary nie zamieniłaby czasu spędzonego z Ponterem na nic.

Jej wspomnienia wydawały się nierzeczywiste; jak fabuła zmyślonej opowieści. No ale fotografie, nagrania wideo, a nawet zdjęcia rentgenowskie dowodziły, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Żywy neandertalczyk z innej wersji Ziemi jakimś cudem trafił do tego świata. Teraz, gdy wrócił do siebie, Mary sama nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

Ale przecież tego nie zmyśliła. Ponter naprawdę tu był, a ona naprawdę...

Może przesadzała? Albo wyolbrzymiała wszystko w myślach?

Nie. Nie, to rzeczywiście się zdarzyło.

Polubiła Pontera, może nawet zakochała się w nim.

Gdyby tylko była całą, kompletną, wolną od traumy kobietą, może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Och, ten wielkolud i tak by ją zauroczył – tego była pewna – ale tamtego wieczoru, kiedy patrzyli na gwiazdy, a on dotknął jej dłoni, nie zeszywniałyby ze strachu.

Upłynęło za mało czasu. Tak mu powiedziała następnego dnia. Za mało czasu od...

Nienawidziła tego słowa; nienawidziła o tym myśleć i mówić.

Upłynęło za mało czasu od gwałtu.

A jutro musiała wrócić do domu, do miejsca, gdzie tamto się stało, z powrotem na York University w Toronto, do dawnego życia profesorki genetyki.

Dawnego życia w samotności.

Wiedziała, że będzie tęskniła za Sudbury. Za brakiem korków na drogach. Za ludźmi, z którymi się tu zaprzyjaźniła, za Reubenem Montego i nawet za Louise Benoit. Zauroczyła ją swobodna atmosfera małego Laurentian University, gdzie zbadała mitochondrialne DNA Pontera Boddita i dowiodła, że naprawdę jest neandertalczykiem.

Stojąc przy bocznej drodze i patrząc na bezchmurne, nocne niebo, wiedziała, że najbardziej będzie jej brakowało właśnie tego. Gwiazd w takich ilościach, że nie sposób było ich zliczyć. Galaktyki Andromedy, którą pokazał jej Ponter. I Mlecznej Drogi, biegnącej łukiem nad jej głową.

I...

Tak!

Tak!

Wiedziała, że najbardziej będzie tęskniła za migotliwą zorzą polarną, ogarniającą niebo na północy, za tymi bladozielonymi pasmami światła, za niezwyklejmi kurtynami blasku.

Miała nadzieję, że zobaczy je raz jeszcze tego wieczoru. Wracając od Reubena, który urządził u siebie pożegnalnego grilla dla niej i dla Louise, zjechała na pobocze, specjalnie po to, żeby popatrzeć na nocne niebo.

Jej życzenie się spełniło. Widok zorzy zapierał dech w piersiach.

Już zawsze miała kojarzyć go z Ponterem. Przecież po raz pierwszy widziała to zjawisko właśnie z nim. Poczowała, jak dziwne mrowienie, które przyszło wraz z zachwytem, wypiera przykry skurcz, towarzyszący smutkowi.

Światła wyglądały przepięknie.

Jego nie było.

Krajobraz kąpał się w chłodnym, zielonym blasku. Zorza błyskała i tańczyła, na pierwszy plan rzucając kontury brzoź i osik, których konary lekko kołysał łagodny sierpniowy wiatr.

Ponter mówił, że często oglądał zorzę polarną. Jego ludzie, lepiej przystosowani do chłodniejszych klimatów, bardziej lubili północne szerokości geograficzne niż mieszkańcy tego świata.

Poza tym fenomenalny zmysł węchu neandertalczyków oraz ich wiecznie czuwające Kompany sprawiały, że samotne wyprawy po zmroku były bezpieczne. W Saldak, rodzinnym mieście Pontera, położonym dokładnie w tym samym miejscu co Sudbury na tej wersji Ziemi, nocą nie oświetlano ulic.

Do tego neandertalczyki wykorzystywali głównie czystą energię słoneczną, dzięki czemu ich atmosfera była o wiele mniej zanieczyszczona od tej tutaj.

Mary dopiero w wieku trzydziestu ośmiu lat po raz pierwszy zobaczyła zorzę polarną. Nie miała pojęcia, czy znajdzie jeszcze jakiś powód, by wrócić do północnego Ontario, dlatego wiedziała, że może właśnie po raz ostatni podziwiać falujący blask zorzy.

Napawała się jej widokiem.

Ponter mówił, że na obu wersjach Ziemi wiele rzeczy wyglądało tak samo: ogólna topografia, większość gatunków zwierząt i roślin (choć neandertalczyki, nigdy nie zabijający dla rozrywki, nadal mieli mamuty i moa), a także generalny układ stref klimatycznych. Ale Mary była naukowcem: doskonale znała teorię chaosu, według której ruch skrzydeł motyla wystarczył, aby nieźle namieszać w pogodzie na drugiej półkuli. Choć na tej Ziemi niebo było bezchmurne, wcale nie oznaczało to, że podobnie jest w świecie Pontera.

Gdyby jednak pogoda była tam podobna, może Ponter też patrzył w tej chwili w niebo.

I może myślał o Mary.

On oczywiście widziałby na nieboskłonie dokładnie te same konstelacje, choć tam nosiły inne nazwy – żadne ziemskie działania nie mogły zaszkodzić odległym gwiazdom. Ale czy zorze wyglądały tam tak samo? Czy motyle lub ludzie mogli wpływać na choreografię świetlnego teatru? Może ona i Ponter oglądali taki sam spektakl – falującą kurtynę blasku i siedem głównych gwiazd rozciągniętej na niebie Wielkiej Niedźwiedzicy (lub Głowy Mamuta, jak on nazywał ten gwiazdozbiór).

Może teraz u niego światła zorzy tak samo przesuwały się w prawo, potem tak samo falowały w lewo i tak samo...

Jezu!

Mary opadła szczęką.

Kurtyna zorzy właśnie pękała pośrodku, niczym akwamarynowa bibuła rozdzierana niewidoczną ręką. Szczelina stawała się coraz dłuższa i szersza. Zaczynała się u góry i biegła ku horyzontowi. Za pierwszym razem Mary nie widziała nic takiego.

Świetlna płachta podzieliła się zupełnie na dwie połowy, rozstępując się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kilka błysków – wyglądały jak iskry, ale czy rzeczywiście mogły nimi być? – zatańczyło między obiema częściami, na moment tworząc między nimi pomost. Potem połowa po prawej stronie zaczęła się zawijać od dołu, jak okienna roleta. Jednocześnie zmieniała barwy, to była zielona, to niebieska, to fioletowa, to pomarańczowa, to znów turkusowa.

Po nagłym błysku – spektralnej eksplozji światła – ta część zorzy znikła.

Tymczasem druga świetlna zasłona obracała się, tak jakby wciągał ją jakiś potężny wir w firmamencie. Kręciła się coraz szybciej i szybciej,

ciskając wkoło chłodne, zielone płomienie, niczym ognisty wiatrak na tle nocnego nieba.

Mary patrzyła jak zaczarowana. Choć dopiero drugi raz miała okazję obserwować zorzę polarną, wcześniej widziała mnóstwo zdjęć tego zjawiska w różnych książkach i czasopismach. Wiedziała, że fotografie nie oddają całego piękna spektaklu; czytała o tym, że światła zorzy falują i drgają.

Ale nic nie przygotowało jej na taki widok.

Wir blasku malał i stawał się coraz jaśniejszy, aż w końcu z dziwnym trzaskiem – czy aby się nie przesłyszała? – zniknął.

Mary cofnęła się chwiejnie i natrafiła na chłodny metal wynajętego dodgea neona. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że w otaczającym ją lesie wszystkie dźwięki – odgłosy insektów i żab, sów i nietoperzy – zamilkły, tak jakby wszystko, co żyło, w osłupieniu obserwowało zadziwiający spektakl.

Kiedy znalazła się z powrotem w bezpiecznym wnętrzu wozu, jej serce biło jak szalone, a w myślach echem wracało to samo zdanie:

Czy to powinno tak wyglądać...?

Rozdział Drugi

Jurard Selgan wstał z siedziska i zaczął krążyć po okrągłym gabinecie, słuchając opowieści Pontera o pierwszym pobycie w świecie Gliksinów.

– Rozumiem, że twoje relacje z Mare Vaughan nie skończyły się tak, jak sobie tego życzyłeś? – spytał, wracając wreszcie na miejsce.

Ponter skinął głową.

– Tak to już bywa ze związkami – przyznał Selgan. – Dobrze by było, gdyby wszystko układało się po naszej myśli, ale na pewno nie pierwszy raz spotkał cię zawód w tej sferze.

– Nie, nie pierwszy – cicho przyznał Ponter.

– Masz na myśli jakąś konkretną osobę? – spytał Selgan.

– Moją partnerkę, Klast Harbin.

– Aha. Rozumiem, że już nie jesteś z nią związany. Kto zainicjował rozstanie?

– Nikt – burknął Ponter. – Klast zmarła dwadzieścia miesięcy temu.

– Och. Wyraży współczucia. Czy była... starszą kobietą?

– Nie. Należała do generacji 145, tak jak ja.

Brew Selgana uniosła się nad wał nadoczodołowy.

– Zginęła w wypadku?

– Miała raka krwi.

– Ach – westchnął Selgan. – To tragedia. Ale...

– Nie mów tego, Selgan. – Głos Pontera zabrzmiał ostro.

– Nie mów czego? – spytał rzeźbiarz osobowości.

~ Tego, co zamierzałeś powiedzieć.

– A według ciebie co chciałem powiedzieć?

– Że mój związek z Klast zakończył się zbyt szybko, podobnie jak mój związek z Mare.

– Czy tak właśnie czujesz?

– Wiedziałem, że nie powinienem tu przychodzić – stwierdził Ponter. – Wam, rzeźbiarzom osobowości, wydaje się, że tak dużo rozumiecie. Tymczasem wszystko upraszczacie. „Związek Zielony zakończył się zbyt szybko i przypomina ci o tym sposób, w jaki zakończył się Związek Czerwony”.

– Ponter prychnął z lekceważeniem.

Selgan milczał przez kilka taktów, czekając, czy pacjent doda coś z własnej woli. Kiedy stało się jasne, że tego nie zrobi, ponownie się odezwał:

– Wiem, że nalegałeś, aby portal między tym światem a światem Mare został ponownie otwarty.

Słowa rzeźbiarza osobowości na moment zawisły w powietrzu i wreszcie Ponter odpowiedział:

– Sądzisz, że właśnie dlatego mi na tym zależało? Że nie przejmowałem się konsekwencjami, jakie to działanie mogło mieć dla naszego świata? Że myślałem tylko o związku z Mare?

– Liczę, że ty mi na to odpowiesz – powiedział Selgan łagodnie.

– To nie było tak. Owszem, na pozór istnieje podobieństwo między tym, co spotkało mnie z Klast, a sytuacją z Mare. Ale jako naukowiec... – Ponter gniewnie spojrział na Selgana złotymi oczami – ...prawdziwy naukowiec, potrafię dostrzec autentyczną symetrię wydarzeń... tutaj jej nie ma... Wiem też, kiedy mam do czynienia z fałszywą analogią.

– Ale próbowałeś wywrzeć nacisk na Najwyższą Radę Siwych. Sam to widziałem na Podglądaczu, razem z tysiącami innych.

– Owszem, ale...

– Ale co? O czym wtedy myślałeś? Co chciałeś osiągnąć?

– Nic... poza tym, co uważałem za najlepsze dla naszych ludzi.

– Jesteś tego pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien! – warknął Ponter.

Selgan umilkł, pozwalając Ponterowi wsłuchać się w echo jego słów, odbijających się od gładkiej, drewnianej ściany.

*

Ponter musiał przyznać, że żadne z jego dotychczasowych doświadczeń – a prawdopodobnie także żadne z doświadczeń innych ludzi z jego Ziemi – nie było bardziej przerażające niż nagłe znalezienie się w innym, dziwnym świecie, do którego trafił w absolutnych ciemnościach i nieomal utonął w olbrzymim zbiorniku wody.

Niemniej jednak w sferze przeżyć z jego własnego świata niewiele dało się porównać z potwornym strachem, jaki towarzyszył wystąpieniu przed Najwyższą Radą Siwych. Bo nie chodziło tu o zwykłą lokalną Radę, lecz o Radę Najwyższą, która rządziła całą planetą. Jej członkowie przybyli do Saldak specjalnie po to, by spotkać się z Ponterem i Adikorem oraz obejrzeć kwantowy komputer, za pomocą którego już dwukrotnie udało się otworzyć portal do innej rzeczywistości.

Najmłodszy radni należeli do generacji 143 i byli starsi od Pontera o dwadzieścia lat. Mądrość, doświadczenie i – zależnie od nastroju – także wredny upór i zawziętość ludzi w tym wieku robiły potężne wrażenie.

Ponter mógł zostawić tę sprawę. Nikt nie zmuszał jego i Adikora do ponownego otwarcia portalu. Nawet gdyby po prostu powiedzieli, że wcześniej udało im się to przypadkiem i że nie są w stanie odtworzyć eksperymentu, tylko żeński zespół naukowy z Evsoy mógłby zakwestionować ich słowa.

Jednakże możliwość wymiany między dwoma rodzajami ludzkości miała zbyt wielkie znaczenie, aby Ponter mógł ot tak ją zignorować. W sferze informacji, w zamian za to, co wiedzieli na temat nadprzewodnictwa,

mogli poznać wiedze Gliksinów o statkach kosmicznych. Ale to nie wszystko, mogło też dojść do wymiany między kulturami: arcydzieła tego świata za arcydzieła tamtego, epika *dibalat* za dramat tego ich Shakespearea, o którym słyszał, będąc tam; rzeźby wielkiego Kaydasa za prace jednego z gliksińskich malarzy.

W myślach Ponter przekonywał sam siebie, że kieruje się tylko tak szlachetnymi celami. No bo jakie osobiste korzyści mogło mu przynieść ponowne otwarcie portalu. Wprawdzie tam była Mare. Ale jej pewnie nie interesował ktoś tak bardzo inny niż ona, stwór porośnięty futrem tam, gdzie mężczyźni z jej świata byli gładcy; osobnik, który przy szczupłych Gliksinach wydawał się masywny, a do tego miał wygięty w dwa łuki wał nadoczodołowy i oczy o barwie złotej, a nie niebieskiej, tak jak u Mare, lub brązowej, jak u wielu innych przedstawicieli jej gatunku.

Nie wątpił w to, że Mare naprawdę wstrząsnęło wydarzenie, o którym mu opowiedziała, ale przypuszczał, że był to tylko jeden z powodów, dla których odrzuciła jego zainteresowanie.

Nie.

Nie miał racji.

Naprawdę coś ich połączyło. Pomimo odrębnych linii czasu, pomimo barier między gatunkami, tamto było prawdziwe. Na pewno.

Ale czy więź między nimi mogła się rozwijać, gdyby ponownie się spotkali? Ponter pielęgnował w myślach cudowne, piękne wspomnienia chwil, które spędził razem z Mare – musiały pozostać tylko wspomnieniami, bo implant nie mógł przesyłać do archiwów alibi zapisów wydarzeń z tamtej strony. Ona istniała teraz wyłącznie w wyobraźni Pontera, w jego myślach i marzeniach; nie mógł jej porównać z żadną obiektywną rzeczywistością, prócz tych kilku obrazów zarejestrowanych

kamerą kołyszącego się na kablu robota, którego Adikor wysłał na drugą stronę, aby ściągnąć Pontera do domu.

Tak chyba było lepiej. Dalszy kontakt popsułby to, co już ich łączyło.

A jednak...

A jednak wszystko wskazywało na to, że ponowne otwarcie portalu jest możliwe.

Stojąc w niewielkim przedsionku, Ponter zerknął na swojego partnera, Adikora Hulda. Adikor zachęcająco skinął głową. Nadszedł moment, by wejść na salę Rady. Ponter podniósł złożoną rurę Derkersa, którą przyniósł ze sobą, i obaj przyjaciele pchnęli masywne drzwi, gotowi stawić czoło Siwym.

– Fakt, że Uczony Boddit jest dziś tutaj z nami – powiedział Adikor, wskazując Pontera – jest bezpośrednim dowodem na to, że człowiek może przejść do drugiego świata i bezpiecznie stamtąd wrócić.

Ponter spojrział na dwudziestu Siwych, dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet, po dwoje ze wszystkich dziesięciu lokalnych rad. W niektórych zgromadzeniach mężczyźni siadali po jednej stronie pomieszczenia, a kobiety po drugiej. Jednakże Rada Siwych zajmowała się sprawami dotyczącymi całego gatunku, dlatego mężczyźni oraz kobiety z całego globu siedzieli naprzemiennie, tworząc wielki krąg.

– Rzecz w tym – ciągnął Adikor – że poza Ponterem i jego córką, która przesadziła głowę przez portal podczas akcji ratunkowej, nikt inny z tego świata nie przeszedł na drugą stronę. Po raz pierwszy otworzyliśmy portal zupełnie przypadkowo. Był to niespodziewany rezultat naszych eksperymentów z komputerem kwantowym. Teraz wiemy już, że nasz wszechświat oraz wszechświat zdominowany przez Gliksinów są w jakiś sposób ze sobą splecione. Portal zawsze otwiera się właśnie tam, choć fizyka mówi nam, że musi istnieć cały wachlarz alternatywnych światów.

Doświadczalnie zdołaliśmy ustalić, że przejście pozostaje otwarte tak długo, jak długo przechodzi przez nie jakiś przedmiot.

Bedros, stary mężczyzna z Evsoy, spojrzał na Adikora, marszcząc brew.

– Co zatem proponujesz, Uczony Adikorze? Mamy wetknąć tam jakiś patyk, aby się nie zamknęło?

Stojący obok Adikora Ponter odwrócił nieznacznie głowę, aby Bedros nie zauważył jego uśmiechu.

Adikor niestety nie mógł tego zrobić, bo Bedros wpatrywał się w niego nieprzerwanie, a próba odwrócenia wzroku zostałaaby uznana za wyraz braku szacunku.

– Nie – odparł. – Wolelibyśmy wykorzystać coś bardziej... hm... uniwersalnego. Dern Kord, znajomy inżynier, zaproponował, abyśmy wprowadzili w portal rurę Derkersa.

W tym momencie Ponter otworzył tę, którą przyniósł ze sobą. Wsunął palce w wąski otwór i rozciągnął go na boki. Siatka z metalowych elementów zaczęła się rozsuwać przy akompaniamencie trzasków zapadek, aż wreszcie osiągnęła średnicę większą od wzrostu Pontera.

– Takich rur używa się do zabezpieczania tuneli górniczych w razie groźby zawalenia – wyjaśnił Ponter. – Po rozłożeniu wytrzymują ogromny ciężar. Można je z powrotem złożyć tylko przy użyciu specjalnego klucza odblokowującego zabezpieczenia w każdym punkcie krzyżowania się metalowych elementów.

Bedros od razu zrozumiał działanie mechanizmu.

– I sądzicie, że dzięki takiej rurze portal pozostanie otwarty na czas nieokreślony i ludzie będą mogli przechodzić przez nią jak przez tunel łączący dwa wszechświaty?

– Właśnie tak – powiedział Ponter.

– A choroby? – spytała go furat, przedstawicielka lokalnej społeczności, kobieta z generacji 141. Siedziała po przeciwnej stronie sali niż Bedros, więc Ponter i Adikor musieli się odwrócić. – Podobno podczas pobytu na tym drugim świecie zachorowałeś.

– To prawda – przytaknął. – Poznałem tam gliksińską kobietę, fizyczkę, która... – Umilkł gdy jeden z członków Rady Siwych się roześmiał. Ponter już się oswoił z podobnymi pojęciami, ale rozumiał, dlaczego innych śmieszyły; to tak, jakby mówił o „jaskiniowcach-filozofach”. – No cóż – podjął przerwana wypowiedź – według niej linie czasu rozdzieliły się... hm...czterdzieści tysięcy lat temu, czyli pół miliona miesięcy wstecz. Od tamtej pory Gliksini żyją w sporym zagęszczeniu i hodują dużą liczbę zwierząt w celach konsumpcyjnych. Najprawdopodobniej w takich warunkach rozwinęły się choroby, na które my nie jesteśmy odporni. Jednocześnie nie jest wykluczone, że tutaj pojawiły się inne, na które oni nie mają odporności, choć powiedziano mi, że ze względu na niewielką gęstość zaludnienia u nas, takie prawdopodobieństwo jest mniejsze. Tak czy inaczej, konieczne będzie opracowanie systemu odkażania i każdy, kto zechce podróżować między światami w jedną lub w drugą stronę, będzie musiał przejść przez takie procedury.

– Jedno pytanie – odezwał się Jindo, mężczyzna, który przybył z regionów położonych daleko na południu, po drugiej stronie niezamieszkałej strefy równikowej. Na szczęście siedział obok Jurat, więc Ponter i Adikor tym razem nie musieli się obracać. – Ten tunel między światami musi się znajdować głęboko w kopalni niklu, ponad tysiąc długości ramion pod powierzchnią ziemi, tak?

– Zgadza się – potwierdził Ponter. – Nasz komputer kwantowy, który umożliwia dostanie się do drugiego świata, musi być chroniony przed

promieniowaniem słonecznym. Gruba warstwa skał stanowi taką właśnie tarczę.

Bedros skinął głową i Adikor odwrócił się twarzą do niego.

– A zatem nie zanosi się na to, by ludzie zaczęli tłumnie podróżować między światami.

– Co oznacza – Jurat podjęła tę kwestię – że nie musimy się obawiać inwazji. – Adikor odwrócił się w jej stronę, ale Ponter nadal patrzył na Bedrosa. – Podróżujący nie tylko będą musieli się przedostać przez ten wąski tunel, ale jeszcze dotrzeć na powierzchnię, zanim trafią na nasz świat.

Ponter pokiwał głową.

– Właśnie tak. Dotknęłaś samego szpiku sprawy.

– Podziwiam entuzjazm, z jakim podchodzicie do swojej pracy – odezwała się Pandaro, przewodnicząca Rady, Galasoyanka z generacji 140, do tej pory przysłuchująca się wszystkiemu w milczeniu. Siedziała w połowie odległości między Bedrosem i Jurat, dlatego Ponter obrócił się w lewo, a Adikor w prawo, aby stanąć przodem do niej. – Chcę jednak mieć pewność, że dobrze was rozumiem. Gliksini nie mają żadnej możliwości otwarcia portalu do naszego świata?

– Zgadza się, Naczelną – potwierdził Ponter. – Wprawdzie nie poznałem całej ich wiedzy w dziedzinie technologii komputerowych, ale daleko im do zbudowania komputera kwantowego podobnego do tego, jaki stworzyliśmy z Ad – ikorem.

– Jak daleko? – chciała wiedzieć Pandaro. – Ile miesięcy?

Ponter zerknął na Adikora – w końcu to on był ekspertem od sprzętu – ale przyjaciel dał mu sygnał, aby sam odpowiedział.

– Według mnie, co najmniej trzysta, a może wiele więcej.

Pandaro rozłożyła ramiona w geście, który świadczył, że w tej sytuacji odpowiedź jest jasna.

– W takim razie nie musimy się spieszyć z rozstrzygnięciem tej kwestii. Możemy poświęcić więcej czasu na analizę problemowi...

– Nie! – wykrzyknął Ponter. Oczy obecnych zwróciły się na niego.

– Słucham? – odezwała się przewodnicząca chłodnym tonem.

– Bo... chodzi mi o to... że nie mamy pojęcia, w jakim stopniu powtarzalne jest takie zjawisko na dłuższą metę. Wiele czynników może z czasem ulec zmianie i...

– Rozumiem twoje pragnienie kontynuowania pracy, Uczony Boddicie – zauważyła Pandaro – ale musimy pamiętać o ryzyku transferu chorób, skażenia oraz...

– Przecież mamy już technologię, która nas przed tym ochroni – zauważył Ponter.

– Teoretycznie tak – wtrąciła inna członkini Rady. – Ale w praktyce metoda Uczonej Kajak nigdy nie była stosowana w ten sposób. Nie mamy pewności...

– Skąd w was tyle strachu? – sarknął Ponter. Adikor spojrzał na niego w osłupieniu, ale partner nie zwrócił na to uwagi. – O n i by się tak nie bali. Wspięli się na najwyższe szczyty swojego świata! Dotarli w największe głębie oceanów! Okrążyli Ziemię po jej orbicie! Polecieli na Księżyc! To nie strach starców pozwolił im...

– Uczony Boddicie!!! – Głos przewodniczącej przetoczył się grzmiotem po sali.

Ponter się zreflektował.

– Proszę... Proszę o wybaczenie, Naczelną, miałem tylko zamiar...

– Sądzę, że twoje zamiary są bardzo jasne – powiedziała Pandaro. – Ale naszym zadaniem jest zachowanie ostrożności. Na naszych barkach

spoczywa dobro całego świata.

– Wiem – odezwał się Ponter, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie. – Wiem, ale w tym przypadku mamy tak wiele do zyskania! Nie możemy czekać niezliczone miesiące. Musimy zacząć działać od razu. Wy musicie zacząć działać od razu.

Ponter poczuł, jak dłoń Adikora delikatnie dotyka jego ramienia.

– Ponterze... – upomniał go cicho przyjaciel.

Ale Ponter się wywinął.

– My nigdy nie poleciliśmy na Księżyc. Prawdopodobnie nigdy tam nie polecimy... a to oznacza, że nigdy nie dotrzemy na Marsa ani na żadną z gwiazd. Równoległa Ziemia jest jedynym innym światem, do jakiego nasi ludzie zdołają dotrzeć. Nie możemy przepuścić takiej okazji!

Mary słyszała tę historię tak wiele razy, że podejrzewała, iż jest w niej sporo prawdy. Podobno kiedy w latach sześćdziesiątych Toronto postanowiło zbudować drugi uniwersytet, plany kampusu kupiono od już istniejącej uczelni z południowej części Stanów Zjednoczonych. Takie rozwiązanie uważano za korzystne, ale nikt nie wziął pod uwagę różnic klimatycznych.

To stwarzało problemy, zwłaszcza zimą. Początkowo między gmachami było sporo przestrzeni, ale z czasem zaczęto ją wypełniać nowymi budynkami. Obecnie kampus sprawiał wrażenie przeładowanego – zapchanego szkłem, stalą, ceglami i betonem.

Mimo to, nadal były tu elementy, które podobały się Mary. Jak choćby wyższa szkoła biznesu, którą właśnie mijała: The Schulich School of Busines. „Schulich” wymawiano jak „shoe lick”. [W języku angielskim „shoe” znaczy „but”, a „lick” – „liznąć, polizać”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).]

Do rozpoczęcia zajęć pozostał jeszcze tydzień i kampus sprawiał wrażenie opuszczonego. Choć był środek dnia, Mary niepewnie

pokonywała kolejne zakręty, mijając mury i wchodziła w przejścia.

Przecież tamto spotkało ją właśnie tutaj. Tu została zgwałcona.

Tak jak na większości uniwersytetów północnoamerykańskich, w York studiowało obecnie więcej kobiet niż mężczyzn. Ale i tak z ponad czterdziestu tysięcy studentów kierunków dziennych niemal dwadzieścia tysięcy stanowili mężczyźni – potencjalni sprawcy – o ile tamten potwór zaliczał się do grona studiujących na York University.

Nie, nie miała racji. Przecież York znajdował się w Toronto, a trudno było o bardziej wieloetniczne miasto. Mężczyzna, który ją zgwałcił, miał jasną skórę i niebieskie oczy. Spora część studentów nie pasowała do tego opisu.

Do tego palił papierosy; Mary dokładnie pamiętała jego śmierdzący nikotyną oddech. Niechętnie patrzyła na każdego zaciągającego się dymem studenta. Te dzieciaki urodziły się przecież w latach osiemdziesiątych, dwie dekady po tym, jak amerykański minister zdrowia Luther Terry ogłosił, że palenie tytoniu grozi śmiercią. Mimo to pewna niewielka liczba kobiet i jeszcze mniejsza mężczyzn nadal paliła.

A zatem ten, który ją zaatakował, nie był jednym z wielu; należał do mniejszości wśród mniejszości: do białych mężczyzn z niebieskimi oczami, którzy palili papierosy.

Gdyby Mary zdołała go odnaleźć, mogłaby dowieść jego winy. Nieczęsto miała okazję wykorzystać swój zawód w życiu prywatnym, ale tamtego wieczoru zawodowe umiejętności bardzo jej się przydały. Wiedziała, jak pobrać i przechować próbki nasienia gwałciciela, które mogły zawierać DNA sprawcy i pomóc w ostatecznej jego identyfikacji.

Szła przez campus zwykłą trasą. Na razie jeszcze nie musiała przeciskać się wśród tłumów, ale prawdę mówiąc, chyba czułaby się wśród nich bezpieczniej. Przecież do gwałtu doszło podczas wakacji, gdy na

uniwersytecie było niewiele osób. Tłumy oznaczały bezpieczeństwo – tak na afrykańskiej sawannie, jak i tu, w Toronto.

Nagle Mary zorientowała się, że zbliża się do niej jakiś mężczyzna. Jej serce zaczęło bić szybciej, ale nie zmieniła kierunku; nie mogła przez resztę życia zawracać z drogi za każdym razem, gdy w pobliżu pojawiał się ktoś z chromosomem Y. Tylko...

Tylko że ten był biały – to zauważyła od razu.

Poza tym, miał dość jasne włosy. Włosów napastnika nie widziała; ukrył je pod kominiarką, ale blondyni często mieli niebieskie oczy.

Mary na moment zacisnęła powieki, odgradzając się od jasnego światła słonecznego, zamykając się w swoim świecie. Może powinna była pójść za Ponterem przez bramę do neandertalskiego świata. Taka myśl pojawiła się w jej głowie już wtedy, gdy biegła do niego przez campus Laurentian University, i potem, gdy razem z nim pędziła do kopalni Creighton, żeby zdążyć, zanim portal do jego rzeczywistości ponownie się zamknie. Tam przynajmniej mogłaby mieć pewność, że gwałcieciel nie kręci się gdzieś w pobliżu.

Mężczyzna znajdował się już zaledwie dziesięć metrów od niej. Był młody – prawdopodobnie student letnich kursów – i miał na sobie niebieskie dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem.

Jego oczy kryły się za ciemnymi okularami. Dzień był słoneczny i Mary też włożyła swoje. Nie mogła określić koloru oczu nieznajomego. Na pewno nie były złote, jak u Pontera – tylko u niego widziała taką barwę tęczywek.

Cała zeszywniała, gdy mężczyzna zbliżył się jeszcze bardziej.

Nawet gdyby nie miał na nosie okularów przeciwsłonecznych, Mary i tak nie zobaczyłaby koloru jego oczu, bo gdy ją mijał, odwróciła wzrok. Nie była w stanie na niego spojrzeć.

Cholera! – pomyślała. – *Jasna cholera.*

Rozdział Trzeci

– *A zatem – odezwał się Jurard Selgan – pomimo tego, że próbowałeś..
.próbowałeś...*

– *Wymusić na nich decyzję? – Ponter wzruszył ramionami. – Podobno u
nas mamy nie bać się nazywania rzeczy po imieniu, prawda?*

Selgan skinął głowę, akceptując uwagę Pontera.

– *W takim razie dobrze. Pomimo tego, że próbowałeś wymusić na nich
decyzję, Najwyższa Rada Siwych nie od razu to zrobiła?*

– *Nie. I pewnie słusznie wolą mieć chociaż trochę czasu na
zastanowienie. Dwoje właśnie miało się stać Jednym, dlatego Rada
przerwała obrady, odraczając podjęcie decyzji...*

Dwoje stający się Jednym: fraza tak prosta, a jednocześnie tak znacząca dla Pontera i jego ludzi.

Dwoje stający się Jednym: comiesięczne czterodniowe wakacje, wokół których kręciło się życie.

Dwoje stający się Jednym: okres, w którym dorośli mężczyźni przybywali z Obrzeży miasta do Centrum, aby spędzić trochę czasu ze swoimi partnerkami i dziećmi.

Nie jakaś tam przerwa w pracy, nie byle odmiana w rutynie, lecz ogień, który spajał całą społeczność; jelito, które wiązało całe rodziny.

Poduszkobus wylądował przed domem Pontera i Adikora. Wsiedli przez tylne wejście i znaleźli dwa wolne miejsca obok siebie. Kierowca włączył wentylatory. Pojazd oderwał się od ziemi i ruszył w stronę sąsiedniego domu, widocznego w oddali.

Zwykle Ponter nie zastanawiał się nad czymś tak zwyczajnym jak poduszkobusy, ale dziś z przyjemnością myślał o tym, jakim eleganckim

rozwiązaniem technologicznym były w porównaniu z transportem w świecie Gliksinów. Tam pojazdy wszelkiej wielkości poruszały się na kołach. Wszędzie, gdzie był (wprawdzie tylko w kilku miejscach), widział szerokie, płaskie szlaki pokryte sztucznym kamieniem, po którym koła mogły się łatwiej toczyć.

łakby tego było mało, Gliksini do napędu tych wehikułów używali chemicznej reakcji, której towarzyszyły obrzydliwe wyziewy. Podobno Gliksinów te smrody nie drażniły w takim stopniu jak jego; nic dziwnego, mieli przecież miniaturowe nosy.

Co za niezwykły wybryk natury! Ponter wiedział, że u jego gatunku duże nosy – o wiele większe od nosów innych naczelnych – wykształciły się podczas ostatniej epoki lodowcowej. Według doktora Singha, Gliksina, który opiekował się nim w ich szpitalu, u neandertalczyków jama nosowa miała sześciokrotnie większą pojemność niż u Gliksinów. Pierwotnie chodziło o nawilżanie chłodnego powietrza, zanim trafiało ono między wrażliwe tkanki płuc. Kiedy jednak wielkie połacie lodowców wreszcie się cofnęły, duże nochale nie znikły, ponieważ dawały ich właścicielom dodatkową korzyść: znakomity zmysł powonienia.

Gdyby nie to, być może ludzie Pontera też zaczęliby używać podobnych produktów petrochemicznych i w równym stopniu zanieczyściliby atmosferę swojego świata. On sam dostrzegał nawet ironię tej sytuacji: ci, których do tej pory znal jedynie jako okazy kopalne, zatruwali swoje niebo czymś, co nazywali paliwami kopalnymi.

Na domiar złego, niemal każdy dorosły Gliksin miał własny pojazd. Co za potworne marnotrawstwo! Wiele wehikułów przez większość dnia stało bezczynnie. Rodzinne miasto Pontera, Saldak, na dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców miało trzy tysiące sześcianów' podróźnych, a Ponter i tak często myślał, że to za dużo.

Poduszkobus siadł na ziemi przy sąsiednim domu. Torba, Gaddak i dwaj synowie bliźniacy Gaddaka wsiedli do środka. Chłopcy opuszczali matki i przynosili się do ojców, gdy kończyli dziesięć lat. Adikor miał tylko jedno dziecko, ośmiolatka Daba, który za dwa lata miał zamieszkać razem z nim i Ponterem. Ponter miał dwie córki: Megameg Bek, z pokolenia 148, także ośmiolatkę, oraz Jasmel Ket, z generacji 147, mającą już osiemnaście lat.

Ponter, tak jak jego partner Adikor, byli członkami generacji 145, co oznaczało, że mieli po trzydzieści osiem lat. Ta sfera życia w świecie Gliksinów również była zadziwiająca: zamiast kontrolować cykl rozrodczy, aby dzieci przychodziły na świat co dziesięć lat, u nich rodziły się bez przerwy, co roku. Dlatego nie mieli uporządkowanych, odrębnych wiekowo pokoleń, tylko kontinuum roczników. Ponter spędził na tamtym świecie niewiele czasu i nie zdążył się zorientować, jak Gliksini rozwiązali kwestie ekonomiczne związane z takim nieprzerwanym przyrostem. Producenci nie mogli przecież stopniowo przerzucać się z produkcji rzeczy dla niemowląt na ubrania dla kilkulatków, a następnie na stroje dla młodzieży, tylko musieli szyć garderobę dla wszystkich grup wiekowych naraz. Poza tym, od Lou Benoit dowiedział się o idiotycznym koncepcie „mody”: zupełnie dobre ubrania wyrzucano z powodu zmieniających się kaprysów w sferze estetyki.

Poduszkobus ponownie oderwał się od podłoża. Dom Torby i Gaddaka był ostatnim przystankiem przed długim odcinkiem drogi do Centrum.

Kobiety jak zwykle zadbały o dekoracje: długie wstęgi w pastelowych barwach biegły od drzewa do drzewa, kolorowe szarfy opasywały pnie brzoź i cedrów, chorągwie powiewały na dachach budynków, panele solarne miały złote ramy, a srebrnymi otoczono kompostowniki.

Ponter dawniej podejrzewał, że kobiety wcale nie zdejmują ozdób, ale Adikor powiedział, że nie widział żadnych, kiedy przybył do Centrum

podczas Ostatnich Pięciu, aby znaleźć kogoś, kto mógłby go bronić przed fałszywym oskarżeniem Daklar Bołbay.

Poduszkowiec wylądował. Jeszcze nie nadszedł czas opadających liści, ale następnym razem Dwoje miało się stać Jednym na początku pory, podczas której wentylatory pojazdów podrywały w górę masy brązowych i czerwonych, i złotych, i pomarańczowych liści, które wirując opadały z powrotem na ziemię. Ponter cieszył się na powrót chłodnej zimy.

Ze zwykłą u naukowca ciekawością zarejestrował, że Torba, Gaddak i dwaj chłopcy Gaddaka wysiedli jako pierwsi. Poduszkobus rozwoził pasażerów według systemu: ostatni wsiadający opuszcza pojazd jako pierwszy. Ponter i Adikor byli następni. Lurt, partnerka Adikora, podbiegła do niego razem z małym Dabem. Adikor złapał syna w objęcia i podniósł go wysoko do góry. Dab roześmiał się głośno, a jego ojciec uśmiechnął się szeroko. Po chwili postawił chłopca na ziemi i przytulił Lurt. Nie minął nawet miesiąc, odkąd ich widział – oboje obserwowali *dooslarm basadlarm*, wstępne przesłuchanie, które miało pomóc w ustaleniu, czy Adikor zamordował Pontera. Taki zarzut postawiła mu Daklar Bolbay po tym, jak Ponter zniknął. Mimo tak krótkiej przerwy Adikor cieszył się, że może znowu zobaczyć swoją rodzinę.

Towarzyszka Pontera, Klast, już nie żyła, ale spodziewał się, że obie córki wyjdą mu na powitanie. On też widział je niedawno. Jasmel odegrała kluczową rolę w ściągnięciu ojca z powrotem ze świata Gliksinów.

Adikor spojrział przepaszająco na przyjaciela. Ponter wiedział, że partner bardzo go kocha – i okazywał mu tę miłość przez dwadzieścia pięć dni w miesiącu. Teraz jednak był czas Lurt i Daba. Adikor chciał się cieszyć każdym spędzonym z nimi taktem. Ponter skinął głową, dając znak, żeby się nim nie przejmowali. Adikor jedną ręką objął w pasie Lurt, a drugą ujął dłoń synka i ruszyli.

Pozostali mężczyźni odnajdywali swoje kobiety, a chłopcy dołączali do dziewcząt z tej samej co oni generacji. Następne cztery dni na pewno miały upłynąć pod znakiem seksu, ale nie tylko. Czekały ich także liczne zabawy, rodzinne wycieczki i wspólne ucztowanie.

Ponter rozejrzał się wokół. Tłum powoli się rozchodził. Dzień był nieprzyjemnie ciepły. Ponter westchnął, ale nie z powodu temperatury.

– Mogę skontaktować się z Jasmel, jeśli chcesz – zaproponował Hak, implant wszczepiony w lewe przedramię Pontera tuż powyżej nadgarstka. Tak jak większość Kompanów, składał się z wysokokontrastowego, matowego wyświetlacza, mającego długość i szerokość palca, oraz z sześciu maleńkich gałek pod spodem i umieszczonego z boku obiektywu. W przeciwieństwie do większości Kompanów – dość prostych urządzeń – Hak był złożonym mechanizmem, wyposażonym w sztuczną inteligencję, dzieło Kobasta Ganta, kolegi Pontera.

Kompan nie powiedział tych słów głośno, choć potrafił. Odkąd Kobast zaprogramował urządzenie tak, by używało głosu zmarłej Klast, Ponter coraz częściej myślał o Haku „ona”. W dni takie jak ten czuł, że popełnił wielki błąd: przypominało mu to, jak bardzo tęskni za żoną. Musiał pogadać z Kobastem o zmianie głosu na inny.

– Nie – odparł cicho. – Nie kontaktuj się z nikim, jasmel spotyka się z młodym mężczyzną. Pewnie przybył wcześniejszym poduszkobusem i gdzieś razem poszli.

– Decyzja należy do ciebie – powiedział Hak.

Ponter rozejrzał się wkoło. Domy w Centrum w dużym stopniu przypominały te na Obrzeżach miasta. Główną strukturę większości z nich stanowiły drzewa prowadzone specjalnym systemem arborykonstrukcji. Ich pnie rosły wokół form, które następnie usuwano. Wiele budynków miało ceglane lub drewniane dobudówki. Wszystkie zbierały energię słoneczną

dzięki panelom solarnym, umieszczonym na dachach lub wokół domów. W strefach o wyjątkowo surowym klimacie budowlę trzeba było w całości wytwarzać, ale Ponterowi takie konstrukcje zawsze wydawały się brzydkie. Tymczasem Gliksini w ten sposób tworzyli wszystkie budynki i upychali je jeden przy drugim jak stada roślinożernych zwierząt.

Myśl o zwierzętach przypomniła mu, że tego popołudnia organizowano polowanie na mamuta, żeby zdobyć świeże mięso na ucztę, która miała się odbyć następnego dnia. Może mógłby się przyłączyć do łowców. Już dawno nie trzymał w ręku oszczepu i nie polował w tradycyjny sposób. Przynajmniej dawało to jakieś zajęcie jemu i innym mężczyznom, którzy nie mieli z kim spędzać czasu.

– Tatusiu!

Odwrócił się. W jego stronę pędziła Jasmel. Obok biegł jej chłopak, Tryon. Ponter poczuł, jak jego twarz rozciąga się w uśmiechu.

– Zdrowego dnia, kochanie – powiedział, gdy młodzi się zbliżyli. – Zdrowego dnia, Tryonie.

Jasmel przytuliła się do ojca. Chłopak niepewnie stanął z boku. W końcu dziewczyna wypuściła Pontera z objęć.

– Cieszę się, że pana widzę. Słyszałem, że przeżył pan prawdziwą przygodę – odezwał się Tryon.

– To prawda – przytaknął Ponter. Miał w stosunku do tego młodzieńca mieszane odczucia, co było naturalną reakcją ojca młodej kobiety. Jasmel mówiła o Tryonie same dobre rzeczy – że słucha, gdy ona mówi, że jest delikatnym kochankiem, że uczy się wyrabiać rzeczy ze skóry i że kiedyś będzie miał cenny wkład w społeczeństwo. Mimo to była córką Pontera i on pragnął dla niej wszystkiego, co najlepsze.

– Przepraszam, że się spóźniliśmy – powiedziała dziewczyna.

– Nic nie szkodzi – odparł Ponter. – A gdzie jest Mega – meg?

– Postanowiła, że już nie chce, by tak na nią wołano. Odtąd mamy mówić do niej Mega.

Tak brzmiało prawdziwe imię młodszej córki Pontera; Megameg było zdrobnieniem. Ponter poczuł falę smutku. Jego starsza córka już dorosła, a mała córeczka szybko ją goniła.

– Aha. A gdzie teraz jest?

– Bawi się z przyjaciółmi – wyjaśniła Jasmel. – Później się z nią zobaczysz.

Ponter skinął głową.

– A wy dwoje jakie macie plany na dzisiejszy ranek?

– Pomyśleliśmy, że może zagramy razem w *ladatsa* – zaproponował Tryon.

Ponter przyjrzał mu się. Chłopak był dość przystojny. Miał szerokie ramiona, wspaniały wał nadoczodołowy, ostro zaznaczony nos i oczy barwy głębokiego fioletu. Niestety, jak wielu młodych, ulegał pewnym modom. Zamiast nosić przedziałek pośrodku głowy, tam, gdzie ten wypadł naturalnie, szeszywał włosy w kolorze rudawego blondu na lewą stronę, przypuszczalnie utrwalając je jakimś paskudztwem.

Ponter już miał się zgodzić na mecz *ladatsa* – upłynęło wiele dekamiesięcy, odkąd ostatni raz kopał piłkę – kiedy przypomniał sobie, że w wieku tego młokosa, dwadzieścia lat temu, sam zalecał się do Klast. Ostatnią rzeczą, jakiej wtedy pragnął, było towarzystwo ojca dziewczyny.

– Nie – powiedział. – Wy zmykajcie do swoich zajęć. Zobaczymy się wieczorem na kolacji.

Jasmel spojrzała na ojca. Domyślała się, że wcale nie tego pragnął. Ale Tryon nie był głupi; szybko podziękował Ponterowi i wziął Jasmel za rękę.

Ponter chwilę patrzył za nimi. Przypuszczał, że jasmel urodzi pierwsze dziecko po następnym roku, gdy zaplanowano narodziny generacji 149.

Pomyślał, że wtedy wszystko się zmieni. Przynajmniej mógłby zajmować się wnukiem w te dni, gdy Dwoje stawało się Jednym.

Poduszkobus już dawno się oddalił, wracając na Obrzeza po kolejną partię mężczyzn. Ponter zawrócił i ruszył do miasta. Może najpierw coś przekąsi, a potem...

Serce podskoczyło mu w piersi. To była ostatnia osoba, jaką spodziewał się zobaczyć, a mimo to...

Mimo to stała nieopodal, tak jakby czekała właśnie na niego.

Daklar Bolbay.

– Zdrowego dnia, Ponterze – powitała go.

Znał ją od dawna. Była partnerką Klast. Prawdę mówiąc, jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć, co czuł po stracie Klast, to właśnie Daklar. Tylko że...

Tylko że pod nieobecność Pontera bardzo utrudniła życie Adikorowi. Oskarżyła go o morderstwo! A przecież Adikor, podobnie jak sam Ponter, nie byłby w stanie nikogo zabić.

– Daklar – odezwał się, rezygnując ze zwykłych uprzejmości.

Skinęła głową, wiedząc, dlaczego to zrobił.

– Nie winię cię za to, że jesteś ze mnie niezadowolony – przyznała. – Wiem, że zraniłam Adikora, a krzywda zadana partnerowi boli nas samych równie mocno. – Utkwiła wzrok w oczach Pontera. – Przepraszam cię z całego serca i najszczerzej jak potrafię. Miałam nadzieję, że zdążę powiedzieć to także Adikorowi, ale widzę, że już się oddalił.

– Teraz mówisz, że jest ci przykro. Ale to, co zrobiłaś...

– Postąpiłam potwornie – przerwała mu Daklar, wlepiając wzrok w swoje stopy, osłonięte pokrowcami połączonymi z czarnym pantalonem. – Teraz spotykam się z rzeźbiarzem osobowości i biorę leki. Moja kuracja dopiero się zaczęła, ale już czuję mniejszy... gniew.

Ponter domyślał się, przez co przeszła Daklar. Straciła nie tylko ukochaną Klast, partnerkę ich obojga, ale też swojego drogiego Pelbona, którego pewnego dnia zabrali egzekutorzy. Wprawdzie wrócił do niej, ale nie cały. Poddano go kastracji. Jego związek z Daklar nie wytrzymał tej próby.

Gdy zmarła Klast, Ponter czuł niewypowiedziany żal, ale przynajmniej w żałobie mógł liczyć na wsparcie Adikora, Jasmel i Megameg. O ile gorzej musiała się czuć Daklar, która nie miała partnera, a z powodu tego, co zrobiono Pelbonowi, nigdy nie urodziła dzieci.

– Cieszę się, że jest z tobą lepiej – przyznał Ponter.

– Naprawdę jest – zapewniła go raz jeszcze, kiwając głową.

– Wiem, że przede mną daleka droga, ale czuję się lepiej i...

Chwilę czekał, aż sama dokończy, a gdy wciąż milczała, zachęcił ją życzliwym: – Tak?

– Bo widzisz – zaczęła, unikając jego wzroku – chodzi o to, że jestem sama i... – Znowu umilkła, ale tym razem sama podjęła przerwany wątek. – I ty też jesteś sam. A gdy Dwoje staje się Jednym, człowiek może się czuć bardzo samotny, jeśli nie ma z kim spędzać czasu. – Przelotnie zerknęła na jego twarz, lecz od razu odwróciła wzrok. Może bała się tego, co mogła zobaczyć.

Pontera zaskoczyło jej wyznanie. No ale...

Daklar była inteligentna, a to na pewno mu się podobało. Poza tym w jej włosach pojawiły się cudowne pasma siwizny, mieszające się z brązowymi puklami i...

Nie. Nie, to by było szaleństwo. Nie po tym, co zrobiła Adikorowi...

Ponter poczuł mrowienie w szczęce. Zwykle dokuczała mu tylko w chłodne poranki. Podniósł dłoń i potarł zarośnięty bok twarzy.

Dawno, 229 miesięcy temu, Adikor złamał mu żuchwę w głupiej kłótni. Gdyby Ponter nie uniósł na czas głowy, cios przyjaciela by go zabił.

Na szczęście zareagował wtedy wystarczająco szybko. Niemal pół szczęki i siedem zębów trzeba było zastąpić syntetycznymi protezami, ale przeżył.

I wybaczył Adikorowi. Nie wniósł oskarżeń przeciw przyjacielowi, oszczędzając mu spotkania ze skalpelem egzekutorów. Adikor przeszedł terapię i nauczył się kontrolować gniew. Od tamtej pory panował nad emocjami, zarówno w obecności Pontera, jak i innych.

Przebaczenie.

Na tamtym drugim świecie wiele rozmawiał z Mare o jej wierze w Boga i o domniemanym boskim synu, który próbował nauczyć ludzi Mare sztuki przebaczenia. Ona była wyznawczynią jego nauk.

Poza tym czuł się naprawdę samotny. Nie wiedział, kiedy Najwyższa Rada Siwych podejmie decyzję w sprawie ponownego otwarcia portalu do świata Mare, a nawet gdyby wyrazili na to zgodę, to nie miał absolutnej pewności, czy rzeczywiście uda się na nowo utworzyć przejście.

Przebaczenie.

Właśnie je ofiarował Adikorowi pół życia temu.

Właśnie ono było najwyższą wartością w wierze Mare.

Właśnie tego potrzebowała teraz Daklar.

Przebaczenia.

– Dobrze – stwierdził w końcu. – Musisz się pogodzić z Adikorem. Tylko pod tym warunkiem zapomnę o wrogości, jaka zrodziła się między nami w wyniku ostatnich wydarzeń.

Daklar się uśmiechnęła.

– Dziękuję ci – powiedziała i umilkła na moment, a jej uśmiech zbladł. – Chcesz, żebym ci towarzyszyła... to znaczy tylko do chwili, gdy twoje córki

będą wolne? Wprawdzie jestem *tabant* małej Mega i razem z Jasmel wciąż mieszkamy w jednym domu, ale wiem, że potrzebujesz spędzić z córkami trochę czasu sam, i nie zamierzam wam przeszkadzać. Teraz jednak...

Urwała, a jej oczy na krótko napotkały spojrzenie Pontera, wyraźnie prosząc go, by dokończył zdanie, które zaczęła.

– Dobrze – powiedział, podejmując decyzję. – Będzie mi miło, jeśli zechcesz dotrzymać mi towarzystwa.

Rozdział Czwarty

Laboratorium Mary Vaughan na York University wyglądało niemal tak jak przed jej wyjazdem – nic dziwnego, bo choć tyle się wydarzyło, to minęły zaledwie dwadzieścia trzy dni, odkąd była tu po raz ostatni.

Za to Daria Klein, jedna z doktorantek Mary, przychodziła tu wielokrotnie pod nieobecność swojej promotorki. Przedmioty w miejscu jej pracy zmieniły miejsce, a na ścianie mapa pokazująca sekwencję DNA chromosomu Y starożytniej mumii egipskiej miała mniej pustych pól.

Arne Eggebrecht z Pelizaeus Museum w Hildesheim w Niemczech wysunął niedawno sugestię, jakoby egipska mumia zakupiona od muzeum w Niagara Falls mogła być mumią Ramzesa I, założyciela całej dynastii władców, do której należeli Seti I, Ramzes II (w jego postać w filmie *Dziesięcioro przykazań* wcielił się Yul Brynner), Ramzes III oraz Królowa Nefertari. Okaz znajdował się obecnie w Atlanta Emory University, ale próbki DNA przysłano do analizy do Toronto. Laboratorium Mary słynęło z sukcesów w pozyskiwaniu kopalnego DNA. Właśnie z tego względu poproszono ją o pomoc w sprawie Pontera Boddita. Podczas nieobecności Mary Daria poczyniła spore postępy w analizie DNA domniemanego Ramzesa.

Przyglądając się wynikom, Mary z aprobatą pokiwała głową.

– Profesor Vaughan?

Serce Mary podskoczyło do gardła. Odwróciła się. W drzwiach laboratorium stał wysoki, chudy mężczyzna po sześćdziesiątce. Miał głęboki, zachrypnięty głos i fryzurę Ronalda Reagana.

– Tak? – Mary czuła rosnące zdenerwowanie. Mężczyzna blokował jedyne wyjście z pomieszczenia. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i

jasnoszary, luźno zawiązany, jedwabny krawat. Po chwili zrobił krok do przodu i podał Mary wizytówkę.

Wzięła ją, z zażenowaniem stwierdzając, że jej dłoń drży.

GRUPA SYNERGIA dr J.K. (Jock) Krieger Dyrektor

Obok widniało logo: obraz Ziemi podzielonej dokładnie na pół. Po lewej stronie oceany miały kolor czarny, a lądy białe, a po prawej na odwrót. Wizytówka podawała adres miejsca w Rochester, w stanie Nowy Jork, a email miał końcówkę „.gov”, co oznaczało, że organizacja działa pod patronatem rządu Stanów Zjednoczonych.

– Co mogę dla pana zrobić, doktorze Krieger? – zapytała Mary.

– Jestem dyrektorem grupy Synergia – odparł.

– To widzę. Nigdy o niej nie słyszałam.

– Nikt jeszcze o niej nie słyszał i niewiele będzie miało okazję. Synergia to zespół doradców rządu USA, który tworzę od dwóch tygodni. Wzorujemy się z grubsza na RAND Corporation, choć oczywiście działamy na mniejszą skalę, przynajmniej na obecnym etapie.

Mary słyszała o RAND, ale prawdę mówiąc, nic o tej korporacji nie wiedziała. Mimo to skinęła głową.

– Jednym z naszych głównych źródeł finansowania jest INS – powiedział Krieger. Mary uniosła brwi, więc wyjaśnił: – Immigration and Naturalization Service – urząd imigracyjny – nywUSA.

– Aha.

– Jak pani wie, incydent z neandertalczykiem zupełnie zaskoczył nas ... nas wszystkich. Cała sprawa skończyła się tak naprawdę, zanim na dobre się rozpoczęła. Przez pierwsze dni traktowaliśmy to jak kolejną szaloną historię rodem z brukowców. Coś w rodzaju dopatrzenia się twarzy Matki Teresy w suszonej śliwce lub spotkania Yeti.

Mary przytaknęła. Ona sama początkowo w to nie wierzyła.

– Oczywiście – ciągnął Krieger – niewykluczone, że portal między naszym światem i światem neandertalskim już więcej się nie otworzy, ale jeśli do tego dojdzie, chcemy być na to przygotowani.

– My?

– Rząd Stanów Zjednoczonych.

Mary poczuła rosnące napięcie w karku.

– Portal otworzył się na terytorium Kanady i...

– Prawdę mówiąc, otworzył się milę i ćwierć pod terytorium Kanady, a Sudbury Neutrino Observatory jest wspólnym projektem kanadyjskich, brytyjskich i amerykańskich instytucji, w tym także University of Pennsylvania, University of Washington oraz laboratoriów Los Alamos, Lawrence Berkeley i Brookhaven National.

– Och. – O tym Mary nie wiedziała. – Ale kopalnia Creig – hton, w której mieści się SNO, należy do Kanady.

– A ściślej mówiąc do kanadyjskiej korporacji INCO. Proszę posłuchać, nie jestem tu po to, by spierać się o kwestie zwierzchnictwa. Chcę tylko, aby pani zrozumiała, że zainteresowanie Stanów Zjednoczonych tą sprawą jest uzasadnione.

– Ach tak. – Głos Mary zabrzmiał lodowato.

Krieger się zreflektował. Zupełnie źle zaczął tę rozmowę.

– Chodzi o to, że jeśli portal między światami ponownie się otworzy, chcemy być na to przygotowani. Obrona tego miejsca raczej nie wydaje się trudnym zadaniem. Może już pani słyszała, że dwudziesty drugi pułk Kanadyjskich Sił Zbrojnych, stacjonujący w North Bay, został wyznaczony do zabezpieczenia portalu przed inwazją lub atakami terrorystycznymi.

– Pan żartuje – powiedziała Mary, choć przypuszczała, że jej gość mówi jak najbardziej serio.

– Nie, profesor Vaughan. Rządy pani i mój traktują tę sprawę bardzo poważnie.

– Ale jaki ma to związek ze mną?

– Potrafiła pani zidentyfikować Pontera Boddita jako neandertalczyka, badając jego DNA, zgadza się?

– Tak.

– I ten test pozwoliłby zidentyfikować każdego neandertalczyka? Można dzięki niemu ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, czy ktoś jest neandertalczykiem, czy człowiekiem?

– Neandertalczycy są ludźmi – zauważyła Mary. – Należymy do tego samego rodzaju *Homo*. *Homo habilis*, *Homo erectus*, *Homo antecessor* – jeśli uznać go za odrębny gatunek – *Homo heidelbergensis*, *Homo neanderthalensis*, *Homo sapiens*. Wszyscy jesteśmy ludźmi.

– W tym punkcie uznaję pani rację – powiedział Krieger, kiwając głową.

– Ale w takim razie jak mamy określać siebie w odróżnieniu od nich?

– *Homo sapiens sapiens* – stwierdziła Mary.

– Mało chwytliwa nazwa, nie sądzi pani? Słyszałem, jak ktoś nazywał nas kromaniończykami. To brzmi lepiej.

– W zasadzie termin ten odnosi się do konkretnej populacji anatomicznie współczesnych ludzi z okresu górnego paleolitu, którzy zamieszkiwali południe Francji.

– W takim razie spytam raz jeszcze: jak mamy nazywać siebie, aby zaznaczyć naszą odrębność od neandertalczyków?

– W świecie Pontera kopalne okazy ludzi, którzy wyglądali tak jak my, określa się mianem *Gliksini*. To chyba sprawiedliwe rozwiązanie: my w stosunku do nich używamy nazwy, która tak naprawdę odnosi się do ich przodków, a oni w stosunku do nas używają nazwy, która odnosi się do naszych przodków.

– Giiksini? Tak pani powiedziała? – Krieger zmarszczył brwi. – W porządku, myślę, że ta nazwa będzie odpowiednia. Czy pani metoda badania DNA może nieomylnie rozróżnić każdego neandertalczyka i każdego Gliksina?

Mary ściągnęła brwi.

– Wątpię. W obrębie gatunku istnieją spore różnice i...

– Ale skoro neandertalczycy oraz my, Giiksini, należymy do różnych gatunków, z pewnością istnieją jakieś geny specyficzne tylko dla nich lub tylko dla nas. Na przykład gen, który sprawia, że mają te wały nadoczodołowe.

– Hm, wielu Gliksinów ma wały nadoczodołowe. Jest to cecha dość powszechna na przykład wśród mężczyzn zamieszkujących Europę Wschodnią. Oczywiście wygięty w dwa łuki wał nadoczodołowy neandertalczyka jest bardzo charakterystyczny, ale...

– No a te trójkątne wyniosłości w jamie nosowej? Słyszałem, że to cecha wyłącznie neandertalczyków.

– Tak, to prawda – uśmiechnęła się Mary. – Tylko że trzeba by każdemu zaglądać do nosa...

Kriegera nie rozśmieszyła jej uwaga.

– Miałem raczej na myśli to, czy znalazłaby pani gen odpowiadający za tę cechę.

– Aha. Być może, choć niewykluczone, że oni sami już go znają. Ponger mówił, że dość dawno temu rozpoczęli badania odpowiadające naszemu projektowi poznania ludzkiego genomu. Ale oczywiście mogłabym spróbować określić taki diagnostyczny marker.

– Tak? Jak szybko zdoła to pani zrobić?

– Chwileczkę – przystopowała go Mary. – Na razie mamy tylko DNA z czterech prehistorycznych okazów neandertalczyków i jednego

współczesnego. Potrzebna byłaby o wiele większa baza próbek.

– Ale da się to zrobić?

– Niewykluczone, tylko po co?

– Jak długo by to potrwało?

– Przy moich obecnych możliwościach? I gdybym zajmowała się wyłącznie tym? Może kilka miesięcy.

– A gdybyśmy zapewnili cały potrzebny sprzęt i zatrudnili personel? W takiej sytuacji ile czasu potrzebowałaby pani? Pieniądze nie stanowią problemu.

Serce Mary zaczęło żywiej bić. Jako kanadyjski pracownik naukowy nigdy dotąd nie słyszała tych słów. Na uniwersytecie miała znajomych, którzy robili doktoraty w Stanach; często opowiadali o ogromnych, pięcio – lub sześciocyfrowych grantach na badania, i o supernowoczesnym sprzęcie. W ramach pierwszego stypendium badawczego Mary otrzymała marne 3200 dolarów – i to kanadyjskich.

– No cóż... przy nieograniczonych środkach przypuszczam, że udałoby się tego dokonać dość szybko. W ciągu kilku tygodni, jeśli dopisałoby nam szczęście.

– Dobrze. Doskonale. Proszę się tym zająć.

– Hm, z całym szacunkiem, doktorze Krieger, jestem obywatelką Kanady; nie może mi pan mówić, co mam robić.

Krieger natychmiast się zreflektował.

– Oczywiście, że nie. Bardzo przepraszam, pani profesor. Dałem się ponieść entuzjazmowi dla tego projektu. Chciałem prosić, aby podjęła się pani tego zadania. Tak jak wspomniałem, zapewnimy pani cały potrzebny sprzęt i personel oraz odpowiednie wynagrodzenie za pani konsultacje.

Mary czuła, że kręci jej się w głowie.

– Ale dlaczego jest to aż tak ważne?

– Jeżeli brama między światami ponownie się otworzy, możliwe, że na naszym świecie pojawią się neandertalczycy – wyjaśnił Krieger.

Mary spojrzała na niego z ukosa.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o to, by móc ich dyskryminować?

Krieger pokręcił głową.

– Nic podobnego, zapewniam panią. Ale taka wiedza umożliwi nam kontrolę imigracji, zapewnienie odpowiedniej opieki medycznej i inne konieczne działania. Przecież nie chcemy, by nieprzytomnej osobie podano nieodpowiedni lek tylko dlatego, że lekarze nie byli w stanie określić, czy to neandertalczyk, czy Gliksin.

– Wystarczy sprawdzić, czy ten ktoś ma wszczepiony implant. Ponter mówił, że na ich świecie wszyscy mają takie urządzenia.

– Nie chcę dyskredytować przekazu pani przyjaciela, proszę mi wierzyć, pani profesor, ale mamy na to tylko jego słowo. A jeśli okaże się, że w swoim świecie jest on warunkowo zwolnionym przestępcą, a to coś jest zwykłym urządzeniem umożliwiającym kontrolowanie jego działań i mają je wyłącznie kryminaliści?

– Ponter nie jest kryminalistą – zaprotestowała Mary.

– Mimo to rozumie pani chyba, że wolimy mieć własne metody określania, do jakiego gatunku zalicza się dana osoba, zamiast polegać wyłącznie na czymś, co znamy z opowieści.

Mary powoli skinęła głową. Oczywiście, jego słowa miały sens. Poza tym istniał już precedens w tej sferze: kanadyjski rząd mnóstwo pracy włożył w określenie definicji tego, kto jest, a kto nie jest Indianinem, aby specjalnymi prawami i programami społecznymi objąć osoby do tego upoważnione. Nie była jednak przekonana...

– Nie ma powodu, aby spodziewać się ponownego otwarcia portalu, prawda? To znaczy, chyba nic na to nie wskazuje? – Chętnie znowu

zobaczyłaby Pontera...

– Nie. – Krieger pokręcił głową. – Ale wierzymy w dobre przygotowanie. Będę z panią szczerą, przyznaję, że pan Bod – dit wyglądał, hm... powiedzmy, że charakterystycznie. Możliwe jednak, że inny neandertalczyk ma mniej wydatne rysy twarzy i nie będzie się wyróżniał wśród naszych ludzi.

Mary się uśmiechnęła.

– Rozmawiał pan z Milfordem Wolpoffem?

– To prawda. A także z Ianem Tattersallem i z innymi. Konsultowałem się z co najmniej połową ekspertów od neandertalczyków. Opinie na temat tego, w jakim stopniu różnili się od nas, są podzielone.

Mary przytaknęła; oczywiście miał rację. Niektórzy, tak jak Wolpoff, utrzymywali, że neandertalczyki byli tylko inną odmianą *Homo sapiens* – w najlepszym wypadku odrębną rasą, o ile to określenie miało tu jakieś uzasadnienie – ale na pewno zaliczali się do tego samego gatunku co współcześni ludzie. Inni, w tym Tattersall, mieli zupełnie odmienne zdanie. Według nich neandertalczyki stanowili odrębny gatunek, *Homo neandertalensis*. Dotychczasowe badania DNA potwierdzały ten drugi pogląd – ale Wolpoff i jego zwolennicy twierdzili, że nieliczne zebrane dotąd próbki neandertalskiego materiału genetycznego, w tym 379 nukleotydów mitochondrialnego DNA pozyskanego przez Mary z kopalnego okazu neandertalczyka z Rheinisches Landesmuseum, były albo aberracjami, albo błędnie je interpretowano. Nie pomyliłby się ten, kto by uznał ten spór za jeden z najgorętszych w całej historii paleoantropologii.

– Wciąż jednak pozostaje kwestia tego, że dysponujemy kompletnym materiałem genetycznym tylko jednego neandertalczyka – zauważyła Mary – a dokładnie Pontera Boddi – ta. Niewykluczone, że na podstawie tej jednej próbki nie da się ustalić cechy, która umożliwiłaby taką diagnostykę.

– Rozumiem. Ale nie dowiemy się tego, jeśli pani nie spróbuje.

Mary rozejrzała się po laboratorium.

– W York trzymają mnie obowiązki. Wykłady. Prace doktorskie moich studentów.

– To także rozumiem – powiedział Krieger. – Jestem jednak pewien, że uda się wszystko zorganizować tak, aby znaleźć dla pani zastępstwo. Już porozumiałem się z rektorką uniwersytetu.

– Rozumiem zatem, że chodzi panu o projekt badawczy w pełnym wymiarze godzin?

– Zrekompensujemy pani dochody za cały rok akademicki.

– Gdzie miałabym pracować? Tutaj?

Krieger pokręcił głowę.

– Nie, chcielibyśmy, aby przyjechała pani do naszego ośrodka.

– W Rochester?

– Owszem, w Rochester.

– To chyba niedaleko stąd?

– Przyleciałem dzisiaj i zapewniam, że to bardzo krótka podróż. Z tego, co wiem, samochodem można tu dojechać w trzy i pół godziny.

Mary zaczęła się zastanawiać. Nadal mogłaby przyjeżdżać do Toronto i widywać się z mamą oraz z przyjaciółmi. Poza tym musiała przyznać, że w tej chwili nic nie interesuje jej bardziej niż analiza DNA Pontera, a zajęcia na uniwersytecie odciągałyby ją od tego.

– Jakie warunki ma pan na myśli?

– Mogę pani zaproponować roczny kontrakt konsultanta z uposażeniem 150 tysięcy dolarów, już od dziś, z pakietem pełnych świadczeń medycznych. – Uśmiechnął się. – Wiem, że to kluczowy argument w rozmowach z wami, Kanadyjkami.

Mary zmarszczyła brwi. Pogodziła się już z koniecznością powrotu na York University, w miejsce, gdzie została zgwałcona, ale...

Nie, nieprawda. Owszem, miała nadzieję, że da radę tu wytrzymać, ale to, co przeżyła rano, uzmysłowiło jej tylko, w jak strasznym stanie są jej nerwy.

– Mam tu mieszkanie – powiedziała.

– Przejmiemy czynsz, podatki i wszelkie opłaty na czas pani wyjazdu; pani dom będzie na panią czekał, gdy zakończy pani pracę.

– Naprawdę?

Krieger skinął głową.

– Tak. To największa rzecz, jaka zdarzyła się na naszej planecie od... od zawsze. Jesteśmy świadkami końca ery kenozoicznej i początku nowej. Od jakichś trzydziestu pięciu tysięcy lat nie było na tym globie dwóch wersji ludzkości, ale jeśli dojdzie do ponownego otwarcia portalu, tak się stanie, i chcemy dopilnować, aby tym razem wszystko poszło jak należy.

– Pańska propozycja brzmi bardzo kusząco, doktorze Krieger.

– Jock. Proszę mi mówić Jock. – Krieger zrobił krótką pauzę. – Niegdyś pracowałem dla RAND. Jestem matematykiem. Kiedy kończyłem studia w Princeton, siedemdziesiąt procent magistrów wydziałów matematycznych ze wszystkich największych uniwersytetów ubiegało się o pracę w RAND. To tam właśnie można było liczyć na pieniądze i środki pozwalające prowadzić wyłącznie badania teoretyczne. Żartowano nawet, że RAND to skrót od „Research And No Development”. To był zespół teoretyków w najczystszyznaczeniu tego słowa.

– A co tak naprawdę oznaczała ta nazwa?

– Podobno jednak „Research and Development”, badania i rozwój. Całe wsparcie finansowe pochodziło z Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, a korporacja powstała z zasadniczo niewdzięcznego powodu: w celu

studiowania konfliktu nuklearnego. Specjalizuję się w teorii gier i właśnie dlatego tam się znalazłem. Prowadziłem symulacje politycznych gier na przetrzymanie w realiach konfliktu nuklearnego. – Krieger przerwał na moment. – Widziała pani *Doktora Strangelove*?

– Wiele lat temu – przytaknęła Mary.

– W scenie w Centrum Dowodzenia stary George C. Scott trzyma materiały o korporacji „BLAND”. Następnym razem proszę wcisnąć w tym momencie stopklatkę. Raport nosi tytuł *World Targets in Megadeaths*. [*World Targets in Megadeaths – Światowe cele w hekatombach.*] Mniej więcej tym się zajmowaliśmy. Ale zimna wojna się skończyła i tym razem stajemy przed bardzo pozytywną perspektywą. – Jock przez chwilę milczał, aż wreszcie dodał: – Pomimo swoich militarnych korzeni RAND zajmowała się naprawdę dalekosiężnymi teoriami. Jedna z nich dotyczyła planet nadających się do zamieszkania przez ludzi. Chodziło o prawdopodobieństwo znalezienia podobnych do Ziemi planet w innych częściach galaktyki. Stephen Dole pracował nad tym w 1964 roku, gdy ja dopiero zaczynałem działać w RAND. Ale nawet wtedy, w najznakomitszym okresie programu podboju kosmosu, bardzo niewielu z nas poważnie myślało, że uda nam się znaleźć inny, podobny do Ziemi świat za naszego życia. Jeśli jednak dojdzie do ponownego otwarcia portalu, tak się właśnie stanie. Dlatego chcemy, aby wzajemne kontakty przebiegały jak najlepiej. Kiedy dojdzie do otwarcia pierwszej neandertalskiej ambasady...

– Neandertalskiej ambasady? – wykrzyknęła Mary.

– Wybiegamy myślą w przyszłość, profesor Vaughan. Właśnie na tym polega zadanie Synergii. Nie chodzi tylko o to, co jest najlepsze w obu światach, ale o stworzenie czegoś, co stanie się czymś więcej niż tylko sumą ich części. Czeka nas szalona praca i chcemy, aby miała w niej pani swój udział.

Rozdział Piąty

Ponter i Daklar szli przez plac, rozmawiając. Wokół ganiało mnóstwo dzieciaków, bawiących się w różne gry.

- Zawsze chciałam spytać mężczyznę o jedną rzecz – przyznała Daklar.
- Tęsknisz za dziećmi, gdy Dwoje jest osobno?

Mały chłopiec z generacji 148 przebiegł tuż przed nimi, goniąc latający trójkąt. Ponter nigdy nie żałował, że urodziły mu się dwie córki, ale czasami myślał, że chciałby też mieć syna.

- Oczywiście. Stale o nich myślę – odparł.
- Jasmel i Mega są naprawdę wspaniałe.
- Sądziłem, że ty i Jasmel skrzyżowałyście oszczepy, kiedy mnie nie było.

Daklar uśmiechnęła się smutno.

- Tak, rzeczywiście. Ona przemawiała w imieniu Adiko – ra podczas *dooslarm basadlarm*, a ja go oskarżałam. Wierz mi, Ponterze, nie jestem głupia, wiem, że popełniłam błąd, a Jasmel miała rację.

- Rozumiem, że teraz wszystko jest między wami w porządku?
- Trzeba na to trochę czasu. Wiesz, jaka jest Jasmel. Uparta jak stalaktyt: mocno trzyma się swego, choćby nie wiem jaką siłą próbować ściągnąć ją na dół.

Ponter się zaśmiał. Rzeczywiście, znał Jasmel od tej strony i wyglądało na to, że Daklar też.

- Przyznaję, że bywa trudna.
- Dopiero niedawno skończyła 225 miesięcy. Nic dziwnego, że jest uparta. Ja też taka byłam w jej wieku – powiedziała Daklar. – Młode kobiety są pod ogromną presją, sam rozumiesz. Przed nastaniem zimy

powinna sobie znaleźć dwoje partnerów. Domyślałam się, że Tryon zostanie jej partnerem, ale wciąż jeszcze szuka partnerki.

– Nie będzie z tym miała trudności – stwierdził Ponter.

– Jest prawdziwym skarbem.

– To prawda. – Daklar się uśmiechnęła. – Ma wszystkie najlepsze cechy Klast i... – Znowu przerwała, zastanawiając się, czy nie pozwala sobie na zbyt wielką bezpośredniość.

– I wszystkie twoje również.

Ponterowi jej uwaga sprawiła przyjemność.

– Dziękuję – powiedział.

Daklar spuściła wzrok.

– Kiedy Klast zmarła, Jasmel i Mega były bardzo smutne. Megameg miała za mało miesięcy, żeby w pełni zrozumieć to, co się stało, ale Jasmel... Dziewczynie trudno jest bez matki.

– Daklar umilkła i Ponter zaczął się zastanawiać, czy czeka, aż on powie, że doskonale zastąpiła ją w życiu jego córek. Powoli zaczynał rozumieć, że prawdopodobnie tak jest, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć.
– Staralam się być dobrą *tabant*, ale to nie to samo co własna matka.

I znowu Ponter nie wiedział, jak dyplomatycznie zareagować.

– Nie – powiedział w końcu. – Przypuszczam, że nie to samo.

– Wiedziałałam, że nie mogą zamieszkać z tobą i Adikorem. Dwie dziewczynki w domu na Obrzeżach miasta...

– Nie – zgodził się z nią Ponter. – To by było niemożliwe.

– Czy ty... – Daklar znowu spuściła wzrok, wpatrując się w krótko przyciętą trawę porastającą plac. – Czy czułeś żal, że to właśnie mnie przypadła opieka nad nimi?

Ponter nieznacznie wzruszył ramionami.

– Byłaś partnerką Klast. Postąpiła logicznie, wyznaczając cię na *tabant* dziewczynek.

Daklar lekko przekrzywiła głowę.

– Nie o to pytałam – powiedziała cicho.

Ponter zamknął oczy i wypuścił powietrze.

– Wiem, że nie o to. Tak, chyba czułem żal... wybacz mi, że to mówię. Ale w końcu to ja jestem ich ojcem; łączy nas genetyczna więź. Ciebie...

Daklar czekała, aż Ponter dokończy, ale kiedy stało się oczywiste, że nie zamierza, sama skończyła jego myśl:

– Mnie nie łączą z nimi więzy krwi. Nie są moimi dziećmi, a mimo to zostałam ich opiekunką.

Ponter milczał; nie przychodziła mu do głowy żadna uprzejma odpowiedź.

– Ja to rozumiem – powiedziała Daklar, dotykając jego ramienia na ułamek taktu. – Nic dziwnego, że tak się czułeś. To zupełnie naturalne.

Niewielki klucz gęsi przeleciał nad ich głowami. Kilka drozdów odpoczywających w trawie umknęło, gdy podeszli bliżej.

– Bardzo kocham moje córki – przyznał Ponter.

– Ja także je kocham – powiedziała Daklar. – Wiem, że nie są moje, ale mieszkałam z nimi przez całe ich życie i kocham je jak własne.

Ponter zatrzymał się i spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tego rodzaju relacjami; zawsze wydawało mu się, że cudze dzieci są w pewnym sensie uciążliwe – tak jak mały psotnik Dab, syn Adikora. W normalnej rodzinie Daklar miałyby swoje dzieci. Córka lub syn z generacji 148 wciąż mieszkaliby z matką i jej partnerką, a córka z pokolenia 147 także byłaby jeszcze w domu przez kilka miesięcy, dopóki nie znalazłaby sobie partnera i partnerki.

– Masz minę, jakbyś się temu dziwił – zauważyła Daklar. – Naprawdę kocham Jasmel i Mega.

– Hm, przyznam, że nigdy o tym nie myślałem.

Daklar się uśmiechnęła.

– Sam widzisz, że wiele nas łączy. Oboje kochaliśmy tę samą kobietę i oboje kochamy te same dzieci.

Ponter i Daklar postanowili na początek wspólnie obejrzyć sztukę wystawianą w amfiteatrze pod gołym niebem. Ponter zawsze lubił teatr, a to przedstawienie należało do jego ulubionych: *Wamlar i Kolapa* – historia mężczyzny myśliwego i kobiety trudniącej się zbieractwem. Tego rodzaju sztuki grano tylko wtedy, gdy Dwoje stawało się Jednym i kobiety mogły razem z mężczyznami występować na scenie. Opowieść zawierała wiele wątków i wydarzeń, które nie byłyby możliwe we współczesnej erze Kompanów: jedni bohaterowie znikali, inni nie mogli się ze sobą komunikować na odległość, a jeszcze inni nie potrafili udowodnić, że byli w określonym miejscu o określonej porze, albo podawali sprzeczne wersje wydarzeń.

Kolano Pontera dotykało kolana Daklar, gdy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na widowni amfiteatru.

Przedstawienie było naprawdę dobre.

*

Potem Ponter i Daklar poszli zobaczyć się z małą Mega, która bawiła się z przyjaciółmi na placu. Ucieszyła się na widok ojca i podbiegła do niego pędem.

– Hej, kochanie. – Ponter podniósł ją w górę.

– Cześć, tatusiu! – Mega spojrzała nad jego ramieniem na swoją *tabant*.
– Cześć, Daklar! – powiedziała tonem, w którym Ponter zauważył równie ciepłą nutę.

Poczuł dziwne ukłucie. Chciał usłyszeć w jej głosie coś, co by świadczyło, że chociaż odrobinę woli jego, biologicznego ojca, od Daklar, swojej prawnej opiekunki. Na szczęście to uczucie szybko minęło. Wiedział, że jego córeczka mogłaby wszystkich obdzielić swoją miłością. Uścisnął małą raz jeszcze i postawił ją na ziemi.

– Zaraz pokażę wam sztuczkę! – zakomunikowała. Odbiegła kilka kroków dalej i zrobiła salto do tyłu.

– Brawo! – zawołał Ponter, jaśniejąc z dumy.

– Cudownie! – zawtórowała mu Daklar, klaszcząc. Ponter spojrzał na nią i uśmiechnął się. Ona odpowiedziała mu tym samym.

Megameg szykowała się do kolejnej sztuczki, ale Ponter i Daklar nie patrzyli na nią.

– Tato! Mamo! Patrzcie! – zawołała mała.

Ponterowi powietrze uwięzło w krtani. Megameg spojrzała na niego zakłopotana.

– Ojej! – pisnęła swoim cienkim głosikiem. – Chciałam powiedzieć: Tato! Daklar! Patrzcie!

W miarę upływu dnia Ponter stawał się coraz bardziej spięty. W końcu przecież nadszedł czas, gdy Dwoje stawało się Jednym, a on nie był idiotą. Tylko że nie kochał się z kobietą już od... Najpierw pomyślał, że odkąd zmarła Klast, czyli od dwóch dekamiesięcy, ale przecież upłynęło więcej czasu. Och, kochał ją do dnia jej śmierci, lecz rak zmienił ich życie na długo przed tym, zanim zmarła. Minęło... hm, prawdę mówiąc sam nie był pewien. Kiedy jeszcze zdarzało im się współżyć, nigdy nie pozwalał sobie

na myślenie, że właśnie kocha się z Klast po raz ostatni, że po raz ostatni jest w niej, ale...

Ale w końcu nadszedł ten ostatni raz, ostatnie zespolenie. Potem Klast stała się zbyt słaba. To musiało być cały dekamiesiąc przed jej śmiercią.

Czyli? Co najmniej trzydzieści miesięcy. Wprawdzie w tym okresie zadowalał go Adikor, ale...

Ale to nie było to samo. Fizyczne kontakty między osobami jednej płci – choć w takim samym stopniu wyrażały miłość, to jednak służyły głównie rozrywce. Tymczasem seks był aktem potencjalnej prokreacji.

Tym razem ani Daklar, ani żadna inna kobieta nie mogła zajść w ciążę, nie było to możliwe o tej porze miesiąca. Wszystkie mieszkały blisko siebie i na co dzień wdychały nawzajem swoje feromony, dlatego ich cykle menstruacyjne przebiegały synchronicznie. Dopiero w następnym roku – w roku poczęcia generacji 149 – Najwyższa Rada Siwych miała tak wybrać dni, gdy Dwoje stawało się Jednym, aby przypadały na okres maksymalnej płodności.

Jednak fakt, że Daklar nie mogła teraz zajść w ciążę, w niczym nie zmieniał tego, że rzeczywiście minęło sporo czasu, odkąd...

– Zabierzmy dzieci na Plac Darsona na coś do jedzenia – zaproponowała Daklar.

Ponter poczuł, jak jego brew wspina się nad wał nadoczodołowy. Dzieci. Nie miał wątpliwości co do tego, o które dzieci chodziło. O jego dzieci.

Jej dzieci.

Ich dzieci.

Daklar wiedziała, jak zdobyć jego sympatię. Propozycja seksualna wytrąciłaby go z równowagi. Za to wspólne wyjście z dziećmi...

Właśnie tego potrzebował.

– Oczywiście – powiedział. – Bardzo chętnie.

Gestem wezwał Megameg do siebie i we trójkę poszli poszukać Jasmel – co nie było trudne, ponieważ jej Kompan oraz Hak komunikowały się między sobą. Mnóstwo dzieciaków wciąż bawiło się na placu, ale większość dorosłych oddaliła się do domów, aby spędzić trochę czasu w bardziej intymnej atmosferze. Niewiele mężczyzn i kobiet pozostało na świeżym powietrzu.

Ponter nie widział wielu dzieci w świecie Gliksinów, ale miał pewność, że nie zostawiano ich samych, tak jak tu. Tamto społeczeństwo było podwójnie skażone. Po pierwsze, nigdy nie przeszło czystki puli genów w celu eliminacji najmniej pożądanых cech psychiki. A po drugie, nigdy nie wyzwolił go żaden Lonwis Trob: bez Kompanów i archiwów alibi, Gliksini wciąż byli narażeni na napaści, a z tego, co Ponter widział w ich rejestrach obrazów, dzieci często stawały się obiektem takich ataków.

Na jego świecie dzieciaki mogły bez przeszkód bawić się na świeżym powietrzu dniem i nocą. Ponter zastanawiał się,

jakim cudem rodzice w świecie Gliksinów pozostają przy zdrowych zmysłach.

– Tam jest! – powiedziała Daklar, zauważając córkę Pon – tera, zanim jemu się to udało. Jasmel i Tryon oglądali zorganizowany pod gołym niebem pokaz narzędzi do czyszczenia skór zwierzęcych.

– Jasmel! – zawołał Ponter, machając do niej. Dziewczyna podniosła głowę. Z przyjemnością zauważył, jak na jego widok się uśmiecha. Wcale nie była rozczarowana tym, że ktoś zakłóca jej czas z Tryonem.

Ponter i Daklar zbliżyli się do młodych.

– Pomyśleliśmy, że wybierzemy się na Plac Darsona. Zjemy sobie steki z bizona.

– No tak, ja też powinienem spędzić trochę czasu z rodzicami – przyznał Tryon. Może pojął, co Ponter próbuje dać mu do zrozumienia, a może

rzeczywiście chciał zobaczyć rodziców. Chłopak pochylił się ku Jasmel i polizał jej twarz.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział.

– No to chodźmy – zakomunikowała Megameg, biorąc dłoń Pontera w swoją lewą rękę, a Daklar w prawą. Jasmel stanęła przy ojcu. Objął ją ramieniem i we czworo ruszyli.

Rozdział Szósty

Mary wolałyby mieć więcej czasu na podjęcie decyzji, ale w głębi duszy wiedziała, że przyjmie propozycję Jocka Kriegera: oferta była za dobra, by ją odrzucić.

Tego dnia miało się odbyć zebranie jej wydziału przed rozpoczęciem roku akademickiego. Nie wszyscy zamierzali się na nim stawić – niektórzy wykładowcy jeszcze nie wrócili ze swoich letnich domków, a inni konsekwentnie nie pojawiali się na uniwersytecie przed pierwszym wtorkiem września. Jednak większość kolegów Mary miała przyjść na spotkanie i była to najlepsza sposobność, aby ustalili między sobą, jak zamierzają ją zastąpić na zajęciach.

Miała szczęście w karierze zawodowej: to był dobry czas dla kobiet. York oraz inne uniwersytety próbowały naprawić wcześniejszy brak równowagi w polityce zatrudniania pracowników, zwłaszcza na wydziałach nauk ścisłych. Bez trudu dostała pierwszą pracę na uczelni, a potem zdobyła stały etat, podczas gdy wielu mężczyzn w jej wieku wciąż miało do wyboru tylko tymczasowe kontrakty.

– Witajcie wszyscy – powiedziała Qaiser Remtulla. – Mam nadzieję, że miło spędziliście wakacje.

Kilkanaście osób zebranych wokół konferencyjnego stołu pokiwało głowami.

– Doskonale – skwitowała Qaiser, pięćdziesięcioletnia Kanadyjka pakistańskiego pochodzenia. Tego dnia miała na sobie elegancką beżową bluzkę i dopasowane kolorystycznie spodnie. – Oczywiście jestem pewna – dorzuciła, uśmiechając się szeroko – że nikt nie miał tak ekscytujących wakacji jak nasza Mary.

Mary poczuła, że się rumieni. Cornelius Ruskin i kilka innych osób przez chwilę bili jej brawa.

– Dziękuję – powiedziała.

– I jeśli uda nam się wszystko ustalić – kontynuowała Qaiser – Mary chciałyby wziąć urlop.

Po drugiej stronie stołu Cornelius usiadł prosto. Mary się uśmiechnęła; wiedział, co się szykuje, i zamierzał skorzystać z okazji.

– Mary miała prowadzić zajęcia z drugiej części wprowadzenia do genetyki; regulację ekspresji genów z trzecim rokiem i genetykę eukariontów z czwartym – poinformowała Qaiser. – Do tego ma dwoje doktorantów: Darię Klein, która pisze pracę na temat DNA starożytnej mumii, oraz Grahama Smithea, który... co on dokładnie robi, Mary?

– Podjął się reewaluacji taksonomii ptaków śpiewających w oparciu o badania mitochondrialnego DNA.

– Właśnie. – Qaiser pokiwała głową. Spojrzała na zebranych znad okularów. – Jeśli ktoś jest zainteresowanym wzięciem dodatkowych godzin...

Już przy słowie „ktoś” Cornelius Ruskin podniósł rękę. Mary było go żal. Miał trzydzieści pięć lub sześć lat i przed ośmiu laty zrobił doktorat z genetyki. Niestety, na wydziale nie było pełnych etatów dla białych mężczyzn. Dziesięć lat wcześniej na pewno byłby już o krok od stałego kontraktu; dziś jednak dostawał 6 tysięcy dolarów za kurs półroczny i 12 tysięcy za całoroczny. Mieszkał w koszmarnym bloku w Driftwood, pobliskiej dzielnicy, którą omijali nawet studenci. Cornelius nazywał swoje mieszkanie „apartamentem w slumsach”.

– Wezmę regulację i genetykę eukariontów.

– Możesz liczyć na eukarionty i wprowadzenie do genetyki. Nie mogę dać wszystkich najlepszych kąsków jednej osobie.

Cornelius pokiwał głową.

– Zgoda – powiedział.

– W takim razie, czy ja mógłbym dostać kurs z regulacji ekspresji genów? – spytał Devon Greene, biały mężczyzna w średnim wieku, który także nie miał stałego etatu.

Qaiser skinęła głową.

– Jest twój. – Spojrzała na Karen Clee, czarną kobietę w wieku Mary. – Może ty przejmiesz... hm, pomyślmy, co powiesz na pannę Klein?

Wykładowcy bez stałych kontraktów nie mogli sprawować opieki nad doktorantami, ten obowiązek musieli przejąć inni członkowie wydziału.

– Wolałabym raczej tego od ptaków – powiedziała Karen.

– W porządku – zgodziła się Qaiser. – Kto chce Darię Klein?

Nikt się nie odezwał.

– Może inaczej – powiedziała Qaiser. – Kto chce Darię Klein i gabinet Mary?

Mary się uśmiechnęła. Rzeczywiście miała świetny gabinet z widokiem na oranżerię.

– Biorę! – odezwała się Helen Wright.

– No to postanowione – zamknęła sprawę Qaiser. Z uśmiechem spojrzała na Mary. – Wygląda na to, że jakoś przebrniemy przez ten rok bez ciebie.

Po radzie wydziału Mary wróciła do laboratorium. Żałowała, że jej doktoranci, Daria i Graham, nie byli tego dnia na uniwersytecie; czuła, że powinna wyjaśnić im wszystko osobiście.

Tylko jakie wyjaśnienie miałyby im podać? To, że dostała znakomitą ofertę pracy w Stanach Zjednoczonych, było tylko częścią prawdy. Mary już wcześniej miała propozycje z uniwersytetów w USA; nie po raz pierwszy ktoś o nią zabiegał. Przedtem zawsze jednak odmawiała, powtarzając sobie, że woli Toronto, że tutejszy klimat ją „pobudza” i że

tęskniłaby za CBC, za wspaniałymi teatrami, za Caribbana and Sleuth przy Baker Street, za dzielnicą Yorkville i Le Select Bistro, za Royal Ontario Museum i wolnymi od tytoniowego dymu restauracjami, za baseballową drużyną Blue Jays, za „The Globe and Mail”, za systemem opieki medycznej oraz za odczytami w Harbourfront Centre.

Oczywiście mogła powiedzieć o korzyściach, z jakimi wiązała się nowa praca – jednak przede wszystkim chciała stąd wyjechać ze względu na gwałt. Wiedziała, że gwałty zdarzają się wszędzie; w innym mieście wcale nie byłaby bardziej bezpieczna. Ale to właśnie chęć ucieczki przed wszystkim, co przypominało jej o potwornym doświadczeniu, sprawiła, że Mary zgodziła się pojechać do Sudbury i zbadać na pozór szalone doniesienia o żywym neandertalczyku, a teraz wyglądało na to, że znowu z powodu tej samej chęci ucieczki zamierza opuścić Toronto. Może gdyby była tu Daria, mogłaby powiedzieć jej prawdę – ale w żadnym wypadku nie potrafiłaby o tym mówić z Grahamem Smytheem... ani z żadnym innym mężczyzną – przynajmniej na tym świecie.

Zaczęła pakować rzeczy do plastikowej skrzynki po mleku, która od lat wałała się po wydziałowym laboratorium. Miała tu kalendarz ze zdjęciami zadaszonych mostów; oprawione w ramkę zdjęcie swoich dwóch siostrzeńców i kubek z logo Canada AM – wystąpiła w audycji tej stacji ponad dekadę wcześniej, po tym, jak udało jej się pozyskać DNA ze szczątków niedźwiedzia sprzed trzydziestu tysięcy lat, znalezionej w wiecznej zmarzlinie w Yukonie. Większość książek na laboratoryjnych regałach była własnością uniwersytetu, Mary wzięła tylko kilka swoich, w tym ostatnie wydanie *CRC Handbook*.

Z rękami na biodrach rozejrzała się po laboratorium. Ktoś inny mógł przejąć sekwencjonowanie DNA gołębia wędrownego – tym właśnie się zajmowała, zanim wyjechała do Sudbury.

I chociaż sama kupiła większość roślin doniczkowych, które stały na parapetach, wiedziała, że Daria dopilnuje podlewania.

A zatem wszystko było gotowe. Mary podniosła skrzynkę, która teraz sporo ważyła, i ruszyła do drzwi. Już miała...

Nie. O czymś zapomniała.

Wprawdzie mogła to tu zostawić. Nikt by tego nie wyrzucił pod jej nieobecność. W końcu w lodówce stały próbki przygotowane jeszcze przez starego Daniela Colbyego, który od dwóch lat nie żył.

Z powrotem postawiła skrzynkę i podeszła do laboratoryjnej chłodziarki. Otworzyła drzwiczki i poczuła falę chłodnego powietrza.

Wciąż stały na swoim miejscu: dwa nieprzezroczyste pojemniki, oba z naklejkami z napisem „Vaughan 666”.

W jednym znajdowały się majtki, które miała na sobie tamtego wieczoru, a drugi...

Drugi zawierał to, co zostawił w niej gwałciciel.

Nagle zmieniła zdanie. Nie, nie weźmie ich ze sobą. Tutaj będą bezpieczne, a poza tym nie miała ochoty nawet ich dotykać. Zamknęła lodówkę i odwróciła się.

W tym samym momencie w drzwiach laboratorium pojawiła się głowa Corneliusa Ruskina.

– Hej, Mary.

– Cześć, Cornelius.

– Chciałem tylko powiedzieć, że będzie nam cię tutaj brakowało i... no... podziękować ci za to, że mogłem przejąć twoje zajęcia.

– Nie ma sprawy. Nie znam nikogo, kto miałby lepsze kwalifikacje od ciebie. – Mary nie powiedziała tego ze zwykłej uprzejmości; wiedziała, że to prawda. Cornelius był swego rodzaju geniuszem; pracę magisterską

obronił na uniwersytecie w Toronto, ale doktorat zrobił w Oksfordzie, gdzie studiował w Ancient Biomolecules Centre.

Podeszła do skrzynki.

– Pozwól, że ja to wezmę – zaoferował Cornelius. – Zabierasz to do samochodu?

Przytaknęła. Podnosząc ciężar, Cornelius ugiął kolana, dokładnie tak, jak należało. Razem wyszli na korytarz. Z naprzeciwka zbliżał się Jeremy Banyon. Był doktorantem, ale nie jej.

– Dzień dobry, pani profesor – powiedział. – Dzień dobry, doktorze.

Mary zauważyła, że Cornelius uśmiecha się cierpko. Ją oraz innych stałych wykładowców wydziału zawsze tytułowano „profesorami”, ale Cornelius nie dostąpił tego zaszczytu. Tylko w murach akademii tytuł „doktora” traktowano jak nagrodę pocieszenia. Widziała po jego minie, że bardzo zależy mu na słowie na literę „P”.

Zeszli na dół schodami i wyszli w parny sierpniowy dzień. Kiedy dotarli do parkingu przy York Lanes, Cornelius pomógł Mary załadować rzeczy do bagażnika jej hondy. Mary pożegnała się z nim, wsiadła do wozu, włączyła silnik i odjechała do nowego życia.

Rozdział Siódmy

– *To ciekawe, że zdecydowałeś się zacząć nowy związek tak szybko – zauważył Selgan neutralnym tonem.*

– *Wcale nie zacząłem nowego związku – zaprotestował Ponter. – Znałem Daklar Bolbay od ponad dwustu miesięcy.*

– *No tak. Była przecież partnerką twojej partnerki.*

Ponter skrzyżował ręce na piersi.

– *Właśnie.*

– *A zatem to oczywiste, że znałeś ją wcześniej. – Selgan pokiwał głową.*

– *Zgadza się. – W głosie Pontera pojawiła się defensywna nuta.*

– *I przez ten cały czas, kiedy znałeś Daklar, zdarzyło ci się o niej fantazjować?*

– *Słucham? – zdziwił się Ponter – Chodzi ci o fantazje seksualne?*

– *Tak, seksualne.*

– *Oczywiście, że nie.*

Selgan nieznacznie wzruszył ramionami.

– *To nie byłoby nic niezwykłego. Wielu mężczyzn fantazjuje o kobietach, z którymi związały się ich partnerki.*

Ponter milczał przez kilka taktów, po czym cicho powiedział:

– *Jest różnica między biernym myśleniem a fantazjowaniem...*

– *Oczywiście – przyznał Selgan. – Oczywiście. I często zdarzało ci się biernie myśleć o Daklar?*

– *Nie – uciął Ponter, po czym znowu umilkł. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili. – „Często” to bardzo subiektywne pojęcie. Owszem, od czasu do czasu, może, ale...*

Selgan się uśmiechnął.

– Tak jak już mówiłem, nie ma w tym nic niezwykłego. Spora część pornografii poświęcona jest właśnie temu tematowi. Brałeś kiedyś udział w...

– Nie!

– Skoro tak twierdzisz. Ale wyczuwam u ciebie dyskomfort. Coś w tej zmianie relacji między tobą i Daklar ci nie odpowiadało. O co chodziło?

Ponter nie odpowiedział.

– Może widziałeś w tym coś złego, ponieważ Klast zmarła tak niedawno?

Ponter pokręcił głową.

– Nie o to chodziło. Klast nie żyła; odeszła. Prawdę mówiąc, obecność Daklar pomagała mi o niej pamiętać. Przecież Daklar była jedyną osobą na całym świecie, która znała Klast równie intymnie jak ja.

– No dobrze, w takim razie pozwól, że zadam ci inne pytanie.

– Chyba nie mógłbym cię przed tym powstrzymać.

– To prawda – odparł Selgan z uśmiechem. – W tamtym momencie nie wiedziałeś jeszcze, co postanowi Najwyższa Rada Siwych w sprawie ponownego kontaktu ze światem Gliksinów. Czy twój dyskomfort wynikał z tego, że czułeś się nielojalny wobec Mare, ponieważ spędzałeś czas z Daklar?

Ponter zaśmiał się ironicznie.

– Widzisz? Mówiłem, że wy, rzeźbiarze osobowości, zawsze wszystko upraszczacie i szukacie gładkich odpowiedzi. Nie ślubowałem niczego Mare Vaughan. Nie miałem wobec niej żadnych zobowiązań. Mój dyskomfort... – przerwał w pół zdania.

Selgan czekał przez jakiś czas, licząc, że pacjent powie coś jeszcze, ale Ponter milczał.

– Świadomie się powstrzymałeś – zauważył rzeźbiarz osobowości. – W myślach dokończyłeś tę wypowiedź, ale postanowiłeś nie mówić tego

głośno. Co to była za myśl?

Ponter zrobił głęboki wdech, wciągając nosem feromony Selgana i starając się wybadać, jaką pułapkę próbuje na niego zastawić terapeuta. Jednakże Selgan posiadał niezwykłą zdolność kontrolowania zapachów, jakie wydzielało jego ciało; właśnie dlatego odnosił sukcesy w tej pracy. Czekał cierpliwie, aż Ponter w końcu sam zacznie mówić.

– Nie chodziło o to, że byłbym niełojalny wobec Mare. Chodziło o Adikora.

– Twojego partnera – powiedział Selgan, tak jakby chciał upewnić się co do osoby.

– Tak – przyznał Ponter.

– Człowieka, który zabrał cię z innego świata, od Mare Vaughan...

– Tak. Nie. To znaczy, on...

– Niewątpliwie zrobił to, co musiał – stwierdził Selgan. – Ale mimo to gdzieś głęboko w tobie kryło się coś... no właśnie, co?

Ponter zamknął oczy.

– Niechęć do niego.

– Za to, że sprowadził cię do domu.

Ponter przytaknął.

– Za to, że zabrał cię od Mare.

Skinął głową po raz drugi.

– Za to, że musiałeś opuścić kobietę, która być może mogła zastąpić w twoim życiu Klast.

– Nikt nie zastąpi Klast – burknął Ponter. – Nikt.

– Oczywiście, że nie – powiedział szybko Selgan, podnosząc do góry rękę. – Wybacz mi. Ale przyznasz, że pociągała cię – a przynajmniej jakąś część ciebie – możliwość flirtowania z kobietą, która niemal doprowadziła do kastracji Adikora podczas twojej nieobecności. Podświadomie chciałeś

go ukarać, tak? Chciałeś, aby zapłacił za to, że wyrwał cię z tamtego świata.

– Mylisz się.

– No cóż – odparł Sełgan lekko. – Często mi się to zdarza...

W końcu Dwoje znowu przestało być Jednym i Ponter, Adikor oraz pozostali mężczyźni wrócili na Obrzeża. W trakcie podróży poduszkobusem Ponter nie wspomniał nic o tym, że spotykał się z Daklar. Adikor bynajmniej nie miałby nic przeciwko temu, że jego przyjaciel spędzał czas z kobietą; zazdrość o związku partnera z płcią przeciwną była szczytem złego smaku.

Ale Daklar nie była jakąś tam kobietą.

Gdy tylko wysiedli z poduszkobusu, od drzwi pędem ruszyła ku nim Pabo, duża, rudobrzowa suka Pontera. Czasami zabierali ją do Centrum, ale tym razem została w domu. Bez trudu potrafiła sobie coś upolować, gdy wyjeżdżali.

We trójkę weszli do środka. Ponter od razu zajął siedzisko w pokoju dziennym. Przeważnie do niego należał obowiązek przygotowywania wieczornych posiłków i zwykle zabierał się do pracy, jak tylko przestąpili próg, ale tego dnia chciał najpierw pomówić z Adikorem.

Ten jednak zniknął w łazience. Ponter czekał na niego, wierząc się niecierpliwie. W końcu usłyszał odgłosy strug spłukujących. Adikor, widząc przyjaciela na jednej z kanap, pytająco uniósł brew.

– Usiądź – poprosił Ponter.

Jego partner zajął siodłowe krzesło.

– Chcę, żebyś dowiedział się tego ode mnie, zanim powie ci o tym ktoś inny.

Zamiast ponaglać przyjaciela, Adikor patrzył na niego wyczekująco.

– Większość czasu, gdy Dwoje było Jednym, spędziłem z Daklar – przyznał Ponter.

Adikor wyraźnie się zgarbił; nogi luźno zadyndały po obu stronach siodłowego krzesła.

– Z Daklar? – powtórzył. – Z Daklar Bolbay? – upewnił się, tak jakby znał jakąś inną.

Ponter skinął głową.

– Po tym, co mi zrobiła?

– Chce, abyśmy jej wybaczyli. Ty i ja.

– Próbowwała doprowadzić do mojej kastracji!

– Wiem – powiedział Ponter cicho. – Ale jej się nie udało.

– Nie ma skalpela, nie ma sprawy – warknął Adikor. – Tak?

Ponter milczał przez dłuższą chwilę, próbując zebrać myśli. Podczas podróży poduszkobusem z Centrum zastanawiał się, co powie przyjacielowi, ale jak zawsze w takich sytuacjach, rzeczywistość okazała się zupełnie inna od tego, co zaplanował.

– Posłuchaj, muszę myśleć o moich córkach. Żle by było, gdyby ich ojciec i kobieta, z którą mieszkają, byli ze sobą skłócenii.

– Mnie też zależy na Megameg i Jasmel – zapewnił Adikor. – Ale to nie ja zacząłem ten konflikt.

– Masz rację. – Ponter powoli pokiwał głową. – Mimo to... one tak wiele przeszły przez ostatnie dwa dekamiesiące.

– Wiem. Jest mi ogromnie przykro z powodu śmierci Klast, ale powtarzam raz jeszcze: to nie ja wywołałem ten konflikt. Zrobiła to Daklar Bolbay.

– Rozumiem. Ale... przebaczenie pomaga nie tylko osobie, która je otrzymuje. Także ten, kto wybacza, odczuwa dobroczynne skutki takiego

gestu. Po co nosić w sobie nienawiść i gniew... – Ponter pokręcił głową. – Lepiej się od nich uwolnić do końca.

Adikor przez chwilę zastanawiał się nad słowami partnera.

– Ponad dwieście miesięcy temu wyrzuciłem ci krzywdę – przypomniał.

Ponter zacisnął wargi. Nigdy o tym nie rozmawiali... Nigdy! Między innymi właśnie dlatego potrafili razem żyć.

– i ty – ciągnął Adikor – mi wybaczyłeś.

Ponter siedział bez słowa.

– Nigdy nie prosiłeś mnie o nic w zamian i wiem, że teraz też tego nie robisz, ale...

Zaniepokojona odstępstwem od rutyny Pabo – była pora kolacji! – weszła do pokoju i nosem trąciła nogi Pontera. Sięgnął ku niej i podrapał ją za uchem.

– Daklar naprawdę pragnie przebaczenia – powiedział.

Adikor wlepił wzrok w porośniętą mchem podłogę. Ponter domyślał się, co chodzi przyjacielowi po głowie. Kastracja była najwyższą dopuszczaną przez prawo karą za przestępstwo, a Daklar domagała się jej, choć nie popełniono żadnego wykroczenia. Przykre doświadczenia z przeszłości stały się motywem, jeśli nie usprawiedliwieniem, jej działania.

– Zamierzasz się z nią związać? – spytał Adikor, nie podnosząc wzroku. Ponter bardzo lubił partnerkę Adikora, Lurt, ale oczywiście nie istniało żadne prawo, które nakazywało utrzymywać dobre relacje z kobietą partnera.

– Jeszcze jest za wcześnie, by o tym rozmawiać – przyznał Ponter. – Ale spędziłem z nią cztery przyjemne dni.

– Uprawialiście seks?

Pontera nie uraziło to pytanie; rozmowy dwóch żyjących razem mężczyzn o intymnych kontaktach z kobietami były zupełnie naturalne – prawdę mówiąc, zwykle w ten właśnie sposób radzili sobie z trudnościami w wyrażaniu tego, co każdemu z nich sprawiało przyjemność.

– Nie. – Ponter wzruszył ramionami. – Może byśmy to zrobili, gdyby nadarzyła się odpowiednia okazja, ale większość czasu spędziliśmy z Jasmel i Megameg.

Adikor pokiwał głową, jakby właśnie usłyszał znany wszystkim sekret.

– Serce mężczyzny można zdobyć, poświęcając uwagę jego dzieciom.

– Przecież wiesz, że Daklar jest ich *tabant*. Są także jej dziećmi.

Adikor nie odpowiedział.

– Więc jak? – odezwał się w końcu Ponter. – Wybaczysz jej?

Adikor przez jakiś czas wpatrywał się w malunek na suficie.

– Paradoksalna sytuacja, nie uważasz? Ta kwestia pojawiła się między nami tylko dlatego, że przed dziesiątkami miesięcy okazałeś mi tyle dobroci. Gdybyś wtedy wystąpił z publicznym oskarżeniem po tym, co zrobiłem, zostałem wykastrowany i nie miałbym jąder, o które Daklar postanowiła się upomnieć po twoim zniknięciu. – Adikor wzruszył ramionami. – Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko jej wybaczyć, skoro tego sobie życzysz.

– Przeciwnie, masz wybór – zauważył Ponter.

– Tak jak ty przed wieloma miesiącami. Wybaczę jej.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

Adikor zmarszczył brew, jakby zastanawiał się nad tym banalnym zdaniem.

– Nie – powiedział. – Nie. Ja jestem tylko tak dobry, jak być należy. Za to ty, mój przyjacielu...

Ponter uśmiechnął się i wstał z miejsca.

– Powinienem chyba zająć się kolacją.

Choć Dwoje niedawno przestało być Jednym, Ponter i Adikor ponownie wyruszyli do Centrum, tym razem na salę Rady. Siwi ogłosili, że są gotowi przedstawić decyzję w sprawie ponownego otwarcia portalu.

Aulę po brzegi wypełniali widzowie obu płci. Adikor sprawiał wrażenie spiętego. Po chwili Ponter domyślił się dlaczego. Ostatnim razem Adikor widział na tej sali takie tłumy podczas własnego *dooslarm hasadlarm*. Teraz ani słowem nie wspomniał o swoim zdenerwowaniu – gdyby to zrobił, musiałby ponownie przeżyć niefortunną historię z Daklar – i Ponter kochał go za ten gest jeszcze bardziej.

Na widowni zasiadło jedenastu Ekshibicjonistów, ubranych w srebrne stroje. Ponter nie zdołał się oswoić z gliksińskim pojęciem „wiadomości”: ze stałym nadawaniem doniesień o tym, co złego działo się na całym świecie. Niektóre kanały robiły to przez dziesięć dziesiątych dnia. Tutaj Kompany – implanty zapewniające bezpieczeństwo wszystkim obywatelom od blisko tysiąca miesięcy – niemal zupełnie usunęły problem kradzieży i napaści. Ale ludzie i tak byli głodni informacji. Ponter czytał gdzieś, że plotki służą temu samemu celowi wśród ludzi co iskanie wśród innych naczelnych – tworzą więzi. Dlatego niektórzy obywatele w ramach swojego wkładu w społeczeństwo udostępniali transmisje z własnych Kompanów wszystkim, którzy chcieli to oglądać; ludzie włączali Podglądacze i wybierali ulubionego Ekshibicjonistę.

Zazwyczaj najwyżej dwóch obserwowało sesje Rady, ale tym razem chodziło o sprawę budzącą powszechne zainteresowanie i nawet Ekshibicjoniści, którzy zwykle uczestniczyli wyłącznie w wydarzeniach sportowych lub wieczorach poetyckich, znaleźli się na widowni.

Przewodnicząca Najwyższej Rady, Pandaro, oparła się na rzeźbionej drewnianej lasce i wstała, aby przemówić do zebranych.

– Przeanalizowaliśmy kwestie, które przedstawili nam Uczony Huld i Uczony Boddit – oznajmiła. – Przystudiowaliśmy także długie relacje Uczonego Boddita z jego podróży do świata Gliksinów oraz tych niewiele fizycznych dowodów, jakie nam przedstawił.

Ponter dotknął niewielkiego złotego przedmiotu, który czasem nosił na szyi. Wcześniej niechętnie oddał go do analizy i cieszył się, że już go odzyskał. Mare dała mu go, zanim opuścił jej świat. Była to para krzyżujących się prostopadle złotych pręcików, krótszego i dłuższego.

– Po zastanowieniu – ciągnęła Pandaro – uznaliśmy, że potencjalne korzyści z kontaktu z inną wersją Ziemi, ze spotkania innego rodzaju ludzkości oraz poznania jego osiągnięć w dziedzinie nauki, a także potencjalne możliwości wymiany handlowej, są zbyt wielkie, byśmy mogli je zignorować.

– To błąd! – rozległ się jakiś głos z trybuny. – Nie róbcie tego!

Radny Bedros, siedzący obok przewodniczącej Pandaro, utkwiał wzrok w osobie, która krzyknęła.

– Twoja opinia została zarejestrowana, jeśli zadałeś sobie trud, żeby wziąć udział w głosowaniu dotyczącym tej sprawy. Zadaniem niniejszej Rady jest podejmowanie decyzji, dlatego proszę łaskawie wysłuchać nas do końca.

– Najwyższa Rada Siwych – podjęła Pandaro – stosunkiem głosów czternaście do sześciu poleca, by Uczeni Huld i Bod – dit ponowili próbę otwarcia portalu do równoległego świata. Rada oczekuje raportów z działań co dziesięć dni i postanawia śledzić tę sprawę i poddawać ją ocenie co trzy miesiące.

Ponter wstał i ukłonił się lekko.

– Dziękuję, Najwyższa Pandaro.

Adikor również podniósł się z miejsca i obaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie.

– Zostawcie to na później – powiedziała Pandaro. – Teraz przejdźmy do szpiku spraw związanych z bezpieczeństwem i zdrowiem...

Rozdział Ósmy

– Witamy w grupie Synergia, profesor Vaughan.

Mary uśmiechnęła się do Jocka Kriegera. Wcześniej nie miała pojęcia, jak może wyglądać siedziba organizacji. Grupa Synergia mieściła się w – hm... w wielkim domu – w bogatej rezydencji w części Rochester zwanej Seabreeze, nad samym jeziorem Ontario. Ponterowi spodobałoby się to miejsce. Po drodze Mary zauważyła czaplę przechadzającą się po piaszczystej plaży, a także kaczki, gęsi i łabędzie w zatoce, wzdłuż brzegu której jeden przy drugim stały prywatne jachty.

– Proszę pozwolić, że panią oprowadzę – zaproponował Krieger, wskazując korytarz wiodący w głąb starej willi.

– Dziękuję – powiedziała. – Proszę, mów mi po imieniu.

– Obecnie pracują dla nas dwadzieścia cztery osoby i wciąż się rozrastamy.

– Aż dwadzieścia cztery osoby zajmują się sprawami imigracji neandertalczyków? – zdziwiła się Mary.

– Nie, nie. Synergia jest zaangażowana w wiele projektów. Sprawa DNA jest dla nas szczególnie ważna, ponieważ chodzi o informacje, które będą nam potrzebne natychmiast po otwarciu portalu, jeśli do tego dojdzie. Zajmujemy się jednak analizą wszystkich aspektów związanych z przybyciem neandertalczyków. Rząd amerykański najbardziej interesują implanty zwane Kompanami i...

– Wielki Brat czuwa – wtrąciła Mary.

Krieger pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu, jeśli wierzyć w to, co mówił Ponter, Kompany są w stanie szczegółowo rejestrować obraz w zakresie 360 stopni wokół człowieka. Mamy też tutaj czterech socjologów, którzy badają, czy

konkretny sposób używania takich urządzeń przez neandertalczyków w celu monitorowania miałyby zastosowanie na naszym świecie... choć szczerze mówiąc, wątpię w to. Za bardzo cenimy sobie prywatność. Jednak gdyby doszło do otwarcia portalu, chcemy mieć równe szanse. Skoro ich delegaci mogą bez wysiłku nagrywać wszystko, co widzą i słyszą, chcemy, aby nasi przedstawiciele, odwiedzając ich świat, mogli robić to samo. W końcu nie ma jak konkurencja – uczciwa konkurencja.

– No tak. Tylko Ponter mówił, że jego Kompan nie jest w stanie niczego stąd przesyłać do archiwów alibi; żadne obrazy z jego pobytu tutaj nie zostały zarejestrowane.

– Tak, tak, ale to niewielki problem natury technicznej. Jestem pewien, że wystarczyłoby stworzyć jakieś urządzenie rejestrujące po tej stronie portalu.

Szli długim korytarzem i właśnie dotarli do jego końca. Krieger otworzył drzwi. W dużym pokoju znajdowały się trzy osoby – czarny mężczyzna, biały mężczyzna i biała kobieta. Czarny mężczyzna siedział, mocno odchylając w tył oparcie krzesła i rzucając do kosza kulkami zgniecionego papieru. Biały mężczyzna wpatrywał się w plażę i jezioro Ontario za oknem, a kobieta krążyła przed białą tablicą z markerem w dłoni.

– Frank, Kevin, Lilly, poznajcie Mary Vaughan – odezwał się Krieger.

– Miło mi – powiedziała Mary.

– Specjalizuje się pani w fotografii? – spytała Lilly.

– Słucham?

– W fotografii – powtórzył Frank. – W fotografii – zawtórował mu Kevin, a może było na odwrót.

– Wybraliśmy Rochester dlatego, że Kodak, Xerox i Bausch&Lomb mają tutaj swoje główne siedziby – wyjaśnił Krieger. – Jak już

wspomniałem, naszym priorytetem jest odtworzenie technologii Kompanów; w żadnym innym mieście na świecie nie ma tylu specjalistów w dziedzinie obrazowania i optyki.

– Aha. – Mary spojrzała na troje ludzi zajmujących pokój. – Nie, moją specjalizacją jest genetyka.

– Aa, znam panią! – oświadczył czarny mężczyzna. Wstał z miejsca, a oparcie jego fotela jęknęło z ulgą, wracając do normalnej pozycji. – Pani jest tą kobietą, która spędziła dużo czasu z NO.

– NO?

– Neandertalskim Obiektem – wyjaśnił Krieger.

– On ma na imię Ponter – zauważyła Mary, trochę urażona.

– Proszę mi wybaczyć. – Czarny mężczyzna wyciągnął do niej rękę. – Nazywam się Kevin Bilodeau, wcześniej pracowałem w grupie innowacji w Kodaku. Chętnie byśmy wypytali panią o szczegóły dotyczące implantu. Pani widziała go z bliska. Jak rozmieszczone były obiektywy?

– Był tylko jeden – odparła Mary.

– A widzisz! – triumfalnie zapiała Lilly, patrząc oskarżycielsko na mężczyznę, który musiał być Frankiem.

– Ponter twierdził, że urządzenie wykorzystuje skanery do rejestrowania obrazów.

– A mówił, jakiego rodzaju skanery?

– Wspomniał coś o elementach światłoczułych.

– A o holografii... mówił coś o holografii?

– Jaką rozdzielczość miały te skanery?

– Podał liczbę pikseli?

– Mogłaby pani opisać...

– Ludzie! – powiedział głośno Jock. – Spokojnie! Mary zo staje z nami na dłużej. Będziecie jeszcze mieli okazję z nią po rozmawiać. Na razie chcę

jej pokazać naszą siedzibę.

Ciała trójka przeprosiła Mary. Wymienili kilka towarzyskie!) uprzejmości, po czym Krieger wyprowadził ją z pokoju.

– Nie brak im entuzjazmu – zauważyła, kiedy drzwi się zamknęły.

Krieger kiwnął głową.

– Wszyscy tutaj tacy są.

– Tylko zupełnie nie rozumiem, jak zdołają wykonać to, o co ich prosisz. To znaczy, słyszałam o metodach budowania rzeczy w oparciu o analizę ich konstrukcji, ale nie mając implantu, jak można go skopiować?

– Sama świadomość, że coś jest możliwe, czasem wystarcza, aby pchnąć zespół we właściwym kierunku. – Krieger otworzył drzwi po przeciwnej stronie korytarza i Mary ze zdziwienia zrobiła wielkie oczy.

– Louise! – zawołała.

Przy roboczym stole przed otwartym laptopem siedziała Louise Benoit, fizyk, habilitantka z SNO, która uratowała Ponterowi życie, gdy nagle pojawił się w zbiorniku ciężkiej wody w obserwatorium neutrin.

– Witaj, Mary – powiedziała Louise z charakterystycznym francuskim akcentem, który Mary tak dobrze poznała w Sud – bury. Młoda kobieta wstała. Gęste, brązowe włosy opadały jej do połowy pleców. Mary miała 38 lat i wiedziała, że Louise jest o dziesięć lat młodsza, ale wiedziała też, że ona sama nawet jako osiemnastolatka nie wyglądała tak dobrze. Louise miała duże piersi, długie nogi i twarz modelki; podczas pierwszego spotkania Mary instynktownie poczuła do niej niechęć.

– Zapomniałem, że się znacie z doktor Benoit – przyznał Krieger.

– Niezły z ciebie łowca mózgów, Jock. – Mary pokręciła głową ze zdumieniem, po czym ponownie spojrzała na Louise, zastanawiając się, jak kobieta może wyglądać tak promiennie bez makijażu. – Dobrze cię znowu

widzieć, Lou – powiedziała. – A co słyhać u Reubena? – dodała, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Reuben Montego pracował jako lekarz w kopalni Creighton. Jego i Louise połączył gorący romans, gdy razem z Mary i Ponterem przechodzili kwarantannę w Sudbury. Mary przypuszczała, że chcieli tylko jakoś umilić sobie czas, dlatego odpowiedź Louise zaskoczyła ją.

– Wszystko w porządku. Pomógł mi przewieźć tutaj rzeczy. Jadę do niego w następny weekend.

– Ach tak. – Mary poczuła, że dostała po nosie. – Nad czym tutaj pracujesz?

– Doktor Benoit przewodzi naszemu zespołowi portalo – wemu – wyjaśnił Krieger.

– Właśnie – przytaknęła Louise. – Próbujemy opracować technologię, która umożliwiłaby otwarcie przejścia do drugiego świata z naszej strony.

Mary skinęła głową. W Sudbury Louise nie przez cały czas kochała się z Reubenem; odbyła także wiele długich nocnych rozmów z Ponterem i na pewno lepiej znała neandertalskie spojrzenie na fizykę niż ktokolwiek inny na tej wersji Ziemi. Mary się zawstydziła. Louise nigdy nic jej nie zrobiła – jedyną jej winą była uroda.

– Miło będzie znowu spędzić razem trochę czasu – powiedziała.

– Jasne – zgodziła się Louise. – Wiesz, przydałaby mi się współlokatorka. Co ty na to? Podczas kwarantanny u Reube – na dobrze się czułyśmy w swoim towarzystwie.

– Hm, dziękuję, ale nie. Cenię sobie prywatność.

– No to w Rochester nie będziesz miała trudności ze znalezieniem mieszkania.

Krieger przytaknął.

– Xerox i Kodak, główni pracodawcy w tym regionie, w ostatnich latach zwolniły sporo ludzi. Teraz można kupić dom za grosze i do tego będziesz miała do wyboru setki apartamentów.

– Dobrze wiedzieć – powiedziała Mary.

– Spróbuj w Bristol Harbour Village – zasugerowała Louise. – To godzinę drogi stąd, ale leży nad jednym z jezior Finger. Jest tam pięknie. Mnóstwo jeleni, a do tego nocą widać gwiazdy.

– Skoro mowa o nocnym niebie – wtrąciła Mary, uświadamiając sobie, że właśnie Louise może jej coś wyjaśnić – podczas ostatniego wieczoru w Sudbury widziałam zupełnie szaloną zorzę polarną. Wiesz może, dlaczego tak wyglądała?

Louise przyglądała się Mary przez kilka sekund, tak jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś o to pyta.

– Nie czytałaś ostatnio gazet?

Mary pokręciła głową.

– Byłam zajęta przygotowaniem do przyjazdu tutaj.

– W magnetycznym polu Ziemi pojawiły się nieregularno – ści. Odczyty z przyrządów pomiarowych na całym świecie to potwierdzają. Dochodzi do znacznych fluktuacji geodynamama.

– Jaki może być tego powód?

Louise wzruszyła ramionami.

– Nikt nie wie.

– Czy to niebezpieczne?

– Raczej nie.

– Raczej? – powtórzyła Mary.

– No cóż, nigdy dotąd nie zarejestrowano takich zjawisk. Wielu ekspertów jest zdania, że pole magnetyczne Ziemi powoli zanika i że to wstęp do przebiegunowania.

Mary coś niecoś o tym słyszała, ale była zadowolona, że to Krieger się odezwał:

– Czyli?

– W magnetycznym polu Ziemi od czasu do czasu dochodzi do odwrócenia kierunku, czyli do zamiany magnetycznego bieguna północnego z południowym. Badania geologiczne mówią nam, że wydarzyło się to już ponad trzysta razy, nigdy jednak w okresie, odkąd prowadzono pomiary natężenia, dlatego tak naprawdę niewiele wiemy o całym procesie. Zawsze zakładano, że przy takim przebiegowaniu konieczny jest początkowy zanik pola, aby mogło ono następnie odbudować się z przeciwną polaryzacją.

– I ty twierdzisz, że nie mamy się czym przejmować? – upewnił się Krieger. – Nie wiąże się to z jakąś masową zagładą? Louise pokręciła głową.

– Nie. Ziemskie pole miało odwrotną niż obecnie polaryzację w czasach, gdy wyginęły dinozaury, ale trwało w takim stanie przez ponad milion lat przed końcem kredy – poinformowała z megawatowym uśmiechem. – W najgorszym przypadku będziemy musieli przemalować kompasy.

– To pocieszająca wiadomość – stwierdziła Mary.

Louise przytaknęła.

– A możliwe, że nawet tego nie trzeba będzie robić. Z tego, co dotychczas nam wiadomo, to, który biegun staje się północnym, a który południowym, determinuje mechanika kwantowa, co oznacza, że jest to zupełnie przypadkowe. Czyli że istnieje zaledwie pięćdziesięcioprocentowa szansa, iż pole magnetyczne powróci z odwróconym kierunkiem.

Krieger zmarszczył brwi.

– Ale jeśli tak jest, to w okresie, gdy doszło do zagłady dinozaurów, mógł nastąpić zanik pola magnetycznego, a my nic o tym nie wiemy,

ponieważ z powrotem pojawiło się z takim samym kierunkiem, jaki miało wcześniej.

– Niepotrzebnie się martwisz, Jock – zapewniła Louise. – Zaniki pola magnetycznego, o których nam wiadomo, nie wiązały się z żadną zagładą. Dlatego nie ma sensu zakładać, że te, o których nie wiemy, bo nie doszło do odwrócenia polaryzacji, miały jakieś skutki biologiczne. – Uśmiechnęła się do Kriegera, który wydawał się pogrążony w myślach. – Nie przejmuj się – powiedziała. – Jestem pewna, że wszyscy przetrwamy to bez szwanku.

Rozdział Dziewiąty

– Wcześniej wspomniałeś – odezwał się Jurard Selgan – że dążąc do ponownego otwarcia portalu, kierowałeś się tylko korzyściami, jakie mogło to przynieść ludziom z naszego świata.

Ponter niechętnie skinął głową.

– To prawda.

– A ponieważ możliwość kontaktu z tym drugim światem zależała od kwantowego komputera, który zbudowałeś wspólnie z Adikorem Huldem, należało się spodziewać, że zostaniesz tu, na naszej Ziemi, aby nadzorować laboratorium komputerowe.

– W zasadzie... – zaczął Ponter, ale umilkł.

– Mówiłeś przecież, że nie miałeś w tym osobistego interesu, prawda?

– Tak, ale...

– A mimo to ponownie starłeś się z Najwyższą Radą Siwych. Upierałeś się przy tym, abys ty osobiście mógł wrócić na drugą Ziemię.

– Tylko takie rozwiązanie miało sens. Nikt inny z naszych ludzi tam nie był. Znałem już kilka osób stamtąd i wiele wiedziałem o ich świecie.

– Odmówiłeś przekazania komukolwiek bazy danych dotyczącej języka Gliksinów, jaką stworzył twój Kompan, o ile nie otrzymasz gwarancji uczestnictwa w kolejnej grupie podróżującej do drugiego świata.

– To nie było tak – zaproponował Ponter. – Jedyne zasugerowałem, że moja obecność może bardzo się przydać.

Selgan mówił spokojnie.

– To było coś więcej niż sugestia. Podobnie jak większość ludzi, widziałem sporą część obrad na Podglądaczu. Jeśli twoja pamięć o tamtych wydarzeniach przyblakła, możemy bez kłopotu poprosić o dostęp do twoich archiwów alibi z tamtego dnia. Dlatego właśnie moje centrum

terapeutyczne zostało zbudowane tutaj, tak blisko Pawilonu Archiwów Alibi. Chcesz się tam udać i...

– Nie. Nie, to nie będzie konieczne.

– Azatem, żeby zapewnić sobie powrót na drugi świat, uciekłeś się do...hm, czy „przymus” to zbyt mocne słowo?

– Chciałem, aby mój wkład był jak najlepszy. Kod Cywilizacji wymaga tego od każdego z nas.

– To prawda – zgodził się Selgan. – A skoro ów wkład... wyższe dobro... wymaga popełnienia przestępstwa, to...

– Mylisz się. Wtedy jeszcze nawet o tym nie myślałem. Moim jedynym celem... – Ponter umilkł, po czym poprawił się: – ...moimi jedynymi celami było podtrzymanie kontaktu i zobaczenie się z moją przyjaciółką, Mare Vaughan. Nigdy bym tam nie wrócił, gdybym wiedział, co zrobię.

– To nie do końca prawda, mam rację? – odezwał się Selgan. – Wspominałeś wcześniej, że gdybyś mógł cofnąć czas, znowu postąpiłbyś tak samo.

– Tak, ale...

– Ale co?

Ponter westchnął.

– Ale nic.

Najwyższa Rada Siwych w końcu zgodziła się spełnić żądanie Pontera. Pozwoliła mu zostawić komputer kwantowy pod opieką Adikora i wrócić do świata Gliksinów. Ponter spodziewał się, że niechętnie przystaną na jego prośbę – i czuł,

że tak właśnie jest – ale nie sądził, że zostanie mu nadany tytuł „delegata”.

Bardzo chciał tam wrócić i znowu zobaczyć Mare, miał jednak mieszane uczucia. Poprzednio trafił na drugi świat przypadkiem i przerażała go myśl,

że być może nigdy nie uda mu się trafić do domu. Teraz obaj z Adikorem wierzyli, że portal można ponownie otworzyć i zadbać o to, by się nie zamknął, ale nikt nie mógł mieć pewności, że tak właśnie się stanie. Ponter już raz niemal stracił partnera i córki. Nie chciał znów się bać, że może do nich nie wrócić.

Jednak nie zamierzał się wycofać. Pomimo obaw pragnął mieć swój udział w tej wyprawie. Owszem, zastanawiał się, jak ułożą się relacje między nim a Daklar Bolbay. Tyle że przez prawie miesiąc, do następnej pory, gdy Dwoje miało się stać Jednym, i tak nic się nie mogło wydarzyć, a miał nadzieje, że wróci na swój świat dużo wcześniej.

Tym razem Ponter nie podróżował sam. Towarzyszyła mu Tukana Prat, kobieta z generacji 144, starsza od niego o dziesięć lat.

Pierwsze otwarcie portalu nastąpiło przypadkiem. Drugie było desperacką próbą ratunkową. Tym razem planowano przemyślaną i dopracowaną w szczegółach operację.

Zawsze istniało ryzyko, że coś pójdzie nie tak; że portal otworzy się w jakimś innym świecie lub że Ponter źle ocenił Gliksinów, którzy teraz czekali tylko na okazję, aby tłumnie przedostać się przez przejście. Mając to na uwadze, Bedros, jeden ze starszych członków Rady, trzymał w dłoni detonator. Miniaturowe ładunki wybuchowe rozmieszczono we wszystkich pomieszczeniach laboratorium komputerowego. Gdyby coś poszło źle, Bedros miał je zdetonować, zasypując komorę komputera *pertavami* skał. I choć transmisje z implantu nie docierały z tej głębokości na powierzchnię, to urządzenia detonujące odbierały sygnał i gdyby Bedros zginął – gdyby Gliksini lub inne istoty przedostały się licznie na drugą stronę i od razu otworzyły ogień – jego Kompan mógł sam odpa lić ładunki wybuchowe.

Adikorowi przypadła kontrola nad mniej „wybuchową” gałką alarmową. Jeśli wydarzenia przybrałyby zły obrót, miał wyłączyć zasilanie całego

komputera kwantowego, co najprawdopodobniej doprowadziłoby do zerwania połączenia. W razie jego śmierci mógł to zrobić jego Kompan. Również na powierzchni, wokół wejścia do kopalni Debrala, rozmieszczono ładunki. Czekaający tam egzekutorzy gotowi byli do działania w razie niebezpieczeństwa.

Oczywiście Ponter i Tukana nie zamierzali tak po prostu przedostać się na drugą stronę. Najpierw planowano wysłać sondę wyposażoną w kamery, mikrofony, testery składu powietrza i inne urządzenia. Sonda miała pomarańczowy kolor i krąg światełek wokół obwodu. Należało wykluczyć możliwość, że Gliksini mylnie uznają przedsięwzięcie za próbę szpiegowania drugiej strony – Ponter wyjaśnił pozostałym niezrozumiałą gliksińską obsesję na punkcie prywatności.

Podobnie jak robot, którego wysłano na drugą stronę, aby pomóc w ściągnięciu Pontera do domu, sonda miała przekazywać dane z powrotem na swój świat przez światłowodowe łącza. Tym razem jednak urządzenie zabezpieczała dodatkowo mocna lina z syntetycznych włókien.

Wprawdzie sonda należała do najnowocześniejszych, a rura Derkersa, dzięki której przejście miało pozostać otwarte, stanowiła dość skomplikowany mechanizm, ale samo wprowadzenie jej w portal było wyjątkowo prostą technicznie operacją.

Podstawowe zadanie komputera kwantowego Pontera i Adikora polegało na rozkładaniu na czynniki pierwsze naprawdę wielkich liczb. W trakcie przeprowadzania działań urządzenie łączyło się z równoległymi światami, w których istniały inne jego wersje, i każda z tych wersji sprawdzała jeden potencjalny czynnik. Łącząc rezultaty uzyskane we wszystkich światach, można było sprawdzić miliony czynników równocześnie.

Jeśli jednak badana liczba była tak gigantyczna, że miała więcej potencjalnych czynników, niż było równoległych światów, w których

znajdowały się takie laboratoria kwantowe, wtedy komputer musiał podjąć próbę dotarcia także do tych światów, gdzie nie istniały jego kopie. Jednakże gdy tylko połączył się z pierwszym z tych światów, proces rozkładania liczby na czynniki ulegał przerwaniu, doprowadzając do powstania przejścia.

Laboratorium kwantowe początkowo składało się tylko z czterech pomieszczeń: suchej toalety, jadalni, sterowni i ogromnej komory komputera. Teraz dodano trzy inne: niewielką inírmierię, pokój do spania i dużą komorę odkażającą. Każdy, niezależnie od tego, w którą stronę podróżował, musiał przejść dekontaminację, aby zredukować ryzyko przeniesienia czegoś niepożądanego na drugi świat oraz by usunąć wszelkie patogeny po powrocie stamtąd. Gliksini dysponowali bardzo ograniczoną technologią odkażania. Albo ograniczone owłosienie ciała ułatwiało im utrzymanie skóry w czystości, albo dzięki małym nosom nie zważali na brak higieny. Na tym świecie już od dawna stosowano laserowe dekontaminatory, dla których struktury białkowe ludzkiej skóry, ciała, organów i włosów były przejrzyste, ale za to wszelkie bakterie i wirusy zostawały przez nie unicestwione.

W laboratorium komputera kwantowego po raz pierwszy w historii zebrało się tyle osób. Oprócz Pontera i Adikora stawiła się ambasador Prat, której towarzyszyło trzech przedstawicieli Najwyższej Rady Siwych, w tym dwoje reprezentantów lokalnej społeczności. Dern, specjalista od robotyki, na wszelki wypadek trzymał się w pobliżu, aby zająć się obsługą sondy. Zjawilo się także dwóch Ekshibicjonistów z rejestratorami, którzy po powrocie na powierzchnię mieli retransmitować nagrane obrazy.

Wreszcie nadszedł moment, na który wszyscy czekali.

Adikor zajął miejsce przy konsoli kontrolnej po jednej stronie sterowni, a Ponter stanął przy swojej, w drugim krańcu pomieszczenia. Dern miał

osobny panel sterowania, który umieścił na stole.

– Masz wszystko, co ci będzie potrzebne w podróży? – spytał Adikor przyjaciela.

Ponter jeszcze raz sprawdził bagaż. Hak oczywiście zawsze był na swoim miejscu – tym razem zasoby jego wiedzy uzupełniono o pełną medycznochirurgiczną bazę danych, na wypadek gdyby podczas pobytu w świecie Gliksinów Ponterowi lub Tukanie coś się stało.

Wokół bioder zapiął szeroki skórzany pas z mnóstwem kieszeni, których zawartość wcześniej sprawdził: antybiotyki, leki przeciwwirusowe, środki wspomagające układ odpornościowy, sterylne opatrunki, kauteryzujący skalpel laserowy, nożyczki chirurgiczne oraz zestaw leków zawierający środki zmniejszające przekrwienie, przeciwbólowe oraz nasenne. Tukana miała podobny pas. Oboje zabierali także walizki z kilkoma zmianami odzieży.

– Wszystko gotowe – powiedział Ponter.

– Wszystko gotowe – powtórzyła za nim Tukana.

Adikor spojrzał na Derna.

– A u ciebie?

– Gotowe. – Brzuchacz kiwnął głową.

– Możemy zaczynać na twój znak – powiedział Adikor do Pontera.

Ponter pokazał przyjacielowi dłoń z szeroko rozstawionymi palcami.

– Ruszajmy na spotkanie naszych kuzynów.

– Do dzieła – oznajmił Adikor. – Dziesięć!

Jeden z Ekshibicjonistów stanął tuż obok niego, a drugi zajął miejsce obok Pontera.

– Dziewięć!

Troje członków Najwyższej Rady Siwych spojrzało po sobie; więcej chciało uczestniczyć w tym wydarzeniu, ale uznano, że Rada nie może

podjąć takiego ryzyka.

– Osiem!

Dern pociągnął kilka gałek na swojej konsoli.

– Siedem!

Ponter zerknął na ambasador Prat; jeśli się denerwowała, dobrze to ukrywała.

– Sześć!

Spojrzał przez ramię na szerokie plecy Adikora. Poprzedniego wieczoru postanowili, że nie będą się żegnali w żaden szczególny sposób. Ani jeden, ani drugi nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, że gdyby coś poszło nie tak, Ponter może już nigdy nie wrócić do domu.

– Pięć!

Martwiło go nie tylko to, że być może na zawsze rozstaje się z partnerem. Przed podjęciem decyzji o powtórzeniu tej podróży najbardziej powstrzymywała go myśl o tym, że jego córki straciłyby drugiego rodzica tak wcześnie.

– Cztery!

Mniejszym – ale i tak ważnym – zmartwieniem było to, że w świecie Gliksinów znowu mógł zachorować, choć tym razem doktorzy wzmocnili jego system immunologiczny, a Hak został odpowiednio zmodyfikowany, aby stale monitorować jego krew i wykrywać wszelkie ciała obce.

– Trzy!

Pozostawało jeszcze ryzyko, że Ponter i Tukana mogą okazać się uczuleni na coś po drugiej stronie.

– Dwa!

No i miał pewne obawy co do stabilności portalu, który powstawał dzięki z natury nieprzewidywalnym procesom kwantowym. Jednak...

– Jeden!

Jednak mimo wszystkich potencjalnych problemów i ujemnych stron, powrót do świata Gliksinów miał też pozytywne aspekty...

– Zero!

Ponter i Adikor jednocześnie pociągnęli za gałki paneli kontrolnych.

Od strony komory komputera, widocznej tylko przez szybę, dobiegł ich głośny świst. Ponter wiedział, co się dzieje, choć nigdy wcześniej nie uczestniczył w podobnym wydarzeniu jako obserwator. Wszystko, co nie było przymocowane do podłoża komory, właśnie trafiało do drugiego wszechświata. Wykonane ze szkła i stali cylindry rejestrów – nawet chybotający się rejestr 69 – pozostały na swoich miejscach, ale całe powietrze z pomieszczenia zostało wymienione na porównywalną masę z drugiego świata. Kiedy Ponter przypadkiem został przeniesiony do innego świata, w odpowiednim miejscu po drugiej stronie znajdowała się gigantyczna akrylowa sfera pełna ciężkiej wody – serce gliksińskiego detektora neutrin.

Tym razem na ich stronę nie trysnęła żadna ciecz. Komorę detektora opróżniono, zanim Ponter wrócił na swój świat, aby można było naprawić szkody, jakie wyrządziło jego pojawienie się w akrylowej sferze.

Na dany znak jarmarczna sonda – wysoka mniej więcej na długość ramienia – wpadła przez błękitne płomienie, które pojawiły się w otwarciu portalu. Niebieskie światło ciasno otaczało kontury znikającego urządzenia. Po chwili po ich stronie została tylko lina mocująca i przewody telekomunikacyjne połączone z sondą, które teraz napięte zniknęły w powietrzu mniej więcej na wysokości pasa. Ponter przeniósł wzrok na duży monitor na ścianie, nowy element w sterowni. Wyświetlał obraz rejestrowany przez sondę.

A sonda właśnie...

– Gliksini! – wykrzyknęła ambasador Prat.

– Dotąd tylko w połowie w to wierzyłem – przyznał Radny Bedros.

Adikor odwrócił się w stronę Pontera z uśmiechem.

– Widzisz kogoś znajomego?

Ponter zmrużył oczy, wpatrując się w ekran. Podobnie jak poprzednim razem, portal pojawił się wiele wysokości człowieka ponad podłożem; komora komputerowa znajdowała się trochę wyżej i odrobinę bardziej na północ niż środek komory detektora neutrin. Kilkunastu Gliksinów pracowało w suchej jaskini. Wszyscy mieli na sobie kombinezony i te żółte żółwie skorupy na głowach. Większość miała jasną skórę, jak ludzie na świecie Pontera, ale dwie osoby były ciemnobrązowe. Ponterowi wydawało się, że na ekranie widzi samych mężczyzn, tylko że z Gliksinami nigdy nie było do końca wiadomo. Oczywiście miał nadzieję zobaczyć twarz pewnej kobiety, no ale co ona miałaby robić na dnie jaskini podczas prac naprawczych?

Wszyscy osobnicy wpatrywali się w sondę i wielu wyciągało w jej stronę chude ręce.

– Nie – odparł Ponter. – Nie znam nikogo z nich.

Mikrofony sondy wylapywały dźwięki, rozchodzące się dziwnym echem po ogromnej komorze. Ponter niewiele rozumiał, ale w którymś momencie rozpoznał swoje imię.

– Hak – zwrócił się do swojego Kompana – co oni mówią?

Hak miał teraz nowy głos; Ponter poprosił Kobasta Ganta, aby przy wprowadzaniu nowych funkcji zaprogramował jednocześnie przyjemny, męski głos, nie przypominający mu nikogo.

Implant użył zewnętrznego głośnika, tak aby usłyszeli go wszyscy zebrani.

– Mężczyzna po prawej stronie ekranu właśnie wezwał to, co oni nazywają Bogiem. Przypuszczam, że w tym kontekście jest to wyraz

zaskoczenia. Ten drugi, obok niego, odwołał się do domniemanego syna tego Boga. A kobieta stojąca przy nim powiedziała: „O, epidemia”.

– Bardzo dziwne – stwierdziła Tukana.

– Mężczyzna po prawej – kontynuował Hak – właśnie krzyknął do kogoś, kogo nie widać, żeby wezwał doktor Mah przez telekomunikacyjne łącze.

W miarę jak Hak mówił, kilka osób zbliżyło się do sondy. Ponter z satysfakcją słuchał okrzyków zdziwienia trójki członków Najwyższej Rady Siwych i Tukany Prat, gdy na ekranie pojawiły się pierwsze zbliżenia dziwnych, ściągniętych twarzy Gliksinów z ich groteskowo małymi nosami.

– No – odezwał się Dern – wygląda na to, że kontakt został na nowo nawiązany i warunki po drugiej stronie są odpowiednie.

Trójka członków Najwyższej Rady Siwych naradzała się przez kilka taktów, po czym Bedros skinął głową.

– Zaczynajmy – powiedział.

Ponter i Dern podnieśli rurę Derkersa za oba końce. Adikor otworzył drzwi do komory komputerowej. Tym razem nie rozległ się żaden świst towarzyszący wyrównywaniu ciśnień. Nikt nie miał nieprzyjemnego wrażenia w uszach. Powietrze w komorze najprawdopodobniej pochodziło w całości z drugiego świata – doszło do wymiany porównywalnych jego ilości – ale Gliksini dokładnie nitrowali powietrze w detektorze neutrin i Ponter nie wychwytywał w nim żadnego zapachu.

Punkt wejścia do drugiego świata wyraźnie zaznaczały lina i kabel znikające w otoczonym niebieską poświatą otworze w powietrzu. Dern, który był obecny przy udanej próbie ściągnięcia Pontera do domu, ustawił koniec rury Derkersa tak, że stykał się teraz z liną mocującą sondy. Ponter

przeniósł resztę – dobre osiem długości ramion – tak, aby rura biegła równoległe do liny.

– Gotowy? – spytał Dern oglądając się przez ramię na Pontera.

Ponter skinął głową.

– Gotowy.

– No to zaczynamy. Powoli.

Dern zaczął wsuwać rurę przez portal, który rozszerzył się na tyle, by ją pomieścić. Ponter lekko popychał jej koniec. Adikor przyniósł im przenośny monitor, na którym także można było obserwować obraz przekazywany przez sondę. Ustawił go pod takim kątem, aby Dern i Ponter mogli widzieć, co dzieje się po drugiej stronie. Sonda znajdowała się teraz aż na samym dole jaskini detektora neutronów, w wyniku czego lina i przewód kierowały się w dół zaraz po wyjściu z portalu. Natomiast rura Derkera sterczała w górę, równoległe do znajdującego się dużo niżej podłoża. Gliksini nie mogli jej dosięgnąć; była wysoko nad ich głowami. Pokazywali ją palcami i coś wołali.

– Tyle wystarczy – oznajmił Dern, widząc, że połowa rury znalazła się po drugiej stronie. Wcześniej zaznaczył na jej obwodzie odpowiednie miejsce. Ponter przestał podawać. Dern podszedł do niego i wspólnie zaczęli rozsuwać wlot rury.

Początkowo ledwo mogli wsunąć po jednej dłoni w wąski przekrój. Ale w miarę jak ciągnęli brzegi w przeciwnych kierunkach, rura zaczęła się rozszerzać przy akompaniamencie głośnych trzasków mechanizmów zapadkowych.

Ponter chwycił drugą ręką za powiększający się wlot. Dern poszedł w jego ślady i też wsunął w otwór drugą dłoń, nie przestając ciągnąć. Już po chwili rura miała średnicę co najmniej długości ramion – a osiągnęła dopiero jedną trzecią maksymalnych rozmiarów.

Ambasador Prat oraz troje członków Najwyższej Rady Siwych przeszli do komory komputera. Towarzyszył im jeden z Ekshibicjonistów; drugi stanął na najwyższym stopniu schodków prowadzących do sterowni – chciał mieć możliwość ucieczki, gdyby zaczęło się dziać coś złego.

Stary Bedros miał minę, jakby chciał pomóc – przecież właśnie otwierali nowy rozdział w historii. Ponter dał mu znak, aby się nie wahał. Po chwili sześć rąk rozciągało coraz szerszy wlot tuby. Na przenośnym monitorze Ponter widział, jak dziwnie ostro zakończone szczęki Gliksinów opadają ze zdumienia.

W końcu operacja dobiegła końca: rura osiągnęła maksymalną średnicę i oparła się o granitową podłogę komory komputera. Ponter spojrzał na Tukanę i gestem pokazał jej, aby ruszyła przodem.

– To ty jesteś ambasadorem – powiedział.

Siwowłosa kobieta pokręciła głową.

– Ale ciebie znają. Jesteś dla nich przyjazną twarzą.

– Jak sobie życzysz – zgodził się. Adikor uścisnął go mocno. Ponter stanął przed wejściem i zrobił głęboki wdech. Wprawdzie widział, co dzieje się po drugiej stronie, ale nie potrafił zapomnieć o tym, co spotkało go poprzednim razem, gdy trafił do świata Gliksinów. Ruszył powoli. Wewnątrz jedynym śladem portalu był pierścień bladoniebieskiego światła, widoczny przez przezroczystą membranę między krzyżującymi się elementami rury – dzięki rozszerzeniu przejścia nikt nie musiał już oglądać kolejnych płaszczyzn przekroju własnego ciała przy przechodzeniu na drugą stronę.

Ponter dotarł do niebieskiego pierścienia, po czym zrobił jeden wielki krok i pokonał próg do świata Gliksinów. Przez otwór tunelu widział przeciwległą ścianę komory detektora neutron daleko przed sobą. W kilka

taktów dotarł do samego końca tunelu, który nie obniżył się zbyt pod jego ciężarem, bo Adikor i Dern przytrzymywali drugi kraniec rury.

Wystawił głowę z drugiej strony i spojrzał w dół, na Gliksinów, z uśmiechem, który pewnie wydawał się im potwornie szeroki. Powiedział kilka słów i Hak podał tłumaczenie z największą mocą zewnętrznego głośnika, na jaką było go stać:

– Czy mógłbym was prosić o przystawienie drabiny?

Rozdział Dziesiąty

Prawdę mówiąc, odpowiednia drabina znajdowała się po jego stronie portalu, ale trudno byłoby ją przenieść przez wąskie pomieszczenia komputerowego laboratorium. Dlatego czekał, aż Gliksini przyniosą własną z drugiego końca komory detektora neutrin. Wyglądała tak samo jak ta, której użył wracając do domu.

Dopiero za którymś razem udało się oprzeć koniec drabiny o wylot rury Derkersa. Z perspektywy Gliksinów musiało to wyglądać tak, jakby tunel wyłaniał się znikąd.

Za plecami Pontera Dern i Adikor przytwierdzali drugi koniec rury do granitowej podłogi, używając do tego celu elektronarzędzi.

Gdy drabina Gliksinów znalazła się już na miejscu, Ponter cofnął się na swoją stronę i przepuścił Derna oraz Adikora tam, gdzie sam przed chwilą był. Przez moment przyglądali się fascynującemu spektaklowi w detektorze neutrin i obcym istotom w dole, po czym przystąpili do pracy. Chwilę zmagali się z linami, ale w końcu zdołali przymocować szczyt drabiny do wylotu rury Derkersa. Ponter słyszał, jak Adikor raz po raz mruczy pod nosem „Niewiarygodne, niewiarygodne”.

Kiedy Adikor i Dern wrócili na swoją stronę, Ponter i ambasador Prat przeszli tunelem. Ponter odwrócił się i ostrożnie zszedł po drabinie na sam dół komory detektora neutrin. Kiedy pokonywał najniższe szczeble, poczuł na ramionach dłonie Gliksinów, którzy próbowali mu pomóc. Postawił jedną, a potem drugą stopę na podłożu i odwrócił się.

– Witamy z powrotem! – powiedział jeden z obecnych. Hak przetłumaczył jego słowa, komunikując je Ponterowi przez implant ślimakowy.

– Dziękuję – odparł Ponter. Rozejrzył się po otaczających go twarzach, ale nie rozpoznał żadnej. Nie dziwiło go to; nawet jeśli zaraz po pojawieniu się sondy skontaktowano się z kimś, kogo znał, osoba ta musiała dotrzeć tutaj z powierzchni.

Odsunął się od drabiny i zadarł głowę do góry, spoglądając na wylot tunelu. Dał znak ręką Tukanie Prat i zawołał:

– Możesz schodzić!

Ambasadorka odwróciła się i tyłem zaczęła pokonywać kolejne szczelby.

– Hej, patrzcie! – odezwał się jeden z Gliksinów. – Nean – dertalska kobieta!

– To jest Tukana Prat – wyjaśnił Ponter – nasza ambasadorka w waszym świecie.

Tukana wreszcie dotarła na sam dół. Klasnęła, strzepując z dłoni kurz zebrany z drabiny. Gliksin – jeden z dwóch czarnych mężczyzn – zrobił krok do przodu. Wyglądał tak, jakby nie wiedział, jak ma się zachować. Po chwili uklonił się Tukanie i powiedział:

– Witamy panią w Kanadzie.

Problem z tłumaczeniami Haka polegał na tym, że wszystko przechodziło przez jego filtr poczucia humoru.

– Chcieliśmy was prosić – odezwał się Hak przez zewnętrzny głośnik – żebyście nas zaprowadzili do kogoś z wyższego szczelby, no ale na najwyższym już byliśmy.

Ponter rozumiał gliksiński język wystarczająco, aby pojąć, co się dzieje. Pacnął się po lewym przedramieniu.

– Au! – powiedział Hak w jego ślimakowe implanty, po czym odezwał się przez głośnik. – Przepraszam, chciałem prosić, abyście zabrali nas do swojego lidera.

– Nazywam się Gus Hornby – przedstawił się ciemnoskóry mężczyzna, który wcześniej powitał ambasadorkę. – Jestem tutaj głównym inżynierem. Już powiadomiliśmy doktor Mah w Ottawie, to ona jest szefową SNO. Może tu przyjechać po południu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A czy jest gdzieś tutaj Mare Vaughan? – spytał Ponter.

– Mare? Aa... Mary. Profesor Vaughan. Nie, nie, ona wyjechała.

– A Lou Benoit?

– Louise? Jej też nie ma.

– W takim razie Reuben Montego.

– Doktor? A pewnie, jego możemy tu poprosić.

– Prawdę mówiąc – powiedział Ponter, a Hak przetłumaczył – wolelibyśmy sami wjechać do niego na górę.

– Zaraz się tym zajmiemy. – Hornby zerknął na tunel sterczący z powietrza. – To pozostanie otwarte?

– Taką mamy nadzieję. – Ponter skinął głową.

– I możecie tak po prostu przejść na... na naszą stronę? – spytał inny z Gliksinów.

– Tak.

– A ja mógłbym zajrzeć do środka? – poprosił ten sam mężczyzna. Miał jasną skórę, pomarańczowe włosy i oczy koloru nieba.

Ponter spojrział na Tukanę, a ona na niego. W końcu ambasadorka powiedziała:

– Nasze władze życzyłyby sobie spotkać kogoś, kto może mówić w imieniu waszych ludzi.

– Aha – mruknął pomarańczowowłosy. – No to raczej nie ja...

Ponter i Tukana przeszli po dnie olbrzymiej jaskini, otoczeni grupą Gliksinów. Fragmenty sfery, która dawniej znajdowała się w centrum tej

przestrzeni, ułożono pod ścianą, obok poskładanych jeden na drugim słonecznikowatych fotopowielaczy.

W przeciwległym końcu jaskini znajdowała się druga drabina, jeszcze wyższa od tej, która stała teraz oparta o wylot rury Derkersa. Ta prowadziła do wyjścia z komory detektora neutrin, tego samego, z którego odskoczył kwadratowy właz, kiedy Ponter wraz z całym powietrzem z komory kwantowego komputera trafił poprzednim razem do świata Gliksinów. Hornby pierwszy wszedł na górę i po chwili precyzyjnie przeszedł przez otwór. Ponter chwycił za boki drabiny i zaczął się wspinać jako drugi, a Tukana ruszyła za nim.

Ponter obejrzał się na tunel prowadzący do jego świata i poczuł ukłucie w sercu na widok Adikora, który stał u wylotu i patrzył prosto na niego. Chciał do niego pomachać, ale to by za bardzo przypominało pożegnanie, więc tylko się uśmiechnął, choć wiedział, że z takiej odległości przyjaciel nie dostrzeże jego miny. Może to i lepiej, bo Ponter czuł, że jego uśmiech jest wymuszony. Miał nadzieję że nie po raz ostatni widzi ukochanego partnera.

Przecisnął ramiona przez otwór włazu i podciągnął się na platformę. Nagle otoczyło go pięciu Gliksinów w identycznych, zielonych strojach. Każdy trzymał dużą broń na pociski.

Ponter czytał sporo literatury spekulatywnej. Znał historie o równoległych światach, w których istniały złe odbicia ludzi ze znajomej Ziemi. Najpierw przyszło mu do głowy, że trafił do takiego odmiennego świata.

– Panie Boddit – zwrócił się do niego jeden z... żołnierzy, tak chyba brzmiała właściwa nazwa – kapitan Donaldson z Kanadyjskich Sił Zbrojnych. Proszę odsunąć się od włazu.

Ponter spełnił polecenie i w otworze pojawiła się ambasadorka. Tukana również wciągnęła się na metalowy podest. Ściany wokół platformy zasłonięte były płachtami ciemnozielonego plastiku, a po suficie biegły przewody i plastikowe rury. Po jednej stronie stało coś, co mogło być sprzętem komputerowym.

– Proszę pani? – powiedział Donaldson, patrząc na Tu – kanę.

– To jest Tukana Prat, nasza ambasadorka – wyjaśnił Ponter, a Hak przetłumaczył jego słowa.

– Pani ambasador, panie Boddit, muszę was prosić, abyście poszli ze mną.

Ponter się nie ruszył.

– Czy jesteśmy tu niemile widziani?

– Przeciwnie – odparł Donaldson. – Jestem pewien, że nasz rząd chętnie powita ambasadorkę i przyzna państwu status dyplomatów. Na razie jednak musicie udać się za mną.

– Dokąd nas zabieracie? – Ponter zmarszczył brew.

Donaldson wskazał drzwi prowadzące z platformy do sterowni. Były zamknięte. Ponter wzruszył ramionami i razem z Tukana ruszył do wyjścia. Jeden z żołnierzy wysunął się do przodu i otworzył przed nimi drzwi. Weszli do ciasnego i wąskiego pomieszczenia.

– Proszę iść dalej – powiedział Donaldson.

Ponter i Tukana usłuchali.

– Jak pan zapewne pamięta, panie Boddit – ciągnął Donaldson, idąc za nimi – Sudbury Neutrino Observatory mieści się dwa kilometry pod powierzchnią ziemi i konieczne jest utrzymanie w nim odpowiedniej czystości powietrza, aby zapobiec wprowadzeniu do komory kurzu lub innych zanieczyszczeń, które mogłyby zakłócić działanie urządzeń.

Ponter obejrzał się na Donaldsona, ale się nie zatrzymał.

– Przygotowaliśmy specjalne pomieszczenia na wypadek, gdyby pan lub inni przedstawiciele z pańskiego świata mieli się tu zjawić – kontynuował Donaldson. – Obawiam się, że będą państwo musieli przejść kwarantannę, która potrwa do chwili uzyskania przez nas pewności, że mogą państwo bezpiecznie wyjść na powierzchnię.

– Nie! Znowu! – powiedział Ponter. – Możemy udowodnić, że jesteśmy wolni od wszelkich drobnoustrojów.

– Nie do mnie należy ocena tego, sir – odparł Donaldson. – Osoby za to odpowiedzialne już są w drodze.

Rozdział Jedenasty

Mary Vaughan stała pochylona nad mikroskopem, gdy drzwi do jej laboratorium otworzyły się gwałtownie.

– Mary!

Podniosła głowę i zobaczyła stojącą na progu Louise Benoit.

– Tak?

– Ponter wrócił!

Serce Mary mocniej zabiło.

– Naprawdę?

– Tak! Właśnie mówili o tym w radio. W SNO ponownie otworzył się portal między światami i Ponter z jeszcze jednym neandertalczykiem przeszli na naszą stronę.

Mary wstała i spojrzała na Louise.

– Masz ochotę na wycieczkę do Sudbury?

Louise się uśmiechnęła, jakby oczekiwała takiej propozycji.

– Nie ma sensu tam jechać. Neandertalczyki przechodzą kwarantannę w pomieszczeniach SNO; nie miałybyśmy szans zobaczyć się z nimi.

– Aha. – Mary starała się, by w jej głosie nie było słycać rozczarowania.

– Ale kiedy zostaną wypuszczeni, przyjadą do Nowego Jorku, żeby wystąpić z przemówieniem w ONZ.

– Naprawdę? Jak to daleko stąd?

– Nie mam pojęcia. Jakies pięćset lub sześćset kilometrów. Na pewno bliżej niż do Sudbury.

– I tak zamierzałam tam pojechać, żeby obejrzeć *Producentów*... – stwierdziła Mary z uśmiechem, ale po chwili spoważniała. – Tylko że

pewnie tam też nie uda mi się z nim zobaczyć. Jako dyplomata będzie miał mnóstwo spotkań.

– Zapominasz, dla kogo pracujesz. – Louise nie traciła optymizmu. – Nasz Jock ma chyba klucze do każdych drzwi. Powiedz mu, że musisz tam jechać, aby pobrać próbki DNA neandertalczyka, który przybył z Ponterem.

Mary znowu się uśmiechnęła. W tej chwili bardzo lubiła Louise.

– Ponter, chłopie!

Reuben Montego wszedł do dwupokojowej izolatki, w której neandertalczyki odbywali kwarantannę, i wyciągnął przed siebie zamkniętą dłoń. Ponter dotknął jej swoją pięścią.

– Reuben! – powiedział własnym głosem. Następne słowa przetłumaczył już Hak. – Dobrze cię znowu widzieć, przyjacielu.

Ponter zwrócił się do Tukany.

– Reuben jest lekarzem w kopalni Creighton. To on pierwszy udzielił mi pomocy medycznej po tym, jak o mało nie utonąłem zaraz po przeniesieniu się na ten świat, i to w jego domu Mare Vaughan, Lou Benoit i ja przechodziliśmy pierwszą kwarantannę – wyjaśnił szybko po neandertalsku, po czym znowu odezwał się do Reubena: – Przyjacielu, przedstawiam ci am – basadorkę Tukanę Prat.

Reuben uśmiechnął się szeroko – jak na Gliksina – i z galanterią ukłonił.

– Pani ambasador. Witam panią!

– Dziękuję – odparła Tukana za pośrednictwem własnego implantu, któremu dodano umiejętności Haka. – Cieszę się, że mogłam odwiedzić ten świat. – Rozejrzała się po niewielkim,

skromnym pomieszczeniu. – Choć przyznam, że miałam nadzieję zobaczyć większy jego kawałek. Reuben skinął głową.

– luź nad tym pracujemy. W drodze są eksperci z laboratorium epidemiologicznego w Ottawie oraz z centrów epidemiologii w Atlancie.

Słyszałem, że korzystaliście z laserowego urządzenia sterylizującego. To dla nas coś nowego i nasi specjaliści muszą zyskać pewność, że takie metody rzeczywiście są skuteczne.

– Oczywiście – zgodziła się ambasador Prat. – Z czasem mamy nadzieję doprowadzić do sprawiedliwej wymiany handlowej z waszym światem, ale rozumiemy, że akurat tę technologię musimy wam udostępnić od razu. Wasi eksperci mogą bez przeszkód przejść na naszą stronę portalu i obejrzeć aparaturę. Projektantka tych urządzeń, Dapbur Kajak, chętnie wyjaśni zasady ich działania i podda sprzęt wszelkim wymaganiom przez was testom.

– Doskonale. Skoro tak, to tę sprawę uda się szybko wyjaśnić.

Ponter zaczekał, aż Reuben skończy rozmowę na ten temat, po czym zapytał go bez pomocy Haka:

– Gdzie jest Mare?

Reuben uśmiechnął się, jakby spodziewał się tego pytania.

– Zatrudniła ją jakaś grupa doradcza z USA. Jest w Rochester, w stanie Nowy Jork.

Ponter zmarszczył czoło. Liczył na to, że zastanie Mare tu, w Sudbury, ale przecież nie miała powodu zwlekać z wyjazdem po tym, jak on wrócił do siebie. Na stałe mieszkała w innym mieście.

– A co słyhać u ciebie, Reuben? – Gliksini mieli osobliwy zwyczaj pytania się nawzajem o takie sprawy i Ponter wiedział, że tego wymaga uprzejmość.

– U mnie? Wszystko w porządku. Miałem swoje piętnaście minut sławy i szczerze przyznam, cieszę się, że już minęły.

– Piętnaście minut? – zdziwiła się Tukana.

Reuben się zaśmiał.

– Pewien artysta powiedział kiedyś, że w przyszłości każdy będzie sławny przez piętnaście minut.

– Aha. A co to był za artysta? – spytał Ponter.

Reuben wyraźnie próbował powstrzymać się od śmiechu.

– Hm, no cóż, najbardziej znany był z tego, że malował puszki zupy.

– Skoro tak, to chyba piętnaście minut w jego przypadku było aż nadto.

Reuben roześmiał się znowu.

– Brakowało mi cię, przyjacielu.

Przybył zespół z laboratorium epidemiologicznego, a wkrótce potem grupa naukowców z centrum epidemiologii. Dwie kobiety – po jednej z obu organizacji – jako pierwsze przedstawicielki *Homo sapiens sapiens* przeszły na neandertalski świat. Od czasu do czasu jedna albo druga wystawiała głowę z tunelu i prosiła o podanie jakiegoś przyrządu.

Ponter starał się cierpliwie siedzieć, ale sytuacja ogromnie go frustrowała. Czekał na nich cały obcy świat! On i Tukana oddali już do badania wiele próbek krwi i tkanek oraz zostali dokładnie zbadani przez Reubena.

Pomimo kwarantanny Tukana i Pontera odwiedzały różne osoby. Pierwszym gościem spoza grona medycznego była biada kobieta z krótkimi, brązowymi włosami, w małych, okrągłych okularach.

– Dzień dobry – powiedziała z akcentem, który Ponter, dzięki znajomości z Lou Benoit, rozpoznał jako francuskokanadyjski. – Nazywam się Helenę Gagne. Jestem z kanadyjskiego departamentu spraw zagranicznych i wymiany międzynarodowej.

Tukana postąpiła krok do przodu.

– Ambasador Tukana Prat, reprezentuję Najwyższą Radę Siwych z... hm... z Ziemi – powiedziała, po czym skinęła w stronę Pontera. – A to mój towarzysz, Uczony i delegat Ponter Boddit.

– Miło mi państwa poznać – odparła Helenę. – Delegacie Boddit, postaramy się, aby utrudnień było mniej niż podczas pana poprzedniej wizyty.

Ponter się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– Na początek musimy ustalić jedną rzecz, pani ambasador. Rozumiem, że geografia waszego świata oraz tego są takie same, czy to się zgadza?

Tukana Prat przytaknęła.

– Dobrze. – Helenę przyniosła ze sobą niewielką aktówkę. Otworzyła ją teraz i wyjęła prostą mapę świata, przedstawiającą tylko ukształtowanie terenu, bez zaznaczonych granic. – Czy mogłaby pani wskazać miejsce, gdzie się pani urodziła?

Tukana wzięła mapę, przyjrzała się jej i pokazała punkt na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Helenę podała jej flamaster, z którego wcześniej zdjęła nasadkę.

– Proszę zaznaczyć to miejsce... najdokładniej, jak pani może.

Tukanę zdziwiła ta prośba, ale spełniła ją, stawiając czerwoną kropkę na północnym krańcu wyspy Vancouver.

– Dziękuję – powiedziała Helenę. – A teraz proszę obok złożyć swój podpis.

– Podpis?

– Hm... proszę napisać swoje imię.

Tukana nakreśliła serię kanciastych symboli.

Helenę wyjęła z aktówki pieczęć notarialną i odcisnęła ją na mapie, po czym obok dodała własny podpis oraz datę.

– Doskonale. Mieliśmy nadzieję, że tak właśnie będzie. Urodziła się pani na terenie Kanady.

– Urodziłam się w Podnilak – odparła Tukana.

– Tak, tak, ale na tym świecie odpowiada to Kanadzie, a dokładniej mówiąc, wyspie Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej. Dzięki temu, zgodnie z obowiązującym prawem, jest pani Kanadyjką. Wiadomo nam już, że delegat Boddit urodził się niedaleko Sudbury, w prowincji Ontario. Dlatego, jeśli państwo się nie sprzeciwiacie, pierwszą rzeczą, jaką zrobimy po zakończeniu kwarantanny, będzie nadanie wam obywatelstwa kanadyjskiego.

– Po co? – chciała wiedzieć Tukana.

Ale zanim Helenę zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Ponter:

– Ta sprawa wynikła podczas mojej pierwszej wizyty. Aby podróżować po tej wersji Ziemi, potrzebne są dokumenty. Najważniejszy jest... – przerwał na moment, a Hak przypomniał mu nazwę – ...paszport, a paszportu nie można mieć bez obywatelstwa.

– Zgadza się – przytaknęła Helenę. – Mieliśmy sporo skarg od innych rządów, a zwłaszcza od rządu USA, gdy znalazł się pan tu poprzednim razem, ponieważ trzymano pana wyłącznie na terytorium Kanady. Gdy zostaną państwo stąd wypuszczeni, udamy się do Ottawy, która jest stolicą Kanady, i tam odbędzie się uroczystość nadania państwu obywatelstwa na mocy ustępu 5. paragrafu 4. kanadyjskiej ustawy o prawach obywatelskich, dającej premierowi prawo przyznania obywatelstwa każdemu w wyjątkowych okolicznościach. Proszę się nie obawiać: możecie państwo pozostać obywatelami odpowiednich okręgów jurysdykcji swojego świata; Kanada zawsze uznawała podwójne obywatelstwo. Jednakże gdy udacie się państwo poza granice Kanady, będziecie traktowani jako kanadyjscy dyplomaci, a co za tym idzie, obejmie państwa pełen immunitet dyplomatyczny i związane z tym prawa. To pozwoli nam uniknąć mnóstwa biurokracji, dopóki nie zostaną nawiązane bezpośrednie formalne relacje między każdą z naszych nacji a państwa światem.

– Każdą z nacji? – zdziwiła się Tukana. – U nas mamy obecnie zjednoczony rząd całego świata. Czy tutaj tak nie jest?

Helenę pokręciła głową.

– Nie. Mamy coś, co nosi nazwę „Organizacji Narodów Zjednoczonych”. Zabierzemy państwa do głównej siedziby ONZ zaraz po oficjalnym obiedzie z kanadyjskim premierem w Ottawie. Ale nie jest to rząd całego świata; jest to jedynie forum, na którym rządy poszczególnych państw mogą omawiać sprawy dotyczące wielu narodów. Z czasem państwa władza zostanie formalnie uznana przez każdy z krajów członkowskich ONZ.

– A ile jest tych krajów? – spytała Tukana.

Ponter się uśmiechnął.

– Nie uwierzysz – powiedział.

– Obecnie ONZ zrzesza 191 krajów członkowskich – wyjaśniła Helenę.

– Sami państwo rozumiecie, że negocjowanie traktatów z każdym z nich zabierze całe lata. Kanada oczywiście ma już odpowiednie umowy ze wszystkimi i dlatego jako kanadyjscy dyplomaci, przynajmniej z nazwy, będziecie państwo mogli podróżować do każdego z tych państw i rozmawiać z ich przywódcami.

Tukana wyglądała na zdezorientowaną.

– Zapewne tak właśnie musi być.

– Owszem.

– Świetnie – stwierdził Ponter. – To kiedy będziemy mogli stąd wyjść?

– Mam nadzieję, że wkrótce – odparła Helenę. – Teraz ja także nie mogę opuścić pomieszczeń SNO, dopóki państwo nie dostaniecie pozwolenia na wyjście. Ale słyszałam, że wasza technologia dekontaminacji zrobiła wrażenie na naszych lekarzach.

Ta wiadomość ucieszyła Pontera, bo oznaczała, że wkrótce zostaną wypuszczeni. Poprzednim razem niemal cały pobyt w Kanadzie spędził w kwarantannie i nie uśmiechało mu się ponowne odosobnienie, zwłaszcza głęboko pod ziemią.

Po południu Tukana oddaliła się do drugiego pomieszczenia izolatki. Podobnie jak wielu ludzi z jej pokolenia, lubiła zdrzemnąć się w ciągu dnia. Ponter zajął się ćwiczeniem angielskiego z pomocą Haka, dopóki nie zajrzał do niego Reuben Montego w towarzystwie niskiego, owłosionego, beżowego Gliksina. Mężczyzna bardzo się różnił od ciemnoskórego i ogolonego na zero lekarza.

– Hej, Ponter. To jest Arnold Moore, geolog – przedstawił nieznanego Reuben.

– Witam – powiedział Ponter.

Arnold wyciągnął rękę, a Ponter ją uścisnął.

– Doktorze Boddit, spotkanie z panem to dla mnie wielka przyjemność. Ogromna!

Nuda dała się Ponterowi we znaki i nie mógł się powstrzymać od odrobiny ironii.

– Czy aby na pewno można mnie bezpiecznie dotykać?

Arnold zupełnie nie pojął żartu.

– Koniecznie chciałem tu zjechać już w chwili, gdy usłyszałem, że jest pan tutaj! To dla mnie wielkie przeżycie. Absolutnie wielkie!

Ponter uśmiechnął się blado.

– Dziękuję – odparł.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Arnold wskazał miejsce, z którego Ponter przed chwilą wstał.

Sam wziął drugie krzesło, obrócił je i usiadł na nim okrakiem, ręce kładąc na oparciu. Brew Pontera powędrowała w górę; taki sposób

siedzenia wydawał się o wiele wygodniejszy. Wstał ponownie, obrócił swoje krzesło i usiadł na nim w podobny sposób. Nie było to wprawdzie porządnie siodłowe siedzisko, ale taka pozycja zdecydowanie bardziej mu odpowiadała.

Reuben przeprosił ich i poszedł się naradzić z immunologami krążącymi po pomieszczeniach SNO.

– Chciałbym pana o coś zapytać – oznajmił Arnold.

Ponter skinął głową, dając znak, aby mężczyzna mówił dalej.

– Zauważyliśmy, że coś dziwnego dzieje się na naszej wersji Ziemi, i zastanawiałem się, czy to samo ma miejsce u was.

– Czyli co?

– Zaobserwowaliśmy dziwne zachowanie zórz polarnych – północnej i południowej.

Ponter spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nie, nic takiego obecnie u nas się nie dzieje. Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem sam widziałem nocne światła; wyglądały zupełnie normalnie.

Arnold sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Mieliśmy nadzieję, że u was coś o tym wiecie. W tej chwili domyślamy się, że pole magnetyczne Ziemi zanika i być może dojdzie do odwrócenia biegunów.

Ponter ponownie uniósł brew aż nad wał nadoczodołowy.

– A kiedy wydarzyło się to po raz ostatni?

– Tak z pamięci nie powiem. Wiele tysięcy lat temu.

– I od tamtej pory nie zaobserwowano żadnych zmian kierunku pola?

– Nie.

– Niezwykłe. U nas mieliśmy to... Hak?

– Sześć lat temu – odezwał się Hak przez zewnętrzny głośnik.

– Mam rozumieć, że proces przebiegunowania zakończył się sześć lat temu?

– Tak.

– Ale zaczął się na pewno wieki wcześniej.

Ponter pokręcił głową.

– Zaczął się dwadzieścia pięć lat temu.

– Przepraszam, ale nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. – Arnold zrobił okrągłe oczy. – Całkowite odwrócenie pola magnetycznego Ziemi nastąpiło w zaledwie...ile? ... dziewiętnaście lat?

– Tak, zgadza się. Przed dwudziestu pięciu laty pole magnetyczne miało normalne natężenie. Potem doszło do jego zaniku. Przez następne dziewiętnaście lat planeta nie miała żadnego pola magnetycznego, a potem, sześć lat temu, pole ponownie się pojawiło.

– „Pojawiło”? – powtórzył zdziwiony Arnold. – Pan chyba żartuje.

– Kiedy żartuję, staram się być o wiele zabawniejszy – odparł Ponter.

– Ale... ale... zawsze sądziliśmy, że ten proces trwa setki, a może nawet tysiące lat.

– Dlaczego?

– No, ze względu na rozmiar Ziemi.

– Pole magnetyczne Słońca ulega odwróceniu co sto czterdzieści miesięcy, czyli co jedenaście lat, a Słońce jest jakiś milion razy większe od Ziemi.

– No tak, ale...

– Nie chciałbym zabrzmieć siwiej – zauważył Ponter.

– My też wiedzieliśmy bardzo niewiele o przebiegunowywaniu Ziemi, dopóki sami nie mieliśmy okazji zaobserwować tego zjawiska. Niektórzy nasi geologowie także byli zdumieni jego tempem.

– Całkowity zanik geomagnetyzmu, a potem jego powrót zabrał niecałe dwie dekady. Niesamowite.

– Był to bardzo interesujący okres dla fizyki – przyznał Ponter. – Nasi ludzie wiele się nauczyli o... chodzi mi o proces, w którym pole... na pewno macie na to jakieś określenie?

Arnold skinął głową.

– Geodynamo.

Ponter zmarszczył czoło. Niełatwa nazwa – dużo samogłosek. Na szczęście Hak mógł uzupełniać dźwięki trudne do wymówienia. Tylko w kwestii imion Ponter upierał się, aby Kompan mówił je dokładnie tak jak on sam.

– Właśnie. Wiele się nauczyliśmy o geodynamie.

– Bardzo chcielibyśmy poznać wasze spostrzeżenia – przyznał Arnold.

Ponter cieszył się, że Tukana śpi; pewnie i tak wyjawiał już za wiele informacji. Cały koncept wymiany danych nie odpowiadał zasadom, w które wierzył jako naukowiec. Uważał, że wiedzą trzeba się dzielić bez ograniczeń. Jednak na wszelki wypadek wolał zmienić temat.

– Czy INCO obawia się zmniejszenia popytu na nikiel w okresie zaniku pola magnetycznego? – Na obu wersjach Ziemi w kompasach powszechnie używano właśnie niklu, a złoża w okolicach Sudbury należały do największych na całej planecie.

– Co? Hm, nie zastanawiałem się nad tym – odparł Arnold.

Ponter spojrział na niego zdziwiony.

– Reuben mówił, że jesteś geologiem...

– To prawda, ale nie pracuję dla INCO. Jestem z Envi – ronment Canada. Przyleciałem z Ottawy, jak tylko otrzymaliśmy wieść, że na nowo został nawiązany kontakt z waszym światem.

– Aha – powiedział Ponter, choć wciąż nic nie rozumiał.

- Zajmuję się ochroną środowiska – wyjaśnił Arnold.
- Czy nie powinno to być celem wszystkich? – spytał Ponter, choć wiedział, że zabrzmiało to trochę nieszczerze.
- Tym razem znowu Arnold nie pojął aluzji.
- Oczywiście – przyznał. – Oczywiście. Ale mnie najbardziej interesuje to, co wasi ludzie wiedzą o wpływie zaniku pola magnetycznego Ziemi na środowisko. Liczyłem na dane z analiz geologicznych ... a tymczasem wy macie kompletne informacje na temat przebiegu całego procesu! Znakomicie!
- Nie zaobserwowaliśmy żadnego znaczącego wpływu tego zjawiska na środowisko. Niektóre ptaki wędrowne były zdezorientowane, i to tyle.
- No tak, nic dziwnego – stwierdził Arnold. – Jak się przystosowały?
- Ptaki, na które wpłynęły zmiany pola magnetycznego, mają w mózgach substancję posiadającą silne właściwości magnetyczne...
- Magnetyt – odpowiedział geolog. – Trzy atomy żelaza i cztery tlenu.
- Zgadza się. Wiele ptaków migrujących odnajduje drogę według gwiazd i tę umiejętność posiadała także część osobników z gatunków, które w określaniu kierunków polegały na magnetycie. Tak to już jest w przyrodzie: zróżnicowanie w obrębie danej populacji pozwala jej przetrwać, gdy zmienia się środowisko. A w przypadku najistotniejszych umiejętności zwykle istnieje jakiś plan B.
- Fascynujące – przyznał Arnold. – Fascynujące. Ale proszę mi powiedzieć, jak pierwotnie doszliście do tego, że pole magnetyczne Ziemi ulega okresowym zmianom? Dla nas to stosunkowo nowe odkrycie.
- Zmiany w biegunowości pola magnetycznego widoczne są w miejscach zderzenia meteorytów z powierzchnią planety.
- Naprawdę? – Jedyna, długa brew Arnolda – jak miło było zobaczyć kogoś, kto wyglądał normalnie, przynajmniej pod tym względem! –

powędrowała w górę czoła.

– Tak. Kiedy meteor żelazowonikłowy zderza się z powierzchnią Ziemi, pod wpływem tego uderzenia ustala się jego pole magnetyczne.

Arnold zmarszczył czoło.

– Rzeczywiście. To tak, jakby uderzyć młotkiem w żelazny pręt i zamienić go w magnes.

– Właśnie – potwierdził Ponter. – Ale skoro wy nie dowiedzieliście się tego na podstawie meteorytów, to jak doszliście do tego, że pole magnetyczne Ziemi ulega co jakiś czas odwróceniu?

– Na podstawie badań stref ryftowych – odparł geolog.

– Czego? – zdziwił się Ponter.

– Znana jest wam tektonika płyt? – spytał Arnold. – Dryf kontynentalny?

– To kontynenty dryfują? – Ponter zrobił zdziwioną minę, ale po chwili podniósł dłoń. – Nie, nie, tym razem naprawdę żartuję. Moi ludzie oczywiście o tym wiedzą. Przecież linie brzegowe Ranilass i Podlar musiały kiedyś być ze sobą połączone.

– Aa, chodzi o Amerykę Południową i Afrykę. – Arnold pokiwał głową i uśmiechnął się blado. – Rzeczywiście, to powinno być dla wszystkich zupełnie oczywiste, jednak całe dekady upłynęły, zanim ludzie zaakceptowali tę teorię.

– Dlaczego?

Arnold rozłożył ręce.

– Jest pan naukowcem; na pewno sam pan to rozumie. Stara gwardia uważała, że wie, jak działa świat, i nie zamierzała rezygnować ze swoich poglądów. Często w sytuacji, gdy konieczna jest odmiana modelu myślenia, tak naprawdę nie chodzi o przekonanie kogoś, aby zmienił zdanie. Trzeba poczekać, aż zmieni się pokolenie.

Ponter starał się ukryć zdumienie. Cóż za zadziwiające podejście do nauki reprezentowali Gliksini!

– Ostatecznie jednak – ciągnął Arnold – znaleźliśmy dowód na zjawisko dryfu kontynentalnego. Pośrodku oceanów znajdują się miejsca, w których magma wydostaje się spod płaszczu Ziemi, tworząc nowe skały.

– Domyślaliśmy się tego – przyznał Ponter. – W końcu skoro istnieją strefy, gdzie stare spychane są w dół...

– Strefy subdukcji – podsunął właściwy termin Arnold.

– Właśnie. Skoro są miejsca, w których stare skały idą w dół, wiedzieliśmy, że muszą istnieć takie, w których wypiętrzają się młode skały, choć oczywiście nigdy nie widzieliśmy tego na własne oczy.

– My pobraliśmy z nich próbki rdzeniowe – powiedział Arnold.

Tym razem zdziwiona mina Pontera była jak najbardziej szczerą.

– Ze środka oceanów?

– Tak. – Arnold wyraźnie się ucieszył, że choć w tej jednej dziedzinie jego ludzie wysuwają się na prowadzenie. – I jeśli przyjrzeć się skałom po obu stronach ryftów, z których wydostaje się magma, można zaobserwować symetryczne wzory, powstałe w wyniku utrwalania się pola magnetycznego w trakcie krzepnięcia skał – pasy o naprzemianległym normalnym i odwróconym namagnesowaniu.

– Godne podziwu – zauważył Ponter.

– Mamy swoje dobre momenty – przyznał Arnold. Uśmiechnął się i widać było, że tego samego spodziewa się po Ponterze.

– Słucham?

– To taka gra słów. Sam pan rozumie: „moment magnetyczny” – produkt odległości między biegunami magnesu oraz siłami oddziaływania każdego z biegunów.

– Aha – przytaknął Ponter. Ta gliksińska obsesja na punkcie gier słownych... Wątpił, by kiedyś zdołał ją zrozumieć.

Arnold wyglądał na zawiedzionego.

– Tak czy inaczej – powiedział – dziwię się, że u was pole magnetyczne zanikło, zanim nastąpiło to u nas. To znaczy, rozumiem model Benoit, według którego ten wszechświat oddzielił się od waszego czterdzieści tysięcy lat temu, w momencie narodzin świadomości. Ale nie pojmuję, co takiego ludzie na pańskim i moim świecie robili inaczej przez ostatnie czterysta stuleci, aby aż w takim stopniu wpłynęło to na geodynamo.

– To rzeczywiście zagadka – zgodził się Ponter.

Arnold wstał z krzesła.

– Ale dzięki temu rozwiązał pan moje wątpliwości bardziej, niż się spodziewałem.

Ponter skinął głową.

– Cieszę się. Na pewno... jak byście wy to ujęli?... Raz dwa przeleciecie przez okres zaniku pola magnetycznego. – Mrugnął. – W końcu nam się to udało.

Rozdział Dwunasty

Mary próbowała skupić się na pracy, ale myślami stale wracała do Pontera – nic dziwnego, skoro właśnie analizowała jego DNA.

Krzywiła się za każdym razem, gdy czytała popularnonaukowe artykuły próbujące wyjaśnić, dlaczego mitochondrialne DNA dziedziczone jest tylko po matce. Zwykle tłumaczono, że wyłącznie główka plemnika penetruje komórkę jajową, podczas gdy mitochondria znajdują się jedynie w jego wstawce i w witce. Ale choć rozmieszczenie mitochondriów w plemnikach rzeczywiście tak wyglądało, to nie było prawdą, że jedynie ich główki dostawały się do jaja. Mikroskopia oraz analizy DNA pozwoliły udowodnić obecność mtDNA ze wstawki plemnika w zapłodnionych komórkach jajowych ssaków. Tak naprawdę nikt nie wiedział, dlaczego mitochondrialne DNA ojca nie jest włączane do zygoty w taki sam sposób jak mtDNA matki; z jakiegoś powodu po prostu znikało, a wyjaśnienia, że nigdy tam nie trafia, były zupełnie nieprawdziwe.

Jednocześnie ze względu na to, że każda komórka zawiera tysiące mitochondriów i tylko jedno jądro, z okazów kopalnych o wiele łatwiej jest pozyskać DNA mitochondrialne, a nie jądrowe. Z żadnych szczątków neandertalskich znanych na tej Ziemi nie pobrano próbek jądrowego DNA, dlatego Mary skupiła się na mitochondrialnym DNA Pontera, porównując je z gliksińskim mtDNA. Nie widziała jednak żadnej sekwencji obecnej albo wyłącznie u Pontera i znanych kopalnych okazów neandertalczyków, albo tylko u Gliksinów.

Dlatego w końcu zajęła się jądrowym DNA Pontera. Przypuszczała, że tu znalezienie różnicy będzie jeszcze trudniejsze. I rzeczywiście, pomimo dokładnych analiz, nie widziała żadnej sekwencji nukleotydów, która ponad

wszelką wątpliwość różniłaby neandertalczyków od *Homo sapiens sapiens*: wszystkie startery pasowały do łańcuchów DNA obu typów ludzi.

Znudzona i sfrustrowana, czekając na koniec kwarantanny Pontera i na szansę odnowienia przyjaźni z nim, Mary postanowiła sporządzić kariotyp neandertalskiego DNA. W tym celu musiała najpierw doprowadzić kilka komórek Pontera do stadium tuż przed podziałem (ponieważ tylko w tej fazie chromosomy stają się widoczne). Następnie zastosowała kolchicynę, aby zatrzymać podział i unieruchomić chromosomy w stadium metafazy. Potem zabarwiła komórki – nazwa „chromosom” oznaczała „kolorowe ciało”, wskazując na tendencję tych składników komórki do łatwego „łapania” barwnika. Kolejny etap polegał na uporządkowaniu chromosomów według rozmiaru, od największego do najmniejszego, ponieważ w takiej właśnie sekwencji zwykle je numerowano. Ponter był mężczyzną, więc miał chromosomy X oraz Y, i podobnie jak u mężczyzn ze świata Mary, Y miał rozmiar jednej trzeciej X.

Mary posegregowała wszystkie pary, sfotografowała je i wydrukowała zdjęcie na atramentówce Epson. Potem zabrała się za oznaczanie par chromosomów, zaczynając od najdłuższych i kolejno przechodząc do coraz krótszych: 1, 2, 3...

Zadanie było bardzo proste. Co roku zadawała podobne studentom cytogenetyki. Wykonując je, myślami błędziła daleko: wyobrażała sobie Pontera i Adikora, i mamuty, i świat bez rolnictwa, i...

Cholera!

Musiała coś poplątać, ponieważ chromosomy X i Y okazały się dwudziestą czwartą, a nie dwudziestą trzecią parą.

Chyba że...

Rany, a jeśli Ponter miał trzy chromosomy 21? W takim przypadku on i prawdopodobnie wszyscy ludzie z jego świata mieli wadę, która u *Homo*

sapiens sapiens powodowała zespół Downa. Takie rozumowanie nie było pozbawione sensu; osoby z Downem miały inne rysy twarzy i...

Dobry Boże! – pomyślała Mary. – *Czyżby to było aż tak proste?* U osób z zespołem Downa rzeczywiście częściej zdarzały się przypadki białaczki... a czy nie ta choroba zabiła żonę Pontera? Poza tym zespół Downa łączono z nienormalnie wysokim poziomem hormonów tarczycy, które mają wpływ na cechy fizyczne – a zwłaszcza na układ rysów twarzy. Czy to możliwe, że wszyscy ludzie Pontera mieli trisomię 21. chromosomu – jedną niewielką różnicę, która u nich przejawiała się nieco inaczej niż u *Homo sapiens sapiens* i odpowiadała za wszystkie odmienne cechy obu rodzajów ludzkości?

Nie. Nie, to nie miało sensu. Jednym z objawów zespołu Downa, przynajmniej u *Homo sapiens sapiens*, była wiotkość mięśni; tymczasem u ludzi Pontera sytuacja wyglądała odwrotnie.

Poza tym Mary miała przed sobą parzystą liczbę par chromosomów, a zespół Downa występował przy nieparzystej. O ile nie przeniosła niechcący dodatkowych chromosomów z innej komórki, to Ponter miał ich dwadzieścia cztery pary i...

O mój Boże. O mój Boże.

Wyjaśnienie było jeszcze prostsze, niż sądziła.

Tak, tak, tak!

Udało się jej!

Znalazła odpowiedź.

Przedstawiciele *Homo sapiens sapiens* mieli po dwadzieścia trzy pary chromosomów. Ich najbliższymi krewnymi – przynajmniej na tej wersji Ziemi – były dwa gatunki szympanów i...

Oba miały po dwadzieścia cztery pary chromosomów.

Rodzaj *Pan* (szympany) oraz rodzaj *Homo* (wszystkie istoty ludzkie, współczesne i dawne) wywodziły się od tego samego przodka. Wbrew powszechnemu błędnemu przekonaniu, że ludzie ewoluowali z małp człekokształtnych, w rzeczywistości ludzie i małpy byli kuzynami. Badania genetycznej dywergencji ludzi i małp wskazywały, że wspólny przodek – brakujące ogniwo, którego nie udało się jeszcze odnaleźć – żył około pięć milionów lat temu w Afryce.

Ponieważ szympany miały dwadzieścia cztery pary chromosomów, a ludzie dwadzieścia trzy, można było tylko zgadywać, ile par posiadał ów wspólny przodek. Gdyby miał dwadzieścia trzy, oznaczałoby to, że gdzieś po rozejściu się dróg małp i ludzi jeden z chromosomów w linii szympansów rozdzielił się na dwa. Gdyby jednak miał dwadzieścia cztery pary, wówczas w linii *Homo* dwa chromosomy musiały się połączyć.

Do dziś – dokładnie do tej chwili, do tej sekundy – nikt na tej wersji Ziemi nie wiedział, który scenariusz jest właściwy. Teraz jednak wszystko stało się jasne jak słońce: zwykle szympany miały dwadzieścia cztery pary chromosomów; bonobo – inny ich gatunek – również dwadzieścia cztery. I Mary właśnie odkryła, że neandertalczycy także posiadali równe dwa tuziny. Fuzja dwóch chromosomów musiała nastąpić długo po oddzieleniu się małp człekokształtnych i ludzi. Co więcej, doszło do tego już po rozwidleniu się gałęzi *Homo* na dwie linie, które Mary teraz studiowała – a zatem najwyżej kilkaset tysięcy lat temu.

To dlatego ludzie Pontera nadal posiadali wielką siłę człekokształtnych małp, a nie wątlą budowę człowieka współczesnego. To dlatego mieli małpią fizjonomię z wałami nadoczodołowymi i bez bródki. Genetycznie byli podobni do małp człekokształtnych, przynajmniej pod względem liczby chromosomów. Właśnie w wyniku fuzji dwóch chromosomów – z wykładów z genetyki naczelnych Mary pamiętała, że chodziło o drugą i

trzecią parę – powstały różnice morfologiczne w wyglądzie dorosłej formy człowieka.

Sam powód różnic łatwo dało się określić: chodziło o neotenię, czyli o zachowanie u dorosłych przedstawicieli gatunku pewnych cech młodych osobników. Noworodki małych człekokształtnych, neandertalczyków i Gliksinów miały podobne czaszki z pionowym, pozbawionym wypukłości czołem i bez żadnych wystających elementów dolnej części twarzy. U przedstawicieli dwóch pierwszych grup wraz z ich rozwojem zmieniał się kształt czaszek. Tylko dorośli z grupy, do której zaliczała się Mary, zachowywali formę czaszek zbliżoną do dziecięcej.

U ludzi Pontera podczas dojrzewania wyraźnie zmieniała się także czaszka. Mógł za to odpowiadać właśnie ten jeden chromosom.

Mary przycisnęła dłonie do twarzy. Udało się jej! Znalazła to, o co chodziło Kriegerowi i...

I... *mój Boże.*

Skoro różnica polegała na odmiennej liczbie chromosomów, to neandertalczyki oraz jej rodzaj *Homo sapiens* nie byli tylko różnymi rasami ani nawet podgatunkami tego samego gatunku. Należeli do zupełnie odrębnych gatunków. Nie było więc potrzeby podwajania „myślącej” części w nazwie *Homo sapiens sapiens*, aby odróżnić ludzi Mary od ludzi Pontera, bo tych drugich nie można było nazywać *Homo sapiens neanderthalensis*. W taksonomii stanowili odrębną jednostkę: *Homo neanderthalensis*. Mary wiedziała, że wielu paleoantropologów ucieszy taka wieść – wielu też mogła potwornie wkurzyć.

Tylko...

Tylko że...

Tylko że Ponter należał do odrębnego gatunku! Widziała *Show Boat*, kiedy musical ten wystawiano w Toronto, z Cloris Leachman w roli Parthy.

Wiedziała, że krzyżowanie się ras było kiedyś ogromnym problemem, tyle że...

Tyle że nie tak nazywano kontakty płciowe człowieka z osobnikiem spoza własnego gatunku (nie, żeby ona i Ponter mieli taki zamiar).

Nie, tu właściwym określeniem była...

Mój Boże ~ pomyślała Mary.

Sodomia.

Ale...

Nie, nie.

Ponter nie był zwierzęciem. Mężczyzna, który ją zgwałcił!

– przedstawiciel *Homo sapiens* – to on był bestią, nie Ponter.

Ponter był dżentelmenem.

Wrażliwym mężczyzną.

I bez względu na liczbę chromosomów był człowiekiem – człowiekiem, którego bardzo chciała znowu zobaczyć.

Rozdział Trzynasty

W końcu, po trzech dniach, eksperci z laboratoriów epidemiologicznych i ośrodków epidemiologii z Kanady i USA uznali, że ambasador Tukana Prat i delegat Ponter Boddit są wolni od infekcji i mogą opuścić kwarantannę.

Ponter i Tukana, eskortowani przez żołnierzy i doktora Montego, pokonali długi tunel prowadzący do metalowej klatki windy i wyjechali na powierzchnię. Wieść, że są już w drodze, dotarła na górę przed nimi. W ogromnym pomieszczeniu ze stacją windy zebrało się mnóstwo górników i innych pracowników INCO.

– Na parkingu czeka cały tłum dziennikarzy – poinformowała Helenę Gagne. – Pani ambasador, naturalnie wygłosi pani krótką mowę?

Tukana uniosła brew.

– Jaką mowę?

– Powitalną. Zgodnie ze zwyczajem dyplomacji.

Ponter nie miał pojęcia, co to oznacza, ale w końcu nie on miał się zajmować takimi sprawami. Helenę wyprowadziła jego i Tukana z dużego pomieszczenia prosto w kanadyjską jesień. Było tu co najmniej o dwa stopnie cieplej niż na świecie Pontera, ale przecież spędzili pod ziemią trzy dni; różnica w temperaturze nie musiała nic znaczyć.

Ponter ze zdumieniem pokręcił głową, rozglądając się wokół. Nigdy nie opuszczał tego miejsca w pełni świadomości; wcześniej tylko raz wyjechał na powierzchnię – po tym, jak doznał urazu głowy. Dopiero teraz mógł naprawdę zobaczyć ogrom kopalni i dzieło tutejszych ludzi – gigantyczną wyrwę w ziemi, wielkie połacie terenów огоłocone z drzew i obszerny – jak oni to nazywali? – „parking”, zastawiony setkami osobistych pojazdów.

No i ten smród! Aż zakręciło mu się w głowie od wywołującego mdłości, obrzydliwego fetoru tego świata. Gdy Ponter opisał ten odór kobiecie Adikora, wyjaśniła mu, co może tak śmierdzieć: dwutlenek azotu, dwutlenek siarki oraz inne trujące gazy wydzielane w procesie spalania produktów petrochemicznych.

Ponter uprzedził Tukanę, czego może się spodziewać, i teraz pani ambasador dyskretnie próbowała zasłaniać nos dłonią. Z ogromną sympatią wspominał poznanych tu ludzi, ale zapomniał – albo nie chciał pamiętać – o tym, co zrobili ze swoją wersją Ziemi.

Jock Krieger siedział przy biurku, surfując po dwóch sieciach – po Internecie oraz po szerokim wachlarzu utajnionych witryn rządowych, dostępnych jedynie dzięki specjalnym liniom światłowodowym i to tylko dla osób posiadających odpowiednie upoważnienie do wglądu w informacje niejawne.

Nie lubił, gdy w rozmowie wypływa temat, którego nie rozumiał. Tylko niewiedza sprawiała, że czuł, iż nie kontroluje sytuacji. Teraz próbował nadrobić zaległości, wyszukując informacje na temat zaników pola magnetycznego Ziemi, zwłaszcza że z Sudbury otrzymał wieści, iż takie zjawiska mogą mieć bardzo szybki przebieg.

Spodziewał się znaleźć tysiące stron internetowych poświęconych temu problemowi, ale choć wszystkie serwisy informacyjne zdołały przez ostatni tydzień sklecić coś na ten temat, to przeważnie powtarzały te same trzy lub cztery opinie „ekspertów”. Rzetelnych opracowań tego zagadnienia było na prawdę niewiele. Co więcej, połowę wyników wyszukiwania stanowiły artykuły tak zwanych naukowcówkreacjonistów, którzy próbowali obalić dowody na zmiany pola magnetycznego zachodzące w prehistorii. Sama liczba tego typu zjawisk oznaczała, że trwałyby o wiele za długo, a przecież według kreacjonizmu Ziemia miała zaledwie kilka tysięcy lat.

Uwagę Jocka zwrócił abstrakt artykułu z „Earth and Planetary Science Letters” z 1989 roku, zatytułowanego *Evidence Suggesting Extremely Rapid Field Variation Duringa Geomagnetic Reversal*. [Dowody sugerujące niezwykle szybkie zmiany natężenia pola podczas przebiegunowania. Coe, RS., Prevot, M. „Earth and Planetary Science Letters”, vol. 92, no. 34, April 1989, p. 292298.] Obok podawano nazwiska autorów: Robert S. Coe i Michael Prevot, ten pierwszy z University of Cahfornia w Santa Cruz, drugi z Universite des Sciences et Techniques w Montpellier – tym we Francji, jak domyślał się Jock, a nie tym w Vermont. UCSC z całą pewnością należał do powszechnie poważanych uczelni, a ten drugi uniwersytet – kilka kliknięć myszą – tak, też zaliczał się do najlepszych. Tyle że cholerny artykuł nie był dostępny w sieci; nikt nie zadał sobie trudu, aby przygotować materiał w wersji elektronicznej. Dotyczyło to sporej części zasobów wiadomości sprzed 1990 roku. Jock westchnął. Musiał osobiście wybrać się do biblioteki, żeby zdobyć kopię artykułu.

Mary zeszła schodami do gabinetu jocka Kriegera na pierwszym piętrze. Zastukała do drzwi, zaczekała, aż Jock zawoła „proszę”, i weszła do środka.

– Już to mam – oznajmiła.

– W takim razie nie zbliżaj się za bardzo – odparł Jock, zamykając okno wyszukiwarki internetowej.

Mary była tak podekscytowana, że nawet nie pojęła żartu. Dopiero później dotarło do niej, co powiedział Krieger.

– Wiem, jak odróżnić Gliksinów od neandertalczyków.

Jock podniósł się z fotela Aeron.

– Jesteś pewna?

– Tak. To pestka. Neandertalczyki mają dwadzieścia cztery pary chromosomów, a my tylko dwadzieścia trzy. To ogromna różnica. Na poziomie genetycznym równie wielka jak różnica między mężczyzną i kobietą.

Siwe brwi Jocka uniosły się aż po jego zaczesane do góry włosy.

– Skoro tak, to dlaczego tyle to trwało?

Mary wyjaśniła, że niepotrzebnie skoncentrowała się na mitochondrialnym DNA.

– Aha. – Jock pokiwał głową. – Dobra robota. Bardzo dobra.

Mary uśmiechnęła się, ale po chwili spoważniała.

– Towarzystwo Paleoantropologiczne ma za kilka tygodni doroczne spotkanie. Chciałabym przedstawić tam nean – dertalski kariotyp. Prędzej czy później inni przygotowują własne, ale chciałabym zaprezentować mój jako pierwsza.

Krieger zmarszczył brwi.

– Przykro mi, Mary, ale podpisałaś umowę o tajności danych.

Mary nie zamierzała się tak łatwo poddawać.

– Tak, ale...

Jock podniósł rękę.

– Nie, masz rację. Przepraszam. Trudno mi się uwolnić od RANDowskiego sposobu myślenia. Oczywiście możesz opublikować swoje odkrycie. Świat ma prawo wiedzieć.

Helene Gagne ogarnęła wzrokiem setki dziennikarzy, którzy zebrali się na parkingu kopalni Creighton.

– Panie i panowie – powiedziała do mikrofonu na teleskopowym statywie – dziękuję wam za przybycie. W imieniu mieszkańców Ontario, obywateli Kanady i ludzi całego świata mam przyjemność powitać dwoje wysłanników z równoległej wersji Ziemi. Wiem, że niektórzy przedstawiciele mediów Znają już doktora Pontera Boddita, który tym razem przybywa do nas jako „delegat”. – Wskazała Pontera, który dopiero po chwili zrozumiał, że powinien potwierdzić w jakiś sposób jej słowa.

Podniósł rękę i entuzjastycznie pomachał. Jego gest, nie wiedzieć czemu, wywołał wśród gliksińskich dziennikarzy wesołość.

– A to – kontynuowała Helenę – jest ambasadorka neandertalczyków, Tukana Prat, która na pewno z chęcią powie do nas kilka słów. – Helenę najpierw spojrziała z wyczekiwaniem na Tukane, a potem gestem zaprosiła ją, by podeszła do mikrofonu.

– Cieszymy się, że tu jesteście – oznajmiła Tukana, po czym uprzejmie odsunęła się na bok.

Helenę spojrziała na nią przerażona i szybko zajęła jej miejsce.

– Pani ambasador Prat chciała przez to powiedzieć, że w imieniu mieszkańców swojego świata ma zaszczyt zapoczątkować oficjalne kontakty z ludźmi z naszej Ziemi i że liczy na owocny i wzajemnie korzystny dialog w sprawach, które są nam wspólne. – Popatrzyła na Tukane, błagając, aby ta jakoś potwierdziła te słowa. Tukana skinęła głową, a Helenę dodała: – Pani ambasador ma również nadzieję, że mieszkańcy obu światów znajdą mnóstwo okazji do wymiany handlowej i kulturowej. – Ponownie spojrziała na Tukane. Ambasadorka przynajmniej nie próbowała zaprzeczyć. – Poza tym chciałaby podziękować za gościnność INCO, Sudbury Neutrino Observato – ry, merowi miasta Sudbury, rządowi Kanady oraz Organizacji Narodów Zjednoczonych, przed której przedstawicielami wystąpi jutro. – Helenę raz jeszcze zerknęła na Tukane, wskazując jednocześnie mikrofon. – Prawda, pani ambasador?

Tukana po chwili wahania zbliżyła się do mikrofonu.

– Hm, no tak. Tak jak słyszeliście.

Dziennikarze ryknęli śmiechem.

Helenę przysunęła się do Tukany i zakryła dłonią mikrofon, ale Ponter i tak ją usłyszał.

– Czeka nas mnóstwo pracy przed jutrzejszym dniem.

Kiedy Mary wyszła z jego gabinetu, Jock Krieger spojrział przez okno. Wybierał swoje biuro jako pierwszy. Większość osób wolałaby widok na jezioro, tylko że wtedy okna wychodziłyby na północ, w kierunku przeciwnym niż Stany Zjednoczone. On wolał gabinet od południa, ale ponieważ siedziba grupy Synergia znajdowała się na wąskim półwyspie, za oknami miał piękną przystań. Przytknął złączone dłonie do twarzy i patrząc na swój świat, pogрузzył się w myślach.

Tukanę i Pontera zdumiał samolot Kanadyjskich Sił Lotniczych, który zabrał ich do Ottawy. Na neandertalskim świecie budowano wprawdzie helikoptery, ale odrzutowców nie znano.

Kiedy Tukana wreszcie oswoiła się z tym, że jest w powietrzu, zwróciła się do Helenę.

– Przepraszam – powiedziała. – Chyba nie spisałam się dziś tak, jak się tego po mnie spodziewano.

Helenę zmarszczyła czoło.

– No cóż, powiedzmy, że tutaj ludzie oczekują trochę więcej patosu i ceremonialności.

Tłumacz Tukany zapiszczał dwukrotnie.

– Trochę więcej uroczystych i podniosłych słów – wyjaśniła Helenę.

– Ale ty nie powiedziałaś nic istotnego – zauważyła Tukana.

Helenę się uśmiechnęła.

– Właśnie. Dziś wieczorem nie będą państwo mieli żadnych trudności, bo premier jest człowiekiem bardzo bezpośrednim. Na jutro jednak zaplanowano spotkanie ze Zgromadzeniem Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych, którego członkowie będą się spodziewali dłuższego przemówienia. – Gagne umilkła na moment, po czym dodała: – Proszę mi

wybaczyć te krytyczne uwagi, ale sądziłam, że są państwo zawodowymi dyplomatami.

– Ja jestem – odparła Tukana defensywnie. – Sporo czasu spędziłam w Evsoy, Ranilass i Nalkanu, reprezentując interesy Saldak. U nas podczas dyskusji od razu przechodzi się do szpiku sprawy.

– I nie obawiacie się, że ktoś poczuje się urażony taką bezceremonialnością?

– Właśnie dlatego ambasadorowie osobiście uczestniczą w takich rozmowach, zamiast odbywać je za pośrednictwem telekomunikatorów. Dzięki temu wyczuwamy feromony osób, z którymi dyskutujemy, a oni czują nasze.

– I sprawdza się to także wtedy, gdy przemawiacie przed dużym zgromadzeniem?

– O tak. Prowadziłam już negocjacje, w których uczestniczyło dziesięć, a nawet jedenaście osób.

Helenę ze zdziwienia rozdziawiła usta.

– Jutro na sali będzie tysiąc osiemset osób. Będą państwo w stanie wychwycić, czy któraś z nich poczuje się urażona państwa słowami?

– Nie, chyba że taki ktoś będzie blisko mnie.

– W takim razie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałabym udzielić pani kilku wskazówek.

Tukana skinęła głową.

– Pozwolę sobie użyć waszego określenia: cała zamieniam się w słuch.

Rozdział Czternasty

Mary wróciła do laboratorium na drugim piętrze i usiadła w czarnym, skórzanym fotelu obrotowym. Był to luksusowy mebel z rodzaju tych, jakie nie trafiały do gabinetów profesorów uniwersyteckich. Odwróciła się plecami do biurka i spojrzała przez duże okno na jezioro Ontario. Wiedziała, że Toronto znajduje się naprzeciwko Rochester, ale nawet w bezchmurny dzień niebyło stąd widać jej rodzinnego miasta. Przeciwległy brzeg znajdował się za linią horyzontu. W Toronto, niedaleko jeziora, wznosiła się najwyższa na świecie wolno stojąca konstrukcja, CN Tower. Mary miała nadzieję, że przynajmniej jej wierzchołek będzie wystawał ponad widnokrąg, ale...

Pamiętała, jak Ponter mówił, że popełnił błąd, programując Hakowi głos zmarłej żony, który zamiast go pocieszać, był bolesnym przypomnieniem tego, co stracił. Może więc dobrze, że nie widziała z okna żadnego fragmentu Toronto.

Słyszała, że latem w Seabreeze jest cudownie, ale właśnie zaczynała się jesień i robiło się tutaj coraz bardziej ponuro. Z czasem Mary polubiła wiadomości na kanale WROC – lokalnej filii CBS – tylko że w każdej prognozie pogody wspomniano o „wpływie jeziora”. Wcześniej, mieszkając na północnym brzegu tego samego jeziora, nigdy nie słyszała takiego określenia. W Toronto zimą rzadko padał śnieg, ale podobno w Rochester sypało bez przerwy, ponieważ chłodne masy powietrza znad Kanady łapały wilgoć, przemieszczając się nad wodami Ontario.

Mary napełniła kubek ulubioną kawą Maxwell House, dodała trochę czekoladowego mleka i upiła łyk. Bardzo polubiła tutejsze Ekstremalnie Czekoladowe Mleko Upstate Dairys, którego nie można było dostać w Toronto, podobnie jak znakomitego sosu cebulowego Heluva Good French

Onion Dip. Musiała przyznać, że kilka rzeczy wynagradza jej pobyt z dala od domu...

Dzwonek stojącego na biurku telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Odstawiła kawę. Niewiele osób znało jej nowy numer – a nie była to wewnętrzna linia grupy Synergia; tę zwiastował zupełnie inny sygnał.

Podniosła czarną słuchawkę.

– Halo?

– Profesor Vaughan? – odezwał się kobiecy głos.

– Tak.

– Mówi Daria.

Mary od razu zrobiło się weselej. Daria Klein była jej doktorantką na York University. Mary oczywiście podała swój numer osobom z wydziału. Przynajmniej tyle mogła zrobić, zważywszy że zostawiła ich tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego.

– Daria! – zawołała do słuchawki. – Jak miło cię słyszeć!

– W myślach zobaczyła wyrazistą, uśmiechniętą twarz szczupłej dziewczyny o kasztanowych włosach.

– Ja też się cieszę, że panią słyszę – odparła Daria. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Nie chciałam pisać w tej sprawie emaila. Wolałam powiedzieć o tym pani osobiście. – Mary dosłownie słyszała, jak Daria podskakuje z emocji.

– Powiedzieć o czym?

– O Ramzesie!

Mary najpierw chciała zażartować: „Wiesz, że to jest skuteczne tylko w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach”, ale się powstrzymała. Darii chodziło o starożytną egipską mumię, której DNA badała.

– Domyślam się, że masz już wyniki.

– Tak, tak! To rzeczywiście jest członek linii Ramzesów... prawdopodobnie Ramzes I! Możemy zanotować kolejne zwycięstwo badań prowadzonych metodą Vaughan!

Mary zarumieniła się lekko.

– To znakomicie. – Ucieszyła się, jednak to Daria wykonała mrówczą robotę sekwencjonowania i to jej należały się wyrazy uznania. – Gratulacje.

– Dziękuję. Ludzie z Emory są zachwyceni.

– To cudownie. Świetna robota. Jestem z ciebie dumna.

– Dziękuję.

– A co słyhać na uniwersytecie? – spytała Mary.

– Wszystko po staremu. Asystenci rozważają ogłoszenie strajku, szykuje się rzeź pierwszoroczników, a lokalne władze ogłaszają dalsze cięcia budżetowe.

Mary zaśmiała się ironicznie.

– Przykro mi to słyszeć.

– Nic na to nie poradzimy – przyznała Daria i na moment umilkła. – Jest jedna potworna wiadomość. Na terenie kampusu zgwałcono kobietę. Pisali o tym w „Excalibur”.

Serce Mary na sekundę zamarło.

– Boże – powiedziała. Ponownie obróciła się na fotelu i spojrzała za okno, wyobrażając sobie York.

– W dodatku stało się to niedaleko stąd. Obok budynku Farquharsona – dodała Daria.

– Napisali, kim była ofiara?

– Nie, nie podano żadnych szczegółów.

– A złapano gwałciciela?

– Jeszcze nie.

Mary głęboko wciągnęła powietrze.

– Uważaj na siebie, Dario. Bądź bardzo ostrożna.

– Oczywiście. Josh codziennie przychodzi po mnie do Pracy.

Josh – Mary nigdy nie mogła zapamiętać jego nazwiska – był chłopakiem Darii, studiował prawo w Osgoode Hall.

– To dobrze. Dobrze – A tak w ogóle – oznajmiła Daria tonem, który oznaczał, że nie chce rozmawiać na ponure tematy – to zadzwoniłam, żeby pani powiedziec o Ramzesie. Na pewno sporo będą o tym pisali w prasie. Jutro do laboratorium przychodzi ktoś z CBC.

– To wspaniale. – Myśli Mary pędziły jak oszalałe.

– Jestem strasznie nakręcona – stwierdziła Daria. – To niesamowite!

Mary się uśmiechnęła. Dziewczyna miała rację.

– Nie będę pani dłużej odrywać od pracy. Chciałam tylko przekazać najnowsze wieści. Niedługo zadzwonię znowu!

– Do usłyszenia – powiedziała Mary.

– Do usłyszenia – powtórzyła za nią Daria i się rozłączyła.

Mary chciała odłożyć słuchawkę, ale drżącą ręką nie trafiła na widełki.

Następny gwałt.

Ale czy tym razem sprawcą był ktoś inny?

A może... może...

Może to ta sama bestia, ten potwór, na którego ona nie doniosła?

Mary poczuła mdłości, tak jakby była w pikującym samolocie.

Cholera. Jasna cholera.

Gdyby wtedy zgłosiła gwałt... gdyby zaalarmowała policję, gazetę uniwersytecką...

Wprawdzie minęło kilka tygodni, odkąd została zaatakowana. Nie miała powodu przypuszczać, że chodzi o tego samego gwałciciela. Z drugiej jednak strony, jak długo utrzymuje się dreszcz emocji po napaści na kogoś?

Ile czasu trzeba na ponowne zebranie odwagi – potwornej, druzgocącej odwagi – aby znów popełnić tak straszną zbrodnię?

Mary ostrzegła Darię. Nie tylko teraz, ale i wcześniej, w emailu z Sudbury. Tylko że oprócz Darii na uniwersytecie były tysiące kobiet...

Kiedyś wykładała na wydziale Women's Studies i wiedziała, że według frazeologii feministycznej wszystkie dorosłe przedstawicielki płci żeńskiej powinno się nazywać kobietami. Tylko że sama miała teraz trzydzieści dziewięć lat – dzień jej urodzin minął niezauważony przez nikogo – a na pierwszym roku studiowały w York nawet osiemnastolatki. Owszem, były kobietami, ale były też młodymi dziewczynami, przynajmniej w porównaniu z Mary. Wiele z nich po raz pierwszy opuściło rodzinne domy. Dopiero zaczynały szukać własnej drogi w życiu.

I teraz czyhał na nie ten potwór. Ten zwyrodnialec, którego – być może przez nią – ominęła kara.

Ponownie wyjrzała przez okno. Tym razem cieszyła się, że nie widać stąd Toronto.

Chwilę później – nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło – drzwi do jej laboratorium się uchyliły i Louise Benoit zajrzała do środka.

– Hej, Mary, co powiesz na wspólny obiad?

Obróciła się z fotelem w jej stronę.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknęła Louise. – *Qu'estce quil y a de mai?*

Mary знаła francuski dość dobrze, by zrozumieć pytanie.

– Nic. Dlaczego pytasz?

Louise przeszła na angielski. Ton jej głosu zdradzał, że nie wierzy w zapewnienie koleżanki.

– Płakałaś.

Mary nieprzytomnie dotknęła dłonią policzka i odsunęła ją. Uniosła brwi ze zdziwienia.

– Och – powiedziała cicho. Nie miała pojęcia, jak inaczej mogłaby wypełnić ciszę.

– Co się stało? – raz jeszcze spytała Louise.

Mary zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Tutaj, w Stanach, Louise była najbliższą jej osobą. Keisha, pracownica centrum kryzysowego dla ofiar gwałtu, z którą Mary rozmawiała w Sudbury, wydawała się odległa o całe lata świetlne. Mimo to...

Nie. Nie chciała o tym rozmawiać; nie chciała mówić o swoim bólu.

Ani o poczuciu winy, które ją trapiło.

Musiała jednak coś powiedzieć.

– To nic takiego – odezwała się w końcu. – Tylko... – Wyciągnęła chusteczkę higieniczną ze stojącego na biurku pudełka i wytarła policzki. – Tylko ci mężczyźni...

Louise ze zrozumieniem pokiwała głową, tak jakby Mary mówiła o – jak ona by to nazwała? – o *affaire de coeur*, o romansie, który źle się zakończył. Mary przypuszczała, że Louise miała w życiu wielu partnerów.

– Właśnie, mężczyźni. – Louise przewróciła oczami. – Nie da się żyć z nimi i nie da się żyć bez nich.

Mary już miała przytaknąć, ale przypomniała sobie, że na świecie Pontera wygląda to inaczej. Chryste, przecież nie urodziła się wczoraj...

– To oni są odpowiedzialni za tak wiele problemów tego świata – stwierdziła.

Louise znowu skinęła głową. Chyba wyczuła zmianę tonu rozmowy, bo powiedziała:

– Przecież to nie kobiety stoją za większością ataków terrorystycznych.

Mary musiała przyznać jej rację, tylko że...

– Nie chodzi mi o mężczyzn w innych krajach. Mam na myśli także tych tutaj, w USA i w Kanadzie.

Louise z troską zmarszczyła czoło.

– Co się stało?

Mary wreszcie odważyła się powiedzieć prawdę, a przynajmniej jej część.

– Miałam telefon z Yorku. Na terenie kampusu zgwałcono kobietę.

– O Boże. Kogoś, kogo znasz?

Mary pokręciła głową, choć tak naprawdę nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Boże – pomyślała – a jeśli rzeczywiście był to ktoś, kogo znała? Jedna z jej studentek?

– Nie – powiedziała, tak jakby ruch głową niedostatecznie wyrażał to, co miała na myśli. – Ale ta wiadomość mnie przygnębiła. – Mary spojrzała na Louise – taką młodą i piękną – po czym spuściła wzrok. – To potworność – dodała.

Louise znowu skinęła głową, z podobnym zrozumieniem jak wcześniej. Mary poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Może ona też z doświadczenia znała to, o czym mówiły. Ale Mary nie mogła drążyć tego tematu, nie ujawniając swoich przeżyć, a na to nie była jeszcze gotowa.

– Mężczyźni potrafią być tacy okropni – powiedziała. Zabrzmiało to trochę jak opinia w stylu Bridget Jones, ale taka była prawda.

Do cholery, taka była prawda.

Rozdział Piętnasty

*C*eremonia nadania Ponterowi Bodditowi i Tukanie Prat obywatelstwa kanadyjskiego (bądź poświadczenia go – opinie biegłych różniły się w tej kwestii) odbyła się późnym popołudniem w budynkach kanadyjskiego parlamentu. Uroczystości przewodniczył minister obywatelstwa i imigracji, a obserwowali ją dziennikarze z całego świata.

Ponter starał się jak najlepiej wygłosić przysięgę, której nauczył się na pamięć pod okiem Helenę Gagne; błędnie wymówił tylko kilka słów: „Zaświadczam, że będę wiernym poddanym jej Wysokości Królowej Elżbiety II, Królowej Kanady, jej spadkobierców i następców, oraz że będę wiernie przestrzegał praw Kanady i wypełniał moje obowiązki jako kanadyjski obywatel”. Helenę była z niego tak zadowolona, że gdy skończył mówić, spontanicznie zaczęła bić brawo, czym ściągnęła na siebie surowe spojrzenie ministra.

Tukana miała więcej problemów z wymówieniem słów przysięgi, ale w końcu i jej się to udało.

Po uroczystości odbyło się przyjęcie, na którym podano wina i sery – Helenę zwróciła uwagę, że Pontera i Tukany nie interesowało ani jedno, ani drugie. Nie pili mleka ani nie jedli wyrobów mlecznych; nie przejawiali też żadnego zainteresowania produktami zbożowymi. Na szczęście Helenę przezornie nakarmiła gości przed ceremonią, aby wygłodniali nie rzucili się na tace z owocami i wędlinami, które także znalazły się na stołach. Ponterowi szczególnie smakowała montrealaska wędzona szynka.

Neandertalczyki otrzymali nie tylko certyfikaty obywatelstwa kanadyjskiego, ale też karty zdrowia prowincji Ontario oraz paszporty. Nazajutrz mieli polecieć do Stanów Zjednoczonych, ale wcześniej czekał ich jeszcze jeden obowiązek w Kanadzie.

– Obiad z kanadyjskim premierem przebiegał przyjemnie? – spytał Selgan, siedzący na siodłowym krześle w swoim okrągłym gabinecie.

Ponter przytaknął.

– Bardzo. Było tam wielu interesujących ludzi. Podano wspaniałe steki z krów z Alberty... to podobno część Kanady. Były też warzywa. Część z nich rozpoznałem, a innych nie.

– Chętnie spróbowałbym mięsa tej krowy – przyznał Selgan.

– Bywa bardzo dobre, ale to jedyny ssak, jakiego tam jedzą, oprócz udomowionego dzika, którego wyhodowali metodami selektywnego chowu.

– Aha. Tego też chętnie kiedyś skosztuję. – Selgan umilkł na moment. – Może podsumujmy, w jakim miejscu się znaleźliśmy. Udało ci się bezpiecznie wrócić na drugi świat, ale okoliczności nie pozwoliły ci jeszcze zobaczyć się z Mare. Spotkałeś się za to z najwyższymi urzędnikami kraju, w jakim się znajdowałeś. Dobrze cię karmiono i czułeś się...jak? Zadowolony?

– Tak, chyba można tak powiedzieć. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko że to zadowolenie nie trwało długo.

Po obiedzie w siedzibie premiera na Sussex Drive 24 Pontera odwieziono do hotelu Chateau Laurier, gdzie od razu oddalił się do olbrzymiego apartamentu, który dla niego przygotowano. Wystrój wnętrza był bardzo... – „bogaty”, to chyba było właściwe określenie. Na swoim świecie Ponter nigdy nie widział tak ozdobnych pomieszczeń.

Tukana razem z Heleną Gagne ponownie przystąpiły do pracy nad przemówieniem, z jakim ambasadorka neandertalskiego świata miała wystąpić przed Organizacją Narodów Zjednoczonych następnego dnia.

Ponter nie musiał tam nic mówić, ale z ciekawości spędził wieczór, czytając informacje o tym zgromadzeniu.

W zasadzie nie było to do końca prawdą, bo ani on, ani Hak nie umieli czytać w języku Gliksinów, ale Ponter skorzystał z otwieranego komputera, który dostał od kanadyjskiego rządu. Urządzenie miało wgraną encyklopedię oraz program syntezy mowy z irytującym mechanicznym głosem – ludzie Pontera mogli Gliksinów niejednego nauczyć w tej dziedzinie. Hak słuchał słów płynących z komputerowego głośnika, a potem tłumaczył je na neandertalski.

Na samym początku hasła o Organizacji Narodów Zjednoczonych znalazła się wzmianka o „Karcie NZ”, określanej jako dokument założycielski. Pontera przeraził jej początek:

My, Ludy Narodów Zjednoczonych, zdecydowane uchronić przyszłe pokolenia od klęski wojny, która dwukrotnie za naszego życia wyrządziła ludzkości niewypowiedziane cierpienia...

Dwie wojny – w ciągu jednego życia! W historii świata Pontera także zdarzały się wojny. Ostatnia miała miejsce niemal dwadzieścia kilomięsy temu. Nadal pamiętano jednak ogromne straty, jakie wówczas poniesiono, a cierpienia z pewnością nie były niewypowiedziane (Hak przetłumaczył to słowo jako „przemilczane”). Przeciwnie, każdy młody człowiek musiał poznać potworną prawdę o tym, że zginęło wówczas aż 719 ludzi.

Tyle tragedii i zmarnowanego życia! A tu proszę, Gliksini mieli nie jedną, lecz dwie wojny w okresie zaledwie tysiąca mięsy.

No ale przecież nie wiedział, ile lat ma ta Organizacja Narodów Zjednoczonych. Może słowa „za naszego życia” odnosiły się do naprawdę długiego okresu. Ponter poprosił Haka, aby posłuchał dalszej części hasła i sprawdził, czy uda mu się ustalić datę powstania tej instytucji. Kompan spełnił prośbę i po chwili podał rok: jeden-dziewięć-cztery-pięć.

Obecnie, według rachunków Gliksinów, był chyba rok dwacoś tam.

– Dokładnie jak dawno temu miało to miejsce? – spytał Ponter.

Słyszając odpowiedź Haka, opadł na oparcie fotela. „Życie”, o którym mówił dokument – to, w trakcie którego nie jedna, lecz dwie wojny spustoszyły ludzkość – było t y m życiem.

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o wojnie Gliksinów. Helenę otworzyła mu encyklopedię na hasło „Organizacja Narodów Zjednoczonych”, ale powoli zdołał jakoś rozpracować kompletnie nieintuicyjny interfejs.

– Jak wygląda słowo, które w ich języku oznacza „wojnę”?

Hak przeanalizował wcześniej słuchany tekst, porównując go z ciągami znaków wyświetlanymi na monitorze.

– To szósta grupa symboli od prawej strony w dziewiątej linii tekstu.

Pomagając sobie palcem, Ponter znalazł odpowiednie miejsce na płaskim ekranie.

– To chyba jakaś pomyłka – stwierdził. – W tej grupie jest tylko pięć znaków. – W języku neandertalskim wojnę określano terminem *mapartaltapa*. Odkąd po raz pierwszy zjawił się na tej Ziemi, często żałował, że nie zna się lepiej na lingwistyce – taka wiedza bardzo by mu teraz pomogła! Jednak dobrze pamiętał jedną zasadę: krótkie terminy rezerwowano zwykle dla powszechnych pojęć.

– Wydaje mi się, że mam rację – stwierdził Hak. – To słowo wymawia się „wojna”.

– Ale... och.

Ponter spojrzał na... na „klawiaturę” – tak się to nazywało. Odszukał wzrokiem dwa pierwsze znaki: „w” i „o”, ale nie widział nic, co by przypominało trzy następne: „j”, „n”, „a”.

– Jeśli zaznaczysz całe słowo, przypuszczam, że otworzy się odpowiednie hasło – odpowiedział Kompan.

Ponter przez jakiś czas zmagał się z reagującym na dotyk obszarem przed klawiszami, przesuając maleńką choinkę na ekranie. W końcu najechał nią na znaki i po chwili kombinowania zaznaczył słowo, którego szukał. Po lewej stronie ekranu pojawiła się lista pokrewnych haseł i...

Ponter coraz bardziej rozdziawiał usta, w miarę jak Hak odczytywał tematy.

wojna brytyjsko-amerykańska w 1812

wojna domowa w Hiszpanii

Wojna Dwóch Róż

wojna hiszpańsko-amerykańska

wojna koreańska

wojna secesyjna

wojna w Zatoce Perskiej

wojna wietnamska

I tak dalej i dalej.

Więcej i więcej.

I...

I...

Serce Pontera drgnęło nieprzyjemnie.

wojna światowa I

wojna światowa II

Chciał zakląć, ale w repertuarze miał tylko określenia wymyślone przez własny gatunek, odnoszące się do procesu rozkładu mięsa oraz pozbywania się odchodów. Żadne z nich nie wydawało się w tej chwili odpowiednie. Do

tego momentu nie rozumiał gliksińskiej potrzeby odwoływania się do domniemanej siły wyższej i wzywania istoty nadrzędnej, która mogła doszukać się sensu w szaleństwach człowieka. Właśnie takiego zwrotu teraz potrzebował. Cały świat w stanie wojny! Ponter aż bał się zajrzeć do haseł i poznać liczbę ofiar śmiertelnych. Pewnie sięgały tysiący...

Przesunął palcem po dotykowym ekranie i encyklopedia zaczęła mechanicznym głosem mówić do Haka.

W pierwszej wojnie światowej zginęło dziesięć milionów żołnierzy.

W drugiej wojnie światowej pięćdziesiąt pięć milionów ludzi – żołnierzy i cywilów – straciło życie z różnych przyczyn, których wymieniało całą listę: „bezpośrednia walka”, „śmierć głodowa”, „bombardowania”, „epidemie”, „ludobójstwo” oraz „promieniowanie” – choć Ponter nie miał pojęcia, co to ostatnie ma wspólnego z wojną.

Zrobiło mu się niedobrze. Wstał z fotela, podszedł do okna i spojrzał na nocną panoramę tego miasta, tej Ottawy. Helenę powiedziała mu wcześniej, że widoczny stąd wysoki budynek na Parliament Hill zwą Wieżą Pokoju.

Otworzył okno najszerzej, jak się dało – czyli niewiele – i wpuścił do środka odrobinę cudownie chłodnego powietrza. Pomimo smrodu trochę uspokoiło burzę w jego żołądku, ale nie mógł przestać kręcić głową.

Przypomniało mu się pytanie, które usłyszał od kochanego Adikora, gdy wrócił do domu po pierwszej wizycie na tym świecie: „*Czy są dobrymi ludźmi, Ponterze? Czy powinniśmy odnowić z nimi kontakt?*”.

Powiedział wtedy, że tak. Ponoślił odpowiedzialność za to, że doszło do ponownego kontaktu z tą rasą... z rasą morderców! Za pierwszym razem poznał zaledwie niewielki fragment tego świata i...

Nieprawda. Widział dość. Widział, co zrobili z przyrodą, jak zniszczyli wielkie obszary lądów, jak w niekontrolowany sposób się rozmnażali. Już wtedy wiedział, jacy są, ale...

Ponter raz jeszcze zaczerpnął krzepiąco chłodnego powietrza.

Wtedy myślał o tym, by znowu zobaczyć Mare. To pragnienie sprawiło, że był ślepy i głuchy na wszystko, co wiedział o Gliksinach. Teraz czuł mdłości nie z powodu szoku wywołanego tym, czego się właśnie dowiedział. Spowodowała je raczej świadomość, że rozmyślnie nie dopuszczał do głosu zdrowego rozsądku.

Raz jeszcze spojrzął na Wieżę Pokoju, wysoką i piaskową, z jakimś rodzajem czasomierza na szczycie. Stała dokładnie w sercu siedziby rządu kraju, w którym się teraz znajdował. Może... może Gliksini się zmienili. Stworzyli przecież tę organizację, którą miał odwiedzić następnego dnia, to ONZ, właśnie po to, aby chronić kolejne pokolenia przed potwornościami wojny.

Zostawił okno otwarte i podszedł do łóżka. Pomyślał, że chyba nigdy nie przywyknie do tych podniesionych, miękkich miejsc do spania, jakie lubią Gliksini. Położył się na plecach, ręce splótł pod głową i zapatrzył się na spiralne wzory w tynku na suficie.

Ponter i Tukana, w towarzystwie Helenę Gagne oraz dwóch ubranych po cywilnemu oficerów RCMP, zostali zabrani limuzyną na międzynarodowe lotnisko w Ottawie. Wcześniejszy lot z Sudbury do stolicy Kanady zachwyił oboje neandertalczyków: żadne nie widziało dotąd północnego Ontario – które było taką samą mieszanką sosen, jezior i skał jak ten obszar na ich wersji Ziemi – z tak cudownej perspektywy.

Początkowo nowoczesne technologie Gliksinów wywoływały w Ponterze poczucie niższości. Tutaj ludzie mieli samoloty, a nawet statki kosmiczne. Jednak to, czego dowiedział się poprzedniego wieczoru, uświadomiło mu, dlaczego osiągnięto tutaj taki postęp w tych dziedzinach. Przystudiował wiele haseł w encyklopedii.

To ona była pojęciem, wokół którego wszystko się kręciło – nic dziwnego, że jej nazwa zawierała tylko kilka liter.

To wojna sprawiła, że...

Nawet określenia, jakimi opisywali swoje osiągnięcia, brzmiały bojowo.

To wojna sprawiła, że zdobyli przestworza, że podbili kosmos.

Limuzyna zatrzymała się pod terminalem. Hak zwrócił uwagę Pontera, że słowem „terminal” nazywa się nie tylko dworzec lotniczy, ale też coś „końcowego”. Ponter pamiętał, jak wielki wydawał mu się budynek, gdzie przebierali się górnicy. Teraz miał przed sobą największą halę, jaką widział w życiu. W środku pełno było ludzi i ich feromonów. Ponterowi zaczęło się kręcić w głowie, poczuł się też skrępowany: wiele osób otwarcie gapiło się na niego i Tukanę.

Załatwili jakieś papierkowe formalności – których nawet nie starał się zrozumieć – a potem poprowadzono ich do dziwnej, dużej furtki. Helenę pouczyła ich, że powinni zdjąć medyczne pasy i położyć je na ruchomej taśmie, poradziła też, aby opróżnili kieszenie. Zrobili to, a potem, na znak Helenę, Ponter przeszedł przez bramkę.

Dzwonek alarmu przestraszył go.

Mężczyzna w mundurze zaczął wymachiwać wokół niego jakąś sondą. Urządzenie zapiszczało nad lewym przedramieniem Pontera.

– Proszę podwinąć rękaw – polecił mężczyzna.

Ponter po raz pierwszy słyszał takie wyrażenie, ale domyślił się, o co chodzi. Poluzował zapięcia rękawa i podciągnął materiał do góry, odsłaniając metalowo-plastikowy prostokąt Kompana.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w urządzenie, po czym mruknął pod nosem:

– Możemy go odtworzyć. Mamy technologię. [Znane powiedzenie „We can rebuild him.

We have the technology” pochodzi z telewizyjnego programu The Six Million Dollar Man, pokazującego, w jaki sposób połamane ciało byłego astronauty zostało odbudowane dzięki mechanicznym częściom. Steve Austin, grany przez Lee Majorsa, stał się w latach siedemdziesiątych ikoną popkultury po tym, jak jego nogi, prawa ręka i lewe oko zostały

wymienione w operacji, dzięki której świat poznał powiedzonko: „Panowie, możemy go odbudować. Mamy technologię”.]

– Słucham? – zdziwił się Ponter.

– Nic, nic – odparł mężczyzna. – Proszę przejść dalej.

Lot do Nowego Jorku trwał krótko – mniej niż pół decymy Tak samo jak poprzedniego dnia, Helenę przed podróżą ostrzegła Pontera, że z powodu szybko zmieniającego się ciśnienia powietrza może poczuć dyskomfort podczas lądowania, ale on nic nie zauważył. Może ta przypadłość dotyczyła tylko Gliksinów, którzy mieli małe zatoki.

Samolot musiał – jak powiadomiono ich przez głośniki – skrócić bardziej na południe i przelecieć dokładnie nad wyspą zwaną Manhattanem, aby przepuścić zwykły ruch lotniczy. *Tłok na niebie* – pomyślał Ponter. – *Zdumiewające!* Mimo wszystko był zachwycony. Poprzedniego wieczoru, gdy dość miał słuchania o wojnie, odszukał w encyklopedii hasło „Nowy Jork”. Dowiedział się, że w mieście jest mnóstwo wspaniałych budowli. Cieszył się, że będzie mógł zobaczyć je z powietrza. Zdołał dostrzec olbrzymią zieloną kobietę z posępną miną, trzymającą w górze pochodnię. Ale choć rozglądał się uważnie, nigdzie nie widział dwóch wież, które podobno górowały nad sąsiednimi budynkami, każda z niewiarygodną liczbą stu dziesięciu pięter.

Kiedy w końcu znaleźli się na ziemi, Ponter zapytał Helenę o brakujące „drapacze chmur” – to określenie według niego brzmiało bardzo poetycko.

Helenę sprawiała wrażenie okropnie zakłopotanej.

– Ach tak. Chodzi o wieże World Trade Center. Rzeczywiście, kiedyś były najwyższymi budynkami na całej planecie, ale... – Jej głos zadrżał nieznacznie, co zdziwiło Pontera.

– P-przykro mi, że to ja muszę panu o tym powiedzieć, ale...

– Znowu chwila wahania. – Ale zostały zniszczone przez terrorystów.

Hak zapiszczał, ale Tukana, która też poprzedniego wieczoru studiowała encyklopedię, pochyliła głowę w stronę Pontera.

– To wyjęci spod prawa Gliksini, którzy stosując przemoc, próbują wymusić zmiany polityczne lub społeczne – wyjaśniła.

Ponter pokręcił głową. Znowu zdumiał go świat, do którego przybył.

– W jaki sposób zniszczono te budynki?

Helenę znowu wahała się chwilę z odpowiedzią.

– Porwano dwa samoloty ze zbiornikami pełnymi paliwa i rozbito je o wieże.

Ponter zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Cieszył się tylko, że dowiedział się o tym dopiero, gdy bezpiecznie wyładowali.

Rozdział Szesnasty

Kiedy Mary miała osiemnaście lat, jej chłopak, Donny, wyjechał z rodzicami na wakacje do Los Angeles. Wtedy jeszcze poczta elektroniczna ani tanie rozmowy międzymiastowe nie były tak powszechne. Kontaktowali się korespondencyjnie. Na początku od Dona przychodziły długie, pisane maczkiem listy, pełne wiadomości i zapewnień, jak bardzo za nią tęskni i jak bardzo ją kocha.

Potem przyjemnie ciepłe dni czerwca minęły, ustępując miejsca lipcowym upałom i sierpniowej duchocie, a listy przychodziły coraz rzadziej i były coraz krótsze. Mary dobrze pamiętała dzień, w którym dostała wiadomość podpisaną samotnym imieniem Don, niepoprzedzonym słowem „Twój”.

Podobno odległość potęguje uczucie. Możliwe, że czasami tak jest. Może nawet teraz tak było. Minęły tygodnie, odkąd Mary ostatni raz widziała Pontera, a jej uczucia do niego pozostały takie same, a może nawet przybrały na sile.

No ale to było co innego. Gdy Ponter odszedł, ona wróciła do samotności – nawet nie do wolności, bo z Colmem była tylko w separacji. Rozwód oznaczałby ekskomunikę ich obojga, a ubieganie się o anulowanie małżeństwa uważała za hipokryzję.

Ponter czuł się samotny tylko tutaj. Wprawdzie był wdowcem, choć tak tego nie nazywał, ale kiedy wrócił do swojego świata, otoczyli go bliscy: jego partner Adikor Huld – Mary nauczyła się wszystkich imion na pamięć – i jego dwie córki, osiemnastoletnia fasmel Ket i ośmioletnia Megameg Bek.

Mary czekała na osiemnastym piętrze budynku Sekretariatu ONZ, aż Ponter skończy spotkanie, aby wreszcie go zobaczyć. Nie potrafiła skupić

się na lekturze, za bardzo się denerwowała. Żołądek podchodził jej do gardła, a w głowie kłębiły się różne myśli. Czy Ponter w ogóle ją rozpozna? Tu, w Nowym Jorku, na pewno widział mnóstwo blondynek przed czterdziestką; czy wszystkie wydawały mu się podobne? Poza tym miała teraz krótszą fryzurę niż w Sudbury i może z kilogram lub dwa więcej. Okropność.

Poprzednim razem odtrąciła go i może teraz, po powrocie na tę Ziemię, wcale nie chciał jej widzieć.

Nie. Niemożliwe. Wiedział przecież, że musiała się uporać z następstwami gwałtu. To, że nie potrafiła odwzajemnić jego zainteresowania, nie miało nic wspólnego z nim. Musiał to rozumieć.

Mimo to czuła, że...

Drgnęła. Drzwi się otworzyły i dobiegające zza nich przytłumione głosy nagle zabrzmiały głośno i wyraźnie. Zerwała się na równe nogi, nerwowo splatając ręce przed sobą.

– ...prześle państwu te dane – powiedział azjatycki dyplomata, oglądając się przez ramię na siwowłosą neandertalską kobietę. To musiała być pani ambasador Tukana Prat.

Jeszcze dwóch dyplomatów wyszło na korytarz i wreszcie...

Wreszcie w drzwiach pojawił się Ponter Boddit, z blond czupryną rozdzieloną dokładnie pośrodku i z niezwykle złotobrazowymi oczami. Mary uniosła brwi, ale Ponter jeszcze jej nie zauważył ani nie poczuł. Rozmawiał z jednym z dyplomatów. Tłumaczył coś o badaniach geologicznych i...

I wtedy jego wzrok spoczął na Mary. Uśmiechnęła się niepewnie, a on zrobił niewielki krok w bok, ominął stojących przed nim ludzi i jego twarz rozciągnęła się w trzydziestocentymetrowym uśmiechu, który Mary tak

dobrze znała. Błyskawicznie pokonał dzielącą ich przestrzeń i porwał ją w ramiona, przytulając mocno do swojej wielkiej piersi.

– Mare! – zawołał sam. Resztę przetłumaczył Hak. – Jak cudownie znów cię widzieć!

– Witaj z powrotem – odparła, przyciskając policzek do jego twarzy. – Witaj z powrotem!

– Co robisz w Nowym Jorku?

Mogła powiedzieć, że przyjechała licząc, że uda jej się pobrać próbkę DNA od Tukany; częściowo była to prawda. Nie musiała nic więcej tłumaczyć, ale...

– Chciałam cię zobaczyć – powiedziała szczerze.

Ponter jeszcze raz ją przytulił, po czym rozluźnił uścisk i się cofnął. Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej w twarz.

– Tak się cieszę.

Mary ze skrępowaniem uświadomiła sobie, że pozostali przyglądają się im obojgu. Po chwili Tukana odchrząknęła, zupełnie tak, jak zrobiłby to w takiej sytuacji Gliksin.

Ponter obrócił głowę i spojrzał na ambasadorkę.

– Och. Wybacz. To jest Mare Vaughan, genetyczka, o której ci mówiłem.

Mary zrobiła krok do przodu, wyciągając przed siebie rękę.

– Witam, pani ambasador.

Tukana ujęła dłoń Mary w swoją i uściśniła ją z zadziwiającą siłą. Mary przyszło do głowy, że już przy powitaniu mogłaby zebrać sporo komórek Tukany, gdyby chciała zrobić to podstępem.

– Miło mi cię poznać – powiedziała ambasadorka. – Nazywam się Tukana Prat.

– Tak, wiem – odparła Mary z uśmiechem. – Czytałam o pani w gazetach.

– Mam wrażenie, że oboje z delegatem Bodditem chcielibyście spędzić trochę czasu sam na sam – zauważyła Tukana i nie czekając na odpowiedź zwróciła się do gliksińskiego dyplomaty: – Może przejdziemy do gabinetu i przejrzymy razem dane na temat rozprzestrzeniania się populacji?

Dyplomata skinął głową i całe towarzystwo opuściło korytarz, zostawiając Pontera i Mary samych.

– I? – odezwał się Ponter, ponownie zagarniając Mary w ramiona. – Jak się czujesz?

Nie miała pojęcia, czy to jej serce wali tak mocno, czy jego.

– Teraz, gdy wreszcie tu jesteś, już dobrze – odparła.

*

Na sali obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ rzędy koncentrycznie ustawionych foteli stały przodem do centralnej sceny. Ponter ze zdziwieniem przyglądał się twarzom siedzących tam osób. W Kanadzie zauważył dużą różnorodność kolorów skóry oraz rysów. Podobnie było w Stanach Zjednoczonych. Tutaj, na tej ogromnej auli, widział tę samą rozmaitość odcieni. Jeśli, tak jak mówiła Mary, ludzie różnych kolorów rzeczywiście mogli mieć wspólne potomstwo, to według opinii Lurt taka niejednorodność niemal na pewno wynikała z długotrwałej izolacji geograficznej każdej z grup.

Pontera zdziwiło to, że przedstawiciele każdego kraju byli tego samego koloru – nawet Kanada i Stany Zjednoczone miały w ONZ tylko jasnoskórych reprezentantów.

Poza tym był przyzwyczajony, że na jego świecie rady albo składały się wyłącznie z przedstawicieli jednej płci, albo miały równą liczbę mężczyzn i kobiet. Tutaj jednak mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć procent stanowili mężczyźni. Panie miały bardzo nieliczną reprezentację. Ponter zaczął się

zastanawiać, czy to możliwe, że wśród „ras” – jak nazywała je Mary – istniała hierarchia i jasnoskórzy mieli największe wpływy? Ponadto gliksińskim kobietom przyznawano być może niższy status, jedynie z rzadka dopuszczając je do najważniejszych szczebli władzy?

Pontera zaskoczył także młody wiek większości dyplomatów. Niektórzy wyglądali na młodszych od niego! Mare kiedyś wspomniała, że farbuje włosy, aby ukryć siwy kolor. Jemu wydawało się to niepojęte: ukrywanie siwizny oznaczało ukrywanie mądrości. Gliksińscy mężczyźni mieli mniejszą skłonność do barwienia włosów – może w ich mądrość częściej wątpiono? Tak czy inaczej, w grupie, której się teraz przyglądał, siwych głów było niewiele.

Jego obawy rozwiały się odrobinę, gdy przewodniczącym – którego tytułowano dziwnym zwrotem „sekretarz generalny”

– okazał się ciemnoskóry mężczyzna z rozsądną liczbą miesięcy na karku. Helenę Gagne szepnęła Ponterowi do ucha, że ten człowiek niedawno otrzymał pokojową nagrodę Nobla, cokolwiek to oznaczało.

Pontera posadzono razem z delegacją kanadyjską. Niestety Mare odmówiono wstępu na główną salę, ale podobno mogła obserwować obrady z galerii wysoko w górze. Nad podium znajdowała się olbrzymia wersja bladoniebieskiego emblematu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Choć Ponter pojmował, gdzie się znajduje, to jakaś emocjonalna część jego wciąż uważała, że ten dziwny świat nie ma nic wspólnego z jego Ziemią. Centralną część emblematu stanowiła mapa planety w rzucie od strony bieguna. Wyglądała dokładnie tak samo jak podobne mapy na jego świecie. Otaczały ją gałęzie jakiejś rośliny. Ponter zapytał Helenę, co oznaczają; odparła, że to gałązki drzewa oliwnego, symbol pokoju.

Wieża Pokoju. Pokojowa nagroda. Liście pokoju. Pomimo skłonności Gliksinów do wojen wyglądało na to, że bardzo zależy im na pokoju.

Pontera pocieszało trochę to, że słowo „pokój” ma tyle samo sylab co słowo „wojna”.

Po długiej mowie wstępnej, wygłoszonej przez sekretarza generalnego, przysłała kolej Tukany. Pani ambasador wstała z miejsca i zbliżyła się do podium, podczas gdy zgromadzeni na auli Gliksini wykonywali czynność, którą zwano tu „oklaskiwaniem”. Tukana trzymała niewielką skrzynkę z wypolerowanego drewna, którą postawiła na pulpicie.

Sekretarz generalny uściśnął jej dłoń, po czym opuścił podium.

– Witajcie, ludy tej Ziemi – powiedział implant Tukany, tłumacząc jej słowa; Helenę włożyła sporo wysiłku w wyjaśnienie Kompanowi pojęcia „ludów”, mnogiej formy słowa, które samo w sobie oznaczało mnogość. – Pozdrawiam was w imieniu Najwyższej Rady Siwych mojego świata oraz jego mieszkańców.

– Po raz pierwszy jeden z nas – Tukana skinęła głową w stronę Pontera – pojawił się tu przypadkiem. Tym razem przybyliśmy tu w wyniku celowego działania, niecierpliwie wyczekiwanego przez moich ludzi. Cieszy nas możliwość zapoczątkowania trwałych, pokojowych relacji z każdą z reprezentowanych tutaj nacji...

Pani ambasador kontynuowała przemówienie w tym tonie, mówiąc niewiele istotnych rzeczy, ale Gliksini – jak zwrócił uwagę Ponter – wsłuchiwali się w każde jej słowo. Ci znajdujący się bliżej niego dyskretnie mu się przyglądali, najwyraźniej zafascynowani jego wyglądem.

– A teraz mam przyjemność dokonać pierwszej wymiany między dwoma rodzajami ludzkości – oznajmiła Tukana. Widać nadszedł moment, gdy należało przejść do szpiku spraw. Ambasadorka zwróciła się do ciemnoskórego mężczyzny, który stał obok podwyższenia. – Jeśli mogę...?

Sekretarz Generalny wrócił na podium, niosąc drugą drewnianą skrzynkę. Tukana otworzyła swoją. Ponter domyślał się, że niedawno

przysłano ją przez portal.

– W tym pudełku znajduje się dokładny model czaszki antropologicznego okazu z naszego świata – wyjaśniła Tukana. – Jego odpowiednik na tej wersji Ziemi określany jest mianem AL 2881. To przedstawicielka grupy nazywanej tutaj *Australipithecus afarensis*, znana także jako „Lucy”. – Tukana poleciła Kompanowi wymówić to imię z odpowiednim fonemem „i”.

Przez salę przebiegł pomruk. Ponterowi wcześniej objaśniono znaczenie takiego daru. Na obu wersjach Ziemi – w miejscu, które Gliksini określali jako Hadar, w Etiopii, oraz w północnowschodniej części Kakarana na świecie Pontera – procesy erozji gleby odsłoniły szczątki szkieletu dorosłej kobiety. Jednakże przebieg zjawisk pogodowych nie był jednakowy. Na tej wersji świata – z Nowym Jorkiem, Toronto i Sudbury – czaszka okazu została w dużym stopniu zniszczona przez czynniki erozyjne, zanim Donald Johnson odkrył ją w roku, który Gliksini określali jako 1974. Natomiast w świecie Tukany i Pontera szkielet odnaleziono, zanim doszło do znacznych jego uszkodzeń. Ponter wiedział, że to doskonały podarunek, podkreślający fakt, że na obu światach istnieją takie same skamieniałości i złoża minerałów, a wymiana informacji o ich lokalizacji bez wątpienia byłaby korzystna dla obu stron.

– Z wdzięcznością przyjmuję ten dar w imieniu wszystkich mieszkańców tej Ziemi – powiedział ciemnoskóry mężczyzna. – A w zamian, proszę, przyjmijcie nasz prezent. – Podał Tukanie skrzynkę. Otworzyła ją i wyjęła ze środka kawałek skały zatopionej w przezroczystym plastiku. – To fragment skały bazaltowej, przywieziony przez Jamesa Irwina z Hadley Rille. – Sekretarz zrobił pauzę dla efektu, z wyraźną przyjemnością widząc, że Tukana nie ma pojęcia, o czym on mówi. – Hadley Rille – wyjaśnił – znajduje się na Księżycu.

Tukana zrobiła wielkie oczy. Pontera także wprawiło to w osłupienie. Kawalek Księżyca! Jak mógł w ogóle wątpić, czy słusznie postąpili, wracając do tych ludzi!

Rozdział Siedemnasty

Mary zbiegła schodami do holu budynku ONZ. Ponter i Tukana właśnie wychodzili z sali obrad Zgromadzenia Ogólnego, otoczeni przez czterech umundurowanych policjantów, pełniących rolę ochroniarzy. Mary ruszyła ku neandertalczykom, ale jeden z oficerów zastąpił jej drogę.

– Przykro mi, nie mogę pani przepuścić – oznajmił.

Mary zawołała Pontera po imieniu. Odwrócił się w jej stronę.

– Mare! – usłyszała jego własny głos, a potem tłumaczenie Kompana: – Ona może przejść, oficerze. To moja przyjaciółka.

Policjant skinął głową i odsunął się na bok. Mary minęła go i zbliżyła się do Pontera.

– Jak według ciebie wypadliśmy? – spytał.

– Wspaniale. Czyj to był pomysł, żeby zrobić model waszej czaszki Lucy?

– Jednego z geologów pracujących dla INCO.

Mary z podziwem pokręciła głową.

– Doskonały wybór.

– Właśnie opuszczamy ten budynek i udajemy się na coś do jedzenia. Zechcesz nam towarzyszyć? – zaproponowała Tukana Prat.

Mary się uśmiechnęła. Ambasadorka nie miała być może wielkiej wprawy w sprawach dyplomacji, ale była ujmującą osobą.

– Bardzo chętnie – odparła Mary.

– W takim razie chodźmy. Mamy..hm, jak wy na to mówicie? Rezerwację? W jadłodajni niedaleko stąd.

Mary cieszyła się, że zabrała płaszcz. Ponter i Tukana sprawiali wrażenie, jakby było im dostatecznie ciepło bez wierzchnich okryć. Oboje mieli na sobie spodnie, które Mary już wcześniej widziała u Pontera,

zakończone pokrowcami na stopy: Ponter ciemnozielone, a Tukana rdzawoczerwone. Oboje włożyli też podobne koszule z zapięciami na ramionach.

Mary na moment spojrzała w górę, na wieżę ONZ – wielką bryłę, której kształt wyraźnie rysował się na tle słońca. Oprócz niej neandertalczykom towarzyszyła dwójka amerykańskich i dwójka kanadyjskich dyplomatów. Czterech policjantów zajęło miejsce na skraju tej niewielkiej grupy, przemieszczającej się pasażem.

Tukana szła razem z dyplomatami. Ponter i Mary zostali nieco w tyle, pochłonięci rozmową.

– Jak się miewa twoja rodzina? – spytała Mary.

– Dobrze. Ale nie uwierzysz, co się stało podczas mojej nieobecności. Mój partner, Adikor, został oskarżony o zamordowanie mnie.

– Naprawdę? Dlaczego?

– To długa historia, jak wy byście powiedzieli. Na szczęście na czas wróciłem na swoją Ziemię i zostałem oczyszczony z zarzutów.

– I teraz już wszystko jest u niego w porządku?

– Tak. Mam nadzieję, że kiedyś go poznasz. Jest...

Trzy dźwięki rozległy się niemal równocześnie: ciche „uf” Pontera, krzyk jednego z policjantów i głośny huk, przypominający grzmot pioruna.

Ponter osunął się na ziemię. Mary błyskawicznie zrozumiała, co się stało. Padła na kolana obok niego i zaczęła macać jego zakrwawioną koszulę, szukając rany postrzałowej, aby zatamować krwawienie.

Piorun? – pomyślała Tukana. Nie, to niemożliwe. Niebo, choć śmierzące, było bezchmurne.

Odwróciła się i spojrzała na Pontera, który – *cóż to?* – leżał twarzą do dołu na chodniku, w powiększającej się kałuży krwi. Ten huk... ktoś użył broni na pociski – wystrzelił? – taki chyba był poprawny termin i...

Nagle Tukana poczuła, jak leci do przodu. Upadła twarzą do ziemi, uderzając wielkim nochem w chodnik.

Jeden z gliksińskich egzekutorów wskoczył jej na plecy, przyciskając ją do ziemi i zasłaniając własnym ciałem. Szlachetny gest, owszem, ale Tukanie zupełnie to nie odpowiadało. Sięgnęła do tyłu, złapała egzekutora za ramię i przerzuciła go nad sobą, tak że zdumiony wylądował przed nią na plecach. Zerwała się na równe nogi. Choć z nosa ciekła jej krew, bez trudu wyłowiła chemiczny zapach, jaki towarzyszy strzałowi z broni. Obróciła głową w lewo, potem w prawo, i...

Tam! Oddalający się człowiek, a w jego ręku...

Śmierdząca broń.

Tukana puściła się pędem za nim. Jej masywne nogi zadudniły o ziemię.

– Ponter został trafiony w prawe ramię – poinformował Mary Hak przez zewnętrzny głośnik. – Jego puls jest szybki i słabnie. Ciśnienie krwi spada, podobnie jak temperatura ciała.

– Jest w szoku. – Mary wciąż badała ramię Pontera. Wreszcie znalazła miejsce, w które trafił pocisk, jej palec wsunął się w ranę aż po drugi kłykieć. – Wiesz, czy kula przeszła na wylot?

Jeden z policjantów stał teraz nad Mary; drugi przez radio wzywał pogotowie. Trzeci pospiesznie wprowadzał amerykańskich i kanadyjskich dyplomatów z powrotem do budynku.

– Nie jestem pewien – odparł Hak. – Nie zarejestrowałem jej wyjścia. – Na moment umilkł. – Ponter traci za dużo krwi. W jego zestawie medycznym jest kauteryzujący skalpel laserowy. Otwórz trzecią kieszeń po prawej stronie.

Mary wyciągnęła coś, co wyglądało jak gruby, zielony długopis.

– To? – spytała.

– Tak. Przekręć dolną część obudowy skalpela tak, aby symbol z dwiema kropkami znalazł się na tej samej linii z trójkątem na drugiej części.

Mary przyjrzała się urządzeniu i wypełniła polecenie Haka.

– Tak dobrze? – spytała, podtykając skalpel pod obiektyw Kompana.

– Prawidłowo – ocenił Hak. – Teraz postępuj dokładnie według moich instrukcji. Otwórz koszulę Pontera.

– Jak?

– Zamknięcia są wzdłuż ramion. Otwierają się przy jednoczesnym ściśnięciu z obu stron.

Mary spróbowała otworzyć jedno, rzeczywiście odemknęło się bez trudu. Powtórzyła tę operację jeszcze kilka razy, dopóki nie odsłoniła całego lewego ramienia i ręki Pontera. Z rany płynęła jasnoczerwona krew, wypełniając zagłębienia w jego muskulaturze.

– Skalpel uruchamia się przyciśnięciem niebieskiego kwadratu... widzisz go?

– Tak. – Mary kiwnęła głową.

– jeśli wciśniesz go do połowy, laser się włączy, ale na niższej mocy i będziesz widziała, gdzie kierujesz jego promień. Wciskając go do końca, włączysz pełną moc lasera i zamkniesz uszkodzoną tętnicę.

– Rozumiem. – Mary palcami rozszerzyła ranę tak, by odsłonić jej wnętrze.

– Widzisz tętnicę? – spytał Hak.

Było za dużo krwi.

– Nie.

– Wciśnij aktywator do połowy.

Jasnoniebieski punkt pojawił się pośrodku rany.

– Dobrze – powiedział Hak. – Uszkodzenie znajduje się jedenaście milimetrów od miejsca, w które celujesz, na linii między obecnym punktem a lewym sutkiem Pontera.

Mary odpowiednio ustawiła promień, jednocześnie podziwiając pole widzenia, jakie zapewniały Hakowi jego skanery.

– Trochę dalej – poinstruował Kompan. – Tutaj! Stop! Teraz użyj pełnej mocy.

Niebieski punkt błysnął jaśniej i Mary poczuła lekki zapach spalenizny.

– Jeszcze raz! – polecił Hak.

Ponownie wcisnęła kwadrat.

– I dwa milimetry dalej... nie, w drugą stronę. Tu! Jeszcze raz!

Włączyła laser.

– Teraz przesun go dalej, dokładnie o taką samą odległość. Tak. Znowu!

Mocno wcisnęła niebieski kwadrat przycisku i znowu poczuła woń przyżeganych tkanek.

– To powinno wystarczyć do chwili, gdy zajmie się nim lekarz – ocenił Hak.

Złote oczy Pontera otworzyły się z drżeniem.

– Trzymaj się – powiedziała Mary, patrząc prosto w nie i biorąc go za rękę. – Pomoc jest już w drodze. – Zdjęła płaszcz i okryła nim Pontera.

*

Tukana Prat goniła mężczyznę, który strzelił do Pontera. Jeden z gliksińskich egzekutorów krzyknął: „Stój!”. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że polecenie skierowane było do niej, a nie do uciekającego. Tylko że żaden z egzekutorów nie potrafił biegać tak szybko jak ona; gdyby zrezygnowała z pościgu, mężczyzna z bronią na pewno zdołałby uciec.

Część jej umysłu próbowała analizować sytuację. Z tego, co wiedziała, broń mogła być śmiertelnie niebezpieczna, ale minął już moment zaskoczenia. Raczej nie należało się obawiać, że... „napastnik” – to chyba było właściwe słowo – odwróci się i ponownie wystrzeli. Wyglądało zresztą na to, że myśli teraz wyłącznie o ucieczce, a ponieważ był Gliksinem, nie przyszło mu do głowy, że dopóki nie wypuści z ręki broni, z której niedawno oddał strzał, Tukana bez trudu go wyśledzi.

Na ulicy panował tłok, ale z łatwością przedostawała się wśród tłumów. Ludzie pospiesznie usuwali się z drogi, robiąc miejsce rozpędzonej neandertalskiej kobiecie.

Mężczyzna, którego goniła – bo był to gliksiński samiec – wydawał się niższy niż większość ludzi jego rodzaju. Tukana błyskawicznie zmniejszała dzielącą ich odległość; już prawie mogła go dosięgnąć.

Musiał usłyszeć grzmiące odgłosy kroków za sobą. Zaryzykował i obejrzał się przez ramię, jednocześnie wyciągając do tyłu rękę, w której trzymał broń.

– Celuje prosto w nas – zakomunikował Kompan Tukany prosto w jej implanty ślimakowe.

Krwawiący nos niczego jej nie utrudniał; drogi oddechowe miały wystarczające rozmiary, aby poradzić sobie z ogromnym zapotrzebowaniem na powietrze w trakcie biegu. Tukana wręcz czuła, że sił jej przybywa, a nie ubywa, w miarę jak do mięśni docierało coraz więcej tlenu. Zrobiła jeszcze jeden krok, odbiła się od ziemi i skoczyła do przodu, pokonując dystans dzielący ją od Gliksina. Mężczyzna wystrzelił, ale nie trafił. Wśród tłumu rozległy się krzyki. Tukana miała nadzieję, że wywołał je tylko strach; że kula przeznaczona dla niej nie trafiła w kogoś innego.

Zwaliała się na mężczyznę, popychając go mocno do przodu, na chodnik. Oboje sunęli po ziemi jeszcze przez długość kilku kroków. Tukana słyszała

dudnienie stóp zbliżających się egzekutorów. Gliksin pod nią próbował wykręcić się tak, aby móc znowu strzelić. Tukana chwyciła masywną dłoń za tył jego dziwnie trójkątnej, wąskiej głowy i...

Nie miała innego wyboru. Tylko to mogła zrobić...

Pchnęła głowę napastnika w dół, prosto w sztuczny kamień pokrywający ziemię, roztrzaskując czaszkę, której przód pękł jak dojrzały arbuz.

Czuła, jak wali jej serce. Przez chwilę starała się zapanować nad oddechem.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że trzech egzekutorów jest tuż obok. Rozstawili się przed nią i trzymając broń oburącz, wycelowali w powalonego mężczyznę.

Gdy podniosła się z ziemi, zobaczyła przerażenie na twarzy jednego z Gliksinów.

Egzekutor stojący pośrodku zgiął się wpół i zwymiotował.

Trzeci z szeroko otwartymi oczami powtarzał tylko: „Jezu Chryste”.

Tukana spojrzała na martwego, martwego, martwego mężczyznę, który strzelał do Pontera.

I gdy tak stała, dobiegło ją zbliżające się wycie syren.

Rozdział Osiemnasty

– Stan kryzysowy! – wołał Jock Krieger, biegnąc korytarzem rezydencji w Rochester. – Wszyscy do sali konferencyjnej!

Louise Benoit wystawiła głowę przez drzwi swojego laboratorium.

– Co się stało?

– Sala konferencyjna! – krzyknął Jock, oglądając się przez ramię. – Natychmiast!

W niecałe pięć minut wszyscy zebrali się w pomieszczeniu, które dawniej, gdy w rezydencji mieszkali ludzie, było okazałym salonem.

– Słuchajcie – odezwał się Jock. – Czas zapracować na wasze wielkie pensje.

– Co się dzieje? – spytała Lily z zespołu fotooptyków.

– Przed chwilą w Nowym Jorku NO został trafiony – wyjaśnił Krieger.

– Strzelano do Pontera? – Louise ze zdumienia zrobiła okrągłe oczy.

– Zgadza się.

– Czy on...?

– Żyje. W tej chwili tylko tyle wiem o jego stanie.

– A co z ambasadorką? – zapytała Lily.

– Jej nic nie jest, ale zabiła mężczyznę, który strzelał do Pontera.

– O Boże – wyrwało się Kevinowi z grupy fotooptyków.

– Na pewno wszyscy wiecie, czym się dawniej zajmowałem – stwierdził Jock. – Moją specjalnością jest teoria gier. Powiem tylko tyle, że gramy o bardzo, bardzo wysoką stawkę. Coś się teraz wydarzy, a my musimy się domyślić co, aby uprzedzić o tym prezydenta i...

– Prezydenta...? – zdziwiła się Louise, unosząc brwi.

– Właśnie tak. Koniec zabaw. On musi wiedzieć, jak neandertalczyki zareagują na to, co się wydarzyło, i jak my mamy z kolei postąpić w

obliczu tego, co zrobią. Panie i panowie... czekam na pomysły. Zaczynajcie!

Tukana Prat patrzyła na mężczyznę, którego przed chwilą zabiła. Helenę Gagne wreszcie ją dogoniła. Ujęła ambasadorkę za łokieć i odprowadziła na bok, dalej od nieżyjącego człowieka.

– Nie chciałam go zabić – powiedziała cicho oszołomiona Tukana.

– Wiem. – Głos Helenę brzmiał uspokajająco.

– On... chciał zabić Pontera. Próbował zabić mnie.

– Wszyscy widzieli, że zrobiła to pani w obronie własnej.

– Tak, ale...

– Nie miała pani wyboru. Musiała go pani powstrzymać.

– Powstrzymać tak, ale nie... nie...

Helenę obróciła Tukana ku sobie i chwyciła ją za ramiona.

– To była obrona własna, rozumie pani?! Proszę nawet nie sugerować, że mogło chodzić o coś innego.

– Ale...

– Proszę mnie posłuchać!!! Sprawa i tak jest wystarczająco skomplikowana.

– Muszę... muszę się skontaktować ze zwierzchnikami – powiedziała Tukana.

– Ja też. I... – Rozległ się dzwonek telefonu Helenę. Wyjęła go i otworzyła. – *Alló? Oui. Oui. Je ne sais pas. Jai... un moment, sil vousplait.* – Przesłoniła dłonią mikrofon i zwróciła się do Tukany. – To KPRM. – Co?

– Kancelaria Prezesa Rady Ministrów – wyjaśniła, po czym powiedziała do słuchawki, przechodząc na francuski: – *Non. Non, mais... Oui... beaucoup de sang... Non, elle est sein et sauf. Daccord, oui. Au revoir.* – Helenę zamknęła telefon i schowała go. – Mam polecenie zabrać panią z powrotem do Kanady, jak tylko policja skończy panią przesłuchiwać.

– Przesłuchiwać?

– To tylko formalność. Potem zawieziemy panią do Sud – bury, aby mogła pani zdać raport swoim ludziom. – Helenę przyjrzała się starszej neandertalskiej kobiecie, której twarz ubrudzona była krwią. – Jak... jak pani sądzi, co postanowią w takiej sytuacji pani przełożeni?

Tukana Prat obejrzała się na martwego mężczyznę, a potem spojrzała na sanitariuszy pogotowia, pochylających się nad Ponterem, który leżał na plecach.

– Nie mam pojęcia – odparła.

– No dobra. – Jock Krieger krążył po salonie rezydencji w Seabreeze. – Możemy w tej chwili przyjąć dwa stanowiska. Jedno jest takie, że za stronę poszkodowaną uznamy neandertalczyków. W końcu to jeden z naszych ludzi niesprokował – on strzelił do jednego z nich. I drugie, że to my jesteśmy poszkodowani. Wprawdzie jeden z naszych strzelał do jednego z nich, ale ich człowiek przeżył, a nasz nie.

Louise Benoit pokręciła głową.

– Nie podoba mi się nazywanie terrorysty, zamachowca, czy kim on, do cholery, był, jednym z „naszych ludzi”.

– Mnie też nie – przyznał Jock. – Ale do tego sprawa się sprowadza. Toczy się gra: Gliksini kontra neandertalczycy, my kontra oni. I ktoś musi wykonać następny ruch.

– Moglibyśmy przeprosić – zauważył Kevin Bilodeau, odchylając się w tył razem z oparciem fotela. – Stańc na głowie, próbując im uświadomić, jak bardzo jest nam przykro.

– Według mnie powinniśmy zaczekać i przekonać się, co zrobią oni – stwierdziła Lilly.

– A co, jeśli zatrzasną drzwi? – spytał Jock, obracając się i patrząc na nią. – Jeśli odetną nas od tego ich cholernego komputera kwantowego? – Spojrzał na Louise. – Ile nas dzieli od odtworzenia ich technologii?

- Hę? Wolne żarty. Dopiero zaczęłam nad tym pracować.
- Nie możemy pozwolić im na zamknięcie portalu – stwierdził Kevin.
- Co proponujesz? – Jeden z socjologów, krępy biały mężczyzna pod pięćdziesiątkę, uśmiechnął się ironicznie. – Mamy wysłać na drugą stronę wojsko, żeby nie dopuścić do tego?
- Może to właśnie powinniśmy zrobić – powiedział Jock.
- Nie wierzę, że mówicie poważnie! – oznajmiła Louise.
- A masz jakiś lepszy pomysł? – warknął Krieger.
- Oni nie są idiotami – zauważyła. – Jestem pewna, że po swojej stronie odpowiednio zabezpieczyli portal, aby wykluczyć takie ryzyko.
- Może tak, a może nie – stwierdził Jock.
- Przejęcie kontroli nad portalem oznaczałoby dyplomatyczny koszmar – powiedział Rassmussen, grubo ciosany typ, którego specjalnością była geopolityka. Jego zadanie polegało na próbie ustalenia, jakie podstawowe jednostki polityczne mają neandertalczycy, biorąc pod uwagę fakt, że geografia ich świata wygląda tak samo jak tego. – Powtórka z kryzysu sueskiego.
- Cholera. – Krieger kopnął kosz na śmieci. – A niech to jasna cholera. – Pokręcił głową. – Cały sens teorii gier polega na znalezieniu najbardziej realnego rozwiązania dla obu stron konfliktu. Tylko że ta sytuacja w niczym nie przypomina prób zdobycia przewagi taktycznej w konflikcie nuklearnym... jest jak mecz koszykówki na szkolnym boisku. Jeśli czegoś nie zrobimy, neandertalczycy zabiorą piłkę i pójdą do domu, kończąc wszystko!

Tukana Prat dotarła z portu lotniczego JFK na lotnisko Toronto Pearson samolotem Air Canada, a stamtąd lotem Air Ontario do Sudbury. Przez całą drogę towarzyszyła jej Helenę Gagne. Na lotnisku w Sudbury czekał na nie samochód, który zabrał je do kopalni Creighton. Ambasador Prat zjechała

windą na dół, pokonała szyb SNO i dotarła do komory detektora neutron. Stamtąd przez rurę Derkersa przeszła na drugą – swoją – stronę.

Teraz naradzała się w Pawilonie Archiwów Alibi z członkiem Najwyższej Rady Siwych, Bedrosem, który doglądał wszystkich kwestii związanych z Gliksinami, ponieważ portal znajdował się w jego regionie.

Obrazy zarejestrowane po drugiej stronie przez implant Tukany – wyposażony w dodatkowy moduł pamięci – zostały już wprowadzone do jej archiwum alibi. Teraz ona i Bedros w holobańce oglądali, jak doszło do tragicznych wydarzeń.

– Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, jak powinniśmy postąpić – stwierdził Bedros. – Jak tylko Ponter Boddit wydobrzeje na tyle, aby opuścić szpital Gliksinów, wezwiemy go z powrotem. Potem musimy zerwać więź z gliksin – skim światem.

– Nienie wiem, czy takie rozwiązanie jest właściwe – zauważyła Tukana. – Podobno Ponterowi nic nie będzie. Za to Gliksin nie żyje.

– Tylko dlatego, że nie trafił – oświadczył Bedros.

– Tak, ale...

– Żadnych „ale”. Zamierzam przedstawić Radzie opinię, iż powinniśmy na stałe zamknąć portal, jak tylko wróci do nas Uczony Boddit.

– Wstrzymajmy się, proszę. Rysuje się przed nami zbyt cenna szansa, aby tak po prostu z niej zrezygnować.

– Oni nigdy nie przeprowadzili czystki puli genów – uciął Bedros. – Najwstrętniejsze i najbardziej niebezpieczne cechy wciąż są powszechne w ich populacji.

– Rzeczywiście, lecz mimo to...

– A do tego noszą przy sobie broń! Nie po to, by polować, lecz by zabijać siebie nawzajem. Niedługo trwało, zanim tę broń wycelowali w naszego przedstawiciela! – Bedros pokręcił głową. – Ponter Boddit

opowiedział nam, co stało się z naszym gatunkiem na ich świecie... Pamiętasz? Dowiedział się tego podczas poprzedniej podróży. Oni... Gliksini... doprowadzili do naszej zagłady. Jako ambasador powinnaś wziąć to pod uwagę, Tukano Prat. Pomyśl tylko! Pod względem fizycznym Gliksini są słabi. Wątle cherlaki! A mimo to zdołali nas wytępić, choć jesteśmy silniejsi i mamy większe mózgi. Jak im się to udało?

– Nie mam pojęcia. Poza tym Ponter powiedział, że to tylko jedna z teorii na temat losów naszego gatunku na ich świecie.

– Zgładzili nas podstępem – ciągnął Bedros, ignorując słowa Tukany. – Chytrą. Niewypowiedzianą przemocą. Całe ich chmary, uzbrojone w kamienie i oszczepy, wdarły się do naszych dolin i, mając nad nami olbrzymią przewagę liczebną, tępiły nas, dopóki ziemia nie spłynęła krwią naszych przodków i dopóki ostatni z nas nie zginął. Taka jest ich historia. Tacy są. Szaleństwem byłoby pozostawienie otwartego portalu łączącego dwa światy.

– Portal znajduje się głęboko pod ziemią i może pomieścić jednorazowo zaledwie dwie osoby. Naprawdę nie sądzę, abyśmy musieli się martwić o...

– Niemal słyszę głosy naszych przodków, którzy tak właśnie mówili pół miliona miesięcy temu. „Och, spójrzcie! Inny rodzaj ludzkości! Na pewno nie mamy się czym martwić. Przecież wejścia do naszych dolin są tak wąskie”.

– Nie mamy pewności, że tak właśnie było – zauważyła Tukana.

– Po co ryzykować? Po co nadstawiać głowę, utrzymując portal nawet o dzień dłużej?

Tukana wyłączyła holobańkę i zaczęła powoli krążyć po pomieszczeniu.

– Wizyta na tym drugim świecie była dla mnie trudną lekcją – powiedziała cicho. – Dowiedziałam się, że według ich standardów marny ze mnie dyplomata. Mówię za bardzo konkretnie i zbyt otwarcie. To

prawda. Dlatego nie zamierzam kryć, że w tamtych ludziach jest wiele nieprzyjemnych cech. Masz rację, uważając ich za gwałtownych. Poza tym nie sposób ocenić zniszczeń, jakie poczynili w środowisku naturalnym. Ale są też wspaniali. Ponter ma rację, kiedy mówi, że w przyszłości dotrą do gwiazd.

– Szczęśliwej drogi – rzucił Bedros.

– Nie mów tak. Widziałam na ich świecie zdumiewająco piękne dzieła sztuki. Są inni niż my, a ich charakter i temperament sprawiają, że potrafią robić rzeczy, których my nie umiemy... niezwykle rzeczy.

– Ale jeden z nich próbował cię zabić!

– Jeden, tak. Jeden z sześciu miliardów. – Tukana umilkła na moment, po czym dodała: – Wiesz, jaka jest największa różnica między nimi i nami?

Bedros spojrział na nią tak, jakby chciał coś powiedzieć z przekąsem, ale zrezygnował.

– Wytłumacz mi.

– Oni wierzą w celowość tego wszystkiego. – Tukana rozpostarła ręce, wskazując wszystko wokół. – Wierzą, że życie ma sens.

– Ponieważ wmawiają sobie, że wszechświatem kieruje jakaś inteligencja.

– Po części tak. Ale ta ich wiara sięga głębiej. Nawet ateści, ci, którzy nie wierzą w ich Boga, szukają sensu i odpowiedzi. My istniejemy, ale oni żyją. Oni poszukują.

– My także poszukujemy. Angażujemy się w naukę.

– Ale pcha nas do tego praktyczność. Chcemy stworzyć lepsze narzędzie, więc studiujemy, dopóki takiego nie zrobimy. Tymczasem oni szukają głównie odpowiedzi na to, co sami nazywają ważnymi pytaniami: Dlaczego tu jesteśmy? Czemu to wszystko służy?

– To bezsensowne pytania.

- Czy aby na pewno?
 - Oczywiście!
 - Może masz rację. Ale może się mylisz. Niewykluczone, że oni są już blisko znalezienia odpowiedzi, blisko nowego oświecenia.
 - I wtedy przestaną się nawzajem zabijać? Przestaną gwałcić swoje środowisko?
 - Nie wiem. Może. Jest w nich wiele dobroci.
 - Jest też śmierć. Przetrwac zdołamy tylko, jeśli powybijają się nawzajem, zanim uda im się zabić nas.
- Tukana zamknęła oczy.
- Wiem, że twoje intencje są dobre, Radny Bedrosie, i że...
 - Nie mów do mnie jak do idioty.
 - Nie robię tego. Rozumiem, że myślisz przede wszystkim o tym, co jest najlepsze dla naszych ludzi. Ale ja także. Tylko że ja patrzę na to z perspektywy dyplomaty.
 - Niekompetentnego dyplomaty – prychnął Bedros. – Nawet Gliksini tak uważają!
 - **Ja...**
 - A może zawsze masz zwyczaj uśmiercać autochtonów?
 - Radny Bedrosie, martwię się tym tak samo jak ty, ale...
 - Dostyc tego! – krzyknął Bedros. – Dostyc! Nie powinniśmy w ogóle byli dać się przekonać Bodditowi. Czas, aby górę wzięły starsze i mądrzejsze głowy.

Rozdział Dziewiętnasty

Mary cicho weszła na szpitalną salę do Pontera. Chirurdzy bez trudu usunęli pocisk – w końcu anatomicznie neandertalczycy nie różnili się aż tak bardzo od *Homo sapiens*, a do tego Hak podobno rozmawiał z nimi przez całą operację. Ponter stracił sporo krwi i zazwyczaj w takich przypadkach przeprowadzano transfuzję, ale lekarze uznali, że lepiej się wstrzymać z tego typu procedurami, dopóki nie będzie więcej wiadomo na temat neandertalskiej hematologii. Poprzestano na kroplówce z soli fizjologicznej. Kompan często informował personel medyczny o stanie Pontera.

Ponter od operacji niemal cały czas był nieprzytomny. W jej trakcie podano mu narkozę, używając środka z jego własnych zapasów medycznych, tak jak poinstruował Hak.

Mary patrzyła, jak jego szeroka pierś unosi się i opada. Przypomniała sobie pierwszy raz, gdy go zobaczyła, na podobnej szpitalnej sali. Wtedy jego widok zaskoczył ją. Nie wierzyła, że żywy neandertalczyk może naprawdę istnieć.

Teraz jednak nie patrzyła na niego jak na niezwykły okaz, dziwadło czy odmieńca. Patrzyła na niego z miłością i czułością.

Nagle Ponter otworzył oczy.

– Mare – odezwał się cicho.

– Nie chciałam cię obudzić – powiedziała, podchodząc do łóżka.

– Już nie spałem. Hak puszczał dla mnie muzykę. Poczulem twój zapach.

– Jak się czujesz? – spytała, stawiając krzesło na metalowych nogach tuż przy łóżku.

Ponter odsunął przykrycie. Jego owłosiony tors był nagi. Biały plaster przytrzymał na jego ramieniu duży opatrunek z gazy, z rdzawymi plamami zaschniętej krwi.

– Będę żył.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało.

– A co z Tukana?

Mary uniosła brwi, zdziwiona, że nikt mu nic nie powiedział.

– Dogoniła mężczyznę, który do ciebie strzelał.

Na szerokich wargach Pontera pojawił się nikły uśmiech.

– Podejrzewam, że on jest w gorszym stanie niż ona, co?

– Na pewno – odparła cicho Mary. – Ponterze, ona go zabiła.

Przez chwilę milczał.

– Rzadko bierzemy sprawiedliwość w swoje ręce – powiedział w końcu.

– Słuchałam debaty telewizyjnej na ten temat, kiedy trwała twoja operacja. Większość osób jest zdania, że było to działanie w obronie własnej.

– Jak go zabiła?

Mary lekko wzruszyła ramionami, dając mu do zrozumienia, że nie potrafi tego przedstawić w delikatny sposób.

– Uderzyła jego głową o chodnik i jego czaszka... pękła.

Ponter milczał dość długo.

– Co się z nią teraz stanie? – spytał wreszcie.

Mary zmarszczyła czoło. Kiedyś czytała gorąco polecaną przez „The Globe and Mail” powieść, opisującą przebieg procesu istoty pozaziemskiej, sądzonej w Los Angeles za zabicie człowieka. Jednak między tamtą i tą sytuacją istniała jedna ważna różnica...

– U nas zagraniczni ambasadorowie są wyłączeni spod większości praw; nazywa się to „immunitetem dyplomatycznym”. Obejmuje on także

Tukanę, ponieważ wystąpiła w ONZ jako kanadyjski dyplomata.

– Co to znaczy?

Mary ściągnęła brwi, szukając w myślach odpowiedniego przykładu.

– W 2001 roku niejaki Andriej Kniaziew, rosyjski dyplomata w Kanadzie, po pijanemu potracił samochodem dwie osoby. Pomimo tego, iż jedna z tych osób zmarła, w Kanadzie nie postawiono mu zarzutów, ponieważ był reprezentantem uznawanego przez nas rządu innego państwa. Na tym właśnie polega immunitet dyplomatyczny.

Głęboko osadzone oczy Pontera rozszerzyły się ze zdumienia.

– Poza tym setki ludzi podobno widziały, jak tamten mężczyzna strzelał do ciebie i do Tukany, zanim ona... zareagowała w taki sposób. Policja na pewno uzna to za działanie w obronie własnej.

– Tukana jest dobrym człowiekiem – powiedział Pon – ter cicho. – Na pewno będzie to dla niej ogromnym ciężarem. – Umilkł na takt, po czym dodał: – Jesteś pewna, że nic jej nie zagraża? Po tym, co spotkało Adikora, gdy zniknąłem, obawiam się, że nie bardzo ufam systemom prawnym.

– Ona już jest z powrotem w domu, Ponterze... na twoim świecie. Twierdziła, że musi przedstawić sprawę... jak wy nazywacie to zgromadzenie? Radzie Siwych?

– Najwyższej Radzie Siwych, jeśli chodzi ci o władze naszego świata. – Takt. – A ten zabity mężczyzna?

– Nazywał się Cole... Rufus Cole. Wciąż próbują ustalić, kim był i co miał przeciwko tobie i Tukanie.

– Jakie są opcje?

Mary przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi.

– Jak to?

– Opcje – powtórzył Ponter. – Możliwe powody, dla których próbował nas zabić.

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Mógł być fanatykiem religijnym: kimś, kto sprzeciwiał się waszym ateistycznym poglądom, a nawet samemu waszemu istnieniu, ponieważ jest sprzeczne z biblijnymi opowieściami o stworzeniu świata.

Ponter zrobił wielkie oczy.

– Zabijając mnie, nie wymazałby faktu, że istniałem.

– Zgoda. Ale... oczywiście to tylko domysły... rzecz w tym, że Cole mógł cię uważać za narzędzie Szatana...

Mary drgnęła, słysząc pisk implantu.

– Diabła. Złego. Przeciwnika Boga.

– To Bóg ma przeciwnika? – zdumiał się Ponter.

– Tak... hm, to znaczy, tak mówi Biblia. Tylko że poza fundamentalistami, którzy traktują każde słowo w Biblii dosłownie, większość ludzi nie wierzy już w Szatana.

– Dlaczego?

– Chyba dlatego, że to absurdalne pojęcie. Sam rozumiesz, tylko głupiec mógłby traktować ten koncept poważnie.

Ponter otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie, bo z powrotem je zamknął.

– Poza tym – szybko dodała Mary, nie chcąc ugrzęznąć w tym temacie – mógł też być agentem jakiegoś obcego rządu lub członkiem grupy terrorystycznej. Albo...

Ponter uniósł brew, zachęcając ją, aby mówiła dalej. Mary ponownie wzruszyła ramionami.

– Albo mógł być po prostu szaleńcem.

– Pozwalacie szalonym ludziom posiadać broń? – zdziwił się.

Mary, w naturalnym odruchu Kanadyjki, pomyślała, że tylko tacy ludzie w ogóle chcieli mieć broń, ale nie powiedziała tego na głos.

– Prawdę mówiąc, trzeba mieć nadzieję, że prawdą jest to ostatnie – przyznała. – Jeśli był szaleńcem działającym w pojedynkę, nie musimy się obawiać, że coś takiego się powtórzy. Ale jeśli jest członkiem jakiejś grupy terrorystów...

Ponter spojrział w dół, na zabandażowaną pierś.

– Miałem nadzieję, że moje córki będą mogły bezpiecznie odwiedzić ten świat.

– Bardzo chciałabym je poznać – przyznała Mary.

– A co stałoby się z tym... tym Rurusem Coleem... – Ponter zmarszczył czoło. – No proszę! Gliksińskie imię, które mogę bez trudu wymówić, jest imieniem tego, który chciał mojej śmierci! Co by się z nim stało, gdyby nie został zabity?

– Czekaliby go proces. Gdyby został uznany za winnego, pewnie poszedłby do więzienia.

Rozległ się pisk Haka.

– Hm... do specjalnej instytucji, w której kryminaliści zostają odseparowani od reszty społeczeństwa.

– Powiedziałaś „gdyby został uznany za winnego”. Przecież do mnie strzelał.

– Tak, ale... no cóż, jeśli był szalony, taką linię obrony by przyjęto. Mógłby zostać uznany za niewinnego z powodu swojej niepoczytalności.

Ponter znowu uniósł brew ze zdziwienia.

– Czy nie lepiej byłoby ocenić poczytalność człowieka, zanim pozwoli się mu na posiadanie broni, zamiast po tym, jak jej użyje?

Mary przytaknęła.

– W tym się z tobą zgadzam. Ale nic na to nie poradzimy.

– A... a gdybym został zabity? Albo gdyby Tukana zginęła? Co by się stało z tym mężczyzną?

– Tutaj? W Stanach Zjednoczonych? Prawdopodobnie zostałyby stracony.
Znowu nieunikniony pisk.

– Otrzymałyby karę śmierci za zbrodnię, którą popełnił. Jego przykład byłby przestrożą dla innych, którzy mieliby podobne zamiary.

Ponter poruszył głową najpierw w lewo, a potem w prawo. Jego włosy z szelestem przesunęły się po poduszce.

– Nie chciałbym, aby tak się stało – przyznał. – Nikt nie zasługuje na przedwczesną śmierć, nawet ten, który życzy jej innym.

– Daj spokój, Ponterze. – Mary zdziwił ostry ton własnego głosu. – Naprawdę jesteś taki... taki święty? Ten typ próbował cię zabić, a ty przejmujesz się tym, co by się z nim stało?

Ponter milczał przez jakiś czas. Mógł jej przypomnieć, że już kiedyś o mało nie zginął. Podczas poprzedniego pobytu tutaj opowiedział Mary, że gdy był młody, ktoś w złości roztrzaskał mu szczękę. Teraz tylko uniósł brew.

– Sprawa skończona. Rufusa Colea już nie ma – zauważył.

Ale Mary nie zamierzała tak szybko zostawić tematu.

– Kiedy zostałeś uderzony wiele... wiele miesięcy temu, człowiek, który to zrobił, nie działał z premedytacją i od razu żałował swego czynu. Sam tak mówiłeś. Tymczasem Rufus Cole najwyraźniej planował, że cię zabije. To przecież duża różnica.

Ponter nieznacznie poprawił się na łóżku.

– Będę żył – powiedział. – Żadne działania po fakcie nie zdołałyby usunąć blizny, która zostanie mi do końca życia.

Mary pokręciła głową, ale w jej głosie pojawiła się żartobliwa nuta.

– Czasami jesteś tak dobry, że to aż niemożliwe, Ponterze.

– Na to nie potrafię odpowiedzieć – stwierdził.

Mary się uśmiechnęła.

– Czym potwierdzasz moje słowa.
– Mam tylko jedno pytanie.
– Tak?
– Co się teraz stanie?
– Nie wiem. Lekarz poinformował mnie, że samolotem dostarczono z Sudbury dyplomatyczną pocztę dla ciebie. Domyślam się, że to ta przesyłka na stoliku.

Ponter odwrócił głowę.

– Aha. Mogłabyś mi ją podać, proszę?

Mary zrobiła to. Ponter otworzył sakwę i wyjął z niej coś, co przypominało dużą kopertę w ulubionym przez neandertalczyków kształcie – idealnie kwadratową. Rozłożył ją – otworzyła się jak rozkwitający kwiat – i wyjął ze środka maleńką rubinową kulkę.

– Co to? – spytała Mary.

– Koral pamięci. – Ponter dotknął Kompana i Mary ze zdumieniem zobaczyła, jak urządzenie się otwiera, odsłaniając serię dodatkowych gałek kontrolnych i wgłębienie średnicy mniej więcej ołówka. – Wkłada się go tutaj – wyjaśnił, wsuwając paciorek na miejsce. – Teraz wybacz...

– Zaczekam na korytarzu – powiedziała Mary. – Na pewno chcesz zostać sam.

– Nie, nie. Nie wychodź. Tylko proszę, wybacz mi na moment. Hak odtworzy nagranie, kierując sygnał do moich implantów ślimakowych.

Mary kiwnęła głową. Patrzyła, jak Ponter przekrzywia głowę, słuchając Haka. Jego czoło przecięła głęboka zmarszczka. Po kilku chwilach ponownie otworzył implant i wyjął z niego koralik.

– Czego się dowiedziałeś?

– Najwyższa Rada Siwych chce, żebym natychmiast wracał do domu.

Mary poczuła, jak robi jej się ciężko na sercu.

- Ach tak...
 - Nie zrobię tego – oznajmił Ponter.
 - Co? Dlaczego?
 - Gdybym wrócił, zamknęliby portal między światami.
 - Czy tak właśnie powiedzieli?
 - Nie wprost... ale wiem, jak działa Rada. Moi ludzie są świadomi własnej śmiertelności, Mare... wiemy, że nie ma żadnego życia po śmierci. Dlatego nie podejmujemy zbędnego ryzyka. Dalsze kontakty z waszym światem Rada uznałaby za takie właśnie ryzyko. Już wcześniej zbyt wielu było przeciwnych ponownemu otwarciu portalu, a teraz, po tym, co się stało, zyskali nowe mięso.
 - I możesz tak zrobić? Możesz postanowić, że tu zostajesz?
 - Tak postąpię i tyle. Jeśli moja decyzja będzie miała jakieś następstwa, stawię im czoło.
 - No! No! ... – powiedziała Mary cicho.
 - Dopóki tu będę, moi ludzie nie zamkną portalu. Dzięki temu ci, którzy myślą tak jak ja i wierzą, że kontakt między światami powinien zostać podtrzymany, zyskają więcej czasu na uzasadnienie tego punktu widzenia. Od zamknięcia portalu już tylko niewielki krok dzieliłby nas od rozmontowania komputera kwantowego i usunięcia wszelkich możliwości kontynuowania kontaktów.
 - W takim razie co zamierzasz zrobić po wyjściu ze szpitala?
- Ponter spojrzał prosto na Mary.
- Spędzę trochę czasu z tobą.
- Jej serce znowu szybciej zabiło, ale tym razem towarzyszyło temu przyjemne uczucie. Uśmiechnęła się.
- Znakomicie – powiedziała. W tej samej chwili przysła jej do głowy pewna myśl. – W następnym tygodniu wybieram się do Waszyngtonu, aby

przedstawić wyniki badań neander – talskiego DNA podczas konferencji Towarzystwa Paleoantro – polologicznego. Może pojechałbyś tam ze mną? Twoja obecność byłaby największym wydarzeniem od czasów kłótni Wołpoffa i Tattersalla podczas spotkania w Kansas City.

– Chodzi o zgromadzenie specjalistów od kopalnych form człowieka?

– Dokładnie tak. Będzie tam większość osób, które zajmują się badaniami w tej dziedzinie. Ludzie z całego świata. Wierz mi, oni wszyscy chętnie cię poznają.

Ponter zmarszczył czoło i przez moment Mary obawiała się, że go uraziła.

– Jak się tam dostanę? – spytał w końcu.

– Pojedziesz razem ze mną – odparła Mary. – Kiedy wychodzisz ze szpitala?

– Z tego, co wiem, chcą mnie tu zatrzymać jeszcze jeden dzień.

– No to postanowione.

– Czy nie będzie żadnych przeszkód, abyśmy zrobili to, co mówisz?

– Będą – przyznała Mary z uśmiechem – ale znam człowieka, który sprawi, że znikną...

Rozdział Dwudziesty

Ambasador Tukana Prat dostrzegła ironię w tym, że akurat ten mężczyzna pragnie prywatności. Ale nie dziwiła się, że woli samotność. Znano go na całej planecie i wszędzie przyjmowano z honorami. Do tego wkrótce cały świat miał obchodzić uroczystości z okazji upływu tysiąca miesięcy od wprowadzenia jego wspaniałego wynalazku. W związku z tym oczekiwano, że weźmie on udział w setkach wystąpień – o ile będzie żył, bo w przypadku ludzi w jego wieku należało brać to pod uwagę. Był członkiem generacji 138. Z tego pokolenia zostało na świecie mniej niż tysiąc osób – a z poprzednich nie żył już nikt.

Tukana widywała w swoim życiu ludzi z generacji 138. Ale upłynęło już co najmniej pięćdziesiąt miesięcy, odkąd po raz ostatni była w towarzystwie takiego seniora, i pamiętała, że nigdy wcześniej nie spotkała kogoś, kto wyglądał tak staro.

Podobno siwizna jest oznaką mądrości – ale ten wielki człowiek stracił niemal wszystkie włosy, przynajmniej ze swojej słynnej, niesamowicie wydłużonej czaszki. Tylko jego ręce nadal pokrywał delikatny, prawie przezroczysty puch. Wyglądał dziwnie: sędziwy i wysuszony, o skórze pokrytej szarobrązowymi plamami i o bardzo niebieskich, sztucznych oczach – oczach z błyszczących kul metalu i posegmentowanych tęczówek; oczach, które lśniły od wewnątrz. Oczywiście, mógł wybrać sztuczne gałki oczne, które przypominałyby jego prawdziwe, ale akurat ten mężczyzna nie miał powodów, aby ukrywać implanty. Tukana wiedziała, że wszczepy sterują także pracą jego serca i nerek, a sztuczne kości zastąpiły większą część jego kruchego szkieletu. Poza tym słyszała, jak kiedyś, podczas rozmowy z Ekshibcjonistą, zażartował, że w sytuacji ludzi tak starych jak

on lepiej było, gdy inni wyraźnie widzieli sztuczność oka, bo wtedy przestawali uważać, iż taki ktoś jest za stary, by cokolwiek zobaczyć.

Tukana weszła do obszernego pokoju. Właściciel siedziby był tak sędziwy, że drzewo, z którego powstał jego dom, osiągnęło kolosalną średnicę. W miarę upływu miesięcy wydrążał coraz więcej jego wnętrza.

A tych miesięcy minęło mnóstwo! Członek generacji 138 widział już ponad tysiąc trzysta księżyców – co w sumie dawało zdumiewające 108 lat życia.

– Zdrowego dnia – powiedziała Tukana, siadając.

– Prawdę mówiąc – usłyszała zaskakująco silny i głęboki głos – w mojej sytuacji chętnie zgodzę się na jakikolwiek dzień, zdrowy lub nie.

Tukana nie miała pewności, czy ta uwaga została wypowiedziana z humorem, czy z żalem, więc tylko się uśmiechnęła i kiwnęła głową.

– Nie potrafię wyrazić, jakim zaszczytem jest dla mnie spotkanie z panem, sir – powiedziała po chwili.

– Proszę spróbować – odparł starzec.

Tukana się zarumieniła.

– Wszyscy tak wiele panu zawdzięczamy i...

Mężczyzna podniósł dłoń.

– Ja tylko żartowałem, młoda damo. – Tym razem uśmiechnęła się szczerze. Minęło wiele miesięcy, odkąd ktoś nazwał ją „młodą damą”. – Prawdę mówiąc, uczyniłabyś mi największy honor, oszczędzając mi tych honorów. Wierz mi, słyszałem je wszystkie wiele razy. Zważywszy, jak niewiele czasu mi pozostało, byłbym wdzięczny, gdybyś go nie marnowała. Lepiej od razu powiedz, o co chodzi.

Tukana znowu się uśmiechnęła. Jako dyplomatka spotykała wielu ważnych liderów, ale nigdy nie sądziła, że kiedyś stanie twarzą w twarz z najwspanialszym wynalazcą, słynnym Lonwisem Trobem. Spojrzenie jego

mechanicznych oczu wytrącało ją z równowagi, więc powędrowała wzrokiem w dół i zatrzymała się na lewym przedramieniu starca i na tkwiącym tam Kompanie. Oczywiście nie był to ten sam oryginalny Kompan wynaleziony przez Lonwisa przed wieloma, wieloma miesiącami. Wyglądał na najnowszy model – ze zdumieniem zauważyła, że wszystkie jego metalowe części wykonano ze złota.

– Nie wiem, ile słyszał pan na temat równoległej Ziemi, ale...

– Wszystko, o czym u nas mówiono – przyznał Lonwis. – To ogromnie fascynujące.

– W takim razie na pewno wie pan, że jestem ambasador – ką wybraną przez Najwyższą Radę Siwych...

– Swarliwi smarkacze! – przerwał jej Lonwis. – Głupcy, wszyscy co do jednego.

– No cóż, rozumiem...

– Słyszałem, że niektórzy barwią swoje włosy na siwo tylko po to, żeby wyglądać na mądrzejszych.

Lonwis sam chętnie marnował swój czas, ale Tukana uznała, że w zupełności zasłużył sobie na ten przywilej.

– Chodzi o to – powiedziała – że chcą zamknąć portal między światami.

– Dlaczego?

– Ponieważ obawiają się Gliksinów.

– Ty ich spotkałaś; oni nie. Wolałbym raczej poznać twoje zdanie.

– Hm, musi pan wiedzieć, że jeden z Gliksinów próbował zabić delegata Boddita i strzelał też do mnie.

– Owszem, słyszałem. Ale oboje przeżyliście.

– Tak.

– Powiem ci, że mój przyjaciel Goosa...

– Goosa? – Tukana nie zdołała się powstrzymać – Goosa Kusk?

Lonwin przytaknął.

– Niesamowite – powiedziała cicho.

– Hm, no tak. Otóż jestem pewien, że Goosa potrafiłby znaleźć metodę ochrony przed bronią używaną przez Gliksi – nów. Z tego, co się orientuję, ich pociski wprawia w ruch jakaś detonacja, a to oznacza, że choć poruszają się szybko, daleko im jest do prędkości światła. A zatem zostaje mnóstwo czasu na to, by namierzyć je laserem i unicestwić. Moje Kompany już skanują przestrzeń w promieniu dwóch i pół długości ramion. Nawet gdyby pocisk osiągnął prędkość dźwięku, wciąż zostałoby... – Przerwał na króciutką chwilę. Tukana zastanawiała się, czy sam wszystko liczy w pamięci, czy też słucha podpowiedzi Kompana; przypuszczała, że raczej to pierwsze. – ...0,005 taktu na to, by laser namierzył cel. Potrzebny byłby sferyczny emiter – nie starczy czasu na obrót mechanicznej części. Można by go zamontować na czapce. To niewielki problem. – Lonwis spojrzał na nią. – Czy właśnie o to chodziło? Jeśli tak, to skontaktuję się z Goosą, a teraz pozwól, że wrócę do normalnych zajęć.

– Hm, nie – powiedziała Tukana. – To znaczy, tak, takie rozwiązanie byłoby świetne. Ale to nie jest powód mojej wizyty.

– W takim razie do rzeczy, młoda damo. Czego ode mnie chcesz?

Tukana przełknęła ślinę.

– Nie chodzi mi wyłącznie o przysługę z pana strony; będziemy potrzebowali także kilkorga z pana wybitnych znajomych.

– Po co?

Tukana wyjaśniła mu wszystko i z zadowoleniem zauważyła, jak twarz starca rozciąga się w uśmiechu.

Rozdział

Dwudziesty Pierwszy

Louise Benoit miała rację: Jock Krieger potrafił pociągnąć za każdy sznurek, jaki tylko można sobie było wyobrazić. Bardzo odpowiadało mu to, że osoba z zespołu badaczy Synergii miała spędzić ponad tydzień w towarzystwie neandertalczyka, mogąc go o wszystko wypytać. Po kolei znikały wszelkie przeszkody, jakie stały na drodze wspólnej podróży Mary i Pontera. Jock także był zdania, że im dłużej Ponter zostanie na ich świecie, tym więcej czasu będą mieli na przekonanie neandertalczyków, aby nie zamykali portalu.

Mary postanowiła pojechać z Ponterem do Waszyngtonu samochodem. Takie rozwiązanie wydało jej się prostsze niż męczące przeprawy ze służbami bezpieczeństwa na lotniskach. Poza tym mogła po drodze pokazać Ponterowi kilka miejsc.

Wynajęła srebrnego forda windstara z przyciemnianymi szybami, aby mijający ich ludzie nie domyślali się, kim jest jej pasażer. Najpierw pojechali do Filadelfii. Nieoznakowany samochód eskorty dyskretnie podążał za nimi. Zwiedzili Independence Hall, zobaczyli Dzwon Wolności, zjedli prawdziwe kanapki ze stekami w jadłodajni Pats. Choć były z serem, Ponter spałaszował trzy za jednym... – Mary chciała powiedzieć „za jednym posiedzeniem”, ale przecież w Pats były tylko miejsca stojące i jedli na zewnątrz. Czuła się trochę dziwnie, opowiadając Ponterowi historię Ameryki, ale przypuszczała, że radzi sobie znacznie lepiej niż Amerykanin, któremu przyszłoby powiedzieć coś o historii Kanady.

Ponter niemal zupełnie odzyskał siły po niedawnych traumatycznych przeżyciach – widać oprócz siły byka miał też byczą konstytucję. Odpowiednio do okazji – pomyślała Mary z uśmiechem – w końcu przecież znajdowali się w państwie o najsilniejszej konstytucji na świecie...

Ambasador Prat wyszła na duże, półokrągłe podium na sali Zgromadzenia Ogólnego. Za nią po stopniach wspiął się jeszcze jeden neandertalczyk, i kolejny, i następny. Jeden po drugim wchodzili na podwyższenie, aż cała dziesiątka ustawiła się za Tukana, która podeszła do mównicy i nachyliła się nad mikrofonem.

– Panie i panowie, przedstawiciele Narodów Zjednoczonych – powiedziała. – Mam przyjemność przedstawić wam naszą nową delegację. Pomimo niefortunnnych wydarzeń, jakie zaszły podczas mojej ostatniej wizyty, wszyscy przybywamy do was w pokoju i przyjaźni, z otwartymi ramionami. Nie tylko ja, nie tylko przedstawicielka władz, ale także dziesięciu spośród naszych najlepszych i najświetlejszych. Nikt ich nie zmuszał do tej podróży; każdy z nich sam podjął decyzję, by odwiedzić wasz świat. Są tutaj, ponieważ wierzą w ideał swobodnej wymiany między kulturami. Wiem, przypuszczaliście, że we wzajemnych relacjach obowiązywać będzie... z tego, co wiem, nazywacie taką zasadę „coś za coś”: wy nam coś ofiarowujecie, a my dajemy wam coś w zamian. Jednak kontakt między dwoma światami nie powinien zostać zdominowany przez ekonomistów czy ludzi biznesu, a już na pewno nie przez wojowników. Taka wymiana stwarza sposobność idealistom i marzycielom, tym z nas, którzy mają najbardziej szczytne cele – tym, którzy mają cele humanitarne. – Tukana uśmiechnęła się do tłumu słuchaczy. – To najdłuższa mowa, jaką wygłosiłam w swojej karierze, dlatego bez dalszych ceregieli pozwolę sobie przedstawić naszych delegatów.

Odwróciła się i wskazała pierwszego ze stojących za nią dziesięciu neandertalczyków, nieprawdopodobnie sędziwego mężczyznę z niebieskimi, mechanicznymi oczami lśniącymi pod jego wątem nadoczodołowym.

– Oto Lonwis Trob – oznajmiła Tukana – nasz największy wynalazca. To on stworzył technologie Kompanów oraz rejestrów alibi, dzięki którym nasz świat jest bezpieczny dniem i nocą dla wszystkich jego mieszkańców. Prawa do własności intelektualnej na te wynalazki – lub też „patenty”, jak wy je nazywacie – należą do niego i przybywa tutaj, by je wam udostępnić.

Pomruk zdziwienia przeszedł wśród widzów. Z głośników sali popłynęła muzyka, niezwykła, porywająca, neandertalska.

– A to – Tukana wskazała kolejną osobę w szeregu, zgodnie z neandertalskim zwyczajem przechodząc od prawej do lewej – jest Borl Kadas, nasza czołowa genetyczka. – Stara kobieta z generacji 138 wysunęła się do przodu. – Podczas poprzedniej wizyty doszły mnie słuchy o opatentowaniu ludzkiego genomu. Uczona Kadas przed mniej więcej pięcioma dekadami stała na czele naszego odpowiednika tego, co u was nazywa się projektem poznania ludzkiego genomu. Przybyła tutaj, gotowa podzielić się wynikami tych badań oraz przedstawić wszystkie korzyści, jakie nam one przyniosły.

Tukana zauważyła, że wielu delegatom opadły szczęki.

– Dalej – wskazała tęgawego mężczyznę – stoi Dor Far – rer, poeta i laureat z prowincji Bontar, powszechnie uważany za najwspanialszego z żyjących pisarzy. Ma ze sobą skomputeryzowane archiwa wszystkich najwspanialszych dzieł dramatycznych, poetyckich, beletrystyki, literatury faktu, epepei oraz transkrypcji imaginacyjnych stworzonych przez naszych mistrzów i zamierza pomóc w przełożeniu ich na waszych wiele języków.

Farrer entuzjastycznie pomachał do delegatów. Muzyka wzbogaciła się o nowe tony i instrumenty.

– Obok niego stoi Debra Jonk. Jest naszą wiodącą specjalistką w technologiach wykorzystywania komórek macierzystych w celu selektywnego klonowania ludzkich organów.

Wiadomo nam, że dopiero rozpoczynacie badania w tej dziedzinie; my zajmujemy się tym już od czterech generacji – czterech dekad – i Uczona Jonk chętnie pomoże waszym medykom osiągnąć poziom równy naszemu.

Na sali dało się słyszeć okrzyki zdumienia.

– A obok niej – ciągnęła Tukana – jest Kobast Gant, nasz wiodący ekspert w dziedzinie sztucznej inteligencji. Ci z was, którzy rozmawiali z Ponterem Bodditem lub ze mną, mieli już okazję poznać efekty pracy Uczonego Ganta. To on stworzył oprogramowanie naszych inteligentnych Kompanów. On także przybywa tutaj, by podzielić się swoją wiedzą z waszym światem.

Nawet sam sekretarz generalny z aprobatą coś mamrotał. Do muzycznej kompozycji dołączyły szczęsne bębny, które grzmiały jak puchnące z dumy serca.

– Obok Uczonego Ganta widzicie Jalska Lapluna, który obecnie uważany jest za najszybszego człowieka... przypuszczam, że na obu światach. Wczoraj zmierzyliśmy mu czas: waszą milę potrafi przebiec w trzy minuty i jednaście sekund. Jalsk chętnie przedstawi swoje teorie treningowe.

Uśmiech Jalska sięgał od ucha do ucha. Muzyka brzmiała coraz żywiej.

– Za Jalskiem stoi Rabba Habrorn. Należy ona do naszych najtęższych umysłów prawniczych i jest czołową interpreta – torką naszego Kodeksu Cywilizacji. Wielu z was zastanawiała kwestia tego, jak możemy kierować się moralnością i etyką bez potrzeby odwoływania się do istoty wyższej.

Sędzina Habrorn z przyjemnością odpowie na wasze pytania w tej sferze. – Do orkiestry dołączyły dźwięki trzech lodowych rogów.

Habrorn ukloniła się z godnością. Wbrew zasadom obowiązującym na sali obrad Zgromadzenia Ogólnego wielu delegatów wyciągnęło telefony komórkowe i rozmawiało teraz – przypuszczalnie z głowami państw, które reprezentowali.

– Obok niej – powiedziała Tukana – widzicie Dradea Kii – milka, głowę naszej Akademii Filozofii. Nie dajcie się zwieść jego brązowym włosom; uważany jest za jednego z najmądrzej szych i najbardziej wnikliwych myślicieli na naszym świecie.

Dzięki niemu oraz Sędzinie Habrorn poznacie nasze sposoby rozumowania.

– Tuż nie mogę się doczekać pierwszych rozmów – oznajmił Klimilk głębokim i silnym głosem. W symfonii powtórzono ten sam motyw, ale tym razem zabrzmiał on z większą siłą.

– Za Uczonym Klimilkim stoi Krik Donalt, jeden z naszych najwspanialszych kompozytorów. To jego kompozycji, zatytułowanej *Dwoje stający się Jednym*, słuchacie w tej chwili.

Donalt się uklonił.

– Jako ostatnia, ale nie mniej ważna, stoi Dapbur Kajak, którą część z was już poznała. To ona opracowała proces de – kontaminacji za pomocą lasera przestrajalnego, umożliwiający odkażanie osób podróżujących między naszymi dwoma światami. Uczona Kajak przedstawi wam wszystko, co sama wie na temat odkażania ludzi oraz teoretycznych podstaw technologii kwantowego lasera kaskadowego.

Muzyka przeszła w crescendo. Sześciennie bębny, lodowe rogi, geody perkusyjne i pozostałe instrumenty brzmiały w idealnej harmonii.

– Tych dziesięcioro naukowców i inżynierów, filozofów i artystów, sportowców i uczonych przybyło tu w dobrej woli, aby podzielić się z wami całą wiedzą, jaką każde z nich ma w swojej dziedzinie. – Tukana ogarnęła wzrokiem całe Zgromadzenie Ogólne. – Dołożmy starań, aby nam się udało, przyjaciele. Zbudujmy między naszymi światami relacje, które każdej ze stron przyniosą korzyści, relacje oparte na pokoju. Przeszłość niech pozostanie przeszłością; teraz skupmy się na przyszłości. Sprawmy, aby była dla nas wszystkich jak najlepsza.

Jeden z delegatów, chyba z grupy reprezentującej Austrię – tak przynajmniej wydawało się Tukanie – pierwszy zaczął uderzać dłonią o dłoń, ale niemal natychmiast dołączyły do niego dziesiątki, a potem setki innych i wkrótce wszyscy podnieśli się z miejsc, entuzjastycznie hałasując dłońmi i ustami.

Niekompetentna? – pomyślała Tukana. – *Jeśli jestem niekompetentna, to niech mnie pocałują w mój włochaty tyłek...*

Rozdział

Dwudziesty Drugi

– Mamy tylko jeden dzień tu, w Waszyngtonie, zanim zacznie się konferencja – powiedziała Mary – a chciałabym ci tak wiele pokazać. Postanowiłam zacząć właśnie od tego miejsca. Ono najwięcej mówi o kraju, w którym jesteśmy, oraz o tym, co to znaczy być człowiekiem... mojego gatunku.

Ponter patrzył na dziwny pejzaż przed sobą, nic nie rozumiejąc. Porośniętą trawą ziemię przecinała blizna – głęboka szrama, która biegła prosto przez osiemdziesiąt kroków i pod kątem rozwartym schodziła się z drugą, podobną.

Szramy były czarne i odbijały światło – jak... jak brzmiało to słowo? *Oksymoron*? Tak, sprzeczność znaczeń. „Czarny” oznaczał pochłaniający światło; natomiast tutaj było ono odbijane.

Tak właśnie to wyglądało. W czarnym lustrze odbijały się twarze Pontera i Mary: dwie formy ludzkości – nie tylko kobieta i mężczyzna, ale dwa odrębne gatunki, dwie wariacje na temat „człowiek”. Jej własne odbicie, przedstawicielki gatunku, który ona nazywała *Homo sapiens*, a on Gliksinami: dziwne pionowe czoło, maleńki nos i – w języku Pontera nie było na to określenia – broda.

I jego odbicie – mężczyzny z gatunku nazywanego przez nią *Homo neanderthalensis*, a przez niego *Barast* – słowem,

które w jego języku znaczyło „człowiek”: szerokie oblicze z podwójnie wygiętym wałem nadoczodołowym i ze słusznych rozmiarów nosem zajmującym третią część twarzy.

– Co to takiego? – spytał Ponter, wpatrując się w ich odbicia w lśniącej czerni.

– To pomnik. – Mary odwróciła się od czarnej ściany i wskazała znajdujące się dalej obiekty. – To wszystko są pomniki. Te dwie ściany wychodzą na dwa najważniejsze. Tamten obelisk jest pomnikiem Waszyngtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. A tam stoi pomnik Lincolna, upamiętniający prezydenta, który wyzwolił niewolników.

Tłumacz Pontera emitował krótki pisk.

Mary westchnęła. Wciąż jeszcze zostało do wyjaśnienia sporo zawiłych kwestii, sporo – jak ona to nazywała – brudów do wyprania.

– Później zobaczymy oba te pomniki – obiecała. – Ale chciałam zacząć właśnie tutaj. To jest pomnik weteranów Wietnamu.

– Wietnam to chyba jedna z waszych nacji?

Mary przytaknęła.

– Z południowowschodniej Azji... południowowschodniego Galasoy. Na północ od równika. Państwo w kształcie litery „S”... – nakreśliła znak palcem w powietrzu, żeby Ponter zrozumiał, co ma na myśli – ...nad brzegiem Pacyfiku.

– My to miejsce nazywamy Holtanatan. Ale na mojej wersji Ziemi jest tam bardzo gorąco, bardzo wilgotno, deszczowo, pełno bagien i insektów. Nikt w tych rejonach nie mieszka.

Mary uniosła brwi ze zdziwienia.

– U nas żyje tam ponad osiemdziesiąt milionów mieszkańców.

Ponter pokręcił głową. Ludzie z tej wersji Ziemi byli tacy... tacy niepoahamowani.

– Tam właśnie toczyła się wojna – wyjaśniła Mary.

– O co? O trzęsawiska?

Mary zamknęła oczy.

– O ideologię. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o zimnej wojnie? To była jej część, tylko że tam było gorąco.

– Gorąco? Chyba nie chodzi ci o temperaturę?

– Nie. Mam na myśli to, że była to wojna na serio. Wojna, podczas której ginęli ludzie.

– Ilu? – Ponter zmarszczył brew.

– Ogółem, po obu stronach? Nikt tego nie wie dokładnie. Ponad milion mieszkańców południowego Wietnamu. Gdzieś od pół miliona do miliona Wietnamczyków z północy. No i jeszcze... – Wskazała ścianę.

– Tak? – spytał Ponter, wpatrując się ze zdziwieniem w odbijającą światło czerń.

– Pięćdziesiąt osiem tysięcy dwustu dziewięciu Amerykanów. Te ściany ich upamiętniają.

– Upamiętniają jak?

– Widzisz te napisy wyryte w czarnym granicie?

Ponter przytaknął.

– To są imiona i nazwiska poległych oraz zaginionych w akcji, czyli tych, którzy nigdy nie wrócili do domów. – Mary przerwała na moment. – Wojna skończyła się w 1975 roku – dodała.

– Ale teraz mamy rok, który wy określacie jako... – Ponter podał jego nazwę.

Mary kiwnęła głową. Ponter spuścił wzrok.

– Nie sądzę, aby zaginieni mieli jeszcze wrócić. – Zbliżył się do ściany. – Według jakiego porządku wyryto te nazwiska?

– Chronologicznie. Według daty śmierci.

Ponter przyjrzał się napisom, odróżniając tylko znaki, o których wiedział, że są wielkimi literami, oraz mały punkt nazywany kropką, oddzielający kolejne nazwiska.

Nie potrafił czytać angielskich znaków; dopiero oswajał się z dziwnym pojęciem alfabetu fonetycznego. Mary zbliżyła się do niego i cicho zaczęła czytać mu niektóre nazwiska.

– Mikę A. Maksin. Bruce }. Moran. Bobbie Joe Mounts. Raymond D. McGlothin. – Wskazała inną linię. – Samuel F. Hollifield. Jr. Rufus Hood. James M. Inman. David L. Johnson. Arnoldo L. Carrillo.

I jeszcze jedną, dużo niżej:

– Donney L. Jackson. Bobby W. Jobe. Bobby Ray Jones. Halcott R Jones Jr.

– Pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk – powiedział Ponter równie cicho jak Mary.

– Tak.

– Ale... ale powiedziałaś, że to są tylko Amerykanie?

Mary skinęła głową.

– Dlaczego walczyli na wojnie na drugim końcu świata?

– Pomagali Wietnamowi Południowemu. Widzisz, w 1954 roku na mocy traktatu pokojowego Wietnam został podzielony na dwie części: południową i północną. Każda miała autonomiczny rząd. Dwa lata później, w 1956, w obu połowach miały się odbyć wolne wybory pod nadzorem międzynarodowej komisji, aby zjednoczyć Wietnam pod rządami jednego, powszechnie wybranego rządu. Jednak gdy przyszedł rok 1956, lider Południowego Wietnamu odmówił przeprowadzenia zaplanowanych wyborów.

– Opowiadałaś mi o Stanach Zjednoczonych, kiedy byliśmy w Filadelfii – przypomniał Ponter. – Wiem, jak bardzo Amerykanie cenią sobie demokrację. Domyślałam się, że USA wysłało swoje wojska, aby zmusić Południowy Wietnam do udziału w przyrzeczonych demokratycznych wyborach.

Mary pokręciła głową.

– Nie, nie, Stany Zjednoczone poparły decyzję Południa, aby nie organizować wyborów.

– Ale dlaczego? Czy rząd Północy był skorumpowany?

– Nie. Z tego, co wiem, był w miarę uczciwy i dobry... przynajmniej do czasu odwołania obiecanych wyborów, na których mu zależało. Oczywiście były też skorumpowane władze, ale one rządziły Południem.

Ponter ze zdumieniem pokręcił głową.

– Ale mówiłaś, że Amerykanie poparli właśnie Południe.

– Zgadza się. Musisz wiedzieć, że rząd Południowego Wietnamu był skorumpowany, ale kapitalistyczny; popierał ten sam system ekonomiczny co Amerykanie. Natomiast Północą rządili komuniści, faworyzujący ten sam system gospodarczy co Związek Radziecki i Chiny. Rzecz w tym, że północny rząd cieszył się znacznie większą popularnością niż skorumpowany rząd południowy. Stany Zjednoczone obawiały się, że gdyby odbyły się wolne wybory, komuniści mogli zwyciężyć i przejąć kontrolę nad całym Wietnamem, co z kolei doprowadziłoby do tego, że inne państwa z południowowschodniego Galasoy dostałyby się pod rządy komunistyczne.

– I dlatego amerykańscy żołnierze zostali tam wysłani?

– Tak.

– I tam zginęli?

– Wielu z nich tak. – Mary umilkła na moment, po czym dodała: – Właśnie to próbowałam ci wyjaśnić. Chciałam, żebyś zrozumiał, jak ważne są dla nas zasady. Jesteśmy gotowi umrzeć w obronie ideologii lub słusznej sprawy. – Wskazała ścianę. – Ci ludzie... tych pięćdziesiąt osiem tysięcy żołnierzy... oni walczyli o to, w co wierzyli. Posłano ich na wojnę, aby bronili słabszych przed strasznym złem, za jakie uważano komunizm, i

wywiązali się z zadania. Większość z nich stanowili młodzi ludzie... osiemnasto, dziewiętnasto – i dwu – dziesięciolatek. Dla wielu była to pierwsza wyprawa daleko od domu.

– A teraz nie żyją.

Mary kiwnęła głową.

– Ale nie zostali zapomniani. Pamiętamy o nich tutaj. – Dyskretnie wskazała dalszą część pomnika. Ochrona Ponte – ra, członkowie FBI, zorganizowani przez Jocka Kriegera, pilnowali, aby nikt nie podszedł za blisko, ale ściany były długie, niewyobrażalnie długie, i trochę dalej jakiś człowiek przyciskał kawałek papieru do czarnej powierzchni. – Widzisz tamtego mężczyznę? Robi ołówkiem frotą nazwiska kogoś, kogo znał. Jest starszy... wygląda na więcej niż pięćdziesiąt lat. Może sam też był w Wietnamie. Może właśnie kopiuje imię kolegi, którego tam stracił.

Ponter i Mary w milczeniu patrzyli, jak mężczyzna dokańcza czynność, składa kartkę, wsuwając ją do kieszeni na piersi i zaczyna coś mówić.

Ponter pokręcił głową, nie rozumiejąc, co się dzieje. Wskazał Kompana tkwiącego w jego lewym przedramieniu.

– Myślałem, że wy nie macie implantów telekomunikacyjnych.

– Nie mamy – potwierdziła Mary.

– Ale nie widzę żadnego zewnętrznego odbiornika, żadnej... jak wy to nazywacie?... żadnej komórki.

– Zgadza się – odparła cicho.

– To do kogo on mówi?

Mary lekko uniosła ramiona.

– Do towarzysza, którego stracił.

– Ale tamten ktoś przecież nie żyje.

– To prawda.

– Nie da się rozmawiać ze zmarłymi.

Mary ponownie wskazała ręką ścianę. Jej odbicie w obsydianowej powierzchni wykonało ten sam gest.

– Ludzie wierzą, że mogą. Podobno tutaj czują, że są najbliżej tych, którzy odeszli.

– I tu przechowywane są szczątki zmarłych?

– Co? Nie, nie.

– No to jak...

– Chodzi o ich imiona – westchnęła Mary. – Tu są ich imiona, a my dzięki nim czujemy więź z tymi, których znaliśmy.

Ponter zmarszczył brew.

– Ja nie... wybacz mi, nie chciałbym, aby to głupio zabrzmiało, ale chyba imiona nie są aż tak ważne. My, moi ludzie, zapamiętujemy twarze innych. Jest wiele osób, których twarze znam, a których imion nigdy nie poznałem. Z tobą też czuję więź i choć znam twoje imię, to nie umiem go prawidłowo wymówić nawet w myślach. „Mare"... tylko tak po trafię.

– My uważamy, że imiona są... – Mary ponownie uniosła ramiona, zdając sobie sprawę z tego, jak śmiesznie muszą brzmieć jej słowa – ...że są magiczne.

– Ale – ponownie zaproponował Ponter – nie możecie się komunikować ze zmarłymi. – Wcale nie chciał być uparty; naprawdę nie chciał.

Mary na moment zamknęła oczy, tak jakby zbierała w sobie wewnętrzną siłę albo – pomyślał Ponter – jakby komunikowała się z kimś, kogo tu nie było.

– Wiem, że twoi ludzie nie wierzą w życie po śmierci – powiedziała w końcu.

– „Życie po śmierci" – powtórzył Ponter, smakując to wyrażenie tak, jakby było wybornym kawałkiem mięsa. – To niemożliwość.

– Nie dla nas – zaprzeczyła Mary, po czym dodała z większą siłą: – Nie dla mnie. – Rozejrzała się wokół. Początkowo Ponter sądził, że szuka sposobu wyjaśnienia tego, co czuje; że chce jakoś uzewnętrznić swoje myśli. Ale po chwili jej oczy zatrzymały się na czymś. Ruszyła w tamtym kierunku, a on za nią.

– Widzisz te kwiaty? – spytała.

– Oczywiście. – Skinął głową.

– Ktoś zostawił je tu dla jednego z tych, którzy zginęli. Dla kogoś, czyje imię jest na tej tablicy. – Wskazała kawałek wypolerowanego granitu przed sobą.

Pochyliła się nisko. Kwiaty – czerwone róże – miały długie łodygi i były związane sznurkiem. Do bukietu wstążką przywiązano małą kartkę.

– „Dla Williego” – odczytała – „od kochającej siostry”.

– Aha. – Ponter nie umiał znaleźć lepszej odpowiedzi.

Przeszła kawałek dalej i podniosła kremową kartkę papieru, leżącą przy ścianie.

– „Drogi Carlu” – przeczytała i umilkła. Prześledziła wzrokiem płytę przed sobą. – To musi być on – stwierdziła, delikatnie dotykając napisu – Carl Bowen. – Przez chwilę wpatrywała się w wyryte litery imienia. – To do ciebie, Carl – powiedziała, tym razem od siebie, bo nie patrzyła na kartkę. Potem skierowała wzrok w dół i zaczęła czytać na głos, zaczynając od początku:

Drogi Carlu!

Wiem, że powinnam tu przyjechać wcześniej. Chciałam. Naprawdę chciałam, ale nie wiedziałam, jak zareagujesz na to, co mam Ci do powiedzenia. Wiem, że byłam Twoją pierwszą miłością, a Ty byłeś moją i żadne lato nie było dla mnie tak cudowne jak tamto w sześćdziesiątym

szóstym. Myślałam o Tobie każdego dnia po Twoim wyjeździe, a kiedy przyszła wiadomość o Twojej śmierci, nie mogłam przestać płakać. Teraz, pisząc te słowa, też płaczę.

Nie chcę, żebyś pomyślał, że o Tobie zapomniałam, bo tak nie jest. Ale moje życie toczyło się dalej. Wyszłam za Bucky'ego Samuela. Pamiętasz go? Z Eastside? Mamy dwoje dzieci. Są teraz starsze niż Ty w dniu twojej śmierci.

Nie poznałbyś mnie chyba. W moich włosach jest trochę siwych pasm, które staram się ukrywać, i już dawno temu wszystkie moje piegi zbladły, ale wciąż o Tobie myślę. Bardzo kocham Bucka, ale kocham też Ciebie... i wiem, że kiedyś znowu się zobaczymy.

Kocham Cię na zawsze, Jane

– „Znowu się zobaczymy”? – powtórzył Ponter. – Przecież on nie żyje. Mary skinęła głową.

– Chodziło jej o to, że znowu się zobaczą po jej śmierci.

Ponter zmarszczył czoło. Mary przeszła kilka kroków dalej, gdzie przy ścianie leżał inny list, zalaminowany w przezroczysty plastik. Podniosła go.

– „Drogi Frankie” – zaczęła i spojrzała na ścianę. – Tutaj jest – powiedziała. – Franklin T. Mullens III.

^

Drogi Frankie!

Mówią, że rodzic nie powinien przeżyć swojego dziecka, ale kto się spodziewa, że to dziecko zostanie mu odebrane w wieku zaledwie dziewiętnastu lat? Tęsknię za Tobą każdego dnia, Twój tata także. Znasz go – próbuje być przy mnie silny, ale do dziś zdarza mu się cicho płakać, kiedy myśli, że już śpię.

Rolą matki jest opiekować się synem i robiłam to najlepiej, jak potrafiłam. Teraz jesteś pod opieką samego Pana Boga i wiem, że jesteś bezpieczny w jego ramionach.

Na zawsze pozostaniemy razem, mój kochany synu.

Kocham Cię, Mama

Ponter nie wiedział, co powiedzieć. Uczucia w listach były bardzo szczere, ale... ale zarazem irracjonalne! Czy Mary tego nie dostrzegła? Czy nie rozumieli tego ludzie, którzy to pisali?

Mary dalej czytała mu treść kolejnych wiadomości i kart, i pamiątkowych tabliczek, i zwojów papieru, które pozostawiono przy ścianie. Kilka zdań utkwiło Ponterowi w pamięci.

„Wiemy, że Bóg się Tobą opiekuje...”

„Niecierpliwie czekam dnia, gdy znowu będziemy wszyscy razem...”

„Tak wiele spraw zapomnianych/Tak wiele spraw przemilczanych/Lecz o wszystkich powiem Wam/Gdy wśród zmarłych się spotkamy”.

„Śpij spokojnie, ukochany...”

„Czekam chwili, gdy znowu się zobaczymy...”

„...tego cudownego dnia, gdy Bóg nas znowu połączy w niebie...”

„Żegnaj – niech Bóg ma nad Tobą pieczę! – dopóki się znowu nie spotkamy...”

„Trzymaj się, bracie. Wpadnę do Ciebie następnym razem, gdy będę w stolicy...”

„Spoczywaj w spokoju, przyjacielu, spoczywaj w spokoju...”

Mary wiele razy przerywała, żeby wytrzeć łzy. Ponter też czuł smutek i jego oczy zrobiły się wilgotne, ale podejrzewał, że z innego powodu.

– Zawsze jest nam trudno, gdy umrze bliska osoba – powiedział.

Mary lekko skinęła głową.

– Ale... – Ponter chciał coś dodać, jednak umilkł.

– Tak? – zachęciła go Mary.

– Ten pomnik – Ponter gestem ogarnął dwie długie ściany. – Czemu on służy?

Mary uniosła brwi.

– Uczczeniu pamięci zmarłych.

– Nie wszystkich zmarłych – zauważył cicho Ponter. – Tutaj są tylko Amerykanie...

– No tak. To pomnik upamiętniający ofiarę, jaką ponieśli amerykańscy żołnierze. W ten sposób naród Stanów Zjednoczonych chce pokazać, że tych ludzi docenia.

– Doceniał – poprawił ją Ponter.

Mary spojrzała na niego niepewnie.

– Czy mój tłumacz źle działa? – spytał Ponter. – Myślałem, że czasu terażniejszego używa się tylko mówiąc o tym, co jest teraz. Jeśli mówimy o tym, czego już nie ma, trzeba używać czasu przeszłego.

Mary westchnęła, wyraźnie nie miała ochoty na rozważanie tej kwestii.

– Nie odpowiedziałas na moje wcześniejsze pytanie – delikatnie przypomniał Ponter. – Czemu służy ten pomnik?

– Już przecież wyjaśniłam. Uczczeniu pamięci zmarłych.

– Nie, nie. Możliwe, że taki jest uboczny efekt, ale na pewno celem projektanta...

– Mayi Ying Lin – wtrąciła Mary.

– Słucham?

– Mayi Ying Lin. To imię autorki projektu.

– Aha. Otóż na pewno jej celem... celem każdego, kto projektuje pomnik... jest to, by ludzie nigdy nie zapomnieli.

– Tak? – Mary sprawiała wrażenie zirytowanej tym, że doszukiwał się niewielkich różnic między swoim i jej punktem widzenia.

– O przeszłości nie wolno zapominać – ciągnął Ponter – aby unikać popełniania tych samych błędów.

– No tak, oczywiście – zgodziła się.

– A zatem, czy ten pomnik spełnił swój cel? Czy od tamtej pory udało się unikać tego błędu... błędu, który doprowadził do śmierci tych wszystkich młodych ludzi?

Mary po chwili zastanowienia pokręciła głową.

– Chyba nie. Na świecie wciąż toczą się wojny i...

– Biorą w nich udział Amerykanie? Ludzie, którzy zbudowali ten pomnik?

– Tak.

– Z jakich przyczyn?

– Gospodarczych. Ideologicznych. I...

– I?

Mary wzruszyła ramionami.

– Z chęci zemsty. Wyrównania rachunków.

– Kiedy ten kraj postanawia rozpocząć wojnę, gdzie ogłaszana jest taka wiadomość?

– Hm, w Kongresie. Później pokażę ci jego siedzibę.

– Widać stamtąd ten pomnik?

– Ten? Nie, nie sędzę.

– W takim razie powinni to robić właśnie tutaj – oznajmił Ponter kategorycznie. – Ten ich lider... prezydent, tak?... powinien wypowiedzieć wojnę właśnie tu, mając przed sobą te pięćdziesiąt osiem tysięcy dwieście dziewięć nazwisk. Taki powinien być cel tego miejsca. Jeśli patrząc na imiona wszystkich tych, którzy zginęli na wojnie wypowiedzianej przez

innego prezydenta, nowy lider mimo to wzywa młodych ludzi, by opuszczali kraj i wyruszali, być może po śmierć, na kolejną wojnę, to może na takiej wojnie warto walczyć.

Mary przekrzywiła głowę, ale nic nie powiedziała.

– Mówiłaś przecież, że walczyście w obronie waszych fundamentalnych wartości.

– Tak powinno być – odparła.

– Ale tamta wojna... ta w Wietnamie. Mówiłaś, że jej celem było poparcie skorumpowanego rządu, niedopuszczenie do wyborów.

– No tak, w pewnym sensie tak.

– W Filadelfii pokazałaś mi, gdzie narodziło się to państwo i jakie miało początki. Czy w Stanach Zjednoczonych za najwyższą wartość nie uważa się demokracji – wiary w to, że wola ludu powinna zostać wysłuchana i spełniona?

Mary skinęła głową.

– W takim razie celem wojny powinna być obrona tego ideału. Zgodne z amerykańskim ideałem byłoby dopilnowanie, aby tamtejsi ludzie mieli szansę głosować. I gdyby ludzie z Wietnamu...

– Wietnamczycy.

– Właśnie. Gdyby w głosowaniu wybrali system komunistyczny, amerykańskiemu ideałowi demokracji stałoby się zadość. Przecież nie można wyznawać demokratycznych zasad tylko wtedy, gdy głosowanie przebiega po naszej myśli.

– Może masz rację – przyznała Mary. – Wiele osób uważało, że Amerykanie nie powinni brać udziału w wojnie w Wietnamie. Nazywali tę wojnę bluźnierczą.

– Bluźnierczą?

– Hm, obrażającą Boga.

Brew Pontera zetknęła się z jego wałem nadoczodołowym.

– Z tego, co dotychczas widziałem, wnoszę, że ten twój Bóg musi być bardzo gruboskórny

Mary pochyliła głowę. Nie zamierzała się spierać z Ponterem w tej kwestii.

– Wcześniej mówiłaś, że większość ludzi w tym kraju to chrześcijanie, tak jak ty, prawda?

– Tak.

– Jak duża jest ta większość?

– Spora – przyznała Mary. – Trochę na ten temat czytałam zaraz po przeprowadzce tutaj. Populacja USA wynosi 270 milionów. – Ponter już wcześniej słyszał tę liczbę, więc jej ogrom tym razem go nie zdziwił. – Mniej więcej milion z nich to ateści, ludzie, którzy wcale nie wierzą w Boga. Dwadzieścia pięć milionów to ludzie niereligijni; oznacza to, że nie wyznają żadnej konkretnej wiary. Pozostałe religie – żydzi, buddyści, muzułmanie, hinduiści – w sumie stanowią około 15 milionów. Reszta – niemal 240 milionów – podaje się za chrześcijan.

– A zatem to jest kraj chrześcijański – zauważył Ponter.

– Hm, podobnie jak moja rodzinna Kanada, Stany Zjednoczone szczycą się tolerancją dla różnych wyznań.

Ponter z lekceważeniem machnął ręką.

– Dwieście czterdzieści milionów z dwustu siedemdziesięciu milionów to prawie dziewięćdziesiąt procent; a zatem kraj jest chrześcijański. Od ciebie i od innych słyszałem o podstawowych wierzeniach chrześcijan. Co mówił Chrystus o tych, którzy nas atakują?

– Masz na myśli kazanie na górze. – Mary zamknęła oczy, być może po to, by pomóc swojej pamięci. – „Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię

kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi!". [Nowy Testament, Ewangelia wg św. Mateusza; 5:38,39.]

– Czyli że w zasadach chrześcijańskiego narodu nie ma miejsca na zemstę – stwierdził Ponter. – A mimo to mówisz, że z tego powodu ten kraj prowadzi wojny. Podobnie w polityce demokratycznej nacji nie powinno być miejsca na utrudnianie obcemu państwu dokonania wolnego wyboru, a tymczasem to właśnie dlatego USA walczyły w Wietnamie.

Mary nic nie powiedziała.

– Nie rozumiesz? – spytał Ponter. – Pomnik ofiar tej wojny powinien służyć właśnie takiemu celowi, przypominać o bezsensowności takiej śmierci, o błędzie – śmiertelnym błędzie, jeśli wolno mi sobie pozwolić na grę słów w twoim języku – jakim jest wypowiedzenie wojny wbrew najważniejszym zasadom, w jakie się wierzy.

Mary wciąż milczała.

– Właśnie dlatego przyszłe amerykańskie wojny powinny być ogłaszane tutaj. Dokładnie w tym miejscu. Tylko wtedy, gdy sprawa wytrzyma test fundamentalnych wartości, tak drogich temu narodowi, być może jest to wojna, w której warto wziąć udział. – Ponter raz jeszcze ogarnął wzrokiem lśniąca czerń ściany.

Mary nic nie mówiła.

– Pozwól, że przedstawię prostszą perspektywę. Te listy, które czytałaś... domyślałam się, że są typowe, tak?

Kiwnęła głową.

– Ludzie zostawiają tu podobne wiadomości każdego dnia.

– I ty nie widzisz w tym żadnego problemu? Wyrażają ukrytą wiarę w to, że zmarli tak naprawdę nie są nieżywi. „Bóg się Tobą opiekuje”. „Kiedyś wszyscy będziemy znowu razem”. „Wiem, że czuwasz nade mną”. „Pewnego dnia znowu Cię zobaczę”.

– Już o tym rozmawialiśmy – zauważyła Mary. – Mój rodzaj ludzkości – nie tylko chrześcijanie, ale większość *Homo sapiens*, bez względu na wyznanie – wierzy, że istota człowieka nie ginie wraz ze śmiercią jego ciała. Dusza żyje dalej.

– I właśnie w takiej wierze tkwi problem – oznajmił Ponter. – Wciąż wracałem do tego myślami, odkąd mi o tym powiedziałaś, ale dopiero tutaj... jak wy to mówicie? ... wyraźnie zdałem sobie z tego sprawę. Właśnie w tym miejscu, przed tą ścianą imion.

– Tak?

– Oni nie żyją. Zostali wyeliminowani. Już nie istnieją.

– Ponter wyciągnął przed siebie dłoń i dotknął imienia, którego nie potrafił odczytać. – Ten ktoś nazywał się tak. – Dotknął innego imienia. – A ten tak. – Przesunął palcami po trzecim.

– A ten z kolei nosił takie imię. Ich już nie ma. Właśnie sprostanie tej świadomości musi być prawdziwym celem tej ściany.

Nie powinno się tu przychodzić, aby porozmawiać ze zmarłymi, bo nieżywi nie żyją. Nie można tu błagać zmarłych o wybaczenie, bo nie żyją. Nie można szukać tu ich dotyku, bo nie żyją! Te imiona, te znaki wyryte w kamieniu – to wszystko, co po nich zostało. I właśnie takie powinno być przesłanie tej ściany, taką lekcję powinniśmy pojąć. Tak długo, jak długo będziecie myśleli, że to życie jest zaledwie wstępem, że po nim czeka coś więcej, że ci, których tu spotkała krzywda, zostaną wynagrodzeni gdzieś tam, dokąd dopiero trafią, nie nauczycie się cenić życia i nadal będziecie posyłali młodych ludzi na śmierć.

Mary głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je powoli, próbując nad sobą zapanować. Ruchem głowy dała Ponterowi znać, aby spojrział w bok. Odwrócił się we wskazaną stronę. Siwowłosa mężczyzna właśnie kładł pod ścianą list.

– Mógłbyś to powiedzieć jemu? – spytała Mary ostrym tonem. – Wytłumaczyć mu, że marnuje czas? Albo tamtej kobiecie, która modli się klęcząc? Mógłbyś powiedzieć to jej? Rozwiąć jej złudzenia? Wiara w to, że gdzieś tam kochane przez nich osoby nadal istnieją, przynosi im ulgę.

Ponter pokręcił głową.

– Właśnie taka wiara doprowadziła do tego, co się stało. Jedynym sposobem uczczenia pamięci zmarłych jest dopilnowanie, aby więcej ludzi nie rozstawali się z życiem przedwcześnie.

– Dobrze. W takim razie idź i powiedz im to. – W głosie Mary brzmiał gniew.

Ponter się odwrócił. Spojrzał na Gliksinów i ich hebanowe odbicia w wypolerowanym kamieniu. Jego ludzie niemal nigdy nie odbierali życia innym ludziom, a wśród ludzi Mary działało się to na tak wielką skalę i tak często. Musiał istnieć jakiś związek między ich wiarą w Boga oraz w życie po śmierci, a gotowością do zabijania.

Zrobił krok do przodu, ale...

Ale obecne tu osoby nie wyglądały na złe ani okrutne, nie wydawały się żadne czyjejs śmierci. Sprawiały wrażenie smul – nych, niewiarygodnie smutnych.

Mary wciąż była zła na Pontera.

– No idź – ponagliła go, wskazując obcych ręką. – Co cię powstrzymuje? Idź i powiedz im wszystko.

Ponter przypomniał sobie, jaki smutek czuł po śmierci Klast.

Oni – ci dziwaczni Gliksini – znajdowali jakieś pocieszenie w swojej wierze. Przyjrzał się ludziom przy ścianie, których oddzielali od niego uzbrojeni agenci. Nie, nie mógł powiedzieć tym osobom, że ich bliscy odeszli na dobre. Przecież to nie one posłały tych żołnierzy na śmierć.

Odwrócił się do Mary.

– Rozumiem, że taka wiara daje pocieszenie, ale... – Pokręci! głową. – Ale jak przełamać ten cykl? Bóg sprawia, że zabijanie staje się łatwiejsze do zaakceptowania, i Bóg pociesza po tym, gdy już się to stanie. Jak ustrzec się przed powtarzaniem tego w kółko i od nowa?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Mary.

– Przecież coś trzeba robić.

– Ja się modłę.

Spojrzał na nią, potem na ludzi pod ścianą i znowu na Mary, a potem spuścił głowę, wlepiając wzrok w ziemię. Nie był w stanie patrzeć dłużej na nią i na tysiące nazwisk.

– Gdybym wierzył, że istnieje choćby najmniejsza szansa, że to zadziała – powiedział cicho – przyłączyłbym się do ciebie.

Rozdział

Dwudziesty Trzeci

– *Fascynujące – przyznał Jurard Selgan. – Fascynujące.*

– *Co takiego? – W głosie Pontera pojawiła się nuta irytacji.*

– *Twoje zachowanie przy ścianie upamiętniającej Gliksinów, którzy zginęli w południowowschodnim Galasoy – W jakim sensie? – spytał Ponter. Jego głos zabrzmiał ostro, jak głos człowieka, któremu ktoś zrywa strup.*

– *No cóż, nie po raz pierwszy twoje przekonania – nasze przekonania, jako Barastów – okazały się sprzeczne z poglądami Gliksinów, mam rację?*

– *Tak, oczywiście, że tak.*

– *Przypuszczam, że takie sprzeczności musiały się pojawić już podczas twojej pierwszej wizyty na tamtym świecie, tak?*

– *Chyba.*

– *Potrafisz mi podać jakiś przykład?*

Ponter usiadł z założonymi rękami.

– *Jasne – oznajmił takim tonem, jakby chciał powiedzieć „zaraz się przekonasz”. – Wspominałem o tym na samym początku: Gliksini wyznają niemądry pogląd, że świat ma określony wiek. Zupełnie błędnie zinterpretowali przesunięcie widma ku czerwieni, uznając to za dowód rozszerzania się wszechświata; nie rozumieją tego, że masa zmienia się w czasie. Co więcej, uważają, że kosmiczne promieniowanie mikrofalowe tła jest echem tego, co nazywają „wielkim wybuchem” – ogromnej eksplozji, która według ich przekonań, dała początek światu.*

– *Widać lubią, jak coś wybucha – stwierdził Selgan.*

– To na pewno. Rzecz w tym, że jednorodność promieniowania tła w rzeczywistości wynika z powtarzającego się zjawiska absorpcji i emisji elektronów uwięzionych w ściskających plazmę wirach magnetycznych.

– Na pewno masz rację – powiedział Selgan, przyznając tym samym, iż nie jest to dziedzina nauki, na której się zna.

– Mam – stwierdził Ponter stanowczo. – Ale nie spierałem się z nimi w tej sprawie. Podczas mojej pierwszej wizyty Mare powiedziała do mnie: „Chyba nie uda ci się przekonać tutaj wielu osób, że wielkiego wybuchu nie było”. A ja odparłem, że to nie problem; powiedziałem: „Potrzeba przekonywania innych co do słuszności własnych przekonań jest czymś, co wypływa z religii. Mnie wystarczy świadomość, że mam rację, nawet jeśli inni o tym nie wiedzą”.

– Ach tak. I naprawdę tak uważasz?

– Tak. Dla Gliksinów wiedza jest polem bitwy! Wojną terytorialną! Aby uzyskać odpowiednik naszego tytułu „Uczonego”, muszą obronić pracę naukową. Właśnie takiego słowa używają: „obronić”! A przecież nauka nie polega na bronieniu własnej pozycji przed innymi; liczą się elastyczność, otwarty umysł i umiejętność dostrzeżenia prawdy bez względu na to, kto ją odkrył.

– Zgadzam się – przyznał Selgan, po czym umilkł i dopiero po chwili dodał: – Ale nie poświęciłeś wiele czasu na znalezienie jakichkolwiek dowodów w kwestii tego, czy Gliksini słusznie wierzą w życie po śmierci.

– Nieprawda. Dałem Mare wiele okazji, aby mogła udowodnić zasadność tego twierdzenia.

– Zanim znaleźliście się przed ścianą pomnikiem?

– Tak. Ale nic nie powiedziała!

– I podobnie jak w przypadku ich przekonań dotyczących kosmologii, dałeś spokój sprawie, zadowolając się przekonaniem o własnej racji?

– Tak. To znaczy...

Selgan zmarszczył brew.

– Co takiego?

– Chciałem powiedzieć, że owszem, spierałem się z nią w kwestii wiary w życie po śmierci. Ale to nie to samo.

– Nie to samo co rozważania kosmologiczne? Dlaczego?

– Dlatego, że chodziło o coś ważniejszego.

– Czy aby kosmologia nie dotyczy ostatecznych losów całego wszechświata?

– Rzecz w tym, że w naszym sporze nie chodziło o abstrakcyjne rozważania, tylko o coś, co było – jest – sercem wszystkiego.

– Dlaczego?

– Dlatego że... dlatego – na chrząstkę! Nie wiem dlaczego. Po prostu wydaje się to ogromnie ważne. Właśnie to pozwala im walczyć na tych wszystkich wojnach.

– Rozumiem. Ale jednocześnie pojmuję też, że jest to fundamentalna kwestia w ich wierzeniach. Na pewno zdawałeś sobie sprawę z tego, że nie przyznają ci racji tak łatwo.

– Chyba tak.

– A mimo to wciąż do tej kwestii wracałeś.

– No tak.

– Dlaczego?

Ponter wzruszył ramionami.

– Chcesz poznać moją opinię? – spytał Selgan.

Ponter ponownie wzruszył ramionami.

– Wracałeś do tego, bo chciałeś się przekonać, czy mają jakieś dowody na istnienie tego życia po śmierci. Może Mare i inni Gliksini coś przed tobą

ukrywali? Może istniały fakty, które ona w końcu by wyjawiała gdybyś wystarczająco długo drążył temat.

– Nie mogą istnieć dowody na coś, czego nie ma – stwierdził Ponter.

– To prawda – przyznał Selgan. – Jednak próbowałeś przekonać ich do swojej racji bądź zmusić ich, aby to oni przekonali ciebie, że się nie mylili.

Ponter pokręcił głową.

– To nie miało sensu. Wiara w te ich dusze jest zupełnie absurdalna.

– W dusze?

– W niematerialną część istoty człowieka, którą oni uważają za nieśmiertelną.

– Ach tak. I ty uważasz taki pogląd za absurdalny?

– Oczywiście.

– Ale oni mają prawo w to wierzyć, prawda?

– Chyba.

– Tak jak mają prawo do wiary w swój dziwaczny model kosmologiczny, tak?

– No tak.

– A mimo to nie potrafiłeś zostawić kwestii życia po śmierci, mam rację? Nawet gdy opuściliście miejsce, gdzie znajdował się pomnik, ty nadal próbowałeś drążyć ten temat, tak?

Ponter odwrócił wzrok.

Skoro ryzyko zamknięcia portalu zostało przynajmniej tymczasowo zażegnane – neandertalczyki nie mogli zlikwidować przejścia, gdy po drugiej stronie znajdował się tuzin ich najznakomitszych obywateli – Jock Krieger postanowił wrócić do przerwanej pracy.

Opuścił Seabreeze i czarnym bmw pojechał na University of Rochester, którego campus znajdował się nad rzeką Genesee. Kiedy zakładał grupę Synergia, wystarczyły dwa telefony odpowiednich osób, aby cały jego personel uzyskał priorytetowy dostęp do księgozbiorów UR. Jock zostawił wóz na parkingu i ruszył do budynku biblioteki wydziału nauk i inżynierii, nazwanej imieniem Chestera F. Carlsona, wynalazcy kserografii. Wiedział, że czasopisma znajdują się na pierwszym piętrze. Bibliotekarce, pulchnej, czarnej kobiecie w czerwonej chustce na włosach, pokazał swoją VIPowską przepustkę uniwersytecką. Wyjaśnił jej, czego szuka, a ona podreptała na zaplecze. Jock nie lubił tracić czasu, więc wyciągnął elektroniczny notes i zajął się przeglądaniem artykułów z bieżących wydań „New York Timesa” i „Washington Post”.

Po pięciu minutach kobieta wróciła z archiwalnym numerem pisma „Earth and Planetary Science Letters” oraz z dwoma numerami „Nature”, które według wyszukiwarki internetowej zawierały komentarze do artykułu na temat badań nad szybką zmianą pola magnetycznego Ziemi.

Jock znalazł wolne miejsce i usiadł. Najpierw wyjął z teczki przenośny skaner HP CapShare. Przesunął nim po stronach artykułów, które go interesowały, zapisując je w rozdzielczości 200 dpi, odpowiedniej dla optycznego czytnika znaków. Uśmiechnął się do portretu Chestera Carlsona, wiszącego na ścianie niedaleko miejsca, które zajmował – podobałoby mu się to małe urządzenie.

Potem zaczął czytać artykuły. W pierwszym, tym w „Earth and Planetary Science Letters”, najbardziej zainteresowało go to, że autorzy otwarcie przyznawali, iż ich wnioski są sprzeczne z powszechnie obowiązującymi teoriami, według których proces zaniku pola magnetycznego powinien trwać tysiące lat. Jednakże tradycyjne przekonanie opierało się nie tyle na

faktach, co raczej na ogólnym przeświadczeniu, że pole magnetyczne Ziemi ze względu na swoją potęgę nie może szybko stanąć na głowie.

Tymczasem Coe i Prevot odkryli dowody niezwykle szybkich zmian. Swoje badania oparli na analizie potoków lawowych w rejonie gór Steens, w południowym Oregonie, gdzie wulkan wybuchał pięćdziesiąt sześć razy w trakcie procesu zmiany pola magnetycznego, dając tym samym swego rodzaju ekspozycję poklatkową tego, co się działo. Wprawdzie naukowcy nie mogli dokładnie określić przerw między kolejnymi erupcjami, ale wiedzieli, ile czasu potrzebuje każda warstwa, aby ostygnąć do temperatury Curie, w której namagnesowanie nowo uformowanej skały ulegało utrwaleniu zależnie od kierunku i siły magnetycznego pola Ziemi w danym czasie. Z badań wynikało, że zanik pola nastąpił w ciągu zaledwie kilku tygodni, a nie w czasie całych mileniów.

Jock przeczytał też artykuł tych samych autorów w „Nature” oraz jego krytykę autorstwa niejakiego Ronalda T. Merrilla, która sprowadzała się w zasadzie do tego, co sam Merrill nazywał „prawem najmniejszego zaskoczenia”: dogmatycznego stwierdzenia, że łatwiej uwierzyć w kompletną pomyłkę Coego i Prevota niż zaakceptować tak niezwykle odkrycia jako prawdziwe – nawet jeśli nie można się doszukać żadnego błędu w pracy naukowców.

Krieger odchylił się do tyłu wraz z bibliotecznym krzesłem. Wyglądało na to, że prawdą jest to, co Ponter powiedział geologowi Arnoldowi Moorebwi, pracującemu dla kanadyjskiego rządu.

A to z kolei oznaczało, że nie ma czasu do stracenia, i Jock doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Rozdział

Dwudziesty Czwarty

Towarzystwo Paleoantropologiczne organizowało coroczne spotkania na przemian to z Association of American Archeology, to z American Association of Physical Anthropologists. W tym roku wypadła akurat kolej tego pierwszego, a zjazd odbywał się w hotelu Crowne Plaza przy Placu Franklina.

Format był bardzo prosty: jednotorowy program, na który składały się piętnastominutowe prezentacje. Tylko czasami przewidywano dodatkowy czas na pytania. John Yellen, przewodniczący towarzystwa, pilnował porządku harmonogramu z precyzją Phileasa Fogga.

Wieczorem, po pierwszym dniu referatów, wielu antropologów spotkało się w hotelowym barze.

– Ci ludzie na pewno bardzo chcieliby z tobą porozmawiać na gruncie towarzyskim – zapewniła Pontera Mary. Znajdowali się w korytarzu prowadzącym do baru. – Wejdziemy do środka?

Obok nich stał agent FBI – jeden z cieni, jakie towarzyszyły im przez całą podróż. Ponter rozszerzył nozdrza.

– W tym pomieszczeniu palą.

Mary skinęła głową.

– W wielu miejscach palić można już tylko w barach, a w Ottawie i niektórych innych miastach nawet tam jest to zakazane.

Ponter zmarszczył brew.

– W takim razie załuję, że to spotkanie nie odbywa się w Ottawie.

– Wiem. Jeśli nie możesz tego znieść, nie musimy tam wchodzić.

Ponter zastanawiał się przez chwilę.

– Podczas pobytu tutaj miałem sporo pomysłów na wynalazki, głównie adaptujące technologie Ghksinów. Podejrzewam jednak, że najbardziej przysłużyłbym się społeczeństwu, tworząc filtry nosowe, aby moich ludzi nie raziły tutejsze zapachy.

Mary kiwnęła głową.

– Ja też nie lubię dymu tytoniowego. Jeśli...

– Możemy wejść – przerwał jej Ponter.

Mary zwróciła się do agenta FBI.

– Napijesz się czegoś, Carlos?

– Jestem na służbie, proszę pani – odparł rzeczowo. – Ale pani i delegat Boddit możecie robić to, na co macie ochotę.

Mary ruszyła pierwsza. W pomieszczeniu panował półmrok. Ściany wyłożone były drewnianą boazerią. Kilkunastu naukowców siedziało na stołkach przy barze, a trzy mniejsze grupki zebrały się przy stolikach. Telewizor zamontowany wysoko na ścianie pokazywał powtórkę z *Kronik Seinfelda*. Mary od razu zorientowała się, jaki odcinek nadawano: ten, w którym Jerry zostaje uznany za wroga dentystów. Już zamierzała ruszyć w głąb sali, kiedy poczuła dłoń Pontera na ramieniu.

– Czy to nie symbol twoich ludzi? – spytał.

Drugą ręką coś pokazywał. Mary spojrzała w tę stronę: na ścianie wisiał podświetlany znak, reklamujący Molson Canadian. Wiedziała, że Ponter nie potrafi przeczytać słów, ale prawidłowo rozpoznał duży, czerwony liść klonu.

– A tak, rzeczywiście. Właśnie z tego Kanada jest tutaj najlepiej znana – wyjaśniła – z piwa. To taki napój z fermentowanego zboża.

– Na pewno jesteś z tego dumna.

Poprowadziła go przez pomieszczenie do jednej z mniejszych grupek ludzi siedzących na niskowatych krzesłach wokół okrągłego stołu.

– Carlos, nie masz nic przeciwko temu? – spytała agenta FBI.

– Zaczekam na państwa tam – powiedział. – Jak na jeden dzień już dość się nasłuchałem o skamielinach. – Podeszedł do baru i usiadł na jednym ze stołków, tyłem do barmana, a przodem do nich.

Mary odwróciła się do grupy.

– Możemy się przysiąc?

Troje siedzących przy stoliku ludzi – dwóch mężczyzn i kobieta – prowadziło ożywioną rozmowę, ale na dźwięk głosu Mary wszyscy spojrzeli w jej stronę. Od razu zorientowali się, kim jest Ponter.

– Oczywiście – odparł jeden z mężczyzn. Przy stole było tylko jedno wolne krzesło, więc szybko dostawił drugie.

– Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? – spytał drugi mężczyzna, gdy Mary i Ponter usiedli.

Mary zastanawiała się, czy nie powiedzieć im części prawdy: przy tym oraz przy pobliskich stolikach nikt nie palił, a krzesła stały w taki sposób, że nawet gdyby inni chcieli przyłączyć się do grupy, nie było już więcej miejsca – wołała, aby Ponter nie poczuł się przytłoczony obecnością zbyt wielu osób. Za nic nie wyjawiałaby jednak drugiej części, a mianowicie tego, że Norman Thierry, napuszony samozwańczy ekspert w dziedzinie neandertalskiego DNA, wykładowca z UCLA, siedział w drugim krańcu sali. Na pewno umierał z chęci poznania Pontera, ale nie mógł się do niego dostać.

Ostatecznie jednak zignorowała pytanie i zaczęła przedstawiać Ponterowi obecnych.

– To jest Henry Rączy Jeleń – powiedziała, wskazując Indianina w wieku około czterdziestu lat. – Henry jest z Browna.

– Był z Browna – sprostował Henry. – Przeniosłem się na uniwersytet w Chicago.

– Ach tak. A to... – Mary wskazała kobietę – jest Ange – la Bromley z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku.

Angela wyciągnęła do Pontera prawą dłoń.

– Ogromnie mi miło, doktorze Boddit.

– Proszę mówić mi po imieniu – poprosił. Wiedział już, że w tym społeczeństwie nie można zwracać się do kogoś, używając jego imienia, dopóki ta osoba sama tego nie zaproponuje.

– A to mój mąż, Dieter – dodała Angela.

– Miło mi – powiedzieli jednocześnie Mary i Ponter.

– Także antropolog? – zainteresowała się Mary.

– Nie, nie. Siedzę w aluminiowym sidingu.

Ponter przekrzywił głowę na bok.

– Dobrze to ukrywasz.

Pozostali spojrzeli na niego zdziwieni, a Mary się roześmiała.

– Przyzwyczajacie się do specyficznego poczucia humoru Pontera – powiedziała.

Dieter wstał z miejsca.

– Pozwólcie, że przyniosę wam coś do picia. Mary – wino?

– Tak, białe, proszę.

– A ty, Ponterze?

Ponter zmarszczył czoło, nie wiedząc, co zamówić. Mary pochyliła się ku niemu.

– W barach zawsze mają colę.

– No to colę! – powiedział ucieszony. – Bardzo proszę.

Dieter poszedł do baru. Mary poczęstowała się orzeszkami z małej, drewnianej miseczki, stojącej na stole.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli trochę cię podpytać – powiedziała Angela do Pontera. – Na pewno się domyślasz, że wywróciłeś nasze poglądy do góry nogami.

– Nie miałem takiego zamiaru – przyznał Ponter.

– Oczywiście, że nie. Ale wszystko, co dotąd słyszeliśmy o twoim świecie, podważa nasze dotychczasowe przekonania.

– Na przykład? – spytał Ponter.

– Mówi się, że na twoim świecie nie ma rolnictwa.

– To prawda.

– My zawsze uważaliśmy, że rolnictwo jest niezbędne do rozwoju zaawansowanej cywilizacji – przyznała Angela, popijając łyk drinka.

– Dlaczego? – zdziwił się Ponter.

– No cóż, sądziliśmy, że tylko rolnictwo jest w stanie zagwarantować wystarczającą ilość żywności. Dzięki temu ludzie mogą specjalizować się w innych zajęciach – nauczyciel, inżynier, urzędnik i tak dalej.

Ponter powoli pokręcił głową, tak jakby zdumiało go to, co przed chwilą usłyszał.

– Na naszym świecie są osoby, które decydują się żyć według prastarych tradycji. Jak sądzisz, ile czasu taki ktoś potrzebuje na zdobycie pożywienia... – Mary wiedziała, że w języku Pontera istnieje rodzajowo neutralny zaimek trzeciej osoby liczby pojedynczej; Hak próbował przetłumaczyć to, używając słowa „ktoś” – ...dla siebie oraz swoich podopiecznych?

Angela nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Domyślam się, że sporo.

– Wcale nie – zaprzeczył Ponter. – Pod warunkiem, że tych podopiecznych nie ma zbyt wielu. Potrzeba na to zaledwie dziewięć procent czasu. – Przez chwilę milczał, obliczając coś w pamięci albo słuchając

przeliczeń Haka. – Czyli około sześćdziesiąt waszych godzin w ciągu miesiąca.

– Sześćdziesiąt godzin w ciągu miesiąca – powtórzyła Angela. – Ależ to... mój Boże... to tylko piętnaście godzin tygodniowo.

– Tydzień to grupa siedmiu dni? – spytał Ponter, zerkając na Mary. Przytaknęła. – W takim razie to się zgadza. Resztę czasu można poświęcić na inne zajęcia. Od początku mieliśmy sporą nadwyżkę czasu.

– Ponter ma rację – wtrącił Henry Rączy Jeleń. – Piętnaście godzin w tygodniu, tyle przeciętnie zabierają obowiązki w społecznościach zbierackołowiewskich także na naszej Ziemi.

– Naprawdę? – Angela odstawiła szklanę.

Henry skinął głową.

– Rolnictwo było pierwszym ludzkim zajęciem, w którym zyski okazały się wprost proporcjonalne do wysiłku. Jeśli pracowało się w polu osiemdziesiąt godzin tygodniowo, otrzymywało się plony dwukrotnie większe, niż gdyby pracowało się czterdzieści godzin. W łowiectwie i zbieractwie wygląda to inaczej: jeżeli polujesz cały czas, wybijasz całą zwierzynę na swoim terytorium; a zatem zbyt ciężka praca myśliwego przynosi efekt przeciwny do zamierzonego.

Wrócił Dieter z napojami. Postawił kieliszek przed Mary i szklanę przed Ponterem, po czym usiadł.

– Ale jak założyć stałą osadę bez rolnictwa? – spytała An – gela.

Henry zmarszczył brwi.

– Zupełnie opacznie na to patrzysz. To nie rolnictwo przyczynia się do zamieszkania na stałe w jednym miejscu, tylko zbieractwo i łowiectwo.

– Ale... nie, nie. Pamiętam jeszcze ze szkoły...

– A jak wielu Indian uczyło w twojej szkole? – spytał Henry lodowatym tonem.

– Żaden, ale...

Henry spojrział na Pontera, a potem na Mary.

– Biali rzadko pojmują tę tak oczywistą prawdę. Społeczności zbierackołowiewieckie nie ruszają się z miejsca. Aby znaleźć pożywienie na określonym terenie, trzeba go dokładnie poznać: wiedzieć, gdzie rosną jakie rośliny, gdzie przychodzą do wodopoju duże zwierzęta, gdzie ptaki składają jaja. Trzeba całego życia, aby naprawdę poznać kawałek ziemi. Przenosiny w inne miejsce oznaczałyby wyrzucenie całej tej ciężko zdobytej wiedzy w błoto.

Mary uniosła brwi.

– Ale ludzie uprawiający rolę muszą, w pewnym sensie, zapuścić korzenie.

Henry nie zwrócił uwagi na kalambur.

– Jeśli rozpatrzemy ten problem w perspektywie pokoleniowej, dojdziemy do wniosku, że to rolnicy są wędrowni.

Członkowie społeczności zbierackołowiewieckich ograniczają liczebność swoich rodzin. Wiadomo, że kilka dodatkowych gąb do wyżywienia przysparza dorosłym więcej pracy. Natomiast rolnicy potrzebują dużych rodów, bo każde dziecko to kolejna para rąk do pracy, a im więcej masz dzieci, tym mniej musisz robić sam.

Ponter słuchał dyskusji z zainteresowaniem; jego tłumacz od czasu do czasu emitował dyskretne piski, ale nie przeszkadzało mu to w śledzeniu konwersacji.

– Rzeczywiście, to ma sens – przyznała Angela bez przekonania.

– Naprawdę ma – potwierdził Henry. – Z czasem, gdy potomkowie rolnika dorastają, muszą opuścić dom i założyć własne gospodarstwa. Zapytaj rolnika, gdzie mieszkał jego praprapradziad, a na pewno poda

jakieś odległe miejsce; spytaj o to samo kogoś, kto należy do społeczności zbierackoło – wieckiej, a usłyszysz „tutaj”.

Mary pomyślała o własnych rodzicach, którzy mieszkali w Calgary. Jej dziadkowie pochodzili z Anglii, Irlandii i z Walii, a w ogóle nie miała pojęcia, skąd byli jej pradziadkowie, nie mówiąc już o prapradziadach.

– Nie porzuca się ot tak własnego terenu – ciągnął Henry.

– Właśnie dlatego społeczności zbierackołowiewskie tak bardzo cenią starszych ludzi.

Mary wciąż pamiętała, jak ubodło ją to, że Ponter uznał ją za niemądrą, ponieważ farbowała włosy.

– Powiedz coś więcej na ten temat – poprosiła Henryego.

Indianin upił łyk piwa.

– Rolnicy cenią młodych, ponieważ uprawa roli to zajęcie, do którego potrzeba końskiej siły. Za to sztuki łowiectwa i zbieractwa opierają się na wiedzy. Im więcej lat wstecz pamiętasz, tym więcej dostrzegasz schematów i tym lepiej znasz dany teren.

– Rzeczywiście, my ogromnie szanujemy naszych starszych – przyznał Ponter. – Mądrości nie da się niczym zastąpić.

Mary pokiwała głową.

– Akurat to wiedzieliśmy o neandertalczykach na podstawie analizy kopalnych szczątków – powiedziała. – Nigdy jednak nie rozumiałam przyczyn.

– Moją specjalnością jest *Australopithecus* – wtrąciła An – gela. – Jakie szczątki masz na myśli?

– Hm, osobnik znany jako *LaChapelleauxSaints* był dotknięty paraliżem i artretyzmem, miał złamaną szczękę i stracił większość zębów. To oczywiste, że opiekowano się nim przez wiele lat; sam w żadnym razie nie dałby sobie rady. Prawdopodobnie ktoś musiał nawet przeżuwać jedzenie

dla niego. *La Cha – pelle* miał czterdzieści lat, kiedy zmarł, co było nie łąda osiągnięciem wśród ludzi, którzy żyli najwyżej po dwadzieścia kilka lat. Musiał być prawdziwą skarbnicą wiedzy o terytorium swojego plemienia! Całe dekady doświadczenia! Podobnie wygląda przypadek *Szanidara I* z Iraku. Ten biedak także dożył mniej więcej czterdziestki i był w jeszcze gorszym stanie niż *La Cha – pelle*; nie widział na lewe oko i nie miał prawej ręki.

Henry zagwizdał kilka nut. Mary dopiero po sekundzie je rozpoznała: motyw przewodni z *The Six Million Dollar Man*.

– Nim także się zajmowano – ciągnęła z uśmiechem – i to nie z litości, lecz dlatego, że tak stary człowiek był kopalnią wiedzy łowieckiej.

– Może i tak – stwierdziła Angela obronnym tonem – ale przecież to rolnicy zbudowali miasta, to rolnicy mieli odpowiednią technologię. W Europie, w Egipcie – tam, gdzie ludzie uprawiali ziemię – miasta istnieją od tysięcy lat.

Henry Rączy Jeleń spojrział na Pontera tak, jakby szukał u niego wsparcia. Neandertalczyk tylko kiwnął głową, dając znak, że ustępuje pola Indianinowi.

– Uważasz, że Europejczycy rozwinęli technologię – metalurgię i wszystko inne – a my, Indianie, nie, dlatego że oni byli lepsi? – spytał Henry. – Tak właśnie myślisz?

– Nie, nie – zaprzeczyła speszona Angela. – Oczywiście, że nie. Tylko...

– Rozwój technologiczny Europejczyków był wynikiem szczęśliwego zbiegu okoliczności. Rudy żelaza tuż pod powierzchnią ziemi; krzemienie do wykonywania narzędzi kamiennych. Próbowalaś kiedyś ciosać granit? Na tych terenach mamy głównie tę skałę. Wychodzą z niej kiepskie groty strzał.

Mary miała nadzieję, że Angela na tym poprzestanie, ale ona nie dawała za wygraną.

– Europejczycy mieli nie tylko narzędzia. Okazali się też na tyle sprytni, że udomowili zwierzęta, aby dla nich pracowały. Tutaj Indianie nigdy tego nie robili.

– Ponieważ nie mogli – zauważył Henry. – Na całej planecie jest zaledwie czternaście gatunków dużych roślinożerców dających się oswoić. Tylko jeden z nich – renifer – występuje w stanie naturalnym w Ameryce Północnej i to daleko na północy. Pięć głównych udomowionych zwierząt pochodzi z rejonu Eurazji: owce, kozy, bydło, konie i świnie. Pozostałe dziewięć w skali globalnej odgrywa mniejsze znaczenie, jak choćby wielbłądy. Północnoamerykańskiej megafauny – łosia, niedźwiedzia, bizona czy pumy – nie da się oswoić. Po prostu te zwierzęta z natury się do tego nie nadają. Owszem, można chwytać je w naturalnym środowisku, ale nie da się ich rozmnażać na skalę hodowlaną. Nie dają się też ujeżdżać, choćby nie wiem jak długo próbować je złamać – Ton Henryego stawał się coraz chłodniejszy. – To nie wyższa inteligencja sprawiła, że Europejczycy osiągnęli to, co osiągnęli. Można nawet spierać się, że to my, Indianie z Ameryki Północnej, wykazaliśmy się tępszymi umysłami, bo przetrwaliśmy i rozwijaliśmy się pomimo braku metali i udomowionych zwierząt roślinożernych.

– Ale przecież byli też tubylcy... to znaczy Indianie północnoamerykańscy, którzy uprawiali ziemię – zauważyła Angela.

– Pewnie. Ale co uprawiali? Głównie kukurydzę, bo to tutaj było. A kukurydza zawiera mało białka w porównaniu do zbóż pochodzących z Eurazji.

Tym razem to Angela spojrzała na Pontera.

– Ale... ale neandertalczykcy pochodzili z Europy, a nie z Ameryki Północnej.

Henry skinął głową.

– I mieli wspaniałe narzędzia kamienne: kultura mu – stierska.

– Ale nie udomowili zwierząt, choć jak twierdzisz, w Europie było pod dostatkiem takich, które się do tego nadawały. No i nie uprawiali ziemi.

– Halo! Ziemia do Angeli! – odezwał się Henry. – W czasach, gdy żyli neandertalczykcy, nikt nie udomawiał zwierząt. I nikt wtedy nie uprawiał roli – ani przodkowie Pontera, ani twoi czy moi. Ziemię zaczęto uprawiać dziesięć i pół tysiąca lat temu na terenach zwanych Żywnym Półksiężycem. To miało miejsce na długo po wyginięciu neandertalczyków... przynajmniej w tej linii czasu. Kto wie, co by osiągnęli, gdyby przetrwali.

– Ja wiem – powiedział Ponter wprost.

Mary się roześmiała.

– W takim razie nam powiedz – poprosił Henry. – Twoi ludzie nigdy nie zajmowali się uprawą ziemi, prawda?

– Zgadza się.

Henry pokiwał głową.

– Zresztą pewnie i tak lepiej wam bez rolnictwa. Wiąże się z nim wiele złego.

– Na przykład co? – spytała Mary ostrożnie. Widziała, że Henry trochę się uspokoił, dlatego starała się, aby w jej głosie brzmiała ciekawość, a nie prowokacja.

– Już wcześniej napomknąłem o przeludnieniu. Jaki jest wpływ rolnictwa na ziemię, chyba każdy widzi: pod pola uprawne wycina się lasy. Do tego dochodzą jeszcze wszystkie choroby związane z hodowlą udomowionych zwierząt.

Mary zauważyła, że Ponter potakuje. Reuben Montego wyjaśnił im to w Sudbury.

Dieter okazał się bardzo bystry jak na gościa zajmującego się aluminiowym sidingiem. On także skinął głową.

– I nie chodzi tutaj wyłącznie o choroby fizyczne; mamy też do czynienia z chorobami kulturowymi – zauważył. – Weźmy na przykład niewolnictwo: to bezpośredni produkt potrzeby rąk do pracy przy uprawach.

Mary zerknęła na Pontera, czując rosnący dyskomfort. Po raz drugi, odkąd przybył do Waszyngtonu, w rozmowie pojawiał się temat niewolnictwa. Wiedziała, że czeka ją później sporo wyjaśniania...

– Rzeczywiście – przytaknął Henry. – Większość niewolników pracowała na plantacjach. A nawet pomijając niewolnictwo dosłowne, uprawa gruntów dała początek zjawiskom, które w zasadzie sprowadzają się do tego samego, takim jak dzierżawienie gruntów czy pojawienie się wyrobników. Do tego dochodzi oparte na podziale klasowym społeczeństwo, feudalizm, właściciele ziemscy i tak dalej; wszystko to bezpośrednio wynika z rolnictwa.

Angela zmieniła pozycję na krześle.

– Ale nawet w sferze polowania na zwierzęta odkrycia archeologiczne mówią nam, że nasi przodkowie byli w tym o wiele lepsi niż neandertalczyki – stwierdziła.

Ponter wyglądał na zagubionego, gdy dyskusja dotyczyła uprawy ziemi i feudalizmu, ale ostatecznie stwierdzenie Angeli zrozumiał doskonale.

– W jakim sensie? – spytał.

– No cóż, nie znaleźliśmy żadnych dowodów efektywności podejścia do polowania, jakie reprezentowali twoi przodkowie.

– Co masz na myśli? – Ponter zmarszczył czoło.

– Neandertalczycy zabijali tylko pojedyncze zwierzęta. – Angela zrozumiała, że popełniła błąd, ledwie wypowiedziała te słowa.

Brew Pontera powędrowała w górę.

– A jak polowali wasi przodkowie?

Angela zmieszała się.

– Hm... dawniej, no cóż, pędziliśmy całe stada nad urwiska i zabijaliśmy setki zwierząt naraz.

Złote oczy Pontera zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Ale to przecież... potworne marnotrawstwo. Nawet wasze ogromne populacje na pewno nie mogły zużyć całego mięsa. Poza tym taki rodzaj zabijania to tchórzostwo.

– No... ja bym tego tak nie nazwała – powiedziała Ange – la, czerwieniejąc. – Według nas niepotrzebne wystawianie się na ryzyko jest lekkomyślne, więc...

– Wyskakujecie z samolotów – zauważył Ponter. – Skaczecie z klifów. Okładanie się pięściami zmieniliście w sport. Widziałem to wszystko w telewizji.

– Nie wszyscy to robimy – wtrąciła Mary taktownie.

– No tak – przyznał Ponter. – Ale oprócz niebezpiecznych sportów zaobserwowałem też dość powszechne nierozważne zachowania. – Wskazał bar. – Palenie tytoniu i picie alkoholu. Z tego, co mi mówiono, obie te czynności są niebezpieczne i obie – skinął głową w stronę Henryego – są pochodnymi uprawy roli. Takie działania na pewno kwalifikują się jako „niepotrzebne wystawianie się na ryzyko”. Jak możecie zabijać zwierzęta w tak tchórzliwy sposób, a jednocześnie decydować się na tak ryzykowne zajęcia jak... och, chwileczkę. Już rozumiem. Chyba rozumiem.

– Co takiego? – spytała Mary.

– No właśnie, co? – zawtórował jej Henry.

– Jedną chwilę. – Ponter wyraźnie próbował pochwycić jakąś wymykającą się myśl. Po kilku sekundach kiwnął głową, gdy sprecyzował to, o co mu chodziło. – Wy, Glik – sini, pijecie alkohol, palicie tytoń i uprawiacie ryzykowne sporty, aby zademonstrować swoją rezerwę potencjału. Sygnalizujecie wszystkim dookoła: hej, patrzcie, w czasach dobrobytu wcale nie oszczędzam sił, a mimo to znakomicie funkcjonuję. W ten sposób dajecie do zrozumienia potencjalnym partnerom, że obecne działanie nie jest szczytem waszych możliwości. Sugerujecie tym samym, że w trudnym okresie starczy wam siły i wytrwałości, aby zadbać o rodzinę.

– Co za fascynujący pogląd! – przyznała Mary.

– Rozumiem to zjawisko, ponieważ mój gatunek postępuje podobnie, tylko w inny sposób to manifestuje. Kiedy polujemy...

Mary w lot zrozumiała, co Ponter ma na myśli.

– Kiedy polujecie, nie wybieracie łatwych sposobów. Nie spychacie zwierząt z urwiska ani nie rzucacie w nie oszczepami z bezpiecznej odległości. Tak postępowali moi przodkowie, ale nie twoi, przynajmniej nie na naszej wersji Ziemi. Tutaj twoi ludzie atakowali zwierzęta bezpośrednio, walcząc jeden na jednego i próbując z bliska wbić w nie oszczep. W pewnym sensie to rzeczywiście odpowiednik naszego palenia i picia: zobacz, kochanie, potrafię przynieść do domu kolację, którą upolowałem gołymi rękami, więc jeśli przyjdą trudne czasy i będę musiał polować w bezpieczniejszy sposób, to i tak nas wyżywię.

– Właśnie – przytaknął Ponter.

Mary skinęła głową.

– To ma sens. – Wskazała chudego mężczyznę siedzącego w przeciwległym końcu sali. – Tamten człowiek, Erik Trin – kaus, zauważył u wielu kopalnych okazów neandertalczyków ślady urazów, które można

porównać z tymi, jakie odnoszą współcześni jeźdźcy rodeo, tak jakby zwierzę ich zrzuciło, a to oznacza bezpośrednie starcie.

– Rzeczywiście tak jest – potwierdził Ponter. – Mnie samego kilka razy zrzucił mamut i...

– Co takiego??! – zdumiał się Henry.

– Zrzucił mnie mamut...

– Mamut? – powtórzyła Angela, rozdziawiając usta.

Mary uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że chwilę tu pobędziemy W takim razie pozwólcie, że postawię wszystkim następną kolejkę...

Rozdział

Dwudziesty Piąty

– Przepraszam, pani ambasador. – Młody asystent wszedł do holu w budynku ONZ. – Właśnie dostarczono dla pani przesyłkę dyplomatyczną z Sudbury.

Tukana zerknęła na dziesięcioro poważanych w jej świecie neandertalczyków. Siedzieli w różnych pozach na fotelach i wyglądali przez wielkie okna albo leżeli na plecach na podłodze. Westchnęła.

– Spodziewałam się tego – powiedziała w swoim języku do towarzyszącej jej grupy. Potem, pozwalając Kompanowi tłumaczyć, podziękowała asystentowi i wzięła sakwę z wytłoczonym w niej herbem Kanady.

W środku znajdował się koral pamięci. Tukana otworzyła zewnętrzny panel Kompana i włożyła koralik do środka. Poleciała implantowi odtworzyć wiadomość przez zewnętrzny głośnik, tak aby pozostali również mogli jej wysłuchać.

– Ambasadoro Prat – rozległ się gniewny głos Radnego Bedrosa – to, co zrobiłaś, jest niewybaczalne. Ja – my – cała Najwyższa Rada Siwych żąda, abyś wraz z osobami, które wmanewrowałaś w tę podróż, niezwłocznie wróciła. Bardzo...

– Bedros przerwał i Tukanie wydawało się, że przełknął ślinę. Być może próbował nad sobą zapanować. – ...bardzo obawiamy się o bezpieczeństwo ich wszystkich. Ich wkład w nasze społeczeństwo jest bezcenny. Musicie wrócić do Saldak natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości. Lonwis Trob pokręcił sędziwą głową.

– Młody pętał – powiedział.

– Nie ma mowy, aby zdecydowali się zamknąć portal, zostawiając nas po drugiej stronie – stwierdziła Derba Jonk, specjalistka od komórek macierzystych.

– Przynajmniej to jest pewne – zgodził się poeta Dor Far – rer, uśmiechając się szeroko.

Tukana przytaknęła.

– Chcę wam wszystkim podziękować za to, że zgodziliście się przybyć tutaj ze mną. Domyślam się, że nikt nie chce brać żądania Radnego Bedrosa pod rozwagę?

– Chyba żartujesz – stwierdził Lonwis Trob, wpatrując się w Tukane niebieskimi, metalowymi oczami. – Od wielu deka – miesięcy nie bawiłem się tak dobrze.

Tukana się uśmiechnęła.

– W takim razie – powiedziała – zobaczmy, co mamy zaplanowane na jutro. Krik, ty zagrasz w porannym programie wideo o nazwie *Good Morning America*. Oni pokrywają wszystkie koszty związane z transportem lodorogu od portalu. Oczywiście wiedzą, że instrument musi pozostać zamrożony. Jalsk, amerykańska drużyna lekkoatletyczna przygotowująca się do czegoś, co nazywają „Olimpiadą”, przyjeżdża do Nowego Jorku, żeby się z tobą zobaczyć. Spotkanie odbędzie się w ośrodku sportowym New York University. Dor, Gliksin Ralph Vicinanza, który pełni tu funkcję o nazwie „agent literacki”, chce cię zaprosić na posiłek w środku dnia. Sędzia Harbron i Uczony Klimilk, was czeka wykład w Columbia Law School jutro po południu. Borl, ty i przedstawiciel ONZ macie wystąpić w programie niejakiego Davi – da Lettermana, nagranie będzie miało miejsce w godzinach popołudniowych. Lonwis, my mamy przemawiać jutro

wieczorem w Rose Center for Earth and Space. Do tego dochodzi masa spotkań zaplanowanych tutaj, w siedzibie Narodów Zjednoczonych.

Kobast Gant, ekspert od sztucznej inteligencji, uśmiechnął się szeroko.

– Założę się, że mój kumpel Ponter Boddit cieszy się z naszej obecności. Przynajmniej nie wszystko skupia się na nim. Wiem, że nie cierpi być w centrum uwagi.

Tukana skinęła głową.

– Tak. Na pewno przyda mu się trochę odpoczynku po tym, co go spotkało...

Ponter, Mary i nieodstępujący ich agent FBI w końcu opuścili hotelowy bar i ruszyli do wind. Prócz nich nikt nie czekał na przyjazd kabiny. Recepcjonista z nocnej zmiany siedział za kontuarem kilkadziesiąt metrów dalej i czytał egzemplarz „USA Today”, wcinając jedno z jabłek, które stały w misach.

– Moja zmiana już minęła, proszę pani – poinformował Carlos. – Agent Burstein czeka na państwa na górze. Będzie tam miał na wszystko oko.

– Dziękuję, Carlos – powiedziała Mary.

Skinął głową i odezwał się do niewielkiego komunikatora:

– Lisica i Mięśniak są w drodze na górę.

Mary się uśmiechnęła. Kiedy dowiedziała się, że FBI ma im nadać kryptonimy – niesamowita sprawa! – spytała, czy sama może je wybrać.

– Dobranoc pani. Dobranoc panu – pożegnał ich Carlos, ale nie opuścił hotelu, tylko oddalił się nieco i zaczekał na przyjazd windy.

Mary nagle poczuła, że robi się jej ciepło. Wiedziała, że w holu jest chłodniej niż w barze. I nie chodziło wcale o to, że miała jechać w kabinie sama z Ponterem. Gdyby to był obcy mężczyzna, pewnie trzęsłaby się ze strachu. Ale Ponter? Nie. Nigdy.

Mimo to było jej gorąco. Oczami błędziła wokół, byle tylko nie patrzeć w złotobrazowe tęczęwki Pontera. Spojrzała na podświetlane cyfry, pokazujące, na których piętrach znajduje się wszystkie pięć wind; potem przeczytała oprawioną w ramki informację o niedzielnym lunchu w hotelu, a na koniec zatrzymała wzrok na przepisach przeciwpożarowych.

Wreszcie przyjechała jedna z wind. Jej drzwi otworzyły się z interesującym dźwiękiem, przypominającym werble. Ponter z galanterią wykonał ręką gest, puszczając Mary przodem. Pomachała na do widzenia Carlosowi, który w odpowiedzi z powagą skinął głową. Ponter wszedł do kabiny za Mary i spojrzał na panel z przyciskami. Bez problemu rozpoznawał cyfry – wprawdzie neandertalczyki nigdy nie stworzyli alfabetu, ale posługiwali się systemem dziesiętnym z dodatkowym znakiem zastępczym dla „zera”. Wcisnął kwadrat oznaczony jako „12” i uśmiechnął się, gdy przycisk się zaświecił.

Mary żałowała, że dostała pokój na tym samym piętrze. Już wcześniej wyjaśniła Ponterowi, dlaczego w hotelach nie używano trzynastki. Ale nawet gdyby hotel miał piętro o takim numerze, nie miałyby nic przeciwko temu, aby ulokowano ją właśnie na nim. Nie miało to dla niej znaczenia; nie była przesądna, choć Ponter pewnie uważał inaczej. Według niego każdy, kto wierzył w Boga, był przesądny.

Gdyby jednak dostała pokój na innym piętrze – jakimkolwiek innym piętrze – ich pożegnanie byłoby krótkie. To, które wysiadałoby jako pierwsze, pomachałoby na do widzenia i powiedziałoby „do zobaczenia jutro”.

Kanciasta świecąca ósemka nad drzwiami straciła jeden fragment, zamieniając się w dziewiątkę.

Ale w tej sytuacji – pomyślała Mary – zwykle „do zobaczenia” nie wystarczy.

Poczuła hamowanie dźwigu. Drzwi się otworzyły. W holu czekał agent Burstein. Mary skinęła głową na powitanie. Miała nikłą nadzieję, że mężczyzna pójdzie za nią i za Ponterem, ale widać bardziej odpowiadało mu miejsce przy windach.

Sami ruszyli korytarzem. Minęli wnękę z maszyną do lodu, a potem drzwi do kolejnych pokoi, aż wreszcie...

– To już mój – powiedziała Mary, czując, jak mocno bije jej serce. Sięgnęła do torby po kartę otwierającą drzwi.

Spojrzała na Pontera. On na nią. Nawet nie sięgnął po swój klucz; zawsze o tym zapominał, w końcu pochodził ze świata, na którym niewiele drzwi miało zamki, a i te otwierał sygnał Kompana.

Ponter milczał.

– No to – odezwała się Mary niepewnie – wypada chyba powiedzieć dobranoc.

Bez słowa dotknął jej dłoni i zręcznie wyjął z niej kartę. Wsunął ją w zamek, zaczekał na błysk diody i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się szeroko.

Mary obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy korytarz jest pusty. Oczywiście stał tam ich nieodłączny cień – agent FBI. Nie czuła się komfortowo z tą świadomością, ale pocieszała się, że przynajmniej nie widzi ich żaden z paleoantropologów...

Dłoń Pontera powędrowała w górę ręki Mary – delikatnie, powoli – na moment zatrzymała się na jej ramieniu, a potem leciutko dotknęła policzka, odgarniając jej włosy za ucho.

I wreszcie się stało.

Pochylił się ku niej, jego usta dotknęły jej warg. Poczuła, jak ogarnia ją fala rozkoszy. Otoczył ją ramionami, a ona objęła go mocno...

Nie miała pojęcia, które z nich prowadziło. Wciąż objęci, przeszli bokiem przez drzwi. Ponter zamknął je stopą.

Niespodziewanie porwał Mary w ramiona. Podniósł ją tak, jakby ważyła tyle co dziecko, minął łazienkę i delikatnie położył ją na ogromnym łóżku.

Jej serce waliło teraz jeszcze mocniej. Nie czuła się tak od dwudziestu lat, od tamtego pierwszego razu z Donnym, kiedy jego rodzice wyjechali na weekend.

Ponter zatrzymał się na sekundę; jego brew uniosła się pytająco. Dawał jej szansę by go powstrzymała, zanim posunie się za daleko. Uśmiechnęła się lekko i przesunęła dłońmi w górę jego masywnego karku, przyciągając go do siebie.

Przez moment wydawało jej się, że zaraz rozegra się jedna z tych magicznych scen, jakie wiele razy widziała w fumach,

ale nigdy nie miała okazji doświadczyć w życiu: ubrania same w magiczny sposób znikną, podczas gdy oni będą się bez końca przewracali na łóżku.

Tak się jednak nie stało. Szybko się okazało, że Ponter nie miał pojęcia, jak rozpiąć guziki, i strasznie się przy nich męczył, choć sposób, w jaki przy tym dotykał jej piersi sprawiał jej przyjemność.

Miała nadzieję, że sama lepiej sobie poradzi z neandertalskim strojem. W końcu Hak raz już ją uczył, jak otworzyć mocowania koszuli, po tym jak do Pontera strzelano. Wtedy jednak robiła to w świetle dnia. Teraz w pokoju było niemal zupełnie ciemno. Żadne z nich nie włączyło światła, gdy weszli do środka. Nikły blask sączył się tylko od strony okien z odsuniętymi na boki grubymi, brązowymi zasłonami.

Przewrócili się tak, że Mary znalazła się na górze. Podciągnęła się, siadając okrakiem na piersi Pontera. Sięgnęła do górnego guzika bluzki. Łatwo ustąpił pod jej palcami. Zerknęła w dół. Na tle trójkąta białej skóry

w rozpięciu błyszczał złoty krzyżyk – niedawno kupiła go w miejsce starego, który podarowała Ponterowi, zanim wrócił na swój świat.

Odpięła drugi guzik odsłaniając część prostego, białego biustonosza.

Spojrzała na Pontera, próbując wyczytać coś z jego twarzy, ale on przyglądał się jej piersiom i wał nadoczodołowy przesłaniał jego oczy. Patrzył na nią z przyjemnością czy ze zdziwieniem? Nie miała pojęcia, jak duże piersi miały neandertalskie kobiety, ale jeśli wszystkie przypominały Tukanę Prat, to miały dość mocno owłosione ciała, a pierś Mary była gładka.

– Jesteś piękna – odezwał się Ponter.

Poczuła, jak ulatują z niej niepokój i zahamowania. Odpięła pozostałe guziki, a potem sięgnęła do tyłu i rozpięła biustonosz. Gdy zsunęła go z piersi, Ponter powędrował rękoma w górę jej brzucha i objął każdą z osobna, ważąc je w dłoniach. Po chwili przyciągnął Mary ku sobie i jego szerokie usta odnalazły jej lewą pierś. Wstrzymała oddech, gdy wessał całą i zaczął ją drażnić i pieścić językiem.

Potem zajął się prawą, znacząc mokrą ścieżkę przez płaskie miejsce między piersiami. Odszukał drugi sutek, objął go wargami i zaczął delikatnie ssać. Mary poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Ponter wciąż miał na sobie ubranie. Nagle zapragnęła go zobaczyć. Już wcześniej widziała go nago podczas kwarantanny w domu Reubena, ale wtedy nie był podniecony. Uniosła się na dłoniach. Jej sutek wysliznął się spomiędzy jego warg. Przesunęła się w dół, żeby rozpiąć mu pasek, tyle że zupełnie nie miała pojęcia, jak to zrobić. Wprawdzie zaraz po wejściu do pokoju zdjął medyczny pas, ale dolna część jego stroju nie miała żadnego widocznego zapięcia. Mary widziała tylko wyraźną wypukłość jego członka.

Ponter się roześmiał, sięgnął w dół, wykonał szybki ruch i nagle jego pantalon stał się luźny w pasie. Uniósł biodra, zsunął go i...

Widać neandertalczyki nie nosili bielizny.

Był ogromny – gruby i długi; nieobrzezany, ale purpurowa żołądź wystawała teraz daleko poza napletek. Mary powoli przesunęła dłonią wzdłuż prącia, czując, jak pulsuje ono z każdym uderzeniem serca Pontera.

Odsunęła się na bok i pomogła mu do końca ściągnąć spodnie. Jego stopy tkwiły w połączonych z nogawkami pokrowcach, mocno zaciśniętych paskami w dwóch miejscach, ale Ponter szybko się z nimi uporał. Był teraz nagi od pasa w dół, a ona od pasa w górę. Zsunęła nogi z łóżka, wstała, szybko zrzuciła buty i rozpięła spódnicę, która opadła na podłogę. Ponter nie spuszczał z niej wzroku. Zauważyła, że jego oczy stają się okrągłe ze zdumienia. Spojrzała w dół i roześmiała się; miała na sobie zwykłe beżowe majtki. W przyćmionym świetle wyglądała tak, jakby w tym miejscu była zupełnie gładka. Wsunęła kciuki pod gumkę i ściągnęła figi w dół...

Wiedziała, że modne było golenie sporej części włosów łonowych. Słyszała, jak kiedyś Howard Stern nazywał to, co zostawało po takich zabiegach „pasem startowym”. Ona jednak tylko delikatnie podgalała brzegi. Uświadomiła sobie, że Ponter po raz pierwszy widzi gęste owłosienie na gliksińskiej kobiecie. Uśmiechnął się, najwyraźniej zachwycony tym odkryciem, i sam też zsunął się z łóżka, stając obok niej. Palcami przesunął w odpowiedni sposób po ramionach koszuli. Spadła z niego jak ubranie z Brucea Bannera, lądując na wykładzinie.

Stali teraz w odległości metra od siebie, oboje kompletnie nadzy, jeśli nie liczyć Kompana i opatrunku na ramieniu Pontera. Zbliżył się do niej, ponownie zamykając ją w objęciach, i oboje przewrócili się na łóżko.

Mary chciała poczuć go w sobie – ale nie tak od razu, nie za szybko. Mieli mnóstwo czasu. Zmęczenie, przez które wcześniej postanowiła

wrócić do pokoju, zupełnie się ulotniło. Tylko jak kochali się neandertalczyki? Może istniały dla nich jakieś tabu lub czymś się brzydzą? Wolała pozostawić inicjatywę Ponterowi, ale on też się wahał, prawdopodobnie pod wpływem podobnych obaw. W końcu odważyła się na coś, czego nigdy wcześniej nie inicjowała. Zaczęła pieścić językiem umięśniony i owłosiony tors Pontera, wędrując coraz niżej po wyraźnie zarysowanych mięśniach brzucha. Po chwili wahania, dając Ponterowi szansę powstrzymania jej, zaczęła pieścić ustami jego członek.

Westchnął z zadowoleniem. Mary już wcześniej uprawiała fellatio z Colmem, ale zawsze bez entuzjazmu. Decydowała się na nie tylko dlatego, że on to lubił. Jej ten akt nie sprawiał przyjemności. Tym razem jednak pieściła Pontera zachłannie i namiętnie, z satysfakcją czując rytmiczne pulsowanie jego prącia i słony smak jego skóry. Nie chciała jednak w ten sposób doprowadzić go do orgazmu, a jeśli był choć w połowie tak podniecony jak ona, mogło się to stać w każdej chwili. Wysunęła członek z ust jednym długim, powolnym ruchem i spojrzała na Pontera z uśmiechem. Obrócił ją i odwzajemnił się jej tym samym, błyskawicznie odnajdując językiem jej łechtaczkę i drażniąc ją szybkimi ruchami. Jęknęła cicho – tylko dlatego, że świadomie starała się nie jęknąć głośno. Ponter na przemian szybko przesunął językiem w górę i w dół, to znów lekko szczyphał ustami jej wargi sromowe.

Mary z zachwytem przyjmowała każdą sekundę takich pieszczot, ale nie chciała tak szczytować – nie podczas pierwszego razu z Ponterem. Chciała poczuć go w sobie. On myślał chyba o tym samym, bo podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego broda połyskiwała wilgotno w ciemnościach.

Sądziła, że Ponter przesunie się do góry i w nią wejdzie, ale on nagle przewrócił ją na brzuch. Zaskoczona, wstrzymała oddech. Nigdy dotąd nie uprawiała seksu analnego i nie miała pewności, czy chce próbować tego

rodzaju zbliżenia. Niespodziewanie jego dłonie przesunęły się po jej pośladkach, wśliznęły się pod jej biodra i podciągnęły ją do góry, tak, że znalazła się na czworakach. Wsunął się w nią od tyłu. Jęknęła, gdy poczuła go w sobie, ale jednocześnie poczuła ulgę, że nie musi wkraczać na nieznane terytorium seksualne. Ponter sięgnął ku jej piersiom, jednocześnie poruszając się w niej rytmicznie. Czasami Mary uprawiała seks w tej pozycji z Colmem, jednak jego penis nie był dość długi, aby jej ten sposób kochania się sprawiał prawdziwą przyjemność. Ale z Ponterem...

Z Ponterem było cudownie!

Kiedy wyobrażała sobie wcześniej ten moment – choć oczywiście starała się usuwać z myśli takie fantazje, gdy tylko się pojawiały – zawsze widziała, jak kochają się w klasycznej pozycji, a on całuje ją, jednocześnie wchodząc w nią raz za razem, ale...

Ale nie bez powodu pozycję tę nazywano też misjonarską; nawet na tej Ziemi nie uważano jej za interesującą.

Ponter myślał chyba dokładnie o tym samym, bo odezwał się cicho, a Hak równie cicho przetłumaczył jego słowa. Gdy do Mary dotarło, że Kompan jest wszystkiego świadomy, na moment zeszywniał jej kark. Nigdy dotąd nie kochała się w obecności kogoś trzeciego i dwukrotnie udało jej się odwieść Colma od pomysłu nagrania na wideo ich sypialnianych poczynań.

– Czy tak się to robi u was? – spytał Hak w imieniu Pontera.

Mary starała się nie myśleć o obecności Kompana.

– Często kochamy się zwróceniem twarzami do siebie – powiedziała.

– Aha.

Ponter wysunął się z niej. Myślała, że odwróci ją na plecy, ale on stanął obok łóżka i wyciągnął do niej rękę. Zdziwiona, ujęła jego dłoń, a on pociągnął ją do góry. Jego twardy członek otarł się o jej miękki brzuch.

Ponter otoczył potężnymi rękami jej pośladki i podniósł ją. W naturalnym odruchu rozszerzyła nogi, otaczając go nimi w pasie. Bez wysiłku zaczął poruszać nią w górę i w dół. Ich usta odnalazły rytm pocałunków. Czując jak jej serce mocno wali i jak jego pierś unosi się z każdym oddechem Mary dotarła na sam szczyt uniesienia, drżąc i jęcząc wbrew sobie. Po chwili Ponter zaczął jeszcze szybciej podnosić ją i opuszczać. Odchyliła się lekko od niego i spojrzała na jego twarz, w cudowne, złote, wpatrzone w nią oczy. Poczwała, jak jego ciałem targa orgazm. Wreszcie padli bokiem na łóżko, spleceni w objęciach.

Rozdział

Dwudziesty Szósty

Ani Mary, ani Ponterowi nie przyszło do głowy, by wieczorem zasunąć zasłony, więc rano obudziło ją wschodzące słońce. Zauważyła, że Ponter też już się zbudził.

– Dzień dobry – powiedziała, spoglądając na niego. Najwyraźniej nie spał już od jakiegoś czasu, bo kiedy odwrócił głowę w jej stronę, ze studni jego oczu pociekły łzy.

– Co się stało? – spytała, delikatnie wycierając jego policzki wierzchem dłoni.

– Nic. Zmarszczyła czoło.

– Akurat. O co chodzi?

– Przepraszam cię. Zeszła noc...

Mary skurczyła się w środku. Dla niej miniona noc była cudowna. Czyżby on nie podzielał jej zdania?

– Tak?

– Przepraszam – powtórzył. – Po raz pierwszy byłem z kobietą od...

Mary uniosła brwi, w jednej chwili pojmując, co miał na myśli.

– Od śmierci Klast – dokończyła cicho.

Skinął głową.

– Bardzo za nią tęsknię – powiedział.

Położyła dłoń na jego piersi, czując, jak z każdym oddechem unosi się i opada.

– Żałuję, że nie mogłam jej poznać.

– Wybacz mi. Ty jesteś tutaj; Klast nie ma. Nie powinienem...

– Nie, nie – przerwała mu delikatnie. – W porządku. Nic się nie stało. Kocham... – Umilkła na moment. – Kocham to, że czujesz tak głęboko.

Ciaśniej oplotła ramieniem jego pierś, przysuwając się bliżej niego. Nie potrafiła czuć do niego żalu o to, że myślał o swojej zmarłej żonie; w końcu od jej śmierci nie minęło wiele czasu, a...

Nagle przypomniała sobie o czymś, co znikło z jej myśli w chwili, gdy Ponter poprzedniego wieczoru objął ją na korytarzu: o postaci bez twarzy, o duchu przeszłości, który nie zakłócił ich wspólnych chwil. Teraz bez trudu potrafiła odsunąć myśl o nim i z ręką na piersi Pontera, czując jego dłoń na swoich nagich plecach, znowu zasnęła, zupełnie spokojna.

– A zatem ciebie i tę gliksińską kobietę poleczył intymny związek? – powiedział Selgan, starając się nie okazać zaskoczenia.

Ponter przytaknął.

– Ale... – zaczął rzeźbiarz osobowości.

– Ale co?

– Ale ona... jest z Gliksinów. – Rzeźbiarz osobowości wzruszył ramionami. – Należy do innego gatunku.

– Jest człowiekiem – powiedział Ponter stanowczo.

– Ale...

– Nie zamierzam słuchać żadnych ale! Mary jest człowiekiem. Oni wszyscy są ludźmi, ludźmi z innego świata.

– Skoro tak twierdzisz. Lecz mimo to...

– Nie znasz ich. Nie spotkałeś żadnego z nich. To są ludzie. Tacy jak my.

– Odnoszę wrażenie, że się bronisz – zauważył Selgan.

Ponter pokręcił głową.

– Być może w innych sprawach miałeś rację, ale w tej się mylisz. Nie mam wątpliwości co do tego, że Mare Yaughan, Lou Benoit, Reuben

Montego, Helenę Gagne i wszyscy inni, których tam poznałem, są istotami ludzkimi. Ty też kiedyś przekonasz się o tym; wszyscy u nas się o tym przekonają.

– Ale przecież płakałeś.

– Z powodu, który wyjaśniłem Mare. Przypomniałem sobie Klast.

– Nie miałeś poczucia winy?

– Dlaczego?

– Dwoje nie było wówczas Jednym.

Ponter zmarszczył brwi.

– Rzeczywiście, akurat to się zgadza. To znaczy, przyznam, że nawet o tym nie pomyślałem. Na świecie Gliksinów kobiety i mężczyźni są ze sobą przez cały miesiąc, a...

– A skoro jesteś w Bistob, postępuj tak jak Bistobianie?

– No tak. – Ponter wzruszył ramionami.

– Sądziś, że twój partner podzielałby twoje zdanie w tej sprawie?

– Och, Adikor nie miałby nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, byłby pewnie zadowolony. Chciał, żebym znalazł sobie inną partnerkę, i na pewno...

– Na pewno co?

– Lepsza gliksińska kobieta, gdy Dwoje powinno być osobno, niż Daklar Bolbay w innej porze miesiąca, jestem pewien, że tak by na to patrzył.

Mary i Ponter w końcu opuścili hotelowy pokój. Ominęły ich trzy poranne referaty, ale nic ważnego nie stracili. Przed wyjazdem z Nowego Jorku Mary ściągnęła plik PDF ze streszczeniami wszystkich wystąpień i wiedziała, że poranną sesję poświęcono tematowi pitekanthropo oraz próbom wskrzeszenia *Homo ergaster* jako odrębnego gatunku. Z żadnej z tych pradawnych form człowieka nie pozyskano nigdy DNA, więc nie interesowały one Mary aż w takim stopniu.

Na korytarzu czekał na nich agent FBI.

– Delegacie Boddit, właśnie przysłano to dla pana Fe – dExem z Sudbury.

Mężczyzna podał Ponterowi dyplomatyczną przesyłkę. Ponter otworzył ją i wyjął ze środka koral pamięci. Obrócił go w palcach.

– Powinienem to odsłuchać.

Mary spojrzała na niego z uśmiechem.

– No cóż, nie chcę być świadkiem tego, jak ktoś na ciebie krzyczy. Pójdę obejrzeć wystawę plakatów.

Ponter się uśmiechnął i poszedł do swojego pokoju. Agent FBI stanął na baczność w korytarzu, a Mary ruszyła do windy.

Zjechała do hotelowej galerii, gdzie Association of American Archeology przygotowywało właśnie ekspozycję plakatów. Konferencja oficjalnie miała się rozpocząć dopiero następnego dnia i ani Mary, ani Ponter nie planowali na niej zostawać, ale wielu wystawców już rozwiesiło swoje afisze. Zatrzymała się przy parze plakatów przedstawiających gliniane naczynia Indian Hopi.

Po jakimś czasie zaczęła ją martwić przedłużająca się nieobecność Pontera, więc wróciła na dwunaste piętro.

Agent FBI nadal stał na korytarzu.

– Szuka pani delegata Boddita? – spytał.

Mary kiwnęła głową.

– Jest w swoim pokoju.

Mary podeszła do drzwi i zapukała. Ponter otworzył je po chwili.

– Mare!

– Hej, mogę wejść?

– Tak, tak.

Waliza Pontera – dziwny, trapezoidalny bagaż przywieziony z innego świata – leżała otwarta na łóżku.

– Co robisz? – spytała Mary.

– Pakuję się.

– Kazali ci wracać? Przecież mówiłeś, że tego nie zrobisz. – Zmarszczyła brwi. Wprawdzie teraz, gdy w Nowym Jorku znajdował się tuzin innych neandertalczyków, Ponter nie musiał się obawiać, że portal zostanie zamknięty, jeśli on wróci na swój świat, ale po ostatniej nocy...

– Nie – odparł. – Nikt mi nic nie kazał. Ten koral pamięci był od mojej córki, Jasmel Ket.

– O Boże, coś się stało?

– Wszystko jest w porządku. Jasmel zgodziła się zostać partnerką Tryona, młodego mężczyzny, z którym się widywała.

Mary uniosła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że wychodzi za mąż?

– Można tak to nazwać. Muszę wrócić na mój świat na ceremonię.

– Kiedy ma się odbyć?

– Za pięć dni.

– Och. Te sprawy rzeczywiście toczą się u was szybko.

– Prawdę mówiąc, Jasmel i tak z tym zwlekała. Wkrótce nadejdzie pora poczęcia generacji 149. Ona wciąż jeszcze nie wybrała sobie partnerki, ale ta kwestia nie jest aż tak pilna.

– Widziałeś tego chłopca... Tryona?

– Tak, spotkałem go kilkakrotnie. To porządny młody mężczyzna.

– Hmm, Ponterze, nie obawiasz się, że to podstęp? No wiesz, żeby ściągnąć cię z powrotem?

– To nie żaden podstęp. Wiadomość naprawdę jest od Jasmel, a ona nigdy by mnie nie okłamała.

– W takim razie musimy cię odwiedzić do Sudbury – stwierdziła Mary.

– Dziękuję ci. – Ponter milczał przez kilka chwil, tak jakby się nad czymś zastanawiał, aż wreszcie powiedział: – Może ty... może zechciałabyś mi towarzyszyć podczas ceremonii ślubowania? Tradycyjnie biorą w niej udział rodzice dzieci, ale...

Ale matka dziewczyny, Klast, nie żyła. Mary uśmiechnęła się mimo woli.

– Bardzo bym chciała. Tylko... tylko czy zdążymy zaprezentować mój referat? Zaplanowano go na 14: 30. To będzie prawdziwa bomba... wybacz, że używam tego słowa.

– To będzie co? – zdziwił się Ponter.

– Naprawdę wybuchowa wiadomość.

– Aha. – Ponter wreszcie pojął, o co chodzi. – No tak, oczywiście tyle możemy zostać.

Referat Mary okazał się hitem całej konferencji – w końcu rozwiązała jedną z długotrwałych debat antropologicznych, definitywnie ogłaszając, że *Homo neanderthalensis* jest odrębnym gatunkiem. W normalnym trybie musiałyby przed konferencją opublikować streszczenie, w którym odsłoniłaby wszystkie karty, ale dołączono ją do programu dosłownie w ostatniej chwili. Jednak sam tytuł prezentacji – „Jądrowe DNA neandertalczyka i rozwiązanie kwestii taksonomii” – wystarczył, aby przyciągnąć do auli tłumy.

Oczywiście gdy tylko wyświetliła slajd z kariotypem Pontera, sala eksplodowała mnóstwem uwag i pytań. Mary nawet cieszyła się, że zaraz po piętnastominutowym wystąpieniu wyjeżdża do Sudbury. Widząc ilość czasu przeznaczoną na referat, Ponter zadziwił ją, mówiąc:

– Ten, który malował puszki z zupą, byłby z ciebie dumny.

Przed wyjazdem Mary zadzwoniła jeszcze do Jocka Kriegera na numer siedziby grupy Synergia. Wydawał się zachwycony tym, że świetnie spędza czas z Ponterem i że ma odwiedzić neandertalski świat. Miał do niej tylko jedną prośbę.

– Kiedy tam będziesz, chcę, żebyś przeprowadziła dla mnie niewielki eksperyment.

– Jaki?

– Weź ze sobą kompas, zwykły magnetyczny kompas, i kiedy już będziesz na tym drugim świecie, jakimś innym sposobem określ kierunki geograficzne, tak abyś miała pewność, że stoisz twarzą na północ. W nocy możesz odszukać na niebie Gwiazdę Polarną, a w dzień zorientować się według wschodzącego lub zachodzącego słońca. Jasne? Potem sprawdź, jaki kierunek wskazuje kolorowa część igły.

– Powinna wskazywać północ – zauważyła Mary.

– Właśnie tak to jest, jak się opuszcza zebrania zespołu – stwierdził Jock. – Neandertalczyki twierdzą, że na ich świecie doszło do przebiegunowania, a u nas ten proces dopiero się zaczyna. Chcę, żebyś sprawdziła, czy to prawda.

– Dlaczego mieliby kłamać w takiej sprawie?

– Jestem pewien, że tego nie robią, ale być może się mylą. Pamiętaj, że u nich nie ma sztucznych satelitów. Większość naszych badań w zakresie pola magnetycznego Ziemi prowadzona jest właśnie z orbity okołozemskiej.

– Rozumiem.

Mary przez chwilę milczała, więc Jock sam postanowił zakończyć rozmowę.

– Życzę ci wspaniałej podróży. Do zobaczenia.

Właśnie odkładała słuchawkę, gdy w drzwiach jej pokoju stanął Ponter, sprawdzając, czy jest gotowa.

– Załatwiłam wszystko tak, że wynajęty wóz zostawimy w Rochester. To prawie po drodze – powiedziała. – Stamtąd zabierzemy mój samochód i ruszymy do Sudbury, tylko...

– Tak?

– Chciałabym zatrzymać się w Toronto. Wiem, że muszę prowadzić sama, ale nie nadłożymy wiele drogi.

– W porządku – odparł Ponter, ale Mary uznała, że powinna powiedzieć mu więcej.

– Mam... hm... mam do załatwienia kilka spraw.

Zdziwił się, że czuje potrzebę uzasadnienia swojej prośby.

– Jak wy byście powiedzieli: „Nie ma sprawy”.

*

Zatrzymali się na York University Tożsamości Pontera nie dało się ukryć. Może gdyby była zima, mógłby zasłonić wał nadoczodołowy czapką i goglami narciarskimi, ale ubierając się tak jesienią, wyróżniałby się w takim samym stopniu jak z odkrytą twarzą. Poza tym – Mary poczuła nieprzyjemny dreszcz – nie chciała widzieć Pontera w niczym, co przypominało narciarską kominiarkę; wolała, aby te dwie postacie nigdy jej się nie myliły.

Zostawili samochód na parkingu dla gości i przeszli pieszo przez campus.

– Tutaj nie muszę mieć ochrony? – spytał Ponter.

– W Kanadzie obowiązuje zakaz posiadania krótkiej broni palnej – wyjaśniła. – Nie oznacza to, że nikt jej nie ma, ale... – Wzruszyła ramionami. – Tutaj jest inaczej niż w Stanach. Do ostatniego zamachu doszło w Kanadzie w 1970 roku i miał on związek z terroryzmem separatystycznym w prowincji Que – bec. Moim zdaniem nie musisz się

przejmować bardziej niż inne znane osoby. Według „Toronto Star” Julia Roberts i George Clooney właśnie kręcą tutaj filmy. Wierz mi, oni przyciągną znacznie więcej gapiów niż my.

– To dobrze – stwierdził Ponter.

Właśnie minęli niski budynek York Lanes i skręcili w stronę...

Nie dało się tego uniknąć. Mary wiedziała od początku, że tak będzie; tędy prowadziła droga z parkingu dla gości. Ona i Ponter musieli przejść obok miejsca, gdzie zbiegały się dwie betonowe ściany, miejsca, w którym...

Odszukała wielką dłoń Pontera i szeroko rozcapierzając palce, splótła je z jego paluchami. Nic nie powiedziała, nawet nie spojrzała na ścianę. Szła prosto, patrząc przed siebie.

Za to Ponter rozglądał się wkoło. Mary nigdy nie powiedziała mu, gdzie została zgwałcona, ale widziała, że sam zwrócił uwagę na odosobnione miejsce za zasłoną drzew i na to, jak daleko znajdował się najbliższy słup oświetleniowy. Nawet jeśli czegoś się domyślał, nic nie powiedział, ale Mary była mu wdzięczna za pokrzepiający uścisk dłoni.

Szli dalej. Słońce bawiło się w chowanego za kłębami białych chmur. Przez campus przetaczały się tłumy młodych ludzi. Parę osób zjawiało się w szortach, większość miała na sobie dzinsy, a kilku studentów prawa przyszło w garniturach i krawatach.

– To o wiele większy uniwersytet od Laurentian – stwierdził Ponter, obracając głowę to w lewo, to w prawo.

W laboratorium Laurentian University – uczelni, która znajdowała się niedaleko od miejsca, gdzie pojawił się Ponter.

– Mary po raz pierwszy przeprowadziła analizę jego DNA, potwierdzając, że rzeczywiście jest neandertalczykiem.

– Zgadza się – powiedziała. – A to tylko jeden z dwóch – a właściwie z trzech – uniwersytetów w Toronto. Jeśli chcesz zobaczyć naprawdę ogromną uczelnię, pokażę ci kiedyś UT.

Ponter rozglądał się wokół, a inni w tym czasie przyglądali się jemu. W pewnej chwili jakaś kobieta, której imienia Mary nie mogła sobie przypomnieć, powitała ją jak dobrą przyjaciółkę. Wcześniej mijaly się setki razy, nie zwracając na siebie nawzajem uwagi. Choć nieznojoma lekko uścisnęła dłoń profesorki genetyki, wyraźnie chodziło jej tylko o to, aby z bliska przyjrzeć się neandertalczykowi.

W końcu udało im się jej pozbyć i ruszyli dalej.

– To jest budynek, w którym pracuję – powiedziała Mary, wskazując jeden z gmachów. – Farquharson Life Sciences.

Ponter znowu się rozejrzał.

– Wydaje mi się, że ze wszystkich miejsc, jakie widziałem na twoim świecie, campusy uniwersyteckie są najładniejsze. Otwarta przestrzeń! Mnóstwo drzew i trawy.

– Rzeczywiście żyje się tu przyjemnie – przyznała po chwili zastanowienia. – Pod wieloma względami są to miejsca bardziej cywilizowane niż reszta świata.

Weszli do budynku i schodami dotarli na drugie piętro. Kiedy wyszli na korytarz, Mary dostrzegła w drugim końcu dobrego znajomego.

– Cornelius!

Mężczyzna odwrócił się do nich. Zmrużył oczy; widocznie miał słabszy wzrok od Mary. Dopiero po chwili ją rozpoznał.

– Witaj, Mary! – zawołał, ruszając ku nim.

– Nie masz się czego obawiać! – odrzyknęła. – Przyjechałam tylko z wizytą.

– Czy on cię nie lubi? – spytał Ponter cicho.

– Nie, nie o to chodzi. – Słumiła chichot. – Przejął moje grupy, kiedy zaczęłam pracę dla Synergii.

Podeszli bliżej. Cornelius zrobił wielkie oczy, kiedy zdał sobie sprawę z tego, kto towarzyszy Mary. Na szczęście szybko opanował zaskoczenie.

– Doktorze Boddit, miło mi. – Ukłonił się Ponterowi.

Mary miała ochotę powiedzieć koledze, że – jak widać – nie wszystkie liczące się osoby tytułowano „profesorami”, ale dała spokój. Cornelius i tak był przewrażliwiony na tym punkcie.

– Witam – odezwał się Ponter.

– Ponterze, przedstawiam ci Corneliusa Ruskina. – Jak zwykle, powtórzyła prezentację dwa razy, robiąc przesadną przerwę między imieniem i nazwiskiem, aby Ponter mógł bez trudu je oddzielić. – Cornelius ma najwyższy stopień akademicki w dziedzinie biologii molekularnej.

– Miło mi pana poznać, profesorze Ruskin.

Nie miała serca poprawiać Pontera – tak bardzo się starał dobrze stosować tutejsze zwyczaje. Już za sam wysiłek należały mu się najwyższe noty. Cornelius puścił tytuł mimo uszu z fascynacją przyglądając się twarzy Pontera.

– Dziękuję – powiedział. – Co was tu sprowadza?

– Samochód Mare – wyjaśnił Ponter.

– Właśnie wracamy do Sudbury – dodała Mary. – Córka Pontera wychodzi za mąż i on chce zdążyć na uroczystość.

– Moje gratulacje – powiedział Cornelius.

– Czy Daria Klein jest dziś na uczelni? Albo Graham Smythe?

– Nie widziałem Grahama przez cały dzień, ale Daria jest w twoim dawnym laboratorium.

– A Qaiser?

– Może jest u siebie w gabinecie. Nie jestem pewien.

– No tak. Chciałam tylko zabrać kilka rzeczy – wyjaśniła Mary. – Zobaczymy się później.

– Trzymaj się – odparł Cornelius. – Do widzenia, doktorze Boddit.

– Zdrowego dnia – powiedział Ponter i ruszył za Mary. Zatrzymała się przy jednym z gabinetów i zastukała.

– Kto tam? – odezwał się kobiecy głos.

Mary lekko uchyliła drzwi.

– Mary! – zawołała kobieta ze zdziwieniem.

– Witaj, Qaiser – odparła Mary, uśmiechając się. Otworzyła drzwi szerzej, odsłaniając Pontera. Brązowe oczy Qaiser zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Profesor Qaiser Remtulla, przedstawiam mojego przyjaciela, Pontera Boddita. – Mary odwróciła się do Pontera. – Qaiser jest szefową działu genetyki tu w York.

– Niesamowite – stwierdziła Qaiser, ujmując dłoń Pontera i ściskając ją. – Absolutnie niesamowite.

Mary miała ochotę powiedzieć, że rzeczywiście Ponter jest niesamowity, ale zatrzymała tę myśl dla siebie. Przez kilka minut rozmawiała z Qaiser, wypytując ją o wydziałowe nowiny. Dopiero gdy Qaiser musiała iść na zajęcia, Mary i Ponter ruszyli dalej tym samym korytarzem. Zatrzymali się przy drzwiach z szybą. Mary zapukała i weszła do środka..

– Jest tu ktoś? – zawołała, widząc laborantkę pochyloną nad stołem.

Młoda kobieta odwróciła się do nich.

– Profesor Vaughan! – zawołała z radością. – Jak cudownie panią widzieć! I...o mój Boże! Czy to jest...?

– Dario, poznaj Pontera Boddita.

– Rany – stwierdziła Daria, i tak jakby to nie wystarczyło, powtórzyła raz jeszcze: – Rany.

– Daria pracuje nad doktoratem. Specjalizuje się w tej samej dziedzinie co ja – w pozyskiwaniu i analizie kopalnego DNA.

Mary i Daria zajęły się rozmową, a w Ponterze odezwała się ciekawość naukowca. Zaczął się rozglądać po laboratorium, zafascynowany technologią Gliksinów.

– Niestety, musimy już się zbierać – powiedziała w końcu Mary. – Chciałam tylko zabrać ze sobą kilka próbek, które tu zostawiłam.

Podeszła do lodówki, w której przechowywano biologiczne preparaty. Zauważyła, że ktoś dokleił na niej nowe dowcipy rysunkowe obok kartek z kreskówkami Sidneya Harrisa i Garyego Larsona, które umieściła tam sama. Otworzyła metalowe drzwi i poczuła powiew mroźnego powietrza.

W środku znajdowały się jakieś dwa tuziny pojemników różnych rozmiarów. Niektóre oznaczono wydrukowanymi na laserowej drukarce naklejkami; zawartość innych opisano markerem na kawałkach naklejonej na nie taśmy. Nie mogła znaleźć tych, których szukała. Pewnie osoby, które używały lodówki pod jej nieobecność, zepchnęły je głębiej. Zaczęła przesuwać pudełka. Dwa największe – „Skóra Mamuta Syberyjskiego” i „Próbki Łożyska Eskimoskiego” – wyjęła i postawiła obok na blacie, aby łatwiej dostać się do tych w głębi lodówki.

Jej serce waliło coraz mocniej.

Raz jeszcze dla pewności obejrzała wszystkie próbki.

Niestety, nie myliła się.

Dwa pudełka z etykietami „Vaughan 666” dwa pojemniki, które zawierały dowody gwałtu, zniknęły.

Rozdział

Dwudziesty Siódmy

– Dario! – krzyknęła Mary. Ponter zbliżył się do niej, nie rozumiejąc, co się stało, ale Mary zignorowała go i ponownie zawołała Darię.

Szczupła doktorantka podeszła do nich.

– O co chodzi? – spytała obronnym tonem, tak jakby chciała powiedzieć: „Co znowu zrobiłam?”.

Mary odsunęła się od lodówki, aby Daria mogła zajrzeć do środka, po czym wycelowała w półki oskarżycielski palec.

– Zostawiłam tu dwa pojemniki z próbkami, co się z nimi stało?

Daria pokręciła głową.

– Nic stąd nie brałam. Prawdę mówiąc, nie zaglądałam do lodówki, odkąd wyjechała pani do Rochester.

– Jesteś pewna? – Mary starała się zapanować nad nutą paniki w głosie.

– Dwa nieprzezroczyste pojemniki, oba opisane czerwonym mazakiem, z datą 2 sierpnia... – wiedziała, że już do końca życia zapamięta ten dzień – ...i z napisem „Vaughan 666”.

– Aa, tak. Widziałam je raz, kiedy pracowałam nad Ramzesem. Ale ich nie ruszałam.

– Jesteś przekonana?

– Tak, oczywiście. Co się stało?

Mary zignorowała pytanie.

– Kto miał dostęp do *tej* lodówki? – spytała, choć sama znała odpowiedź.

– Ja – odparła Daria – Graham i wszyscy pozostali doktoranci z wydziału, poza tym profesor Retmulla. No i jeszcze chyba dozorca. Wszyscy, którzy mieli klucz do tego pomieszczenia.

Dozorcy! Mary widziała dozorcę na parterze chwilę przed...

Przed tym, jak została zaatakowana.

O Boże, jak mogłam być tak głupia? – Nie trzeba było cholernego doktoratu z genetyki, żeby się domyślić, że pudełko oznaczone nazwiskiem ofiary, numerem bestii i datą gwałtu jest właśnie tym, którego się szuka.

– Wszystko w porządku? – spytała Daria. – Chodzi o próbki – ki DNA gołębia wędrownego?

Mary bez słowa wyszarpnęła z lodówki jeszcze jeden pojemnik.

– To jest pieprzony gołąb wędrowny! – wykrzyknęła, z hukiem stawiając pudełko na blacie.

Kompan zapiszczał krótko.

– Mare... – powiedział cicho Ponter.

Odetchnęła głęboko i powoli. Cała się trzęsła.

– Pani profesor – odezwała się Daria – przysięgam, że ja nie...

– Wiem – przerwała jej Mary, z całych sił starając się mówić spokojnie.

– Wiem – powtórzyła. Spojrzała na Pontera, który przyglądał jej się z niepokojem, i na Darię, z której twarzy zniknęło przerażenie, ustępując miejsca trosce. – Przepraszam cię, Dario. Rzecz w tym, że to były jedyne takie próbki. – Wzruszyła nieznacznie ramionami; wciąż była na siebie wściekła, ale starała się tego nie okazywać. – Nie powinnam ich tu zostawiać.

– Co to takiego było? – spytała Daria, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości.

– Nic. – Mary pokręciła głową i ruszyła do drzwi, nie patrząc nawet, czy Ponter idzie za nią. – Zupełnie nic.

Dogonił ją na korytarzu i dotknął jej ramienia.

– Mare...

Przystanąła i na sekundę zamknęła oczy.

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedziała – ale nie tutaj.

– W takim razie chodźmy stąd.

Zeszli po schodach na dół. Po drodze minęli dozorcę w niebieskiej koszuli, który akurat wchodził na górę, przeskakując po dwa stopnie. Mary miała wrażenie, że serce wystrzeli jej przez czaszkę, ale nie, nie, to był tylko Franco. Znała go dość dobrze – a poza tym Franco był Włochem i miał piwne oczy.

– Pani profesor! – powitał ją. – Sądziłem, że nie będzie pani z nami w tym roku!

– Wpadłam tylko z wizytą – odparła, starając się mówić normalnie.

– W takim razie życzę powodzenia – powiedział Frań co i wyminął ich.

Mary wypuściła powietrze i ruszyła dalej. Wyszła z budynku, a Ponter w ślad za nią. Tym razem wybrała bardzo okreźną drogę, aby uniknąć dwóch zbiegających się ścian i miejsca w którym została napadnięta.

W końcu dotarli na parking i wsiedli do wozu. W środku było goręcej niż w piekle. Latem Mary zwykle zostawiała odrobinę uchylone okna – a przecież wciąż jeszcze trwało lato. – ale tym razem zapomniała. Powrót na uniwersytet sprawił że w jej głowie kłębiło się zbyt wiele myśli.

Ponter natychmiast zaczął się pocić. Nienawidził gorąca. Mary uruchomiła silnik. Przycisnęła guzik otwierający okno i włączyła klimatyzację na najwyższą moc. Dopiero po minucie zaczęło dmuchać chłodniejszym powietrzem.

Siedzieli tak przez chwilę w samochodzie z pracującym silnikiem, aż w końcu Ponter postanowił się odezwać.

– I?

Mary zasunęła szyby, obawiając się, że ktoś przechodzący obok może ich usłyszeć.

– Wiesz, że zostałam zgwałcona – powiedziała.

Ponter skinął głową i lekko dotknął jej ramienia.

– Nie zgłosiłam tego na policję.

– Skoro nie macie Kompanów ani archiwów alibi, przypuszczam, że nie miałyby to wielkiego sensu. Mówiłaś mi kiedyś, że większość zbrodni na tym świecie pozostaje nierozwiązana.

– Tak, ale... – Jej głos się załamał i przez długą chwilę milczała, starając się nad sobą zapanować. – Ale nie zastanawiałam się nad konsekwencjami. Jeszcze jedna kobieta została zgwałcona, tu, na uniwersytecie, w pobliżu budynku, w którym przed chwilą byliśmy.

Głęboko osadzone oczy Pontera rozszerzyły się ze zdumienia.

– I sądzisz, że zrobił to ten sam mężczyzna?

– Nie mam pewności, ale...

Nie musiała kończyć myśli; Ponter dokładnie wszystko rozumiał. Gdyby zgłosiła gwałt, być może ten mężczyzna zostałby zatrzymany, zanim po raz drugi dopuściłby się tak ohydneho czynu.

– Nie mogłaś przewidzieć takiego obrotu spraw – zauważył.

– Oczywiście, że mogłam – ucięła Mary.

– Wiesz, kto był drugą ofiarą?

– Nie. Takie informacje są poufne. Dlaczego pytasz?

– Musisz uwolnić się od tego bólu, a jedynym sposobem jest uzyskanie przebaczenia.

Mary poczuła, jak napinają się mięśnie jej karku.

– Nigdy nie potrafiłabym stanąć twarzą w twarz z tą kobietą. To przeze mnie spotkało ją coś tak strasznego...

– To nie była twoja wina.

– Miałam zamiar zrobić to, co trzeba. Dlatego chciałam wpaść tu, na uniwersytet. Zamierzałam przekazać policji dowody gwałtu.

– Były w pojemnikach, które zaginęły?

Mary przytaknęła. We wnętrzu samochodu zaczynało się robić dość chłodno, ale nawet nie dotknęła przełączników. Zasługiwała na to, by cierpieć.

– Skoro nie możesz uzyskać wybaczenia tej drugiej ofiary – powiedział Ponter, gdy nie odpowiedziała – musisz wybaczyć sama sobie.

Mary zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem bez słowa wrzuciła wsteczny bieg i wycofała wóz z miejsca parkingowego.

– Dokąd jedziemy? – spytał Ponter. – Do twojego domu?

– Niezupełnie – odparła, wyjeżdżając z parkingu.

Weszła do drewnianego konfesjonału, uklękła na wyściełanym klęczniku i przeżegnała się. Niewielkie okienko między częścią, w której się znajdowała, a miejscem, gdzie siedział ksiądz, otworzyło się i za krzyżującymi się drewnianymi listwami zobaczyła ostry profil ojca Caldicotta.

– Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam.

Caldicott mówił z lekkim irlandzkim akcentem, choć w Kanadzie mieszkał już od czterdziestu lat.

– Ile czasu upłynęło od twojej ostatniej spowiedzi, dziecko?

– Osiem miesięcy. To było w styczniu.

Ksiądz mówił neutralnym tonem, nie osądzając jej.

– Opowiedz mi o twoim grzechu.

Mary otworzyła usta, ale nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

– Dziecko? – zachęcił ją po chwili duchowny.

Zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Zostałam zgwałcona...

Caldicott milczał przez kilka chwil, być może zastanawiając się nad czymś.

– Powiedziałaś „zgwałcona”. Czy ktoś cię zaatakował?

– Tak, ojciec.

– I ty nie dałaś na nic przyzwolenia?

– Nie, ojciec.

– W takim razie, moje dziecko, to nie ty zgrzeszyłaś.

Mary poczuła rosnący ucisk w piersi.

– Wiem, ojciec. To nie gwałt był moim grzechem.

– Ach, tak. – Caldicott mówił takim tonem, jakby wszystko rozumiał. – Czy... zaszłaś w ciążę? Miałaś aborcję?

– Nie, nie. Nie zaszłam w ciążę.

Caldicott zaczął czekać, aż Mary powie coś więcej, ale ona milczała, więc spróbował ponownie:

– Czy chodzi o to, że stosowałaś sztuczną antykoncepcję? Być może w tej sytuacji...

Mary rzeczywiście brała pigułki antykoncepcyjne, ale tę sprawę rozstrzygnęła w swoim sumieniu już dawno temu. Nie chciała jednak kłamać przed księdzem, dlatego musiała ostrożnie dobierać słowa.

– Nie o takim grzechu mówię – powiedziała cicho. Raz jeszcze zrobiła głęboki wdech, mobilizując się. – Mój grzech polegał na tym, że nie powiadomiłam o gwałcie policji.

Usłyszała skrzypienie drewna. Caldicott przesunął się na ławce.

– Bóg o tym wie i ukarze tego, kto cię skrzywdził.

Mary zamknęła oczy.

– On zrobił to znowu. Sądzę, że to był ten sam mężczyzna.

– Och – powiedział ksiądz.

Och? – pomyślała Mary – *Och?* Jeśli tylko na tyle go stać...

Ale Caldicott jeszcze nie skończył.

– Żałujesz, że nie zgłosiłaś się na policję?

To pytanie musiało paść; żal za grzechy był warunkiem otrzymania rozgrzeszenia. Wiedziała o tym, ale i tak jej głos załamał się, gdy odpowiadała: „Tak”.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś, moje dziecko?

Milczała przez chwilę. Mogła powiedzieć, że miała za dużo pracy – to by była prawie prawda. Została zgwałcona w nocy przed wyjazdem do Sudbury. Ale decyzję podjęła jeszcze zanim odsłuchiwała wiadomość od Reubena Montego, poszukującego eksperta w dziedzinie neandertalskiego DNA.

– Bałam się – powiedziała w końcu. – Jestem... jestem w separacji z mężem. Bałam się tego, co by ze mną zrobili,

tę, co mówiliby o mnie i o mojej moralności, gdyby ta sprawa trafiła przed sąd.

– A teraz kogo innego spotkała krzywda z powodu... z powodu twojej bierności.

Uwaga księdza przypomniła Mary wykład na temat sztucznej inteligencji, którego wysłuchiwała przed kilkoma miesiącami. Mówca, człowiek z MIT Robotics, opowiadał o prawach robotyki Asimova, z których pierwsze brzmiało chyba jakoś tak: „Robot nie może skrzywdzić człowieka ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiek doznał krzywdy”. Mary pomyślała, że świat byłby o wiele lepszym miejscem, gdyby ludzie kierowali się tą samą zasadą.

Tylko że...

Tylko że tak wiele zasad, jakimi kierowała się w życiu, mówiło właśnie o tym, by nie działać. Większość z dziesięciu przykazań przestrzegała, czego nie robić.

Grzech Mary polegał na zaniechaniu. Caldicott pewnie uważał go za drobny, z pewnością nie za śmiertelny, a mimo to...

Mimo to coś w niej umarło tamtego dnia, gdy została zgwałcona. Była pewna, że podobnie czuła się nowa ofiara bestii.

– Tak – powiedziała w końcu bardzo cicho. – Kogo innego spotkała krzywda dlatego, że nic nie zrobiłam.

Zauważyła, że Caldicott się poruszył.

– Mógłbym ci polecić modlitwę lub lekturę Pisma Świętego jako pokutę, ale... – Ksiądz umilkł, najwyraźniej czekając, aż Mary dokończy myśl za niego.

W końcu odważyła się powiedzieć na głos to, co od dawna wiedziała.

– Ale jedynym rozwiązaniem jest pójście na policję i przedstawienie im wszystkiego, co wiem.

– Zdołasz znaleźć w sobie siłę, by to zrobić? – zapytał Caldicott.

– Zamierzałam tak postąpić, ojcze. Ale dowody gwałtu, które miałam... zniknęły.

– Mimo to możesz posiadać informacje, które pomogą policji. Jeśli jednak wolałabyś inną pokutę...

Mary raz jeszcze zamknęła oczy i pokręciła przecząco głową.

– Nie. Nie. Pójdę na policję.

– W takim razie... Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą poprzez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów... – Mary wytarła oczy, a Caldicott dokończył – ...niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła. I ja odpuszczam tobie grzechy...

Choć czekało ją trudne zadanie, poczuła, jak opada z niej wielki ciężar.

– ...w imię Ojca...

Zamierzała pójść na policję jeszcze dziś. Od razu.

– ...i Syna...

Ale nie sama.

– ...i Ducha Świętego.

Przeżegnała się.

– Amen.

Rozdział

Dwudziesty Ósmy

Ponter siedział w jednej z ławek. Gdy Mary do niego podeszła, ze zdumieniem zauważyła, że na kolanach trzyma otwartą książkę i przerzuca jej strony.

– Ponterze?

Podniósł głowę.

– Jak poszło?

– W porządku.

– Lepiej się teraz czujesz?

– Trochę. Ale muszę jeszcze coś zrobić.

– Wszystko, co tylko będzie trzeba. Pomogę ci, jak tylko potrafię.

Mary przyjrzała się otwartej książce.

– Czytasz Biblię? – spytała zdziwiona.

– Ach, więc dobrze się domyślałem! To jest główny tekst twojej religii.

– Tak. Ale... sądziłam, że nie potrafisz czytać w moim języku.

– Nie potrafię. Hak też jeszcze tego nie umie. Może za to rejestrować obraz każdej strony i kiedy już posiadzie tę umiejętność, będzie mógł przetłumaczyć dla mnie ten tekst.

– Mogę ci załatwić nagranie Biblii, no wiesz, jedno z tych elektronicznych urządzeń, które odczytują słowa, albo taśmy z głosem aktora czytającego treść pisma. James Earl nagrał świetne wersję...

– Nie wiedziałem, że są takie opcje – przyznał Ponter.

– Aja nie miałam pojęcia, że chciałbyś przeczytać Biblię.

Nie sądziłam, że cię to zainteresuje.

– Skoro jest ważna dla ciebie, jest ważna również dla mnie.

Mary się uśmiechnęła.

– Miałam ogromne szczęście, że cię znalazłam.

– Nietrudno dostrzec mnie w tłumie – próbował zazartować Ponter.

Nie przestając się uśmiechać, pokręciła głową.

– Jesteś naprawdę wyjątkowy. – Spojrzała na krucyfiks nad amboną i przeżegnała się jeszcze raz. – Ale chodź już, musimy się zbierać.

– Dokąd teraz? – zapytał.

Mary odetchnęła głęboko.

– Na policję.

– „Skoro jest ważna dla ciebie” – powtórzył Selgan – „jest ważna również dla mnie”.

Ponter spojrzał na rzeźbiarza osobowości.

– Właśnie tak powiedziałem.

– I naprawdę był to jedyny powód, dla którego zajrzałeś do tej książki?

– O co ci chodzi?

– Czy to nie ona zawiera rzekome historyczne relacje, o których wcześniej wspominałeś? Czy to nie w niej znajduje się główny dowód istnienia życia po śmierci?

– Naprawdę nie wiem – odparł Ponter. – Była bardzo obszerna. Niezbyt gruba, ale znaki w niej były bardzo małe, a papier najcieńszy, jaki dotąd widziałem. Tłumaczenie jej zabrałoby sporo czasu.

– A mimo to czułeś potrzebę poznania tej książki?

– Na sali, w której czekałem na Mary, było sporo egzemplarzy. Po jednym przed każdym z miejsc do siedzenia.

– Wysłuchałeś potem wersji audio, tak jak radziła Mary?

Ponter zaprzeczył.

– A zatem wciąż zastanawiasz się, jaki jest ów domniemany dowód?

– Owszem, jestem tego ciekawy.

– Jak bardzo? – spytał Selgan. – Jak ważna jest dla ciebie ta kwestia?

Ponter wzruszył ramionami.

– Wcześniej zarzucałeś mi, że nie mam otwartego umysłu. Ale tak nie jest. Jeżeli w dziwnym twierdzeniu jest jakaś prawda, chcę ją poznać.

– Dlaczego?

– Z ciekawości.

– Tylko?

– Oczywiście – odparł Ponter. – Tylko.

Dyżurny sierżant zmierzył Pontera wzrokiem od góry do dołu.

– Jeśli któryś z was, neandertalczyków, będzie szukał nowego zajęcia, bardzo przydałaby nam się setka takich w policji – powiedział.

Znajdowali się na 31. posterunku przy Norfinch Drive, zaledwie kilka przecznic od uniwersytetu.

Ponter się uśmiechnął, a Mary zaśmiała się krótko. Policjant był chyba najpotężniejszym przedstawicielem *Homo sapiens*, jakiego dotąd widziała, ale nie miała wątpliwości, na kogo by postawiła w bezpośrednim starciu.

– Słucham panią, jak mogę pomóc?

– W zeszłym tygodniu na terenie York University doszło do gwałtu – powiedziała Mary. – Pisano o tym w uniwersyteckiej gazecie „Excalibur”, więc domyślałam się, że zgłoszono to także tutaj.

– Takimi sprawami zajmuje się detektyw Hobbes – stwierdził policjant, po czym zawołał: – Hej, Johnny, możesz sprawdzić, czy Hobbes jest u siebie?

Ten drugi odkrzyknął, że tak, i kilka chwil później wyszedł do nich ubrany po cywilnemu oficer – mniej więcej trzydziestoletni biały mężczyzna o rudych włosach.

– O co chodzi? – spytał, a gdy zorientował się, kim jest Ponter, dodał: – Jasna cholera!

Ponter uśmiechnął się blado.

– Ta pani chciałaby porozmawiać o gwałcie na uniwersytecie w zeszłym tygodniu.

Hobbes gestem zaprosił ich dalej.

– Tędy proszę.

Mary i Ponter weszli za nim do niewielkiego pokoju przesłuchań, oświetlonego fluorescencyjnymi panelami w suficie.

– Proszę chwilę poczekać; tylko wezmę akta.

Detektyw wrócił z beżową teczką, którą położył na biurku przed sobą. Usiadł i nagle zrobił okrągłe oczy, tak jakby właśnie coś sobie uzmysłowił.

– Mój Boże – powiedział do Pontera – to nie był chyba pan, prawda? Chryste, będę musiał zawiadomić Ottawę...

– Nie – przerwała mu ostro Mary. – To nie był Ponter.

– Wie pani, kto to był?

– Nie, ale...

– Tak?

– Ja także zostałam zgwałcona na terenie kampusu. W pobliżu tego samego budynku.

– Kiedy?

– W piątek, drugiego sierpnia. Około 9: 30 lub 9: 35.

– Wieczorem?

– Tak.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

Starła się podejść do tego zadania z naukowym dystansem, ale pod koniec po jej policzkach płynęły łzy. W tym pokoju zdarzało się to chyba dość często, bo pod ręką stało pudełko chusteczek. Hobbes podał je Mary.

Wytarła oczy i wydmuchała nos. Detektyw zanotował coś na formularzach w teczce.

– W porządku – powiedział. – Zrobimy tak...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Hobbes Wstał z za biurka i otworzył je. Policjant czekający na zewnątrz zaczął coś do niego mówić przyciszonym głosem.

Nagle, ku zdumieniu Mary, Ponter chwycił teczkę z aktami i przekartkował dokumenty. Drugi policjant musiał dać detektywowi jakiś znak, bo Hobbes się odwrócił.

– Hej! – zawołał. – To nie jest do wglądu.

– Przepraszam – powiedział Ponter. – Proszę się nie obawiać, (a nie potrafię czytać w waszym języku. – Oddał teczkę. Hobbes chwycił ją gwałtownie. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że złapiecie winowajcę?

Detektyw przez chwilę milczał.

– Szczerze? Nie wiem. W tej chwili mamy zgłoszone dwa przypadki, dwa gwałty mniej więcej w tym samym miejscu i w odstępie zaledwie kilku tygodni. Wspólnie ze strażą kampusu będziemy wszystko uważnie obserwowali. Kto wie? Może nam się poszczęści.

Poszczęści – pomyślała Mary. Detektyw miał na myśli to, że kolejna ofiara może zostać zaatakowana.

– A na razie... – Hobbes urwał.

– Tak?

– No cóż, jeśli sprawca należy do społeczności uniwersyteckiej, na pewno już wie, że pisano o tym w kampusowej prasie.

– Czyli że nie spodziewacie się rozwiązania sprawy – stwierdził Ponter wprost.

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił detektyw.

Ponter tylko skinął głową.

Oboje z Mary wrócili do samochodu. Tym razem pamięć tała, żeby zostawić odrobinę uchylone okna, ale i tak w środku było duszno. Uruchomiła silnik i włączyła klimatyzację.

– I? – spytała.

– Co takiego?

– Zeskanowałeś akta. Znalazłeś w nich coś interesującego?

– Nie wiem.

– Możesz jakoś mi pokazać, co widział Hak?

– Nie tutaj. Kompan wszystko rejestruje i ma dodatkowy moduł pamięci. Wszystko, co widzi, zostanie zapisane, ale do póki dane nie trafią do mojego archiwum alibi w Saldak, nie możemy niczego obejrzeć. Hak może je tylko opisać. Mary spojrzała na przedramię Pontera.

– Co ty na to, Hak? – spytała.

Kompan odezwał się przez zewnętrzny głośnik.

– Akta zawierały jedenaście arkuszy białego papieru. Stosunek długości do szerokości każdego wynosił 0,77 do 1. Sześć z tych arkuszy wyglądało na gotowe formularze z miejscami, w które odręcznie wpisano tekst. Nie jestem w tych sprawach ekspertem, ale odniosłem wrażenie, że było to takie samo pismo, jakim Egzekutor Hobbes robił zapiski w naszej obecności, choć tusz miał inną barwę.

– Nie potrafisz powiedzieć, jaka była treść formularzy? – spytała Mary.

– Mógłbym wszystko opisać. Czytacie od lewej do prawej, tak? – Mary przytaknęła. – Pierwsze słowo na pierwszej stronie zaczyna się od symbolu wyglądającego jak pionowa kreska, na której opiera się pozioma kreska. Drugi symbol to kółko. Trzeci...

– Ile znaków zawiera cały raport?

– Pięćdziesiąt dwa tysiące czterysta dwanaście.

Mary zmarszczyła brwi.

– To za wiele, żeby odczytywać je litera po literze, nawet gdybym nauczyła cię całego alfabetu. – Wzruszyła ramionami. – No cóż, będę musiała poczekać z tym, aż znajdziemy się na twoim świecie. – Zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. – A skoro o tym mowa, do Sudbury jest dość daleko. Lepiej ruszajmy.

Rozdział

Dwudziesty Dziewiąty

Ostatnim razem, kiedy jechali w tej klatce windy, Mary starała się wytłumaczyć Ponterowi, że naprawdę go lubi – nawet bardzo – ale nie jest gotowa na nowy związek. Wyjaśniła mu, co spotkało ją na uniwersytecie. Oprócz Keishy z centrum dla ofiar gwałtu tylko jemu o tym powiedziała. Jego emocje były odbiciem jej własnych: potworny zamęt uczuć i gniew na gwałciciela. Podczas tamtej jazdy na dół Mary sądziła, że traci Pontera na zawsze.

Tym razem, w trakcie długiej podróży w dół szybu kopalni Creighton na poziom sześciu tysięcy ośmiuset stóp, nie mogła przestać o tym myśleć. Być może milczenie Pontera oznaczało, że on też przypomina sobie tamtą rozmowę.

Zaczęto mówić o konieczności zainstalowania nowej szybkiej windy bezpośrednio do obserwatorium neutrin, ale pod względem logistyki stanowiło to nie lada problem. Przewiercenie się przez dwa kilometry gabra było ogromnym przedsięwzięciem, a poza tym geologowie INCO nie mieli pewności, czy skała to wytrzyma.

Dyskutowano też o zastąpieniu starej, otwartej klatki windy bardziej luksusową, nowoczesną kabiną – ale takie plany zakładały, że używano by jej wyłącznie w kursach do portalu i z powrotem. Tymczasem w kopalni Creighton przez cały czas wydobywano rudę niklu i choć INCO chętnie godziło się na wszelkiego rodzaju współpracę, to jednocześnie musiało pamiętać o tym, że codziennie setki górników podróżują w górę i w dół szybu.

Tym razem Mary i Ponter nie mieli windy tylko dla siebie. Towarzyszyło im sześciu górników, zjeżdżających na poziom pięciu tysięcy dwustu stóp. Połowa tej grupki wpatrywała się w zabłoconą metalową podłogę – w środku nie było żadnego wskaźnika poziomów, któremu można by się przyglądać dla zabicia czasu – a pozostali otwarcie gapili się na Pontera.

Klatka z hałasem sunęła w dół szybem o nierówno ciosanych ścianach. Minęli poziom czterech tysięcy sześciuset stóp – namalowane na zewnątrz znaki mówiły im, gdzie się znajdują. Złóża na tym poziomie zostały całkowicie wyczerpane, więc zamieniono go w arboretum, w którym uprawiano drzewa do wtórnego zalesiania okolic Sudbury.

Winda szarpnęła i zahamowała. Drzwi odsunęły się ze szczękiem, wypuszczając górników na zewnątrz. Mary przyjrzała się wysiadającym; dawniej uznałyby ich za potężnych mężczyzn, ale w porównaniu z neandertalczykiem wyglądali na słabeuszy. Ponter dał dzwonkiem sygnał operatorowi na powierzchni, że mogą zjeżdżać niżej. Klatka z dudnieniem ponownie ruszyła. W środku panował za duży hałas, aby swobodnie rozmawiać – poprzednim razem, choć rozmowa dotyczyła delikatnej sprawy, byli zmuszeni krzyczeć.

W końcu winda dotarła na poziom sześciu tysięcy ośmiuset stóp. Temperatura tu utrzymywała się na stałym poziomie czterdziestu jeden stopni Celsjusza, a ciśnienie było o trzydzieści procent wyższe od tego na powierzchni.

Przynajmniej na tym odcinku sytuacja transportowa uległa poprawie. Nie musieli już pieszo pokonywać tysiąca dwustu metrów do SNO. Czekal na nich niewielki, zwrotny pojazd terenowy z logo SNO naklejonym z przodu. Kursowały tędy jeszcze dwa podobne wehikuły, które teraz znajdowały się w innej części tunelu prowadzącego do obserwatorium.

Ponter gestem wskazał Mary miejsce kierowcy. Powstrzymała się od uśmiechu; wielkolud wiele umiał, ale prowadzić samochodu jeszcze się nie nauczył. Usiadł obok niej. Chwilę trwało, zanim zapoznała się z deską rozdzielczą i przeczytała przyklejone do niej instrukcje. Wyglądało na to, że pojazd obsługuje się podobnie jak wózek golfowy. Przekręciła kluczyk – był przymocowany do deski rozdzielczej łańcuszkiem, aby nikt przypadkiem nie zabrał go ze sobą – i ruszyli tunelem, trzymając się z dala od szyn, po których jeździły wagoniki z rudą. Wcześniej pokonanie odcinka od windy do SNO zabierało dwadzieścia minut; wózkiem dojechali na miejsce w cztery.

Jak na ironię, teraz, gdy z SNO podróżowano do innego świata, w pomieszczeniach obserwatorium nie przestrzegano już tak restrykcyjnych norm czystości. Dawniej pryszniczki były obowiązkowe, teraz mogli korzystać z nich ci, którzy po podróży z powierzchni czuli się nieświeżo. Ponter i Mary minęli kabiny. Drzwi po obu stronach służby powietrznej, w której wcześniej oczyszczano odwiedzających z kurzu, stały otwarte. Ponter przeszedł przez nie, odwracając się lekko bokiem.

Wyminęli cały wymyślny system hydrauliki, który wcześniej obsługiwał zbiornik z ciężką wodą, i weszli do sterowni, gdzie obecnie stale przebywało dwóch uzbrojonych żołnierzy Kanadyjskich Sił Zbrojnych.

– Witamy, delegacie Boddit – odezwał się jeden z nich, wstając z krzesła.

– Dzień dobry – odpowiedział Ponter samodzielnie. Znał już kilkaset słów po angielsku i potrafił ich używać – o ile mógł je wymówić – bez pomocy Haka.

– A pani to profesor Mary Vaughan, czy tak? – upewnił się żołnierz. Oznaczenia na jego mundurze na pewno wskazywały, jaki miał stopień, ale Mary nie umiała ich odczytać.

– Zgadza się – odparła.

– Widziałem panią w telewizji. Pierwszy raz przechodzi pani na drugą stronę, prawda?

Mary przytaknęła.

– Na pewno zapoznano panią z procedurą. Proszę o paszport. Musimy też pobrać próbkę DNA.

Mary wyrobiła sobie paszport przed pierwszą podróżą do Niemiec. Pojechała tam, aby w Rheinisches Landesmuseum pobrać DNA z kopalnego okazu neandertalczyka. Od tamtej pory musiała przedłużyć jego ważność – dlaczego kanadyjskie paszporty były ważne tylko przez pięć, a nie dziesięć lat, tak jak amerykańskie? Wyciągnęła dokument z torebki i podała go żołnierzowi. Niestety, na zdjęciu wyglądała starzej niż w rzeczywistości. Zostało zrobione jeszcze zanim zaczęła farbować włosy.

Następnie otworzyła usta, a żołnierz przesunął wacikiem po błonie śluzowej jej prawego policzka. Pomyślała, że brakuje mu wprawy – nie musiał tak mocno naciskać, żeby komórki się oddzieliły.

– Gotowe, proszę pani. Życzymy przyjemnej podróży.

Mary puściła Pontera przodem i wyszli na metalową platformę, która zamykała od góry wysoką na dziesięć pięter beczkowatą jaskinię, gdzie dawniej mieściło się obserwatorium neutrin. Tym razem nie musieli się przeciskać przez wąski wąż, bo w podeście wycięto duże wejście i zainstalowano windę zjeżdżającą na dół. Ponter zauważył, że obu tych rzeczy nie było, kiedy przechodził przez portal ostatnim razem. Winda miała akrylowe, przezroczyste ściany, wykonane na specjalne zamówienie przez Polycast, producenta elementów, z których składała się sfera zawierająca ciężką wodę – teraz rozmontowana.

Winda była pierwszą z wielu modyfikacji, jakie zamierzano wprowadzić w jaskini. Gdyby portal rzeczywiście pozostał otwarty przez wiele lat,

dawną komorę detektora planowano podzielić na dziesięć pięter mieszczących biura urzędu celnego, szpital, a nawet kilka apartamentów hotelowych. Na razie jednak kabina zatrzymywała się tylko w dwóch miejscach: na skalnym dnie jaskini oraz trzy piętra wyżej, w miejscu, gdzie Wokół portalu zbudowano szeroką drewnianą platformę, na której czekało kolejnych dwóch żołnierzy. Ponter i Mary wysiedli właśnie tam. Z jednej strony umieszczono flagi Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz trzech państw, które wspólnie finansowały działalność SNO: Kanady, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Przed sobą mieli...

Popularnie nazywano to „portalem”, ale ze względu na wystającą z przejścia rurę Derkersa bardziej przypominało tunel. Serce Mary było mocno; widziała drugą stronę – neandertalski świat i...

Mój Boże – przemknęło jej przez głowę. – Mój Boże.

Na moment przy przeciwległym końcu tunelu pojawiła się jakaś postać. Ktoś pracował z drugiej strony.

Inny neandertalczyk.

Mary przyzwyczała się do wyglądu Pontera. Widziała też Tukanę, ale jakoś nie docierało do niej, że takich jak oni są miliony.

Tymczasem na własne oczy widziała jeszcze jednego w głębi tunelu.

Odetchnęła głęboko, a ponieważ Ponter uprzejmie puszczał ją przodem, Mary Vaughan, mieszkanka jednej Ziemi, weszła na cylindryczny most prowadzący na drugi świat.

Na dnie rury Derkersa dla wygody zainstalowano płaską kładkę. Przez przejrzyste ściany Mary widziała pierścień niebieskiego światła samego portalu – przejścia, nieciągłości.

Zatrzymała się na progu tej nieciągłości. Ponter przechodził już tędy w obu kierunkach. Także spora liczba *Homo sapiens* przed nią odwiedziła

drugą stronę, lecz mimo to...

Mary zaczęła się pocić i to nie z powodu wysokiej temperatury pod ziemią.

Dłoń Pontera dotknęła jej ramienia. Przez jedną potworną sekundę Mary sądziła, że przepchnie ją na drugą stronę.

Na szczęście nic takiego się nie stało.

– Nie spiesz się – wyszeptał Ponter. – Zaczekaj, aż będziesz gotowa.

Kiwnęła głową. Głęboko odetchnęła i odważyła się zrobić pierwszy krok.

Miała wrażenie, jakby pierścień mrówek otoczył ją ciasno i przesuwiał się po jej ciele w miarę przekraczania granicy.

Powoli wysunęła nogę, ale po chwili szybko skoczyła do przodu, żeby pozbyć się tego denerwującego wrażenia.

I oto znalazła się za progiem – kilka centymetrów i dziesiątki tysięcy lat od świata, jaki znała.

Ruszyła ku drugiemu brzegowi tunelu, słysząc za sobą ciężkie kroki Pontera, i po chwili znalazła się w miejscu, które – jak się domyślała – było komorą kwantowego komputera. W przeciwieństwie do pomieszczeń SNO, które przestały pełnić swoją podstawową funkcję, komputer kwantowy pozostawał całkowicie sprawny. Co więcej, tłumaczono jej, że bez niego portal by się zamknął.

Przed sobą miała czterech neandertalczyków, samych mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie rzucający się w oczy srebrny strój; pozostali nosili koszule bez rękawów i takie same dziwne spodnie z doczepianymi butami, w jakich chodził Ponter. Wszyscy też, tak jak on, mieli jasne włosy z przedziałkiem dokładnie pośrodku czaszki, byli bardzo umięśnieni i mieli wypukłe wały nadoczodołowe oraz potężne, kartoflowate nochale.

Za sobą usłyszała głos Pontera. Mówił coś w swoim języku. Odwróciła się, zaskoczona. Wcześniej cały czas szeptał po neandertalsku, a Hak tłumaczył jego słowa. Dotąd nie miała okazji słyszeć, jak mówi głośno i wyraźnie w ojczystym języku. To, co powiedział, musiało być żartem, bo pozostali zarechotali donośnie.

Odsunęła się od wylotu tunelu, przepuszczając Pontera, i w tej samej chwili...

Oczywiście wiele razy mówił jej o Adikorze i w pewnym sensie zdawała sobie sprawę, że ma kochanka, ale...

Ale pomimo liberalnych poglądów, pomimo prób mentalnego przygotowania się do tej chwili i pomimo tego, że na swojej Ziemi znała gejów, Mary poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka, gdy Ponter objął jednego z mężczyzn. Domyśliła się, że to Adikor. Przytulali się długo i mocno, a szeroka twarz Pontera przywarła do owłosionego policzka jego przyjaciela.

Mary od razu uświadomiła sobie, co czuje. Boże, od wielu lat nie doświadczyła takiej reakcji i było jej wstyd. Nie przeszkadzało jej jawne okazywanie uczuć przez osoby tej samej płci, z tym nie miała żadnych problemów – przecież skacząc po kanałach telewizyjnych w Toronto w piątkowe wieczory nieraz natrafiała na gejowskie filmy erotyczne. Chodziło raczej o to, że...

Naprawdę była z tego powodu zażenowana. Wiedziała, że jeśli zależy jej na trwałym związku z Ponterem, musi szybko uporać się z tym uczuciem.

Była zazdrosna.

Ponter wypuścił Adikora z objęć, po czym podniósł lewe ramię, zginając je w łokciu i obracając wnętrzem w stronę przyjaciela. Adikor wykonał podobny gest i Mary zobaczyła symbole migające na ekranach Kompanów

obu neandertalczyków. Domyślała się, że Ponter odbiera wiadomości, które pod jego nieobecność kierowano do jego partnera.

Równocześnie opuścili ręce, ale Ponter tylko do połowy. Wskazał Mary.

– *Prisam tah Mare Vonnnn daballita sohl* – powiedział, ale ponieważ nie zwracał się do niej, Hak nie przetłumaczył jego słów.

Adikor zbliżył się do niej z uśmiechem. Miał miłą twarz, szerszą niż Ponter – tak szeroką jak duży talerz – i okrągłe, głęboko osadzone oczy zdumiewającej niebieskozielonej barwy. Wyglądał jak flintstonebwska wersja Plastusia.

Ponter znowu ściszył głos do szeptu, a Hak przetłumaczył jego słowa z normalną głośnością.

– Mare, to jest mój partner, Uczony Adikor Huld.

– Czeszę się – odezwał się do niej Adikor. Mary dopiero po chwili uświadomiła sobie, że próbował powiedzieć „cieszę się”, tylko nie do końca mu wyszło. Mimo to zaimponował jej. Wzruszyło ją to, że próbował się uczyć jej języka.

– Ja też się cieszę – odpowiedziała. – Wiele o tobie słyszałam.

Adikor przekrzywił głowę, prawdopodobnie słuchając tłumaczenia słów Mary, które jego Kompan transmitował prosto w implanty ślimakowe. Potem uśmiechnął się i powiedział z tym swoim dziwnym akcentem:

– Chyba tylko dobre?

Mary nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

– O tak – zapewniła.

– A to – rozległ się głos Haka mówiącego w imieniu Pon – tera – jest Ekshibicjonista.

Nie wiedziała, jak ma zareagować. Ponterowi chodziło o ubranego na srebrno mężczyznę. Nie miała pewności, co by zrobiła, gdyby ten dziwny neandertalczyk nagle ściągnął wszystko z siebie w jej obecności.

– Hm, miło mi – odparła.

Nieznajomy nie opanował metody szeptania w swoim języku, tak by Kompan mógł głośno przełożyć jego słowa, dlatego miała kłopot z oddzieleniem neandertalskiego hałasu od tłumaczenia.

– Dowiedziałem się – zdołała dosłyszeć – że w waszym świecie prawdopodobnie byłbym reporterem. Odwiedzam różne ciekawe miejsca i pozwalam, aby inni ludzie oglądali to, co nadaje mój Kompan.

– Wszyscy Ekshibicjoniści noszą srebrne stroje – wyjaśnił Ponter – i kolor srebrny zarezerwowany jest tylko dla nich. Jeśli zobaczysz kogoś tak ubranego, miej na uwadze to, że mogą cię oglądać tysiące ludzi.

– Aha! – Mary wreszcie zrozumiała, o co chodzi. – Ekshibicjonista. Teraz przypominam sobie, że mówiłeś mi o nich.

Ponter przedstawił jej pozostałych dwóch neandertalczyków. Jeden z nich był egzekutorem, czyli kimś w rodzaju policjanta, a drugi – tęgawym specjalistą od robotyki o imieniu Dern.

Na pół sekundy feministka w Mary oburzyła się, że w laboratorium komputerowym nie ma żadnej kobiety, ale przecież nie mogło ich być w tej okolicy. Kopalnia znajdowała się na Obrzeżach Saldak.

Ponter przeprowadził Mary wśród rzędów przytwierdzonych do podłogi cylindrów. Wspięli się po kilku stopniach i weszli do sterowni. Zrobiło jej się chłodno. Neandertalczyki nie lubili wysokich temperatur. W jej świecie tak głęboko pod ziemią byłoby dość gorąco. Najwyraźniej tutaj wszystkie pomieszczenia klimatyzowano. Zerknęła w dół i z zażenowaniem zauważyła, że jej sutki odznaczają się pod materiałem koszulki.

– Jak kontrolujecie temperaturę? – spytała.

– Używamy pomp ciepła – wyjaśnił Ponter. – Zasada ich działania jest bardzo prosta.

Mary rozejrzała się po sterowni. Zaskoczył ją dziwny wygląd konsoli. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, że projektanci przemysłowi arbitralnie decydowali o wyglądzie rozmaitych instrumentów i że ich „nowoczesne” projekty były tylko jednym z kierunków, jakie mogło obrać wzornictwo w tej dziedzinie. Zamiast wypolerowanego metalu, czerni i szarości wielu znanych sobie urządzeń miała przed sobą konsole w kolorze koralowego różu, z zaokrąglonymi krawędziami i niewielką liczbą „dynksów”, za które się pociągało, zamiast je wciskać. Nie było tu żadnych diod, podziałek ani przełączników. Wskaźniki sprawiały wrażenie nie podświetlanych, tylko odblaskowych, a na monitorach granatowe znaki pojawiały się na jasnoszarym tle. Na początku sądziła, że to naklejki, ale potem zauważyła, że szeregi symboli wciąż się zmieniają.

Ponter szybko przeprowadził ją przez niewielką sterownię i znaleźli się w pomieszczeniu dezynfekcyjnym. Zanim się zorientowała, o co chodzi, zdążył rozpiąć mocowania na ramionach koszuli i ściągnąć ją. Sekundę później zdjął również spodnie. Ubranie włożył do cylindrycznego kosza i wszedł do komory z okrągłą podłogą. Stał nieruchomo, a kabina zaczęła się powoli obracać. Najpierw Mary zobaczyła jego szerokie plecy – i to, co znajdowało się poniżej – a potem jego szeroką klatkę piersiową – i to, co znajdowało się poniżej. Po jednej stronie komory dostrzegła laserowe emitory, a po przeciwnej – punkciki laserowego światła tworzące linię. Promienie lasera przechodziły przez ciało Pontera, tak jakby go tam nie było, ale rozumiała, że jednocześnie niszczą wszystkie obce biomolekuły.

Cały proces trwał kilka minut i wymagał wielu pełnych obrotów. Mary starała się trzymać wzrok na odpowiednim poziomie. Pontera ta sytuacja zupełnie nie krępowała. Wcześniej widywała go nago w przyćmionym świetle, ale teraz...

Był oświetlony równie jaskrawo jak aktorzy w filmach porno. Większość jego ciała pokrywały jasne, delikatne włosy, mięśnie brzucha odznaczały się wyraźnie, muskulatury klatki piersiowej pozazdrościłby mu każdy kulturysta, a...

Odwróciła głowę; wiedziała, że nie powinna się gapić.

Wreszcie dekontaminacja Pontera dobiegła końca. Opuścił komorę i gestem dał Mary znać, że teraz jej kolej.

Żołądek podszedł jej do gardła. Owszem, wiedziała o procedurze odkażania, ale...

Odetchnęła głęboko. Kiedy wejdiesz między wrony...

Rozpięła bluzkę i włożyła ją do tego samego koszyka, którego wcześniej użył Ponter. Zdjęła czarne buty i gdy Ponter twierdząco skinął głową, je także wrzuciła do pojemnika. Potem ściągnęła spodnie i...

Została w kremowym staniku i białych figach.

Jeśli promienie lasera potrafiły usuwać bakterie i wirusy przez skórę, mogły też zrobić to przez bieliznę, tylko że...

Tylko że jej bielizna, razem z resztą ubrania, torebką i całym bagażem miała przejść czyszczenie ultradźwiękowe i zostać poddana działaniu promieni ultrafioletowych o wysokim natężeniu. Lasery dobrze się sprawdzały w przypadku mikrobów, miały jednak o wiele za małą moc, aby usunąć większe roztocza i pasożyty, które mogły się kryć w zagięciach materiału. Ponter wyjaśnił, że wszystko otrzymają później, po dokładnym odkażeniu.

Sięgnęła do tyłu i rozpięła biustonosz. Podczas studiów pewnie przeszłaby „test ołówka”, ale tamte dni dawno minęły. Jej piersi nie były już tak jędrne. Instynktownie skrzyżowała przed sobą ramiona, próbując się zasłonić, ale po chwili musiała je opuścić, żeby zdjąć majtki. Nie miała pojęcia, czy jako kobiecie wypada jej w trakcie tej czynności stanąć

przodem, czy tyłem; i w jednej, i w drugiej pozie odsłaniała sporo ciała w niekorzystnej perspektywie. Ostatecznie stanęła tyłem, szybko ściągnęła figi, po czym błyskawicznie się wyprostowała.

Ponter patrzył na nią, uśmiechając się zachęcająco. Jeśli w surowym świetle wydała mu się mniej atrakcyjna niż w półmroku hotelowego pokoju, nie zdradził się z tym.

Włożyła majtki do kosza i weszła do komory, która zaczęła upokarzającą rotację. Owszem, Mary sama przyglądała się Ponterowi, ale robiła to z podziwem. Był przecież pięknie umięśniony i – co tu dużo kryć – całkiem nieźle obdarzony przez naturę.

Tymczasem ona – kobieta tuż przed zderzeniem z czterdziestką – miała dziesięć kilo zbędnego tłuszczu i owłosienie łonowe, którego barwa nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że nie jest naturalną blondynką. Jakim cudem Ponterowi mogła się podobać ta zwiotczała bladość, na którą patrzył?

Z zamkniętymi oczami doczekała końca procedury. Zupełnie nic nie czuła. To, co lasery wyprawiały z jej wnętrzościami, było całkowicie bezbolesne.

Wreszcie dekontaminacja dobiegła końca. Mary wyszła drugą stroną komory i Ponter poprowadził ją do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie mogli się ubrać. Wskazał jej ścianę pełną schowków ze strojami.

– Zajrzyj do tych w prawym górnym rogu – poradził. – Są ułożone według rozmiarów, od najmniejszych do największych; tam powinnaś znaleźć te najmniejsze.

Najmniejsze – pomyślała Mary. Poczowała się trochę lepiej. Przynajmniej na tym świecie mogła robić zakupy w dziale z małymi rozmiarami.

Ubrała się najszybciej, jak potrafiła, i ruszyła za Ponterem do windy. Tutaj znowu zdumiały ją oczywiste różnice między technologią Gliksinów i

Barastów. Kabina była okrągła i miała w podłodze dwa pedały, za pomocą których nią kierowano. Ponter nastąpił na jeden z nich i dźwig ruszył do góry. Jak wygodne musiało być takie rozwiązanie, gdy człowiek miał zajęte ręce! Mary kiedyś niechcący upuściła całe zakupy, w tym pudełko z jajkami, na podłogę windy w swoim bloku.

We wnętrzu kabiny znajdowały się cztery kolumny, rozmieszczone w równych odstępach. Na początku Mary sądziła, że to elementy konstrukcyjne, ale się myliła. Zaraz po rozpoczęciu długiej jazdy na górę – przypuszczalnie z głębokości dwóch kilometrów, tak jak na jej Ziemi – Ponter zaczął się ocierać plecami o jedną z nich. Pełniły rolę drapaków. Przynajmniej nie trzeba było beczynnie stać przez całą drogę.

Mary zastanowił cylindryczny kształt windy. Może obracała się wokół własnej osi, wędrując w górę szybu?

Gdy wypowiedziała tę myśl na głos, Ponter skinął głową.

– Właśnie na tym to polega – przetłumaczył jego słowa Hak. – Mechanizm dźwigowy znajduje się w ścianach szybu, a nie nad naszymi głowami, tak jak w waszych windach. Kanały, wzdłuż których porusza się kabina, nie biegną idealnie pionowo. Zakreślają bardzo łagodną spiralę. W tej akurat windzie zaczynamy na dole twarzą na wschód, ale na górze kończymy twarzą na zachód.

Podczas jazdy Mary zwróciła uwagę na oświetlenie.

– Mój Boże – zdziwiła się zadzierając głowę – czy to lu – cyferyna?

Wokół górnej krawędzi kabiny biegła szklana rurka wypełniona płynem emitującym niebieskozielone światło. Hak zapiszczał.

– Lucyferyna – powtórzyła Mary. – Pigment, dzięki któremu świecą odwłoki robaczków świętojańskich.

– Aha. Tak, to podobna reakcja katalityczna. W pomieszczeniach używamy głównie tego typu oświetlenia.

Mary pokiwała głową. Lubiącym chłód neandertalczykom nie odpowiadałyby żarówki, które produkowały więcej ciepła niż światła. Reakcja katalizowana lucyferazą była prawie w stu procentach wydajna i dawała światło przy niemal zerowym wydzielaniu ciepła.

Winda powoli pięła się w górę. W niebieskozielonym świetle skóra Pontera miała dziwnie srebrną barwę, a jego złote oczy wydawały się prawie żółte. W dachu i podłodze kabiny znajdowały się otwory wentylacyjne, wymuszające ruch powietrza w jej wnętrzu. Mary skuliła się przed chłodem.

– Przykro mi – powiedział Ponter, zauważając jej gest.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że ty lubisz, gdy jest chłodno.

– Tutaj nie o to chodzi. W zamkniętych przestrzeniach, takich jak ta, gromadzą się feromony, a jazda na górę trwa dość długo. Wentylacja służy temu, by każdy z pasażerów nie był zbyt narazony na zapachy pozostałych.

Mary ze zdziwieniem pokręciła głową. Jeszcze nie wyjechała na powierzchnię, a już zdumiewały ją różnice – a przecież dopiero miała zobaczyć ten inny świat! Znowu poczuła podziw dla Pontera, który zjawił się na jej Ziemi niespodziewanie, a mimo to nie oszalał.

Wreszcie winda dotarła na samą górę i kabina się otworzyła. Nawet to wyglądało zupełnie inaczej, bo drzwi, które wydawały się zupełnie gładkie, odsunęły się na bok, składając się w harmonijkę.

Znajdowali się teraz w czworokątnym pomieszczeniu wielkości mniej więcej pięć na pięć metrów. Miało ściany żółtozielonej barwy i niski sufit. Ponter podszedł do jednego z regałów i wrócił z małym, płaskim pudełkiem, zrobionym z czegoś, co przypominało niebieski karton. Otworzył je i wyjął lśniący przedmiot z metalu i plastiku.

– Najwyższa Rada Siwych rozumie, że nie ma wyboru i musi pozwolić ludziom z twojego świata odwiedzać nasz – wyjaśnił – ale Adikor powiedział mi, że Radni postawili jeden warunek. Musisz nosić to. – Pokazał jej urządzenie z metalową obejmą i wyświetlaczem bardzo podobnym do tego, jaki miał Hak.

– Zazwyczaj Kompany mają formę implantów, ale rozumiemy, że nie możemy zmuszać gości, aby poddawali się operacji. Tej bransolety nie będziesz mogła zdjąć poza tym pomieszczeniem; znajdujący się wewnątrz system operacyjny rozpoznaje swoje położenie i zezwoli na otwarcie zapięcia tylko tutaj.

Mary kiwnęła głową.

– Rozumiem. – Wyciągnęła przed siebie prawą rękę.

– Zazwyczaj Kompany wszczepiane są w lewe ramię, chyba że ktoś jest leworęczny.

Cofnęła prawą i wyciągnęła lewą rękę. Ponter zajął się założeniem aparatu.

– Już wcześniej chciałam cię o to zapytać – odezwała się Mary. – Czy większość neandertalczyków jest praworęczna?

– Mniej więcej dziewięćdziesiąt procent.

– Takie właśnie wnioski wysnuliśmy na podstawie zapisu kopalnego.

Brew Pontera powędrowała w górę.

– Jakim cudem mogliście ustalić coś takiego w oparciu o skamieliny? Nie sądzę, abyśmy my mieli jakieś pojęcie o tym, jakie preferencje w tej sferze przejawiali Gliksini z naszego świata.

Mary uśmiechnęła się, zadowolona z inwencji swojego gatunku.

– Ustaliliśmy to na podstawie zębów.

– A co mają do tego zęby?

– Przeanalizowano osiemdziesiąt zębów pochodzących od dwudziestu odnalezionych neandertalczyków. Założyliśmy, że przy waszym rozmiarze szczęk prawdopodobnie używaliście ich na przykład do przytrzymywania skór podczas oddzielania ich od mięsa. Skóry mają duże właściwości ściernie, powodują szybsze zużycie zewnętrznych powierzchni zębowych i zostawiają w nich wyżłobienia odchylające się w prawo, co odpowiada sytuacji, w której skrobak trzymany jest w prawej dłoni i naciąga skórę w tym kierunku.

Ponter zrobił minę, która – o czym Mary już wiedziała – u neandertalczyka oznaczała, że jest „pod wrażeniem”. Polegało to na zassaniu warg i ściągnięciu brwi.

– Doskonale rozumowanie – przyznał. – Do dziś urządzone są imprezy, podczas których skóry czyści się w taki właśnie sposób. Oczywiście istnieją też inne, zmechanizowane metody, ale ręczne zdejmowanie skór to część tradycji. – Umilkł na moment, po czym dodał: – A skoro o skórach mowa... – Przeszedł w drugi kraniec pomieszczenia, gdzie na ścianie wisały futra, zamocowane klamrami do poziomego drążka. – Wybierz sobie któreś – zaproponował. – Tutaj także te z prawej strony są najmniejsze.

Mary wskazała jedno z nich. Ponter wykonał jakiś ruch, którego dokładnie nie zarejestrowała, i zdjął futro z klamer. Nie miała pojęcia, jak je włożyć – miało rozpięcie z boku, a nie na ramionach. Ponter pomógł jej się ubrać. Coś w niej się buntowało. Nigdy przedtem nie nosiła naturalnego futra; no, ale tutaj był inny świat.

To, które wybrała, w niczym nie przypominało luksusowych futer z norek czy soboli. Było szorstkie i miało nierówną, rudobrazową barwę.

– Z czego jest zrobione? – spytała, gdy Ponter zajął się zapięciami zamykającymi ją w futrzanej kurcie.

– Z mamuta.

Zrobiła okrągłe oczy. Może nie było tak miękkie jak skóra norki, ale futro z mamuta miałoby na jej świecie o wiele większą wartość.

Ponter sam nie potrzebował wierzchniego okrycia. Ruszył do drzwi. Te wyglądały bardziej normalnie. Ich skrzydło przymocowane było do pionowej rury, na której poruszało się zupełnie jak na zawiasach. Ponter otworzył je i...

I wyszli na zewnątrz.

Nagle cała obcość się ulotniła.

To była Ziemia... taka, jaką znała. Słońce wiszące nisko na zachodnim niebie wyglądało dokładnie tak samo jak to, które zwykła widywać u siebie. Niebo miało niebieską barwę. Wśród drzew zauważyła sosny, brzozy i inne znane sobie gatunki.

– Chłodno tu – stwierdziła. Rzeczywiście temperatura była niższa o jakieś cztery stopnie niż w Sudbury, które zostawili za sobą.

Ponter się uśmiechnął.

– Wspaniale – przyznał.

Nagle uwagę Mary zwrócił szczególny dźwięk. Przez moment zastanawiała się, czy to nie mamut pędzi ku nim, aby zemścić się za skórę ściągniętą z jego brata. Ale nie, to nie było to. Tak hałasował dziwny pojazd o kształcie sześcianu z zaokrąglonymi rogami. Wehikuł sunął ku nim nad skalistym terenem. Dźwięk, który słyszała, wydawały wentylatory dmuchające w dół i utrzymujące ten dziwny środek lokomocji na określonej wysokości nad ziemią oraz jeden duży wiatrak z tyłu – tak jak na łodziach, którymi podróżowano po Everglades.

– Aa, jest już sześcian podróżny, który wezwałem – stwierdził Ponter. Mary domyśliła się, że zrobił to za pośrednictwem Haka, który nie przetłumaczył polecenia. Dziwny pojazd osiadł na ziemi tuż przed nimi i

Mary zobaczyła w nim neandertal – skiego kierowcę – wielkiego mężczyznę, który wyglądał na starszego o dwadzieścia lat od Pontera.

Przejrzysta ściana sześcianu otworzyła się i kierowca powiedział coś do Pontera. Jego wypowiedź także pozostała bez tłumaczenia, ale Mary domyślała się, że było to coś w rodzaju: „Dokąd jedziemy?”.

Ponter przepuścił Mary przodem.

– Teraz – powiedział – pozwól, że pokażę ci mój świat.

Rozdział Trzydziesty

– To twój dom? – spytała Mary.

Ponter skinął głową. Przez ponad dwie godziny zwiedzali budynki publiczne, aż zapadł wieczór.

Mary nie kryła zdumienia. Dom Pontera nie był z cegły ani z kamienia. W przeważającej części budulcem było drzewo. Oczywiście widziała w życiu wiele drewnianych domów – choć kodeks budowlany zakazywał wznoszenia takich budynków w wielu częściach Ontario – ale nigdy takiego jak ten. Wyglądał tak, jakby został wyhodowany. Przypominał bardzo gruby i bardzo niski pień, który obrósł gigantyczną formę, tworząc sześciany i cylindry pomieszczeń. Potem formę usunięto, a wnętrza dodatkowo wydrążono, ale tak, by drzewo nadal żyło. Zewnętrzne ściany pokrywała ciemnobrązowa kora, a liście na gałęziach strzelających w górę z centralnej, uformowanej części pnia zaczęły zmieniać barwę na jesienną.

Nie wszystko dało się osiągnąć w sposób naturalny. Okna o idealnie kwadratowym kształcie prawdopodobnie zostały wycięte. Poza tym z boku dobudowano taras z desek.

– Jest... – W myślach Mary o pierwszeństwo walczyły różne przymiotniki: dziwny, wspaniały, niezwykły, fascynujący, lecz wygrał zupełnie inny – ...piękny.

Ponter skinął głową. Gliksin w odpowiedzi na taki komplement powiedziałby „dziękuję”, ale Mary wiedziała już, że neandertalczyki nie mają zwyczaju przyjmować pochwał za coś, co nie jest ich dziełem. Poprzedniego dnia, kiedy zauważyła, że jedna z zapinanych na ramionach koszul Pontera bardzo ładnie wygląda, spojrział na nią skonsternowany, tak jakby zastanawiał się, dlaczego miałby nosić coś, co wyglądało brzydko.

Mary wskazała duży, czarny kwadrat na ziemi obok domu. Jego bok mierzył mniej więcej dwadzieścia metrów.

– Co to takiego? Lądowisko?

– Bardzo rzadko pełni tę funkcję. To kolektor słoneczny. Zamienia światło słoneczne w energię elektryczną.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie zimą musicie stale go odśnieżać.

– Nie. – Ponter pokręcił głową. – Poduszkobus, który zabiera nas do pracy, ląduje właśnie w tym miejscu i zdmuchuje śnieg na boki wentylatorami.

Mary nie cierpiała odśnieżania. Między innymi właśnie dlatego po rozstaniu z Colmem zdecydowała się na mieszkanie w bloku. Podejrzewała, że w jej świecie komunikacja miejska z miejsca odrzuciłaby pomysł wysyłania do wszystkich domów autobusu z zamontowanym z przodu pługiem śnieżnym.

– Chodźmy – powiedział Ponter, ruszając do wejścia.

Drzwi otworzyły się do środka. Wewnętrzne ściany stanowiło wyszlifowane drewno wydrążonego, żywego pnia, w którym się znajdowali. Mary widziała w życiu wiele boazerii, ale nigdy takiej, w której słoje tworzyły jeden ciągły wzór w całym pomieszczeniu. Gdyby wcześniej nie obejrzała domu z zewnątrz, zastanawiałaby się, w jaki sposób osiągnięto tak niezwykły efekt. W różnych miejscach powycinano niewielkie wnęki, w których stały rzeźby i bibeloty.

Z początku wydawało jej się, że na podłodze leży zielona wykładzina, ale szybko się zorientowała, że to prawdziwy mech. Znajdowali się w pomieszczeniu, które pełniło funkcję pokoju dziennego. Stały tu dwa krzesła dziwnego kształtu, a ze ścian wystawały dwie kanapy. Na ścianach

nie było obrazów, ale za to cały sufit zajmowało skomplikowane malowidło i...

Nagle serce podskoczyło jej do gardła.

W domu był wilk.

Zamarła z przerażenia.

Zwierzę ruszyło prosto na Pontera.

– *Uważaj!* – krzyknęła do niego Mary.

Odwrócił się i opadł tyłem na jedną z kanap.

Wilk wskoczył na niego z szeroko otwartą paszczą i...

I zaczął lizać go po twarzy. Ponter roześmiał się głośno.

Raz po raz powtarzał kilka słów w swoim języku, ale Hak ich nie tłumaczył. W tonie Pontera brzmiały czułość i rozbawienie.

Po chwili zepchnął wilka na ziemię i wstał. Bestia odwróciła się do Mary.

– Mare, to mój pies, Pabo.

– Pies?! – wykrzyknęła. Według niej zwierzę wyglądało zupełnie jak dzikie i drapieżne wilczysko.

Pabo przysiadła obok swojego pana, podniosła wysoko pysk i zawyła głośno.

– Pabo! – powiedział Ponter z naganą w głosie, po czym dodał coś, co prawdopodobnie znaczyło „Zachowuj się!” i uśmiechnął się przepaszająco do Mary. – Po raz pierwszy widzi Gliksina – wyjaśnił.

Podprowadził Pabo do niej. Mary zeszywniała ze strachu, ale starała się opanować drżenie, gdy zębaty, ważący co najmniej pięćdziesiąt kilo zwierz zaczął ją obwąchiwać.

Ponter przez chwilę mówił coś do psa podobnym tonem, jakim ludzie z jej świata zwracali się do swoich czworonogów.

W tej samej chwili w łukowatym przejściu między pokojami pojawił się Adikor.

– Witaj, Mare – powiedział. – Podobała ci się wycieczka?

– Bardzo.

Ponter podszedł do przyjaciela i przytulił go mocno. Mary na moment odwróciła głowę, ale kiedy ponownie na nich spojrzała, wciąż stali blisko siebie, trzymając się za ręce. Znowu poczuła ukłucie zazdrości, ale...

Nie, nie. Nie mogła tak myśleć. Na pewno nie była to żadna demonstracja. Pewnie zachowywali się tak jak zawsze, nie kryjąc tego, co do siebie czuli.

A mimo to...

Czy Adikor pierwszy objął Pontera? A może na odwrót? Nie miała pojęcia. Nie widziała też chwili, kiedy wzięli się za ręce; nie wiedziała, który z nich zainicjował ten gest. Może Adikor zaznaczał swoje terytorium, manifestując zażyłość relacji, jakie łączyły go z partnerem.

Pabo, najwyraźniej rozczarowana tym, że Mary nie jest jakimś potworem, odeszła na bok i wskoczyła na jedną z kanap wyrastających – dosłownie – wprost ze ściany.

– Chcesz zobaczyć resztę domu? – spytał Ponter.

– Oczywiście – odparła Mary.

Najpierw przeszli do drugiej części tego samego pomieszczenia, pełniącej rolę kuchni. Szklana tafla przykrywała tu mech na podłodze. Wszystkie sprzęty wyglądały obco, ale domyślała się, że niewielki sześcian jest czymś w rodzaju kuchenki mikrofalowej, a dwa duże, identyczne niebieskie prostopadłościany, ustawione jeden na drugim, pełnią rolę lodówki. Gdy o to spytała, Adikor się roześmiał.

– Prawdę mówiąc, to jest kuchenka laserowa – powiedział, wskazując mniejsze urządzenie. – Wykorzystuje tę samą rotację, jaka stosowana jest w

komorze odkażającej, przez którą przeszłaś, ale tutaj służy to równomiernemu gotowaniu produktów. A to jest próżniarka. Już nie przechowujemy żywności w niskich temperaturach, choć dawniej rzeczywiście tak było.

– Aha. – Mary obróciła się i zdumiona spojrzała na ścianę. Całą jej powierzchnię zajmowały cztery płaskoekranowe monitory. Każdy pokazywał inny widok neandertalskiego świata. Od początku obawiała się Orwellovskiego aspektu w społeczności neandertalczyków, ale nie spodziewała się, że sam Ponter monitoruje sąsiadów.

– To jest Podglądacz – wyjaśnił Adikor, podchodząc do niej. – Właśnie dzięki niemu oglądamy transmisje Ekshibicjonistów. – Zbliżył się do czterech monitorów i coś przełączył. Nagle cztery oddzielne obrazy zlały się w jeden wielki, przedstawiający powiększony widok Ekshibicjonisty, który wcześniej zajmował prawy dolny róg. – Hawst jest moim ulubionym. Zawsze robi coś ciekawego. – Adikor przez chwilę przyglądał się obrazowi. – Ach, tym razem jest na meczu *daybatol*.

– Chodźmy dalej – odezwał się Ponter. Z jego tonu Mary wywnioskowała, że gdyby Adikor zaczął oglądać mecz, trudno byłoby go odciągnąć od Podglądacza.

Ruszyła za Ponterem, a Adikor dołączył do nich po chwili. Następne pomieszczenie pełniło funkcje sypialni i łazienki. Duże okno wychodziło na strumyk, a kwadratowe wgłębienie w podłodze wypełniały kwadratowe poduchy, tworząc sporą powierzchnię do spania. Na wierzchu znajdowało się kilka poduszek w kształcie dysków. W końcu pokoju Mary zauważyła okrągłe zagłębienie.

– To wanna? – spytała.

Ponter przytaknął.

– Możesz z niej skorzystać, jeśli masz ochotę się wykąpać.

Pokręciła głową.

– Może później. – Wzrokiem powędrowała z powrotem w stronę łóżka, w myślach widząc Pontera i Adikora nago, splecionych w miłosnym akcie.

– To już wszystko – powiedział Ponter. – Cały nasz dom.

– Wracajmy do pokoju – zaproponował jego partner.

Ponter ruszył pierwszy. Adikor przegonił Pabo z kanapy i położył się wygodnie na plecach. Ponter wskazał Mary drugą kanapę. Może neandertalczyki zawsze wypoczywali w pozycji leżącej; na pewno ten sposób sprzyjał podziwianiu malowideł na suficie.

Mary zajęła miejsce na drugiej kanapie, sądząc, że Ponter usiądzie obok niej. On jednak podszedł do tej, na której leżał Adikor, i czule poklepał partnera po głowie. Adikor się podniósł. Mary sądziła, że spuści nogi na podłogę i usiądzie normalnie, ale jak tylko Ponter usiadł na brzegu, Adikor z powrotem się położył, kładąc głowę na kolanach przyjaciela.

Mary poczuła ucisk w żołądku. Przyszło jej do głowy, że Ponter być może nigdy wcześniej nie przyjmował u siebie w domu kobiety, z którą łączyło go uczucie.

– No to jak ci się podoba nasz świat? – spytał ją.

Wykorzystała tę okazję, aby na moment odwrócić wzrok od Pontera i Adikora pod pretekstem przywołania w myślach obrazów wszystkiego, co dotychczas widziała.

– Jest... – Wzruszyła ramionami. – Zupełnie inny. – Zdała sobie sprawę, że mogła tym stwierdzeniem urazić gospodarzy, więc szybko dodała: – Bardzo piękny... i czysty.

Ta uwaga rozśmieszyła ją trochę. „Czysty”... Właśnie tak mówili Amerykanie odwiedzający Toronto: „Wasze miasto jest takie czyste!”.

Tylko że nawet Toronto wyglądało jak chlew w porównaniu z tym, co widziała w Saldak. Dotąd zawsze sądziła, że jest ekonomiczną

niemożliwością, aby duża populacja ludzka nie miała niszczycielskiego wpływu na środowisko, ale...

To nie duża populacja doprowadzała do takiego stanu, tylko stale rosnąca liczba ludności. Neandertalczycy mieli odrębne generacje i wyglądało na to, że od wieków przyrost naturalny wynosił zero.

– Nam się tu podoba – włączył się do rozmowy leżący Adikor. – I dlatego właśnie tak tu jest.

Ponter pogłaskał go po włosach.

– Ich świat też ma swoje uroki – zauważył.

– Słyszałem, że wasze miasta są o wiele większe.

– O tak – przyznała Mary. – Wielomilionowe. W Toronto, z którego pochodzę, mieszkają prawie trzy miliony ludzi.

Adikor z niedowierzaniem pokręcił głową, kołysząc nią na kolanach Pontera.

– Zdumiewające.

– Po kolacji zabierzemy cię do Centrum – powiedział Ponter. – Tam jest mniej przestrzeni. Budynki są oddalone od siebie zaledwie o kilkadziesiąt kroków.

– I właśnie tam się odbędzie ceremonia ślubowania?

– Nie, to będzie w połowie drogi między Centrum a Obrzeżem.

Nagle Mary coś sobie uświadomiła.

– Zapomniałam spakować odpowiedni strój.

Ponter się roześmiał.

– Nie przejmuj się. Nikt się nie zorientuje, jakie ubrania służą Gliksinom na co dzień, a jakie są od święta. Nam wszystkie wydają się dziwne. – Pochylił się i spojrzał w twarz Adiko – ra. – A skoro o tym mowa, jutro masz spotkanie w konsorcjum Fluxatan, tak? Co zamierzasz włożyć? – Tym

razem, zamiast wykluczyć Mary z rozmowy, Hak kontynuował tłumaczenie.

– Nie wiem – przyznał Adikor.

– Może tę zieloną kamizelę? – zasugerował Ponter. – Ładnie podkreśla twoje bicepsy i...

Nie mogła tego dłużej znieść. Zerwała się z miejsca i ruszyła prosto do drzwi.

– Przepraszam – wyszeptała, z trudem łapiąc oddech i próbując się uspokoić. – Naprawdę was przepraszam – powiedziała i wyszła na zewnątrz w mrok.

Rozdział

Trzydziesty Pierwszy

Ponter wyszedł za nią i zamknął drzwi. Mary trzęsa się z zimna. Jemu nie przeszkadzał wieczorny chłód, ale zauważył jej reakcję. Przysunął się do niej, jakby chciał ją otoczyć potężnymi rękami, lecz ona gwałtownie wzruszyła ramionami, odtrącając go. Odwróciła się do niego tyłem i zapatrzyła na okolicę.

– Co się stało?

Mary głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

– Nic. – Wiedziała, że zachowuje się jak nadąsana dziewczynka, i nienawidziła siebie za to. O co jej chodziło? Przecież wiedziała, że Ponter ma kochankę, ale ...

Ale wiedzieć o czymś to jedno, a zobaczyć na własne oczy to zupełnie co innego.

Sama była zdumiona własną reakcją. Czuła teraz większą zazdrość niż wtedy, kiedy zobaczyła Colma z jego nową partnerką, po tym jak on i Mary się rozstali.

– Nic – powtórzyła.

Ponter zaczął mówić coś w swoim języku głosem, w którym brzmiały niepokój i smutek. Hak przetłumaczył jego słowa bardziej neutralnym tonem.

– Przepraszam jeśli cię obraziłem... w jakiś sposób.

Mary spojrzała w ciemne niebo.

– Nie jestem obrażona, tylko... – Umilkła na chwilę. – Potrzebuję czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

– Wiem, że nasz świat jest inny od twojego. Czy mój dom nie był dla ciebie dość widny? Może za chłodny?

– Nie chodzi o to. – Mary zaczęła się powoli odwracać. – Chodzi o... Adikora.

Brew Pontera powędrowała nad jego wał nadoczodołowy.

– Nie lubisz go?

Mary pokręciła głową.

– Nie, nie. To też nie to. Wydaje się bardzo miły. – Westchnęła. – Problemem nie jest sam Adikor, tylko ty i on. Pierwszy raz zobaczyłam was razem.

– Jest moim partnerem.

– Na moim świecie ludzie mają tylko jednego partnera lub partnerkę. I nie ma dla mnie znaczenia, czy jest to osoba tej samej, czy odmiernej płci.

– Chciała powtórzyć, że naprawdę nie ma *to* znaczenia, ale wolała nie podkreślać tego za bardzo. – I skoro między nami jest... no wiesz, to co jest... a jednocześnie ty jesteś związany z kimś innym, to... – urwała i wzruszyła ramionami – ...to jest dla mnie trudne. A kiedy widzę, jak okazujecie sobie uczucie...

– Ach, tak – odezwał się Ponter i jakby to nie wystarczyło, powtórzył raz jeszcze: – Ach, tak.

Przez jakiś czas milczał.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Kocham Adikora, a on kocha mnie – przyznał w końcu.

Mary chciała go spytać, co czuje do niej, ale to nie był właściwy moment. Pewnie zniechęciła go do siebie swoimi ciasnymi poglądami.

– Poza tym – dodał Ponter – w rodzinie nie ma miejsca na wzajemną niechęć. Przecież nie byłoby ci przykro, gdybym okazywał uczucie bratu, córkom lub rodzicom.

Mary w milczeniu rozważała to, co powiedział.

– Może to banał – odezwał się znowu – ale mamy u nas takie powiedzenie, że miłość jest jak długie jelita, starczy jej dla wszystkich.

Mary roześmiała się wbrew sobie, ale był to wymuszony śmiech, który sprawił, że z oczu pociekły jej łzy.

– Odkąd tu przybyliśmy, nawet mnie nie dotknąłeś.

Ponter zrobił wielkie oczy.

– Dwoje nie jest teraz Jednym.

Mary dość długo milczała.

– Ja... – powiedziała w końcu – ...gliksińskie kobiety... i gliksińcy mężczyźni zresztą też... potrzebujemy czułości przez cały czas, nie tylko przez cztery dni w miesiącu.

Ponter odetchnął powoli.

– Normalnie... – powiedział i umilkł.

To słowo zawisło między nimi. Mary czuła, jak jej puls staje się szybszy. Normalnie na tym świecie każdy miał dwoje partnerów, mężczyznę i kobietę. Neandertalskiej kobiecie nie brakowało czułości – ale przez większą część miesiąca zaspokajała ją partnerka.

– Wiem. – Mary zamknęła oczy. – Wiem.

– Może to był błąd. – Ponter powiedział to w takim samym stopniu do niej jak do siebie, ale Hak posłusznie przetłumaczył jego słowa. – Może niepotrzebnie cię tu zabrałem.

– Nie – zaprotestowała. – Nie. Ja sama chciałam przyjechać i cieszyć się, że tu jestem. – Spojrzała w jego złote oczy.

– Kiedy znowu Dwoje stanie się Jednym? – spytała.

– Za trzy dni. Ale... – przerwał na chwilę – ...ale chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że okażę ci trochę czułości już teraz.

Otworzył potężne ramiona i po chwili Mary weszła w jego objęcia.

Oczywiście nie mogła zostać z Ponterem, ponieważ mieszkał na Obrzeżach miasta, w strefie przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn. Adikor wpadł na idealne rozwiązanie: Mary mogła zamieszkać u jego partnerki, Lurt Fradlo, która była chemiką – czy też, jak mówili neandertalczyki, pracowała z molekułami. Według tej definicji, Mary miała po prostu węższą specjalizację, bo zajmowała się głównie kwasem deoksyrybonukleinowym.

Lurt od razu się zgodziła – w końcu jaki naukowiec nie skorzystałby z okazji goszczenia u siebie kogoś o podobnej profesji z innego świata? Ponter za pośrednictwem Haka wezwał sześcian podróżny i Mary ruszyła do Centrum.

Osoba kierująca pojazdem wyglądała na kobietę. Może Hak specjalnie o to poprosił, w końcu wiedział o gwałcie tyle samo co Ponter. Zdejmowanemu Kompanowi Mary wgrano językową bazę danych i już po drodze z niej skorzystała.

– Dlaczego wasze pojazdy mają kształt sześcianów? – spytała. – Raczej nie jest aerodynamiczny.

– A jakiego kształtu powinny być? – zdziwiła się neander – talska kobieta. Miała głos niemal tak niski jak Ponter i równie dźwięczny jak Michael Bell w piosence *Ol' Man River*.

– Na moim świecie są zaokrąglone i... – na moment przypomniał jej się Monty Python – ...cienkie na jednym końcu, grube pośrodku i znowu cienkie na drugim końcu.

Kobieta miała krótkie włosy najciemniejszej barwy, jaką Mary dotąd widziała u neandertalczyków – zbliżonej do koloru mlecznej czekolady. Słyszając odpowiedź pasażerki, ze zdziwieniem pokręciła głową.

– To jak ustawiacie je jeden na drugim?

– Jeden na drugim?

– No tak. Kiedy pojazdy nie są używane, ustawiamy je jeden na drugim w kolumnach. Dzięki temu potrzebujemy mniej miejsca na ich przechowywanie.

Mary pomyślała o tym, jak wielkie obszary jej Ziemi marnuje się na parkingi.

– Ale jak w takim razie można się dostać do swojego, jeśli akurat znajduje się na samym dole takiej kolumny?

– Do swojego? – powtórzyła jak echo kobieta.

– Tak. Do tego, który jest naszą własnością.

– Wszystkie należą do miasta. Po co miałabym posiadać wehikuł tylko dla siebie?

– No, nie wiem...

– Wyprodukowanie każdego sporo kosztuje, przynajmniej u nas.

Mary przypomniały się raty, które spłacała co miesiąc.

– Na moim świecie też.

Spojrzała na okolicę. W oddali dostrzegła inny sześcian podróżny, sunący nad ziemią. Zmierzał w przeciwnym kierunku. Zastanawiała się, jak zareagowałby Henry Ford, gdyby ktoś mu powiedział, że w ciągu jednego stulecia od wypuszczenia na rynek modelu T połowa powierzchni w miastach będzie zajęta przez drogi i parkingi, że wypadki samochodowe staną się główną przyczyną śmierci mężczyzn przed dwudziestym piątym rokiem życia i że silniki aut będą zanieczyszczały powietrze w większym stopniu niż wszystkie kominy fabryczne na całym świecie.

– W takim razie po co posiadać pojazd? – spytała nean – dertalska kobieta.

Mary nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Lubimy mieć różne rzeczy na własność.

– My również, ale nie da się korzystać z pojazdu przez dziesięć dziesiątych dnia.

– I nie obawiacie się, że ktoś, kto używał go wcześniej, zostawił bałagan?

Kobieta przesunęła drążki sterownicze, omijając sześcianem kępę drzew, po czym bez słowa podniosła lewe ramię, tak jakby to wystarczało za odpowiedź.

Rzeczywiście – pomyślała Mary. Nikt tutaj nie zostawiał po sobie śmieci ani nie niszczył publicznych pojazdów, bo wszystko, co robił, było automatycznie zapisywane w archiwach alibi. Nikt też nie mógł ukraść wehikułu ani użyć go do popełnienia przestępstwa. Kompany rejestrowały wszystko, co pasażerowie wnosili do pojazdów, dlatego szanse, że zostawiony w takiej taksówce kapelusz przypadnie na zawsze, były niewielkie, bo bez trudu dało się odszukać pojazd, z którego się korzystało.

Na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. Mary z zaskoczeniem stwierdziła, że zamiast surowego krajobrazu otaczają ją teraz domy w Centrum Saldak. Prawie nie było tu sztucznego oświetlenia. Kierująca sześcianem kobieta nie patrzyła przed siebie przez przednią szybę, lecz wpatrywała się w kwadrat monitora podczerwieni wbudowanego w panel przed nią.

Pojazd osiadł na ziemi i jeden z boków odsunął się, wpuszczając do środka chłodne nocne powietrze.

– Jesteśmy na miejscu. To tamten budynek. – Motorni – cza wskazała zarys dziwnej konstrukcji kilkanaście metrów przed nimi.

Mary podziękowała jej i wysiadła. Planowała iść prosto do domu. Nie czuła się komfortowo na zewnątrz nocą, w obcym świecie, ale stanęła jak wryta, gdy przypadkiem spojrzała w górę.

Gwiazdy na niebie wyglądały cudownie. Dokładnie widziała Mleczną Drogę. Jak nazwał ją Ponter, kiedy byli w Sudbury? „Nocna Rzeka”? Tak, właśnie tak.

O, a tam była Wielka Niedźwiedzica – Głowa Mamuta. Mary nakreśliła w wyobraźni linię od głównych gwiazd Wielkiego Wozu i szybko odnalazła Gwiazdę Polarną. Stała teraz zwrócona twarzą na północ. Z torebki wyłowiła kompas, który zabrała na prośbę Jocka Kriegera, ale w ciemnościach nie była w stanie dostrzec igły. Jeszcze chwilę wpatrywała się w cudne niebo, a gdy nasyciła się tym widokiem, ruszyła do domu Lurt i poprosiła Kompana, aby uprzedził gospodynię.

Moment później drzwi się otworzyły i stanęła w nich neandertalska kobieta.

– Zdrowego dnia – powiedziała. Tak tłumacz Mary przełożył dźwięki, które z siebie wydała.

– Dobry wieczór – odparła Mary. – Jedną chwilę... – Przez otwarte drzwi wylewało się na zewnątrz dość światła. Zerknęła na igłę kompasu i ze zdumienia uniosła brwi. Kolorowy jej koniec – metalicznie niebieski w odróżnieniu drugiej, srebrnej części – wskazywał na Gwiazdę Polarną, dokładnie tak samo jak po drugiej stronie portalu. Najwyraźniej Jock się mylił. Wyglądało na to, że na tej wersji Ziemi jeszcze nie doszło do odwrócenia kierunków pola magnetycznego.

Mary spędziła w domu Lurt przyjemny wieczór. Poznała Daba – małego synka Adikora – i resztę rodziny gospodyni. Tylko przez chwilę czuła się niezręcznie, gdy musiała skorzystać z łazienki. Lurt wskazała jej właściwe pomieszczenie, ale Mary zupełnie zaskoczyło urządzenie, które tam znalazła. Wpatrywała się w nie z osłupieniem przez minutę, aż w końcu wyszła i zawołała Lurt.

– Przepraszam, ale... no, wygląda to zupełnie inaczej niż toalety z mojego świata – powiedziała. – Nie mam pojęcia, jak...

Lurt się roześmiała.

– To ja przepraszam! – odparła. – Proszę. Stopy wsuwasz w te strzemiona i w ten sposób chwytasz się tych pierścieni nad głową...

Mary zdała sobie sprawę, że aby skorzystać z urządzenia, musi zupełnie zdjąć spodnie. W ścianie zauważyła haczyk, który najwyraźniej był tam właśnie po to, by powiesić na nim tę część garderoby. Toaleta okazała się dość wygodna. Mary krzyknęła tylko, zaskoczona, gdy nie wiadomo skąd pojawiła się wilgotna gąbka i umyła ją na koniec.

Zwróciła uwagę, że w pomieszczeniu nie ma nic do czytania. W jej łazience, w Toronto, zawsze leżały najnowsze numery „The Atlantic Monthly”, „Canadian Geographic”, „Utne Reader”, „Country Music” i „Świata Krzyżówek”. Podejrzewała, że neandertalczycy ze względu na wyjątkowo czuły węch nigdy nie przesiadują w toaletach, nawet jeśli mają wyjątkowo sprawną instalację wodnokanalizacyjną.

Tej nocy spała na stosie poduszek ułożonych na podłodze. Przyzwyczajona do równej powierzchni materaca, na początku nie potrafiła znaleźć wygodnej pozycji, ale Lurt pokazała jej, jak ułożyć poduchy w taki sposób, aby dawały dobre podparcie dla szyi i kręgosłupa oraz rozdzielały kolana. Choć to była pierwsza noc w obcym miejscu, Mary szybko zapadła w sen.

Następnego ranka wybrała się razem z gospodynią do jej laboratorium. W przeciwieństwie do większości budynków w Centrum, w całości zbudowano je z kamienia. Lurt wyjaśniła, że mury mają ograniczyć zasięg ewentualnego pożaru lub eksplozji, gdyby jakiś eksperyment się nie udał.

Pracowała razem z sześcioma innymi chemiczkami. Mary weszło już w nawyk klasynkowanie spotykanych osób według generacji, ale zamiast, tak

jak Ponter, zaliczać je do kolejnych pokoleń – 146,145, 144,143 i 142 – myślała o nich jako o dobiegających odpowiednio trzydziestki, czterdziestki, pięćdziesiątki, sześćdziesiątki i siedemdziesiątki. I chociaż neandertalskie kobiety nie starzały się w taki sam sposób jak przedstawicielki *Homo sapiens* – wąż nadoczodołowy napinał skórę na ich czołach, więc w tym miejscu nie pojawiały się głębokie zmarszczki – to bez trudu potrafiła określić, do jakiego przedziału wiekowego się zaliczały. Przy generacjach przychodzących na świat w dziesięcioletnich interwałach i tworzących tak wyraźnie odrębne grupy pomyśl ukrywania własnego wieku pewnie nigdy nie przyszedł tym kobietom do głowy.

Już po krótkim czasie Mary przestała myśleć o Lurt i jej towarzyszkach jak o neandertalskich kobietach, a zaczęła je w myślach nazywać po prostu kobietami. Owszem, wyglądały dziwnie – miały atletyczne sylwetki i owłosione policzki, ale ich twarze były zdecydowanie... hm, może nie kobiece – pomyślała Mary – bo z tym określeniem wiązały się zbyt wielkie oczekiwania. Na pewno jednak żeńskie. Sprawiały wrażenie życzliwych, zżytych i gadatliwych przyjaciółek, a nie rywalek. Jednym słowem, były świetnymi kompankami.

Mary należała do pokolenia – oby jednego z ostatnich na jej świecie – w którym nadal dziedziną nauk ścisłych zajmowało się więcej mężczyzn niż kobiet. Nigdy nie była na wydziale, na którym kobiety stanowiłyby większość – choć York powoli zmierzał w tym kierunku – a co dopiero na takim, gdzie wszystkie stanowiska byłyby obsadzone przez panie. Być może w takiej sytuacji również na jej Ziemi w pracy panowałyby tak miła atmosfera. Mary dorastała w Ontario, które z przyczyn historycznych miało dwa równoległe systemy edukacji, finansowane ze środków państwowych: jeden publiczny, a drugi katolicki. Ponieważ edukacja religijna mogła się odbywać wyłącznie w religijnych instytucjach, wiele

katolickich rodzin posyłało dzieci do katolickich szkół, ale rodzice Mary – głównie za sprawą jej ojca – zdecydowali się na publiczny system oświaty. Kiedy miała czternaście lat, na moment wróciła sprawa katolickiej szkoły dla dziewcząt. W tamtym okresie Mary miała problemy z matematyką. Jej rodzicom powiedziano, że być może radziłaby sobie lepiej w środowisku bez chłopców. Ostatecznie jednak postanowili zostawić ją w publicznym systemie, ponieważ – jak twierdził jej ojciec – po skończeniu szkoły i tak musiałyby się nauczyć radzić sobie z mężczyznami, więc lepiej, aby od początku się do tego przyzwyczajała. Dlatego lata średniego szczebla edukacji spędziła w East York Collegiate Institute zamiast w pobliskiej placówce pod patronatem św. Teresy. W końcu poradziła sobie z matematyką pomimo koedukacyjnego systemu nauczania, ale czasami zastanawiała się nad korzyściami, jakie dawały szkoły tylko dla dziewcząt. Najlepsze studentki na kursach, które prowadziła w York, kształciły się wcześniej w takich właśnie instytucjach.

Może zachowanie takiego podziału rzeczywiście miało sens nawet w wieku dorosłym oraz w życiu zawodowym. Dzięki temu kobiety pracowały w środowisku wolnym od mężczyzn i ich ego.

Choć neandertalczycy inaczej mierzyli czas, dzieląc dzień na dziesięć równych części – od momentu, na który przypadał świt w dzień równonocy wiosennej – to Mary nadal polegała na swoim swatchu, a nie na tajemniczych symbolach wyświetlanych przez Kompana. Wprawdzie przeszła przez portal do innego świata, ale nadal znajdowała się w tej samej strefie czasowej.

Była przyzwyczajona do rytmu pracy z krótkimi przerwami na kawę rano i po południu oraz z godziną na lunch, ale metabolizm neandertalczyków nie pozwalał im pracować tak długo bez jedzenia. W dniu roboczym mieli dwie długie przerwy, pierwszą około jedenastej rano,

a drugą około trzeciej po południu. W trakcie obu spożywano ogromne ilości jedzenia, w tym także surowego mięsa. Ta sama metoda, która pozwalała laserowo usuwać infekcje u ludzi, sprawiała, że można było bezpiecznie jeść mięso na surowo, a neandertalskie szczęki doskonale się do tego nadawały. Niestety, żołądek Mary nie – dlatego towarzyszyła Lurt i jej koleżankom podczas posiłków, ale starała się nie patrzeć na to, co jadły.

Mogła wprawdzie się oddalić, ale zależało jej na rozmowach z Lurt. Była zafascynowana neandertalską wiedzą na temat genetyki – a partnerka Adikora chętnie jej o wszystkim opowiadała.

W trakcie krótkiego czasu, jaki spędziła z Lurt, nauczyła się tak wiele, że zaczynała myśleć, iż wszystko było możliwe – zwłaszcza bez mężczyzn.

Rozdział

Trzydziesty Drugi

Mary była w życiu na kilkunastu ślubach – wielu katolickich, jednym żydowskim, jednym według tradycji chińskiej i kilku cywilnych. Wydawało jej się, że mniej więcej wie, jak będzie wyglądała ceremonia Jasmel.

Myliła się.

Oczywiście rozumiała, że nie ma to być uroczystość religijna – neandertalczyki nie wyznawali żadnej wiary. Mimo to sądziła, że ceremonia odbędzie się w jakiejś instytucji. Tymczasem zorganizowano ją na świeżym powietrzu.

Ponter już tam był, gdy sześcianem podróżnym dotarła na miejsce. Długo się przytulali, korzystając z tego, że inni jeszcze się nie zjawili i nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Aha – powiedział Ponter, gdy odsunęli się od siebie – oto i są. – Słońce świeciło jasno. Mary uświadomiła sobie, że zapomniała zabrać okulary przeciwsłoneczne ze swojego świata. Musiała zmrużyć oczy, żeby wyraźniej zobaczyć nadchodzących. Zbliżyły się do nich trzy osoby: kobieta, która według Mary dobiegała czterdziestki, nastolatka i ośmioletnia dziewczynka. Ponter zerknął na Mary, potem przeniósł wzrok na nie i po chwili znowu spojrzął na nią. Próbowła odgadnąć znaczenie jego miny. Gdyby zaliczał się do jej gatunku, pewnie uznałaby, że poczuł ogromne skrępowanie, tak jakby nagle uświadomił sobie, że znalazł się w niezręcznej sytuacji.

Trzy kobiety nadchodziły ku nim ze wschodu, od strony Centrum. Najstarsza i najmłodsza nie miały nic ze sobą, natomiast nastolatka niosła spory pakunek na plecach. Kiedy się zbliżyły, dziewczynka zawołała: „Tato!” i podbiegła do Pontera, który podniósł ją z ziemi i przytulił.

Pozostałe dwie szły wolniej, starsza trzymała się nieco z tyłu za młodszą, która maszerowała noga za nogą, uginając się pod ciężarem tobołka.

Ponter postawił już ośmiolatkę z powrotem na ziemi i trzymając ją za rękę, odwrócił się do Mary.

– Mare, to moja córka, Mega Bek. Mega, poznaj moją przyjaciółkę, Mare.

Mega najwyraźniej do tej chwili widziała tylko ojca, bo dopiero teraz przyjrzała się uważniej Mary.

– Rany – powiedziała w końcu. – Jesteś gliksińską kobietą?

Mary się uśmiechnęła.

– Tak, zgadza się – powiedziała i zaczekała, aż jej Kompan przetłumaczy to na neandertalski.

– Mogłabyś przyjść do mojej szkoły? – spytała Mega. – Chciałabym cię pokazać innym dzieciom!

Mary spojrzała na małą zaskoczona; nigdy nie myślała o sobie jak o interesującym eksponacie.

– Hm, jeśli będę miała czas – odparła.

Pozostałe dwie kobiety zbliżyły się do nich.

– To moja starsza córka, Jasmel Ket. – Ponter wskazał osiemnastolatkę.

– Miło mi – powiedziała Mary. Przyjrzała się dziewczynie. Nie miała pojęcia, czy według tutejszych standardów Jasmel jest atrakcyjna. Córka Pontera miała za to niesamowite złote oczy, tak jak jej ojciec. – Nazywam

się... – postanowiła nie zawstydząć tamtej, podając imię, którego neandertalczyki nie potrafili wymówić – ...Mare Vaughan.

– Witaj, Uczona Vaughan – Mary domyśliła się, że Jasmel już wcześniej o niej słyszała, bo skąd wiedziałyby, jak oddzielić jej imię i nazwisko. I rzeczywiście, dziewczyna potwierdziła to w następnych słowach. – To ty dałaś mojemu ojcu tę ozdobę z metalu.

Mary przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi, ale potem uświadomiła sobie, że Jasmel ma na myśli krzyżyk.

– Tak – odparła.

– Już raz cię widziałam. Na monitorze, kiedy ratowaliśmy tatę, ale... – córka Pontera ze zdumieniem pokręciła głową – ...wciąż nie mogę uwierzyć, że to się działo naprawdę.

– No cóż. Teraz widzisz mnie na żywo. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałam na twoją uroczystość.

Jasmel odziedziczyła wrażliwość i takt po ojcu.

– Nie, oczywiście, że nie. Bardzo się cieszę, że tu jesteś – zapewniła.

Ponter wtrącił się do rozmowy. Mary przyszło do głowy, że być może wyczuł ukrywane niezadowolenie córki i wolał zmienić temat, zanim prawda wyjdzie na jaw.

– A to jest... była... opiekunka mojej córki. – Spojrzał na trzydziestoosmiolatkę. – Hm, nie spodziewałem się ciebie tutaj – przyznał.

Brew neandertalskiej kobiety uniosła się nad jej wał nadoczodołowy.

– Właśnie widzę – odparła, zerkając na Mary.

– No tak, hm, to jest Mare Vaughan, kobieta z drugiego świata, o której wcześniej ci opowiadałem. Mare, poznaj Da – klar Bolbay.

– O Boże – odezwała się Mary, a jej Kompan wyemitował pisk, sygnalizując, że nie potrafi przetłumaczyć tego zwrotu.

– Tak? – Daklar spojrzała na nią wyczekująco.

– Ja, hm... cieszę się z naszego spotkania. Wiele o tobie słyszałam.

– A ja o tobie – przyznała spokojnie tamta.

Mary zdobyła się na wymuszony uśmiech i odwróciła wzrok.

– Daklar była partnerką mojej partnerki Klast i dlatego pełniła rolę opiekunki (asmel – wyjaśnił Ponter – do czasu,

gdy moja córka osiągnęła pełnoletność, to znaczy 225 miesięcy, co miało miejsce na wiosnę – dodał, spoglądając znacząco na Daklar.

Mary starała się wychwycić podtekst. Odniosła wrażenie, że Ponter próbuje dać do zrozumienia, iż skoro Daklar nie pełni już żadnej oficjalnej roli w życiu dziewczyny, nie powinna tu przychodzić. Mary rozumiała jego zakłopotanie. W końcu ta kobieta próbowała doprowadzić do kastracji Adikora.

Na szczęście niezręczną sytuację przerwało przybycie dwojga ludzi w wieku około pięćdziesięciu lat.

– To rodzice Tryona – przedstawił ich Ponter. – Bal Dur – ban – wskazał mężczyznę – i Yabla Pol. Balu, Yablo, poznajcie moją przyjaciółkę, Mare Vaughan.

Głos Bala brzmiał tubalnie.

– Nie musisz nam jej przedstawiać. Oglądałem cię na Podglądaczu.

Mary poczuła nieprzyjemny dreszcz. Od czasu do czasu widywała srebrne stroje, ale nie miała pojęcia, że jest obiektem uwagi Ekshibicjonistów.

– Tylko popatrz! – włączyła się Yabla. – Sama skóra i kości! Nie macie tam dość jedzenia na tym waszym świecie?

Nigdy w życiu nikt nie użył w stosunku do niej określenia „skóra i kości”. Bardzo jej się to spodobało.

– Mamy – odparła, rumieniąc się lekko.

– Dziś wieczorem czeka nas ucza – zakomunikowała Yabla. – Wprawdzie jednym posiłkiem nie da się nadrobić dekamiesię – cy zaniedbań, ale przynajmniej zadbamy o dobry początek!

Mary uśmiechnęła się uprzejmie. Bał spojrział na swoją partnerkę.

– Gdzie się podziewa ten twój syn?

– Kto to może wiedzieć? – odparła Yabla z żartobliwą nutą w głosie. – Jak widać punktualność odziedziczył po tobie.

– luź idzie – wykrzyknęła Jasmel, która nadal trzymała swój ciężki pakunek.

Mary obróciła się w stronę, którą wskazała dziewczyna. W oddali dostrzegła mężczyznę niosącego coś wielkiego na barkach. Dzieliło go od pozostałych jeszcze kilka minut marszu. Przysunęła się do Pontera.

– Przypomnij mi, jak nazywa się wybranek twojej córki?

Ponter zmarszczył czoło, wsłuchując się w tłumaczenie Haka i próbując zrozumieć sens pytania.

– Aha – powiedział wreszcie. – Tryon Rugał.

– Zupełnie nie rozumiem zasady, jaka rządzi waszymi imionami – przyznała. – Na przykład „Vaughan” to moje nazwisko. Noszą je moi rodzice, bracia i siostry. – Przesłoniła oczy dłonią i przyjrzała się nadchodzącemu chłopcu.

Ponter także patrzył w tę samą stronę, ale wał nadoczodołowy był wystarczającą osłoną przed słońcem.

– Drugie imię, to, którego używają ludzie spoza kręgu bliskich osób, wybiera ojciec; natomiast pierwsze, to, jakim zwracają się do nas ci, których dobrze znamy, wybiera matka. Teraz rozumiesz? Ojcowie mieszkają na obrzeżach; matki w centrum. Mój ojciec nadał mi imię „Bod – dit”, ponieważ znaczy to „bajecznie przystojny”, a matka nazwała mnie „Ponterem”, bo to oznacza „niezwykle inteligentny”.

– Żartujesz.

Ponter uśmiechnął się szeroko, tak jak tylko on potrafił.

– Rzeczywiście, przepraszam cię. Chciałem, żeby to zabrzmiało równie imponująco jak twoja „matka Boga”. A tak na poważnie, „Ponter” znaczy „pełnia księżycy”, a „Boddit” to nazwa miasta w Evsoy, które słynie z tego, że mieszkają w nim znakomici malarze.

– Aha. Skoro tak, to... o mój Boże!

– No, na pewno nie mój. – Pontera wciąż trzymały się żarty.

– Nie o to mi chodzi. Popatrz tam! – Wskazała Tryona.

– Co takiego?

– On niesie nieżywego jelenia!

– Wreszcie zauważyłaś? – Ponter się uśmiechnął. – To dar łowcy dla Jasmel. Ona z kolei przyniosła w darze dla niego to, co sama zebrała.

Rzeczywiście, dziewczyna w końcu zdjęła pakunek z pleców. Mary pomyślała, że może tradycja nakazuje, aby mężczyzna zobaczył, że kobieta sama przyniosła swoje dary. Kiedy Tryon się zbliżył, Ponter pomógł mu zdjąć z ramion jelenia.

Mary czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Zwierz był cały zakrwawiony. W jego tułowiu widniało kilkanaście ran kłutych. Kiedy Tryon się pochylił, zauważyła, że ma ubrudzony krwią kark.

– Czy ktoś poprowadzi całą ceremonię? – spytała.

Ponter spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie.

– U nas zwykle robi to sędzia lub duchowny.

– Ślubowania Jasmel i Tryona zostają automatycznie zarejestrowane w ich archiwach alibi – wyjaśnił Ponter.

Mary kiwnęła głową. No tak, oczywiście.

Tryon, wreszcie wolny od ciężaru jelenia, podbiegł do ukochanej. Jasmel przyjęła go z otwartymi ramionami. Przytulili się mocno i gorliwie polizali się po twarzach. Mary odwróciła wzrok.

– Zaczynajcie – powiedział ojciec Tryona, Bal. – Sporo decym upłynie, zanim ten jelen się upiecze. Powinniśmy zabrać się za to jak najszybciej.

Dwoje młodych stanęło przodem do siebie. Mary ze wstrętem zauważyła, że Jasmel ubrudziła sobie ręce krwią, obejmując kark Tryona. Dziewczyna tylko się zaśmiała, kiedy spojrzała na swoje dłonie.

Ceremonia rozpoczęła się bez zbędnych ceregieli.

– No to zaczynamy – odezwała się Jasmel i spojrzała na Tryona. – Obiecuję nosić cię w sercu dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu i trzymać w ramionach zawsze, gdy Dwoje staje się Jednym.

Mary zerknęła na Pontera. Mięśnie jego szerokiej szczęki napięły się wyraźnie; był bardzo przejęty.

– Obiecuję – kontynuowała Jasmel – że twoje zdrowie i szczęście będą dla mnie tak samo ważne jak moje własne.

Daklar także czuła wzruszenie. Mary doskonale to rozumiała, w końcu ta kobieta mieszkała pod jednym dachem z córką Pontera przez całe życie Jasmel.

– Jeśli kiedyś będziesz miał mnie dość – ciągnęła dziewczyna – obiecuję uwolnić cię od obietnicy bez zbędnej żółci, mając na uwadze dobro naszych dzieci jako rzecz dla mnie najważniejszą.

Te słowa zrobiły wielkie wrażenie na Mary. O ile prostsze byłoby jej życie, gdyby ona i Colm złożyli podobne ślubowanie. Znowu spojrzała na Pontera i...

Chryste!

Daklar stała teraz tuż obok niego i – Mary nie wierzyła własnym oczom – oboje trzymali się za ręce!

Przyszła kolej Tryona.

– Obiecuję nosić cię w sercu przez dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu i trzymać w ramionach zawsze, gdy Dwoje staje się Jednym.

Dwoje stający się Jednym – pomyślała Mary. – Przecież to już musiało raz mieć miej sce w okresie między powrotem Pon – tera do domu a jego ponownym pojawieniem się na jej Ziemi. Wcześniej przypuszczała, że spędził ten czas samotnie, ale...

– Obiecuję – ciągnął Tryon – że twoje szczęście i dobro będą dla mnie tak samo ważne jak moje własne. Jeśli kiedyś będziesz miała mnie dość, obiecuję uwolnić cię od obietnicy bez bólu, mając na względzie dobro naszych dzieci jako rzecz dla mnie najważniejszą.

W innej sytuacji, Mary z zachwytem odnotowałyby tak absolutną równość w małżeńskiej przysiędze – pamiętała, jak Colm powiedział kiedyś, że szkoda, iż podczas katolickiej ceremonii zawarcia związku małżeńskiego nie wspomina się o „posłuszeństwie”.

Teraz jednak ta myśl zeszła na dalszy plan wobec szoku, jaki wywołała w niej świadomość, że Pontera i Daklar coś łączyło – i to po tym, co ta kobieta próbowała zrobić Adikorowi!

Mega wyrwała ją z zadumy, głośno klaszcząc.

– Są połączeni! – pisnęła dziewczynka. Przez pół sekundy Mary wydawało się, że mała ma na myśli Pontera i Daklar, ale nie, nie, ta myśl wydawała się niedorzeczna.

Bal plasnął dłońmi o brzuch.

– Skoro skończyliśmy tę część, zabierzmy się za przygotowanie uczyty!

Rozdział

Trzydziesty Trzeci

- *Ty chyba zupełnie oszalałeś.* – Selgan z niedowierzaniem pokręcił głowę.
- *Daklar miało tam nie być!* – zauważył Ponter. – *W ceremonii ślubowania uczestniczą tylko młodzi, którzy chcą siępo – łączyć, oraz ich rodzice. Nie ma tam roli dla partnerki matki czy partnera ojca.*
- *Ale Daklar była tabant twoich córek.*
- *Nie starszej. Jasmel osiągnęła już pełnoletniość i nie potrzebowała prawnej opiekunki.*
- *Ale ty przyprowadziłeś Mary* – zauważył Selgan.
- *Owszem i nie zamierzam za to przeproszać. Miałem prawo zabrać kogoś w miejsce Klast.* – Ponter zmarszczył czoło.
- *Daklar nie powinna tam przychodzić.*
- Selgan podrapał się w skórę czaszki w miejscu, gdzie biegł szeroki przedziałek.*
- *Ach wy, naukowcy* – powiedział, znowu kręcąc głowę – *spodziewacie się po ludziach przewidywalnych zachowań i przestrzegania niezmiennych praw. Ale tak nie jest.*
- *Teraz sam to już wiem* – sarknął Ponter.
- Mary z przerażeniem stwierdziła, że wszyscy mieli brać udział w zdejmowaniu skóry z jelenia. Bal i Yabla, jako rodzice... „pana młodego” – odruchowo używała tego określenia – przynieśli ostre metalowe noże i Bal rozciął zwierza od gardła po ogon. Mary nie była przygotowana na widok takiej ilości krwi, dlatego przeprosiła pozostałych i odeszła nieco dalej.

Na neandertalskim świecie robiło się coraz chłodniej. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Odwróciła się tyłem do grupy. Po kilku chwilach usłyszała za sobą szelest kroków wśród pierwszych opadłych liści. Sądziła, że to Ponter chce ją podnieść na duchu... i może wyjaśnić sytuację. Dlatego aż drgnęła na dźwięk głębokiego głosu Daklar.

– Mam wrażenie, że obieranie jelenia jest dla ciebie nieprzyjemne.

– Nigdy nie robiłam nic takiego – odparła, obracając się. Zauważyła, że Yabla i mała Mega oddaliły się, aby poszukać drewna na ognisko.

– Nic nie szkodzi. I tak mamy więcej rąk do pracy niż trzeba.

Początkowo Mary sądziła, że Daklar mówi o sobie. W końcu jej przyjście najwyraźniej zaskoczyło Pontera. Po chwili jednak uznała, że mógł to być przytyk pod jej adresem.

– Ponter mnie zaprosił – oznajmiła, niechętnie zauważając defensywną nutę w swoim głosie.

– Rozumiem – odparła Daklar.

Mary wiedziała, że może tego żałować, ale nie potrafiła przestać drażnić tematu.

– Za to ja nie rozumiem, jak możesz się tu pojawiać cała słodka i miła, po tym co zrobiłaś Adikorowi.

Na moment zapadło milczenie. Mary nie umiała nic wyczytać z wyrazu twarzy swojej rozmówczynie.

– No tak – odezwała się w końcu Daklar – widzę, że nasz Ponter opowiadał różne rzeczy.

Mary nie spodobało się określenie „nasz Ponter”, ale nic nie powiedziała.

– Co dokładnie mówił? – spytała po chwili Daklar.

– Że kiedy był na moim świecie, oskarżyłaś Adikora o zamordowanie go! Adikora! Mężczyznę, którego Ponter kocha!

Daklar uniosła brew.

– A powiedział ci, jaki był główny dowód przeciwko Ad – ikorowi?

Mary wiedziała, że Daklar trudni się zbieractwem, a nie łowiectwem, ale mimo to czuła się jak ofiara zwabiona w pułapkę. Lekko pokręciła głową, ograniczając ten ruch do kąta zaledwie kilku stopni.

– Nie było żadnego dowodu – powiedziała – bo nie było przestępstwa.

– Rzeczywiście, tym razem nie. Ale wcześniej... – Daklar przerwała, po czym dodała trochę protekcyjnym tonem: – Na pewno Ponter nie powiedział ci o tym, że ma uszkodzoną szczękę.

Mary chciała dać rozmówcy wyraźnie do zrozumienia, że łączy ją z tym mężczyzną intymna więź.

– Powiedział mi wszystko. Widziałam nawet zdjęcia rentgenowskie.

– W takim razie powinnaś mnie zrozumieć. Adikor już raz próbował go zabić, więc...

Nagle Daklar urwała. Dostrzegła minę Mary i zrobiła wielkie oczy.

– Nie wiedziałaś, że to był Adikor, tak? Ponter nie zaufał ci aż w takim stopniu, mam rację?

Serce Mary waliło jak oszałałe. Wolą w tej chwili powstrzymać się od odpowiedzi.

– Skoro tak – ciągnęła Daklar – to mam dla ciebie wiadomość. To Adikor Huld uderzył go w twarz. W procesie jako dowód przedstawiłam obrazy z archiwum alibi Pontera, pokazujące tamten atak.

Mary i Colm mieli swoje problemy – wiadomo – jednak on nigdy jej nie uderzył. Wiedziała, że takie rzeczy się zdarzały, ale nie potrafiłaby chyba zostać z partnerem, który stosowałby wobec niej przemoc. Tylko że...

Tylko że tamto zdarzyło się raz i...

Nie. Gdyby chodziło o kobietę, nie wybaczyłaby Adikorowi nawet tego jednego uderzenia, tak samo jak...

Nienawidziła tamtych wspomnień, nienawidziła o tym myśleć.

...tak samo jak nigdy nie wybaczyła ojcu tego, że uderzył matkę, wiele, wiele lat temu.

No, ale Ponter był mężczyzną, pod względem siły dorównywał Adikorowi...

Jednak nic – nic! – nie usprawiedliwiało takiego zachowania. Jak można krzywdzić kogoś, kogo się kocha?

Po upływie kilku chwil stało się to jasne, że Mary nie ma dla swojej rozmówczynie żadnej odpowiedzi.

– Jak widzisz, moje zarzuty nie były bezpodstawne – powiedziała Daklar. – Owszem, teraz tego żałuję, ale...

Do tej chwili swobodnie wyrażała myśli. Dlaczego teraz umilkła? Mary zaczęła się zastanawiać, co Daklar chce zataić, i nagle dotarło to do niej.

– Działaaś zaślepiona myślą o stracie Pontera!

Daklar nie przytaknęła ani nie zaprzeczyła, ale Mary wiedziała, że trafiła w sedno.

– Więc to tak. – Nie miała pojęcia, czy Ponter powiedział Daklar o więzi, jaka połączyła go z Mary, gdy po raz pierwszy trafił na jej świat i...

...i na pewno nie miał okazji uświadomić swojej neandertalskiej koleżance, że od tamtej pory ta więź się pogłębiła, ale...

Ale Daklar była w końcu kobietą. Wprawdzie ważyła koło stu kilogramów i pewnie potrafiłaby wycisnąć dwukrotnie większy ciężar, a do tego miała delikatne futro na policzkach.

Lecz mimo wszystko była kobietą, samicą z rodzaju *Homo*, która bez wątplenia umiała w tych sprawach wiele wyczytać między wierszami – tak samo jak Mary. Jeśli wcześniej Daklar nie miała pojęcia, że Ponter

interesuje się kobietą z drugiej Ziemi, teraz wiedziała już to na pewno. Świadczyły o tym nie tylko oczywiste fakty – takie jak ten, że zabrał Mary w miejsce swojej zmarłej partnerki na uroczystość ślubowania Jasmel – ale także sposób, w jaki na nią patrzył i jak starał się być blisko niej. Jego zachowanie i język ciała na pewno przemawiały do Daklar równie dobitnie jak do Mary.

– Właśnie tak – odparła Daklar.

Mary obejrzała się na weselną grupę. Ponter oprawiał jelenia razem z Jasmel, Tryonem i Balem, ale co chwila zerkał w jej kierunku. Pewnie gdyby był Gliksinem, z takiej odległości nie zdołałaby odczytać jego miny, ale rysy jego szerokiej twarzy wyraźnie odzwierciedlały jego emocje. Denerwował się, że rozmawiała z Daklar. *I powinien* – pomyślała.

Ponownie spojrzała na Daklar, która stała obok niej z rękami skrzyżowanymi na szerokiej, ale raczej płaskiej piersi. Podczas pobytu na neandertalskim świecie Mary zauważyła, że tutejsze kobiety raczej nie zaliczają się do takich, które... hm, „miały czym oddychać”, tak jak Louise Benoit. Przypuszczała, że drugorzędne cechy płciowe nie mają aż takiego znaczenia w sytuacji, gdy obie płcie w zasadzie żyją oddzielnie.

– On i ja należymy do tego samego gatunku – powiedziała Daklar.

Rzeczywiście, Mary o tym wiedziała, ale...

Ale!

Nie patrząc Daklar w oczy, ona, Mary Vaughan, kobieta, Kanadyjka, *Homo sapiens*, bez słowa odwróciła się i dołączyła do grupy zdejmującej rudobrązową skórę z nieżywego jelenia, zabitego przez neandertalczyka zwykłym oszczepem.

Musiała przyznać, że posiłek jest znakomity. Soczyste mięso miało wyborny smak, a warzywa przyrządzono doskonale. Przypomniała jej się

maoryska uczta *hangi*, w której uczestniczyła przed dwoma laty, podczas konferencji na Nowej Zelandii.

Jednak biesiadowanie szybko zakończono i – ku zdumieniu Mary – Tryon wrócił do domu ze swoim ojcem.

– Dlaczego Tryon i Jasmel się rozstają? – spytała, przysuwając się do Pontera.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Dwoje stanie się Jednym dopiero za dwa dni.

Pamiętała, jakie obawy miała przed wielu laty, gdy szła do ołtarza z Colmem. Gdyby dano jej kilka dni na ponowne przemyślenie decyzji, być może zmieniłaby zdanie. Wtedy taki niedopełniony związek zostałby naprawdę anulowany przez Kościół i nie musiałaby się specjalnie ubiegać o rozwiązanie, co zresztą uważała za oszustwo.

No, ale...

Dwa dni!

– W takim razie... – powiedziała powoli, zbierając się na odwagę – ...rozumiem, że nie planujesz wrócić do mojego świata, zanim to nastąpi?

– To bardzo ważny czas dla... – Ponter przerwał i Mary zaczęła się zastanawiać, czy chciał powiedzieć „dla mojej rodziny”, czy „dla nas”, mając na myśli ludzi swojego gatunku. Między jednym a drugim istniała ogromna różnica, tak jak między dwoma światami...

Odetchnęła głęboko.

– Chcesz, żebym wróciła do domu wcześniej?

Ponter również głęboko wciągnął powietrze i...

– Tatusiu, tatusiu! – Mała Megameg podbiegła do ojca.

Przykucnął, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Tak, kochanie?

– Jasmel zabiera mnie już do domu.

Ponter przytulił córkę.

– Będę za tobą tęsknił.

– Kocham cię, tato.

– Ja też cię kocham, Megameg.

Oparła małe ręce na małych biodrach.

– O, przepraszam – powiedział Ponter, podnosząc rękę. – Ja też cię kocham, Mega.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Kiedy Dwoje stanie się Jednym, czy możemy znowu wybrać się na piknik z Daklar?

Mary poczuła ukłucie w sercu.

Ponter spojrzał na nią, a potem szybko pochylił głowę, tak że wał nadoczodołowy przesłonił jego oczy.

– Zobaczymy – odparł.

Jasmel i Daklar podeszły do nich. Ponter wyprostował się i spojrzał na starszą córkę.

– Jestem pewien, że ty i Tryon będziecie bardzo szczęśliwi.

Mary czegoś brakowało w tym zwrocie. Na jej świecie powiedziano by „będziecie szczęśliwi razem”, ale Jasmel i Tryon, choć połączeni ceremonią ślubowania, mieli spędzić większość życia oddzielnie. Co więcej, w przyszłości Jasmel czekała pewnie jeszcze jedna taka uroczystość, po wyborze partnerki.

Pokręciła głową. Może jednak powinna wrócić do domu.

– Zabierz się z nami – zaproponowała jej Daklar. – Możemy wrócić do Centrum jednym sześcianem. Domyślam się, że zostajesz jeszcze z Lurt, czy tak?

Mary przez chwilę patrzyła na Pontera. No cóż, nawet państwo młodzi nie mieli spędzić tej nocy razem.

– Tak – odpowiedziała.

– W takim razie zbierajmy się. – Daklar podeszła do Pontera. Po chwili wahania uścisnęła ją na pożegnanie. Mary odwróciła głowę.

Podczas podróży powrotnej prawie się do siebie nie odzywały. Po chwili krępującego milczenia Daklar wdała się w rozmowę z kierowcą. Mary przyglądała się okolicy. W jej Ontario praktycznie nie zachował się starodrzew, za to tutaj było mnóstwo wiekowych lasów.

W końcu dotarły na miejsce i mogła wysiąść. Lurt i jej partnerka chciały koniecznie usłyszeć, jak wyglądała ceremonia ślubowania. Mały Dab wydawał się okropnie grzeczny – siedział sobie spokojnie w kącie. Lurt wyjaśniła, że jest pochłonięty opowieścią, którą czytał mu jego Kompan.

Mary czuła, że musi się kogoś poradzić, ale – do diaska! – relacje rodzinne na tym świecie wydawały się okropnie skomplikowane. Lurt Fradlo była partnerką Adikora, a on z kolei był partnerem Pontera. Jeśli jednak wszystko dobrze rozumiała, między Lurt i Ponterem nie istniała żadna szczególna więź, tak jak...

Tak jak nic nie powinno łączyć Pontera z Daklar, choć oboje byli związani z Klast Hrabim.

A jednak najwyraźniej coś między nimi było. Ponter nie wspomniał o tym ani słowem podczas pierwszej wizyty na Ziemi Mary, choć często mówił, co utracił, gdy nagle został przeniesiony do obcego świata bez – jak sądził – możliwości powrotu. Opowiadał jej o Klast, która zmarła wcześniej, oraz o Jasmel, Megameg i Adikorze. Ale nigdy o Daklar – a przynajmniej nie wymieniał jej wśród osób, za którymi tęsknił.

Czyżby więź między nimi była aż tak świeża?

Skoro tak, to dlaczego po raz drugi zdecydował się opuścić swój świat na dłużej?

Nie. Chwileczkę. Przecież wcale nie wyjechał na tak długo – na niecałe trzy tygodnie, jakie dzieliły kolejne okresy, kiedy Dwoje stawało się Jednym. Przez ten czas i tak nie mógł się widywać z Daklar, nawet gdyby został w domu.

Mary pokręciła głową. Potrzebowała nie tylko rady – potrzebowała odpowiedzi.

Do chwili, gdy Dwoje znowu miało się stać Jednym, pozostało bardzo niewiele czasu. Lurt była jedyną osobą, która mogła jej pomóc. Mary musiała porozmawiać z nią sam na sam – a mogła to zrobić dopiero następnego dnia w laboratorium.

Ponter leżał na jednej z kanap wyrastających z drewnianych ścian domu i gapił się na obrazy na suficie. Obok niego, wyciągnięta na pokrytej mchem podłodze, spała Pabo.

Zerwała się, gdy drzwi frontowe się otworzyły i do środka wszedł Adikor. Pobiegła go powitać.

– Kochana psina. – Podrapał ją po głowie.

– Hej – odezwał się Ponter, nie ruszając się z miejsca.

– Hej. Jak tam ceremonia ślubowania?

– Pozwól, że zadam ci pytanie: co najgorszego mogło się wydarzyć?

Adikor zmarszczył czoło.

– Tryon przebił oszczepem stopę?

– Nie, nie. Tryonowi nic nie jest; sama uroczystość przebiegła normalnie.

– W takim razie co się stało?

– Zjawiała się Daklar Bolbay.

– O chrząstka! – powiedział Adikor, siadając okrakiem na siodłowym krześle. – Musiałeś się czuć niezręcznie.

– Podobno tylko mężczyźni mają instynkt terytorialny, ale...

- Co się stało?
- Nie mam pojęcia. Nie, żeby Mare i Daklar się pokłóciły. Nic z tych rzeczy, tylko...
- Tylko że każda z nich teraz wie o drugiej.
- Wcale nie próbowałem niczego ukrywać – zauważył Ponter defensywnie. – Przecież wiesz, że zainteresowanie ze strony Daklar zupełnie mnie zaskoczyło. No i wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy znowu zobaczę Mare, ale teraz...
- Pojutrze Dwoje stanie się Jednym. Na pewno nie musisz szukać czasu dla Jasmel, to ci gwarantuję. Pamiętam, jak ja i Lurt spędziliśmy nasze pierwsze wspólne dni; prawie nie wychodziliśmy na powietrze.
- Wiem, jak to jest – przyznał Ponter. – Na pewno zobaczę się z Mega, ale...
- Musisz zdecydować, z kim spędzisz resztę czasu... i w czyim domu będziesz spał.
- To idiotyczne. Nie mam żadnych zobowiązań wobec Daklar.
- Nie masz ich także wobec Mare.
- Wiem. Ale nie mogę jej zostawić samej wtedy, gdy Dwoje stanie się Jednym. – Ponter umilkł na moment. Bał się, że obrazi przyjaciela tym, co chciał powiedzieć. – Wierz mi, wiem, jak samotnym można się wtedy czuć.
- Może więc powinna wrócić na swój świat – zasugerował Adikor.
- Takie rozwiązanie chyba by się jej nie spodobało.
- Z kim chcesz być?
- Z Mare. Tylko że...
- Tylko że co?
- Ona ma swój świat, a ja swój. Wiele nas dzieli.
- Wybacz, że ośmielam się o to pytać, ale jakie jest moje miejsce w tym wszystkim?

Ponter usiadł na kanapie.

– Jak to jakie? Jesteś moim partnerem. Nigdy nie pozwolę, aby to się zmieniło.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Przecież cię kocham.

– Ja też cię kocham, ale opowiadałeś mi, jak to jest u Glik – sinów. Mare nie szuka partnera, którego będzie widywała przez kilka dni w miesiącu, i wątpię, aby w ogóle chciała znaleźć sobie partnerkę.

– No tak, przyznaję, że jej ludzie mają inne zwyczaje, ale...

– To jak porównywanie mamutów i mastodontów – stwierdził Adikor. – Wprawdzie wyglądają podobnie, ale jeśli spróbujesz sparować samca mamuta z samicą mastodonta, lepiej uważaj!

– Wiem, wiem – przyznał Ponter.

– Zupełnie nie widzę sposobu, by to pogodzić.

– Wiem, ale...

– Czy mógłbym się wtrącić? – rozległ się głos Haka.

Ponter spojrzał na swoje lewe przedramię.

– Oczywiście.

– Wiesz, że zazwyczaj nie mieszam się w te sprawy, ale jest pewien czynnik, którego nie bierzesz pod uwagę – powiedział Kompan.

– Tak?

Hak przełączył się na implanty ślimakowe Pontera.

– Być może wolisz, abym powiedział o tym tylko tobie.

– Bzdura. Nie mam tajemnic przed Adikorem.

– No dobrze. – Hak znowu odezwał się przez zewnętrzny głośnik. – Uczona Yaughan próbuje dojść do siebie po traumatycznym wydarzeniu. Możliwe, że jej obecne emocje i zachowania nie są dla niej typowe. Adikor przekrzywił głowę.

– O jakim traumatycznym wydarzeniu mowa? Bo rozumiem, że konsumpcja posiłku przygotowanego przez Ponte – ra może załamać niejednego, ale...

– Mare została zgwałcona – powiedział Ponter. – Na jej świecie. Niedługo przed tym, zanim się tam pojawiłem.

– Och. – Adikor natychmiast spoważniał. – Co zrobili z tym, który ją zgwałcił?

– Nic. Nie złapali go.

– Jak to możliwe...

Ponter podniósł lewe ramię.

– Bez Kompanów nie ma sprawiedliwości.

– Jak kości bez szpiku – przyznał Adikor. – W jakim oni żyją świecie?

Rozdział

Trzydziesty Czwarty

Następnego dnia Mary postanowiła porozmawiać z Lurt. Na korytarzu laboratoryjnym przepuściła jednego z patykowatych robotów, na które co rusz wpadała na tym świecie. Przez moment zastanawiała się nad technologią neandertalczyków. Mieli sztuczną inteligencję i automaty, a jednak wśród wykonywanych przez nich profesji była też taka, która przypominała zawód taksówkarza. Może więc celowo zautomatyzowano nie wszystkie zajęcia, które się do tego nadawały.

Zajrzała do pomieszczenia, w którym pracowała Lurt.

– Może planujesz zrobić sobie niedługo przerwę? – spytała. Nie chciała za bardzo przeszkadzać Lurt. Sama okropnie nie lubiła, gdy ktoś przerywał jej pracę, kiedy akurat dobrze jej szło.

Lurt zerknęła na wyświetlacz Kompana, sprawdzając czas.

– Jasne – odparła.

– To dobrze. Możemy się gdzieś przejść? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Wyszły na zewnątrz. Lurt szła, pochylając nieco głowę do przodu, tak aby wał nadoczołowy dawał maksymalną osłonę oczom. Mary ostatnio często widziała taką postawę a neandertalczyków. Sama musiała przytknąć dłoń do płaskiego czoła, żeby nie raziło jej słońce. Wprawdzie miała teraz poważniejsze problemy, ale brak okularów przeciwsłonecznych, które zostawiła na drugiej Ziemi, dawał jej się we znaki.

– Uzywacie tutaj okularów ochronnych? – spytała.

– Jeśli ich potrzebujemy. Mamy je też dla córek.

Mary się uśmiechnęła.

– Nie, nie. – Pokazała na słońce. – Chodzi mi o okulary przeciwsłoneczne. Przyciemniane szkła, które blokują część promieni.

– Aha. Tak, mamy coś w tym rodzaju, ale u nas nazywa się to... – Lurt nie przestała mówić, ale Kompan Mary przerwał tłumaczenie, zastanawiając się, jak przełożyć neandertal – ską nazwę. – Przeciwoślepiaczem śnieżnym.

Od razu zrozumiała, o co chodzi. Wały nadoczodołowe doskonale chroniły oczy przed światłem z góry, ale choć szerokie twarze i nosy dawały pewną zasłonę głęboko osadzonym oczom przed blaskiem odbitym od ziemi, na pewno czasami przyciemniane okulary przydawały się neandertalczykom.

– Jeśli to możliwe, czy mogłabyś zdobyć dla mnie parę?

– Potrzebujesz kilka sztuk? – spytała Lurt.

– Nie, nie. U nas okulary mają liczbę mnogą, sama rozumiesz, ze względu na dwa szkła.

Lurt pokręciła głową z rozbawieniem.

– Równie dobrze moglibyście mówić o parze „pantalo – nów” – stwierdziła. – Przecież one też mają dwie nogawki.

Mary wołała się nie wdawać w językowe rozważania.

– Jeśli to nie kłopot, czy mogłabyś zdobyć taki „przeciw – ślepiacz śnieżny” dla mnie?

– Oczywiście. Niedaleko stąd znajduje się szlifiernia soczewek.

Mary się zawahała.

– Ale ja nie mam pieniędzy. Nie mogłabym zapłacić za okulary... to znaczy za „przeciwoślepiacz”.

Lurt wskazała przedramię i po chwili Mary zrozumiała, że chodzi jej o Kompana na pasku. Pokazała towarzyszce rękę. Lurt pociągnęła za kilka

miniaturowych gałek urządzenia i przyjrzała się symbolom tańczącym na wyświetlaczu.

– Tak jak myślałam. Twój Kompan jest powiązany z kontem Pontera. Możesz nabyć wszystko, co chcesz, a rachunkami zostanie obciążony on.

– Naprawdę?

– No to chodźmy. Szlifiernia jest tuż za rogiem.

Lurt przeszła na ukos przez pas wysokiej trawy. Mary podążyła za nią. Trapiło ją niewielkie poczucie winy z powodu tego, że musi wydać pieniądze Pontera, zwłaszcza że to właśnie o nim chciała porozmawiać. Ale zaczynała ją już boleć głowa, a nie chciała prowadzić prywatnej rozmowy w laboratorium, gdzie mogły ją usłyszeć inne chemiczki. Poza tym Mary co nieco się orientowała w neandertalskich zwyczajach. Wiedziała, że w zamkniętych pomieszczeniach lub tam, gdzie nie ma przepływu powietrza, neandertalskiej kobiecie wystarczy poczuć czyjeś feromony, aby domyślić się, co myśli i czuje ta osoba. W takiej sytuacji Mary miała wrażenie, że startuje z gorszej pozycji, i w pewnym sensie czuła się naga. Na szczęście tego dnia wiał przyjemny wiatr i Lurt musiała polegać wyłącznie na słowach swojej rozmówczyni.

Weszły do wskazanego przez Lurt budynku. Był to spory zakład, utworzony z trzech specjalnie prowadzonych drzew, posadzonych na tyle blisko siebie, że ich konary splotły się w jeden baldachim.

Mary zdumiało to, co zobaczyła w środku. Spodziewała się czegoś w rodzaju Vision Express – salonu optycznego zajmującego się wyłącznie okularami. No, ale na jej Ziemi duży wpływ na tego rodzaju biznes miała wciąż zmieniająca się moda, lansująca coraz to inne oprawki. Neandertalczyki, ze swoją oszczędną naturą, nie ulegali takim chwilowym fanaberiom. W dodatku przy znacznie mniejszej populacji zbyt daleko idąca specjalizacja nie była możliwa. W szlifierni wytwarzano

najrozmaitsze instrumenty optyczne. Sklep był pełen urządzeń, które przypominały teleskopy, mikroskopy, projektory, szkła powiększające, latarki i wiele innych przyrządów. Mary uważnie rozglądała się wokół, pewna, że gdy wróci na swoją Ziemię, Lilly, Kevin i Frank z grupy Synergia zasypią ją pytaniami.

Z zaplecza wyszła starsza kobieta. Mary postanowiła sprawdzić swoje umiejętności w ocenianiu wieku. Właścicielka warsztatu wyglądała na mniej więcej siedemdziesiąt lat, co oznaczało, że była z generacji – hm, policzmy – 142. Na widok Mary kobieta zrobiła wielkie oczy, ale szybko nad sobą zapanowała.

– Zdrowego dnia – powiedziała.

– Zdrowego dnia – odparła Lurt. – To moja przyjaciółka Mare.

– Domyśliłam się – przyznała członkini pokolenia 142.

– Z drugiego świata! Mój ulubiony Ekshibicjonista pokazuje cię od czasu do czasu, odkąd się tu pojawiłaś.

Mary drgnęła.

– Mare potrzebuje przeciwoplepiacza – wyjaśniła Lurt.

Kobieta skinęła głową i zniknęła na moment na zapleczu. Po chwili wróciła z parą ciemnych szkieł – wyglądały na ciemnoniebieskie, a nie zielonkawe lub bursztynowe, do jakich przywykła Mary. Były przymocowane do szerokiej taśmy, przypominającej gumę z męskich bokserek.

– Przymierz te – powiedziała.

Mary wzięła szkła, ale nie była pewna, jak ma je włożyć. Lurt się roześmiała.

– O tak – pokazała, wyjmując je z rąk Mary i rozciągając elastyczne mocowanie tak, że bez trudu przeszło przez głowę.

– Normalnie taśmę zakłada się tutaj – powiedziała, pokazując palcem miejsce, gdzie wał nadoczodołowy stykał się z czołem.

– Dzięki temu nie opadają w dół.

Rzeczywiście, taśma zsuwała się do dołu. Właścicielka warsztatu od razu zauważyła, w czym problem.

– Zaraz przyniosę soczewki dla dzieci – powiedziała i znowu poszła na zaplecze.

Mary starała się pozbyć skrepowania. Po prostu Gliksi ni mieli wysokie czoła, a neandertalczyki wydłużone do tyłu czaszki. Starsza kobieta wróciła z inną parą szkieł na mniejszej opasce. Te pasowały jak ulał.

– Możesz podnosić i opuszczać szkła w zależności od potrzeb – powiedziała do Mary, demonstrując, jak to robić.

– Dziękuję bardzo. Jak mam...?

– Zapłacić za to? – spytała Lurt z uśmiechem. – Wystarczy że wyjdiesz ze sklepu, a twój rachunek zostanie obciążony.

Doskonały sposób na uporanie się ze sklepowymi złodziejami, pomyślała Mary.

– Dziękuję – powiedziała i razem z Lurt opuścili zakład. W przyciemnionych szklach czuła się znacznie bardziej komfortowo. Tylko przez ich niebieską barwę miała wrażenie, że jest jeszcze chłodniej niż w rzeczywistości.

– Nie znam obowiązującego tutaj protokołu – powiedziała, wreszcie decydując się poruszyć temat, który leżał jej na sercu. – Nie jestem politykiem, dyplomatą ani nikim takim, a już na pewno nie chcę cię urazić albo postawić w niezręcznej sytuacji...

Znowu znalazły się na szerokim pasie trawy, tylko że tutaj, w równych odstępach, stały posągi neandertalskich kobiet – prawdopodobnie znanych postaci.

– Tak? – odezwała się Lurt, zachęcając ją, by kontynuowała.

– Hm, zastanawiałam się, co łączy Pontera z Daklar Bol-Bay – Daklar była partnerką partnerki Pontera. W naszym języku ten rodzaj relacji nazywa się *tulagark*. Ponter jest dla Daklar *tuladarkap*, a ona dla niego *tulagarlob*.

– Czy... czy takie więzi są bliskie?

– Czasami, ale nie musi tak być. Ponter jest także moim *tulagarkap*, czyli dosłownie tej samej płci partnerem mojego partnera płci przeciwnej. On i ja rzeczywiście jesteśmy dość zżyci. Ale często takie relacje są co najwyżej serdeczne, a bywają też i wrogie.

– Ponter i Daklar wydają się... sobie bliscy.

Lurt zaśmiała się chłodno.

– Daklar oskarżyła mojego Adikora o morderstwo, gdy Ponter zniknął. Nie może być między nimi żadnej sympatii.

– }a też tak sądziłam. Ale się myliłam.

– Może błędnie odczytałaś jakieś sygnały.

– Daklar sama mi o tym powiedziała.

Lurt przystanęła. Może zdziwiły ją słowa Mary, a może tylko próbowała złowić woń feromonów rozmówczynie.

– Och – powiedziała w końcu.

– Właśnie. A do tego...

– Tak?

Mary gestem poprosiła, aby ruszyły dalej. Słońce skryło się za chmurę.

– Nie widziałaś się z Adikorem od ostatniego razu, gdy Dwoje było Jednym, mam rację?

Lurt przytaknęła.

– Ale kontaktowałaś się z nim w tym czasie?

– Tylko raz. W sprawie dotyczącej Daba.

– I nie rozmawialiście o... o Ponterze i... i o mnie?

– Nie.

– Czy masz obowiązek o wszystkim mu mówić? Chodzi mi o informacje. O plotki.

– Nie, oczywiście, że nie. Mamy nawet takie powiedzenie: „To, co się dzieje, gdy Dwoje jest osobno, lepiej niech osobno zostanie”.

Mary się uśmiechnęła.

– To dobrze. Naprawdę nie chciałabym, żeby to, co powiem, dotarło do Pontera, bo widzisz... ja, hm, ja go lubię.

– Ma miłe usposobienie – przyznała Lurt.

Mary powstrzymała się od uśmiechu. Ponter sam powiedział jej kiedyś, że nie uchodzi za przystojnego. Nie, żeby ona przejmowała się takimi osądami albo choć potrafiła ocenić ich słuszność. Jednak słysząc słowa Lurt, przypomniała sobie, co mówiono o mniej atrakcyjnych ludziach w świecie *Homo sapiens*.

– Rzecz w tym, że ja bardzo go lubię – powiedziała. Boże, czuła się, jakby miała czternaście lat.

– Tak?

– Problem w tym, że on lubi Daklar. Spędzili razem trochę... a może nawet sporo czasu, kiedy ostatnio Dwoje było Jednym.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lurt. – To zaskakujące. – Odsunęła się na bok, robiąc miejsce dwóm młodszym kobietom, które wyminęły ją, trzymając się za ręce. – Oczywiście, gdy Dwoje było Jednym, kontakt z twoim światem jeszcze nie został ponownie nawiązany. Czy ty i Ponter uprawialiście seks, kiedy był na twojej Ziemi za pierwszym razem?

Mary się zarumieniła. – Nie.

– Ale później tak? Wprawdzie Dwoje nie było Jednym, ale wiem, że sporą część ostatniego miesiąca spędził na twoim świecie.

Mary od Pontera wiedziała, że rozmowy na temat seksu nie stanowią tutaj tabu. Mimo to czuła, jak jej policzki robią się czerwone.

– Tak.

– I jak było? – spytała Lurt.

Mary przez chwilę się zastanawiała. Nie miała pojęcia, jak tłumacz przełoży to słowo, ale nie przychodziło jej do głowy żadne inne.

– Gorąco – powiedziała po prostu.

– Kochasz go?

– Nnie wiem. Chyba tak.

– Ponter nie ma partnerki; jestem tego pewna.

Mary kiwnęła głową.

– Nie wiem, jak długo portal między światami pozostanie otwarty – przyznała Lurt. – Może w nieskończoność, a może już jutro go zlikwidują, choć po drugiej stronie wciąż jest wiele osobistości z naszego świata. Nie można też wykluczyć tego, że przejście okaże się niestabilne. Ale jeśli zostanie tak jak teraz, czy chciałabyś ułożyć sobie życie z Ponterem?

– Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, czy istnieje taka możliwość.

– Masz dzieci?

– Ja? Nie.

– I nie masz też partnera?

Mary odetchnęła głęboko i przyjrzała się kolumnie trzech ustawionych jeden na drugim sześcianów podróżnych, którą właśnie mijały.

– To skomplikowane – przyznała. – Miałam męża, to znaczy ślubowałam mężczyźnie o imieniu Colm OCasey. Moja religia – *pisk* – mój system wierzeń nie dopuszcza łatwego unieważnienia takich związków. Colm i ja już od lat nie mieszkamy razem, ale w zasadzie nadal jesteśmy połączeni.

– Nie mieszkacie razem? – powtórzyła Lurt ze zdziwieniem.

- Na moim świecie mężczyzna mieszka ze swoją partnerką.
- A co z jego partnerem?
- Nie ma go. W związku jest tylko dwoje ludzi.
- Niewiarygodne – przyznała Lurt. – Bardzo kocham Ad – ikora, ale na pewno nie chciałabym z nim mieszkać.
- Tak jest wśród moich ludzi.
- Ale nie tutaj. Gdybyś chciała ułożyć sobie życie z Pon – terem, gdzie byście zamieszkali? Na jego świecie czy na twoim? On ma tutaj dzieci, wiesz przecież. Ma też partnera i pracę, którą lubi.
- Wiem – powiedziała Mary ze smutkiem. – Wiem.
- Rozmawiałaś już z nim o tym wszystkim?
- Chciałam, ale... ale dowiedziałam się o Daklar.
- Byłoby wam bardzo trudno – powiedziała Lurt. – Na pewno sama to rozumiesz.

Mary głośno wypuściła powietrze.

- Tak – powiedziała i umilkła na moment. – Ale Ponter nie jest taki jak inni mężczyźni.

Do głowy przyszło jej niemądre porównanie: związek Jane Porter i Tarzana. Jane zakochała się w Tarzanie, bo bardzo różnił się od mężczyzn, jakich wcześniej знаła. Po śmierci jego rodziców, Lorda i Lady Greystoke, wychowywały go małpy. Był dziki, jedyny w swoim rodzaju, wyjątkowy. No, ale Ponter mówił, że na jego świecie mieszka sto osiemdziesiąt pięć milionów ludzi. Może wszyscy tutejsi mężczyźni byli tacy jak on, a nie jak brutalni, prymitywni, źli i małostkowi posiada cze chromosomu Y ze świata Mary. Po chwili Lurt skinęła głową.

- Ponter rzeczywiście różni się od innych. Jest niesamowicie inteligentny i naprawdę dobry. Kiedyś...

– Tak? – spytała Mary, niecierpliwie czekając na to, co powie jej rozmówczyni, ale minęło sporo czasu, zanim Lurt podjęła przerwana wypowiedź.

– W życiu Pontera miało miejsce pewne zdarzenie. Został...raniony...

Mary delikatnie dotknęła silnej ręki towarzyszki.

– Wiem o tym, co zaszło między Ponterem i Adikorem; wiem o szczęce Pontera – powiedziała, zerkając na Lurt, której brew powędrowała nad wał nadoczodołowy. Mary z powrotem spojrzała na ścieżkę.

– Ponter ci o tym powiedział?

– Tylko o tym, że został uderzony. Widziałam jego szczękę na prześwietleniach. Nie powiedział jednak, kto go uderzył. Tego dowiedziałam się od Daklar.

Lurt powiedziała jakieś słowo, które nie zostało przetłumaczone, po czym dodała:

– Wiesz na pewno, że Ponter całkowicie przebaczył Adi – korowi. Bardzo niewiele osób byłoby stać na taki gest. – Znowu umilkła na moment. – Biorąc pod uwagę jego niezwykle zachowanie w takich sytuacjach, nie należy się dziwić, że potrafił wybaczyć także Daklar.

– Co powinnam zrobić?

– Słyszałam, że twoi ludzie wierzą w jakiś rodzaj istnienia, które trwa po życiu.

Mary zupełnie nie rozumiała, jaki związek ma to z jej problemem.

– Hm, tak, to prawda.

– My w to nie wierzymy i jestem pewna, że Ponter już ci o tym powiedział. Być może, gdybyśmy wierzyli w coś takiego, mielibyśmy inną filozofię życiową, ale pozwól, że ci wyjaśnię, jaką zasadą się kierujemy.

– Słucham.

– Staramy się żyć tak, aby w chwili śmierci jak najmniej żałować. Jesteś z generacji 145, zgadza się?

– Mam trzydzieści dziewięć lat.

– Aha. W takim razie można założyć, że znajdujesz się w połowie życia. Zastanów się więc, czy za następne...trzydzieści dziewięć lat, według twojej miary, kiedy znajdziesz się u kresu drogi, będziesz żałowała tego, że nie dałaś szansy swojemu związkowi z Ponterem?

– Myślę, że bym żałowała.

– Postaraj się dobrze zrozumieć moje pytanie, przyjaciółko Mare. Nie pytam, czy żałowałabyś takiej decyzji, zakładając, że związek mógł się okazać udany. Pytam, czy żałowałabyś tego, że nie spróbowałaś ułożyć sobie życia z Ponterem nawet gdyby miała was spotkać porażka.

Mary zmrużyła oczy, choć za niebieskimi szklami nie raziło ich słońce.

– Nie jestem pewna, czy cię rozumiem – przyznała.

– Wiesz, że służę mojej społeczności, zajmując się chemią – powiedziała Lurt. – Tak jest teraz, ale nie był to mój pierwszy wybór. Chciałam pisać opowieści, tworzyć fikcję.

– Naprawdę?

– Tak. Lecz mi się nie udało. Moje historie nie znajdowały czytelników, moja praca nie spotkała się z pozytywną reakcją. Dlatego musiałam rozważyć inny wkład społeczny. Miałam zdolności do nauk ścisłych i dlatego zajęłam się chemią. Nigdy jednak nie żałowałam tego, że spróbowałam pisać, choć poniosłam porażkę. Oczywiście wolałabym odnieść sukces. ale wiedziałam, że kiedyś, na łożu śmierci, byłabym smutniejsza, gdybym w ogóle nie spróbowała, niż gdybym spróbowała i musiała się pogodzić z niepowodzeniem. Dlatego zaryzykowałam. Nie sprawdziłam się jako pisarka, jednak cieszy mnie świadomość, że się zdecydowałam. – Lurt przerwała na chwilę. – Wiem, że najszcześniejsza

byłabyś, gdyby twój związek z Ponterem ułożył się wspaniale. Ale pomyśl, przyjaciółko Mare, czy przed śmiercią będziesz szczęśliwsza, jeśli spróbujesz, a z czasem się okaże, że nie możecie stworzyć trwałego związku, czy jeżeli wcale nie podejmiesz takiej próby?

Mary się zamyśliła. Przez kilka minut szły obok siebie w milczeniu.

– Muszę spróbować – powiedziała w końcu Mary. – Nienawidziłabym siebie, gdybym przynajmniej nie spróbowała.

– W takim razie znasz już swoją ścieżkę.

Rozdział

Trzydziesty Piąty

O d chwili, gdy Dwoje znowu miało się stać Jednym, dzielił ich jeszcze jeden dzień, ale Ponter i Mary umówili się w pawilonie archiwów alibi. Ponter zaprowadził ją do południowego skrzydła i stali teraz przed ścianą pełną wnęk, z których każda zawierała sześcian z granitowego kompozytu wielkości mniej więcej piłki do gry w siatkówkę. Mary nauczyła się rozpoznawać neandertalskie cyfry. Kostka, do której Ponter zbliżył swój implant, miała numer 16321. Tylko tym różniła się od pozostałych. Tak jak w innych sześcianach pamięci, pośrodku jednego z boków świeciło niebieskie światełko.

Mary ze zdziwieniem pokręciła głową.

– I tutaj jest zapis całego twojego życia? – spytała.

– Tak.

– Wszystko?

– Wszystko poza czasem, który spędziłem pod ziemią w laboratorium informatyki kwantowej. Sygnał z mojego Kompana nie mógł się przebić przez warstwę skał grubą na tysiąc długości ramion. No i brakuje tu także mojej pierwszej podróży do twojego świata.

– Ale druga jest?

– Tak. Dane zostały przesłane, jak tylko Hak odzyskał łączność z archiwami alibi, w chwili gdy opuściliśmy kopalnię. Jest tutaj cały zapis z tej podróży.

Mary nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nie była wprawdzie typem dobrej katoliczki, ale to, co znajdowało się teraz w neandertalskim

archiwum, przypominało niezły film pornograficzny...

– Nie do wiary – przyznała. Lilly, Kevin i Frank z Syner – gii wiele by dali, żeby móc się tutaj znaleźć. Raz jeszcze przyjrzała się bryle z granitowego kompozytu.

– I można edytować zapisane wspomnienia?

– Po co ktoś miałby to robić? – zdziwił się Ponter, ale po chwili odwrócił wzrok. – Przepraszam. Głupie pytanie.

Mary pokręciła przecząco głową. Choć przyszli tu między innymi w tej właśnie sprawie, to nawet nie pomyślała o gwałcie.

– Miałam raczej na myśli moje pierwsze małżeństwo.

Niespodziewanie dla samej siebie zaczerwieniła się. Nigdy wcześniej nie użyła określenia „pierwsze małżeństwo”.

– No to zaczynajmy – powiedziała.

Ponter skinął głową i poprowadził Mary do biura pawilonu, gdzie siedziała starsza kobieta.

– Chciałbym uzyskać dostęp do moich archiwów – poprosił.

– Identyfikacja – poleciła. Ponter przesunął przedramieniem nad kwadratowym monitorem. – Ponter Boddit? – upewniła się. – Sądziłam, że nie żyjesz.

– Dobrze – odparł. – Niezły żart.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Chodźcie za mną. – Poprowadziła ich z powrotem do sześcianu alibi Pontera. Ponter podniósł Haka do niebieskiego oka.

– Ja, Ponter Boddit, chcę uzyskać dostęp do własnego archiwum pamięci z powodu osobistej ciekawości. Stempel Czasu.

Lampka zmieniła barwę na żółtą.

Następnie starsza kobieta podniosła rękę z Kompanem.

– Ja, Mabla Dabdalb, Strażniczka Archiwów, oświadczam niniejszym, iż tożsamość Pontera Boddita została potwierdzona w mojej obecności. Stempel Czasu. – Światło zmieniło się na czerwone i rozległ się krótki sygnał.

– Wszystko gotowe – oznajmiła Dabdalb. – Możecie skorzystać z sali projekcyjnej numer siedem.

– Dziękuję – powiedział Ponter. – Zdrowego dnia.

– Wam też – odparła kobieta i pośpiesznie wróciła na swoje stanowisko.

Ponter ruszył przodem. Mary za nim. Po raz pierwszy naprawdę rozumiała, jak musiał się czuć na jej świecie. Oczy wszystkich obecnych w tym wielkim pawilonie wpatrywały się w nią z ciekawością. Starła się nie czerwienić.

Weszli na salę, na której znajdowała się niewielka, żółta konsola zamontowana w ścianie i dwa krzesła przypominające kształtem siodła. Neandertalczycy lubili je chyba ze względu na swoje szerokie biodra. Ponter podszedł do panelu sterowniczego i zaczął pociągać za różne gałki, uruchamiając urządzenie. Mary zerknęła mu przez ramię.

– Dlaczego nie macie tu przycisków? – spytała.

– Przycisków? – zdziwił się Ponter.

– No wiesz, mechanicznych włączników, które się wciska.

– Aha. W niektórych urządzeniach mają zastosowanie, ale w niewielu. Gdyby ktoś się potknął i upadł, a potem próbował wstać, chwytając się za konsolę, mógłby przypadkiem wcisnąć jakiś guzik. Dlatego nasze gałki muszą być wyciągane; uważamy, że to bezpieczniejsze rozwiązanie.

Przez myśl Mary przemknął obraz ze *Star Treka*, w którym nie kto inny jak sam Spock, wstając, niechcący coś wciska i zdradza Romulanom obecność statku Enterprise.

– To ma sens – przyznała.

Ponter pociągnął jeszcze kilka gałek.

– Gotowe – powiedział wreszcie. – Zaczynajmy.

Ku zdumieniu Mary, pośrodku sali pojawiła się duża, przezroczysta sfera. Unosząc się nad podłogą, zaczęła się rozszczepiać na coraz to mniejsze bańki, z których każda miała nieco inny kolor. Ten proces trwał przez jakiś czas, aż w końcu Mary zdała sobie sprawę, że ma przed sobą trójwymiarowy obraz pokoju przesłuchań z posterunku policji w Toronto. Detektyw Hobbes stał odwrócony plecami do nich i z kimś rozmawiał. Była tam również Mary – wyglądająca pulchniej, niżby chciała – no i oczywiście Ponter. Ręka Pontera wysunęła się, chwyciła teczkę z aktami, którą Hobbes zostawił na biurku, i szybko przekartkowała zawartość. Obrazy poszczególnych stron przemknęły zbyt prędko, aby Mary mogła się im przyjrzeć, ale Ponter wrócił do początku sceny i odtworzył ją w zwolnionym tempie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że obraz wcale nie ulega rozmyciu; bez trudu mogła zapoznać się z treścią kolejnych formularzy policyjnych. Musiała tylko lekko przekrzywić głowę.

– I co? – spytał Ponter.

– Jeszcze chwilę... – Mary szukała informacji, których dotąd nie знаła. – Nie, tutaj nic nie ma. Możesz przejść do następnej strony? O, tu! Zatrzymaj. Zobaczmy, co...

Nagle poczuła, jak żołądek podjeżdża jej do gardła.

– O mój Boże – jęknęła. – O mój Boże.

– O co chodzi?

Mary chwiejnie cofnęła się o krok, natrafiła na siodłowe krzesło i przytrzymała się go.

– Ta druga ofiara...

– Tak? Powiedz wreszcie.

– Była nią Qaiser Remtulla.

– Kto?

– Moja zwierzchniczka. Moja przyjaciółka. Szefowa wydziału genetyki na York University.

– Przykro mi.

Mary zamknęła oczy.

– Mnie też – przyznała. – Gdybym tylko...

– Mare. – Ponter położył dłoń na jej ramieniu. – Przeszłości nie zmienisz. Nic nie poradzisz na to, co się stało. Możesz za to zrobić coś z przyszłością.

Spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

– Przeczytaj resztę raportu. Może znajdziesz tam coś więcej.

Chwilę trwało, zanim odzyskała panowanie nad sobą. Potem wróciła do hologramu i zaczęła czytać dalej pomimo piekących oczu.

– Tak! Mam! – wykrzyknęła w końcu.

– Co takiego?

– Policja z Toronto posiada fizyczne dowody gwałtu na Qaiser. Pełen zestaw próbek. – Mary umilkła na moment.

– Może dzięki temu uda im się złapać tego drania.

Ponter zmarszczył brew.

– Egzekutor Hobbes miał co do tego wątpliwości.

– Wiem, ale... – Mary westchnęła. – Pewnie masz rację – przyznała i umilkła na dobrych kilka chwil. – Nie wiem, jak zdołam spojrzeć Qaiser w twarz – powiedziała wreszcie.

Nie zamierzała poruszać tematu powrotu do domu, naprawdę nie zamierzała. Ale jeśli miała spotkać się z Qaiser, to musiała kiedyś wrócić, no i proszę, sama wywołała wilka z lasu.

– Ona ci wybaczy – zapewnił Ponter. – Przecież to cecha chrześcijan.

– Qaiser nie jest chrześcijanką, tylko muzułmanką.

Czy muzułmanie tak samo cenili sobie przebaczenie?

Mary zmarszczyła czoło, zawstydzona własną niewiedzą. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Czy ona sama potrafiłaby przebaczyć Qaiser, gdyby sytuacja była odwrotna?

– Co zrobimy? – spytała.

– Masz na myśli gwałciciela? Wszystko, co zdołamy, wtedy, kiedy będzie to możliwe.

– Nie. Nie chodzi mi o gwałciciela. Mówię o jutrzejszym dniu, kiedy Dwoje stanie się Jednym.

– Aha. No tak.

– Jasmel spędzi ten czas z Tryonem, mam rację?

Ponter się uśmiechnął.

– O tak, na pewno.

– I dopiero co widziałeś się z Megameg.

– Nigdy nie mam dość jej towarzystwa... ale rozumiem, o co ci chodzi.

– Tak więc zostaje tylko jeden problem...

– Daklar. – Ponter westchnął.

– Co zamierzasz?

Zastanawiał się przez chwilę.

– I tak już wbrew zwyczajowi przybyłem do Centrum o dzień za wcześniej. Myślę, że nie pogorszę spraw za bardzo, jeśli zobaczę się z nią od razu.

Mary drgnęła.

– Sam?

– Tak – odparł Ponter. – Sam.

Zatrzymał się przed drzwiami biura Daklar, zbierając się na odwagę, by tam wejść. Czuł się podobnie jak w świecie Gliksinów. Każda mijana po drodze kobieta patrzyła na niego tak, jakby nie powinien się tu znajdować.

Oczywiście wszystkie miały rację – powinien tu przyjść dopiero następnego dnia, tylko że ta sprawa nie mogła czekać. Podczas długiego marszu od Pawilonu Archiwów Alibi wielokrotnie powtarzał sobie w myślach, co powie, ale teraz nie miał pojęcia, od czego zacząć. Może...

Nagle drzwi złożyły się do wewnątrz gabinetu.

– Ponterze! – zawołała Daklar. – Tak mi się wydawało, że poczułam twój zapach!

Rozpostarła ramiona, szykując się do uścisku, a on posłusznie wszedł w jej objęcia. Wyczuła jednak jego sztywność.

– O co chodzi? – spytała. – Co się stało?

– Mogę wejść?

– Tak, oczywiście. – Cofnęła się do gabinetu, który miał półokrągły kształt i zajmował połowę wydrążonego pnia wielkiego drzewa. Ponter wszedł za nią i zamknął za sobą drzwi.

– Nie zostaję na naszym świecie na dni, gdy Dwoje stanie się Jednym.

Daklar zrobiła wielkie oczy.

– Wezwano cię z powrotem na drugą Ziemię? Wydarzyło się coś złego?

Bez końca mógłby wymieniać, co złego miało miejsce na drugim świecie, ale pokręcił przecząco głową.

– Nie o to chodzi.

– W takim razie o co? Twoje córki nie mogą się doczekać spotkania z tobą.

– Jasmel czeka teraz tylko na Tryona.

– A Mega?

Ponter skinął głową.

– Wiem, że będzie jej smutno.

– A... a co ze mną?

Na moment zamknął oczy.

- Przykro mi, Daklar. Naprawdę mi przykro.
- To przez nią, tak? Przez tę gliksińską kobietę?
- Ona ma imię. – Tak bardzo żałował, że nie potrafi należycie jej bronić ani nawet prawidłowo wymówić jej imienia. – Nazywa się Mare.

Daklar wykorzystała jego słabość.

- Posłuchaj sam siebie! Nie umiesz nawet powiedzieć jej prawdziwego imienia! Ponterze, między wami nigdy się nie ułoży. Pochodzicie z różnych światów... Ona nie jest jedną z nas!

Wzruszył ramionami.

- Wiem, ale...

Daklar westchnęła potężnie.

- Ale i tak tam pojedziesz. Na chrząstkę, wy, mężczyźni, nigdy nie przestaniecie mnie zdumiewać. Wsadzacie te swoje w cokolwiek.

Ponter w jednej sekundzie cofnął się o 229 miesięcy do chwili, kiedy on i Adikor byli razem w Akademii Nauk, kiedy tak głupio się pokłócili i kiedy sprowokował przyjaciela do tego stopnia, że ten uderzył go pięścią w twarz. Sam już dawno wybaczył Adikorowi, ale teraz wreszcie zrozumiał, jak potężnym uczuciem jest gniew tak wielki, że znajduje ujście jedynie w agresji.

Odwrócił się i wybiegł z budynku, rozglądając się za czymś, co mógłby zniszczyć.

Rozdział

Trzydziesty Szósty

Mary i Ponter wrócili do laboratorium kwantowego komputera. Czekał tam już na nich dystyngowany mężczyzna z generacji 143. Ponter od razu go poznał.

– Goosa Kusk – powiedział z podziwem. – Spotkanie z tobą to dla mnie zaszczyt.

– Dziękuję – odparł Goosa. – Słyszałem o przykrym incydencie, który spotkał cię na drugim świecie. Wiem, że zostałeś trafiony z broni na pociski.

Ponter skinął głową.

– Skontaktowałem się ze mną Lonwis Trob i zasugerował pewien pomysł, który pozwoliłby takim wypadkom zapobiec, jego propozycja była bardzo interesująca, ale postanowiłem obrać nieco inny tor rozumowania. – Goosa wziął ze stołu długi i płaski przedmiot z metalu. – To jest generator pola siłowego – wyjaśnił. – Wykrywa zbliżający się pocisk w chwili, gdy znajdzie się on w zasięgu pola skanerów twojego Kompana i dosłownie w ciągu kilku nanotaktów tworzy barierę siłową. Ta bariera ma szerokość zaledwie trzech rozpiętości dłoni i utrzymuje się tylko przez ćwierć taktu. Utworzenie jej na dłużej wymagałoby zbyt wiele energii. Jest za to zupełnie nieelastyczna i całkowicie nieprzenikalna. Wszystko, co w nią uderzy, zostanie po prostu odbite. Jeśli ktoś wystrzeli do ciebie jednym z tych metalowych pocisków, bariera go odbije. Tak samo stanie się w przypadku oszczepu, rzuconego noża czy szybkiego uderzenia pięścią. Wszystko, co porusza się z prędkością niniejszą od tej, na którą nastawione jest

urządzenie, nie uruchomi bariery, czyli bez przeszkód możesz dotykać innych albo oni ciebie. Ale jeśli któryś z Gliksinów zechce cię zabić, będzie musiał poszukać lepszej metody.

– Zadziwiające – przyznała Mary.

Goosa wzruszył ramionami.

– To tylko nauka – odparł i zwrócił się do Pontera:

– Przymocowuje się to do przedramienia, po przeciwnej stronie niż Kompan, o tak, widzisz? – Ponter wyciągnął przed siebie lewą rękę, a Goosa założył na nią urządzenie. – A ten światłowód podłącza się do dodatkowego gniazda implantu, o, w ten sposób.

Mary przyglądała się wynalazkowi ze zdumieniem.

– To jak osobista poduszka powietrzna – stwierdziła.

– Oczywiście nie chodzi mi o sposób działania – dodała szybko, widząc minę Goosy. – Poduszki powietrzne błyskawicznie napęniają się powietrzem w przypadku kolizji pojazdu jadącego z dużą prędkością. W pewnym sensie chodzi o podobną zasadę: o szybko uruchamiającą się tarczę bezpieczeństwa. Zarobiłbyś fortunę, sprzedając to na mojej Ziemi.

Goosa pokręcił głową.

– Urządzenia te mają służyć rozwiązaniu konkretnego problemu, który polega na tym, że Gliksini mogą do nas strzelać z broni palnej. Dla twoich ludzi byłyby one jedynie paliaty – wem. Rozwiązanie nie polega na ochronie przed bronią, lecz na zupełnym pozbyciu się jej.

– Chciałabym zobaczyć debatę między tobą a Charltonem Hestonem. – Mary się uśmiechnęła.

– Świetna rzecz – powiedział z uznaniem Ponter. – Jesteś pewien, że działa? – Zauważył minę Goosy. – Nie, to oczywiste. Przepraszam, że zapytałem.

– Już przesłałem jedenaście takich dla całej naszej grupy, która nadal jest po drugiej stronie – rzekł Goosa. – Często życzy się innym bezpiecznej podróży. Teraz to już pewne. Dlatego ja wam życzę, żeby wasza podróż była po prostu przyjemna.

Mary i Ponter przeszli przez tunel, przekraczając próg między światami. Po drugiej stronie powitał ich porucznik Donaldson, ten sam oficer Kanadyjskich Sił Zbrojnych, którego Ponter spotkał wcześniej.

– Witam z powrotem, delegacie Boddit. Witamy w domu, profesor Vaughan.

– Dziękuję – odparł Ponter.

– Nie mieliśmy pewności, kiedy i czy w ogóle pan do nas wróci – przyznał Donaldson. – Proszę dać nam trochę czasu na zorganizowanie ochrony dla pana. Dokąd się państwo wybieracie? Do Toronto? Do Rochester? A może do ONZ?

Ponter zerknął na Mary.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy.

– No cóż, będziemy musieli przygotować plan podróży, aby zapewnić panu odpowiednią ochronę przez cały czas. W kwaterze głównej policji jest w tej chwili oficer łącznikowy CSIS i... [Canadian Security Intelligence Service – wywiad kanadyjski.]

– Nie – powiedział Ponter.

– Ja... jak to? – zdziwił się Donaldson.

Ponter sięgnął do jednej z kieszeni medycznego pasa i wyjął z niej kanadyjski paszport.

– Czy to pozwala mi na swobodne wejście do tego kraju? – spytał.

– No tak, ale...

– Jestem obywatelem Kanady, prawda?

– Tak, oczywiście. Oglądałem w telewizji uroczystość nadania panu obywatelstwa.

– A czy obywatelom nie przysługuje prawo swobodnego wyjeżdżania i przyjeżdżania bez uzbrojonej eskorty?

– Owszem, normalnie tak, ale w tej...

– Ta sytuacja jest normalna – oznajmił Ponter. – Odtąd normalne stanie się to, że ludzie z mojego świata będą przybywali do waszego, a ludzie z waszego będą odwiedzali mój.

– Mam jedynie na względzie pańskie bezpieczeństwo.

– Ja to rozumiem. Ale nie potrzebuję ochrony. Mam przy sobie urządzenie, które me dopuści do tego, by znowu mnie raniono. Nic mi nie zagraża i nie jestem kryminalistą. Jestem wolnym obywatelem i chcę podróżować bez ograniczeń i bez zbędnego towarzystwa.

– Hm, muszę się skontaktować z moim przełożonym – powiedział Donaldson.

– Po co marnować czas na pośredników – stwierdził Ponter. – Niedawno jadłem obiad z waszym premierem. Powiedział, że jeśli będę czegoś potrzebował, mam do niego zadzwonić. Zróbmy to.

Wyjechali na powierzchnię górniczą windą i wsiedli do wozu Mary, który stał przy budynku SNO, odkąd opuściła swoją Ziemię. Było jeszcze dość wcześnie i mogli za dnia dotrzeć do Toronto. Na początku Mary wydawało się, że ktoś za nimi jedzie, ale wkrótce zostali sami na drodze.

– Zdumiewające – przyznała. – Nigdy nie sądziłam, że puszczą cię bez obstawy.

Ponter się uśmiechnął.

– Co to by była za romantyczna podróż, gdyby wszędzie nam ktoś towarzyszył?

*

Do Toronto dojechali bez żadnych przygód. Udali się prosto do mieszkania Mary przy Observatory Lane w Richmond Hill. Razem wzięli prysznic i się przebrali – Ponter przywiózł ze sobą trapezową walizkę pełną ubrań – a potem pojechali na 31. posterunek policji. Mary czuła, że musi najpierw zamknąć niedokończoną sprawę. Twierdziła, że w przeciwnym razie nie zdoła się odprężyć. Wzięła ze sobą album z wycinkami prasowymi.

Droga na komisariat prowadziła przez campus uniwersytecki i gorzej wyglądającą dzielnicę.

– Zauważyłem to już poprzednim razem, kiedy tędy jechaliśmy – przyznał Ponter. – Ta część miasta jest w bardzo złym stanie.

– Driftwood – stwierdziła Mary, tak jakby to jedno słowo wszystko wyjaśniało. – Bardzo biedna okolica.

Minęli wiele zniszczonych bloków i kilka sklepów z kratami w oknach. W końcu zatrzymali się na niewielkim parkingu obok posterunku.

– Dzień dobry, profesor Vaughan – powitał Mary detektyw Hobbes, wezwany przez dyżurnego policjanta. – Panie Boddit. Nie spodziewałem się, że odwiedzą nas państwo ponownie.

– Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? – poprosiła Mary.

Hobbes skinął głową i poprowadził ich do tego samego pokoju przesłuchań, w którym byli poprzednim razem.

– Teraz już pan wie, kim jestem? – spytała.

Przytaknął.

– Mary Vaughan. Ostatnio sporo pisano o pani w prasie.

– Wie pan dlaczego?

Hobbes kciukiem wskazał Pontera.

– Bo towarzyszy pani jemu.

Mary machnęła ręką.

– Tak, to też. Ale wie pan, dlaczego właśnie mnie wezwano, abym zobaczyła Pontera?

Detektyw pokręcił głową. Położyła na stole przed nim album.

– Proszę zajrzeć do środka.

Hobbes otworzył tekturową okładkę. Pierwszą stronę zajmował wycinek z „Toronto Star”: *Kanadyjka otrzymuje prestiżową japońską nagrodę naukową*. Na odwrocie tej samej kartki znajdował się artykuł z „Macleańs”: *Przełamywanie lodów: kopalne DNA z Jukonu*. Na następnej przyklejono małą wzmiankę z „New York Timesa”: *Pozyskano DNA ze szczątków neandertalczyka*.

Detektyw odwrócił następną stronę. Prasowy komunikat z gazety uniwersyteckiej głosił: *Profesor Mary Vaughan z York University tworzy prehistorie: DNA pracźlowieka*. Dalej znajdowała się kartka wyrwana z „Discover”: *Zdegradowane DNA odkrywa swoje tajemnice*.

Hobbes spojrział na nią.

– Nie rozumiem – powiedział niepewnie.

– Jestem... No cóż, niektórzy uznają mnie za...

– Profesor Vaughan – wtrącił Ponter – jest genetykiem i czołowym ekspertem w zakresie pozyskiwania zdegradowanego DNA.

– I?

– I wiemy, że macie tu państwo dowody gwałtu dokonanego na Qaiser Remtulli – przyznała Mary nieco pewniejszym tonem, bo nie musiała już mówić o sobie.

Hobbes spojrział na nich.

– Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć – powiedział.

– Wiemy, że to prawda. Sama Qaiser mi to powiedziała – oznajmiła Mary, walcząc z poczuciem winy z powodu kłamstwa. – Skąd mogłabym o

tym wiedzieć, jeśli nie bezpośrednio od niej? Jest moją przyjaciółką i razem pracujemy.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza – stwierdził Hobbes.

– Chciałabym zbadać dowody.

Detektywa zdumiała jej prośba.

– Mamy własnych ekspertów.

– Tak, wiem, ale...

– Na pewno żaden z nich nie ma takich kwalifikacji jak profesor Vaughan – powiedział Ponter.

– Być może, mimo to...

– Czy już przeprowadzono analizę pobranych próbek?

– spytała Mary.

Hobbes westchnął, zwlekając z odpowiedzią.

– Nawet jeśli są jakieś dowody, nie bada się ich, dopóki nie ma z czym porównać DNA – przyznał w końcu.

– Materiał genetyczny szybko ulega degradacji – zauważyła Mary – zwłaszcza jeśli nie jest przechowywany w absolutnie idealnych warunkach. Jeżeli będziecie zwlekali zbyt długo, określenie genetycznego odcisku palca może się okazać niemożliwe.

– Wiemy, jak przechowywać próbki – stwierdził Hobbes tym samym tonem – i mamy na swoim koncie spore sukcesy w badaniach DNA.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale...

– Proszę pani – przerwał jej uprzejmie detektyw. – Rozumiem, że ta sprawa jest dla pani bardzo ważna. Każda sprawa jest ważna dla osób poszkodowanych.

Mary starała się zapanować nad głosem, aby nie zdradzić zdenerwowania.

– Ale gdybym mogła zabrać próbki do mojego laboratorium na uniwersytecie, jestem pewna, że zdołam pozyskać o wiele więcej DNA niż wy tutaj.

– Nie mogę na to pozwolić, przykro mi.

– Dlaczego nie?

– Po pierwsze, York nie ma z nami umowy na wykonywanie ekspertyz sądowych i...

– Ale Laurentian ma taką umowę – przypomniała sobie Mary. – Proszę wysłać próbki na Laurentian University, a ja tam przeprowadzę analizy. – Rzeczywiście, tamtejsze laboratorium przyjmowało zlecenia ekspertyz dla RCMP oraz dla okręgowej policji Ontario.

Hobbes uniósł brwi.

– Przyznaję, że Laurentian to inna sprawa, ale...

– Załatwię wszystkie potrzebne dokumenty – obiecała Mary.

– Może i udałoby się tak zrobić – przyznał detektyw, choć nie wydawał się zbyt przekonany. – Nie byłoby to jednak zgodne z przepisami i...

– Bardzo pana proszę. – Mary nie mogła znieść myśli, że coś mogłoby się stać z jedyymi dowodami w tej sprawie – – Bardzo.

Hobbes rozłożył ręce.

– Zobaczę, co da się załatwić, ale od razu uprzedzam, proszę sobie nie robić wielkich nadziei. Mamy bardzo surowe przepisy dotyczące łańcucha dowodowego.

– Ale spróbuje pan?

– Tak, spróbuję.

– A czy przynajmniej profesor Vaughan mogłaby zobaczyć próbki? – odezwał się Ponter.

Mina detektywa zdradzała takie samo zdziwienie, jakie czuła Mary.

– W jakim celu? – spytał.

– Aby mogła określić, czy są przechowywane w odpowiednich warunkach, wymaganych przy stosowanej przez nią metodzie analizy. – Ponter zerknął na Mary. – Prawda, Mare?

Nie była pewna, co zamierza, ale całkowicie mu ufała.

– No tak. Oczywiście. – Spojrzała na detektywa i uśmiechnęła się do niego najbardziej uroczo, jak potrafiła. – Wystarczy mi dosłownie sekunda. Przynajmniej od razu ustalimy, czy sprawa w ogóle jest warta zachodu. Nie chciałabym, aby borykał się pan z tymi wszystkimi biurokratycznymi przeszkodami na próżno, jeśli się okaże, że próbki już uległy degradacji.

Hobbes zmarszczył brwi i przez jakiś czas patrzył przed siebie w zamyśleniu.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Proszę tu zaczekać.

Wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił z tekturowym pojemnikiem wielkości mniej więcej pudełka po butach. Zdjął pokrywkę i pokazał Mary zawartość. Ponter wstał z niej – sca i zajrzał do środka nad jej ramieniem. Wewnątrz znajdowało się kilka mikroskopowych slajdów z próbkami i trzy szczelnie zamknięte plastikowe torebki oznaczone etykietami. Jedna z nich zawierała damskie figi. Druga – mały grzebyk z kilkoma włosami łonowymi. A w trzeciej było parę fiolek, prawdopodobnie z próbkami wymazu z pochwy.

– To wszystko przez cały czas zamknięte jest w lodówce – wyjaśnił Hobbes defensywnie. – Nie wiem, co mamy...

Nagle Ponter błyskawicznie sięgnął prawą ręką do pudełka i chwycił torebkę z majtkami. Rozerwał plastikowe opakowanie i przysunął je do nosa, głęboko wciągając powietrze.

Mary zamarła z przerażenia.

– Ponter, przestań!

– Proszę to natychmiast oddać! – zagrział Hobbes. Próbował wyrwać torebkę Ponterowi, ale ten bez trudu go powstrzymał i ponownie głęboko wciągnął powietrze nosem.

– Chryste! – zawołał detektyw. – Zboczeniec jeden!

Ponter bez słowa odsunął torebkę od twarzy i oddał ją Hobbesowi, który dosłownie wyrwał ją z ręki neandertalczyka.

– Zabierajcie się stąd – warknął. W drzwiach pojawiło się dwóch policjantów, których pewnie zaalarmowały krzyki.

– Bardzo przepraszam – powiedział Ponter.

– Wynoście się, do cholery! – prychnął detektyw, po czym zwrócił się do Mary: – A naszymi dowodami zajmiemy się sami. Żegnam!

Rozdział

Trzydziesty Siódmy

Mary wypadła z budynku policji, kipiąc ze złości. Nie odezwała się ani słowem, dopóki ona i Ponter nie znaleźli się z powrotem w samochodzie.

– Co to, do diabła, miało być? – wyrzuciła z siebie gwałtownie, odwracając się do Pontera.

– Przepraszam.

– Nigdy nie dadzą mi tych próbek do analizy. Chryste, na pewno nie postawił ci żadnych zarzutów tylko dlatego, że musiałyby się przyznać do własnej głupoty, bo sam podsunął ci dowody.

– Naprawdę cię przepraszam.

– Co ci, na Boga, przyszło do głowy?

Ponter nie odpowiedział.

– No co? – nie dawała za wygraną.

– Już wiem, kto zgwałcił Qaiser i prawdopodobnie także ciebie – przyznał w końcu.

Mary w osłupieniu opadła na oparcie fotela kierowcy. – Kto?

– Twój współpracownik... nie potrafię dobrze wypowiedzieć jego imienia. Brzmiało jakoś tak: Kornilius.

– Cornelius? Cornelius Ruskin? Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego? Czyjakieś cechy jego wyglądu zewnętrznego nie zgadzają się z tym, jak zapamiętałaś gwałciciela?

Mary nadal sapała z emocji, ale z jej głosu zupełnie zniknęła złość, ustępując miejsca zdumieniu.

– No nie. To znaczy, rzeczywiście Cornelius ma niebieskie oczy, ale... ale wielu ludzi je ma. No i Cornelius nie pali.

– Owszem, pali.

– Nigdy nie widziałam, żeby to robił.

– Miał na sobie ten zapach, kiedy się spotkaliśmy.

– Może po prostu był w jednym z cainpusowych pubów i jego ubranie przesiąkło dymem.

– Nie. To było w jego oddechu, choć chyba próbował zamaskować tę woń jakimś środkiem chemicznym.

Mary zmarszczyła brwi. Znała niejednego palacza ukrywającego swój nałóg.

– Ja niczego nie wyczułam.

Ponter nie odpowiedział.

– Poza tym Cornelius nie mógłby skrzywdzić mnie ani Qaiser. Przecież razem pracujemy i...

Umilkła.

– Tak? – Ponter próbował taktownie nakłonić ją, by dokończyła myśl.

– Hm... ja zawsze uważałam, że pracujemy razem, ale on... w zasadzie on nie ma stałego etatu. Zrobił doktorat, i to nie byle gdzie, bo w Oksfordzie. Mimo to udało mu się załapać tylko dorywcze wykłady i ćwiczenia w niepełnym wymiarze godzin. Natomiast Qaiser i ja...

– Tak? – spytał Ponter raz jeszcze.

– No cóż, jeśli chodzi o podział stałych etatów na wydziale nauk ścisłych, płęć działa na moją korzyść, ale Qaiser to już naprawdę wygrała los na loterii. Nie dość że jest kobietą, to jeszcze zalicza się do mniejszości etnicznej. Podobno w gwałcie nie chodzi o seks. Jest zbrodnią opartą na agresji i potrzebie dominacji. A Cornelius musiał czuć, że nie ma żadnej władzy.

– Miał także dostęp do lodówki, w której przechowujecie próbki – zauważył Ponter. – Sam jest genetykiem, więc na pewno się domyślał, jak postąpiłaby genetyczka w takich okolicznościach. Wiedział, że musi znaleźć i zniszczyć wszelkie dowody.

– Mój Boże. Ale... nie. Nie. To są tylko domysły.

– To były domysły, dopóki nie dostałem w swoje ręce dowodów gwałtu na Qaiser, bezpiecznie przechowywanych na posterunku policji, skąd Ruskin nie mógł ich zabrać. Poznałem jego zapach podczas tamtego pierwszego spotkania na korytarzu obok twojego laboratorium, i ten zapach – jego zapach – jest na tych rzeczach.

– Jesteś pewien? Absolutnie pewien?

– Nigdy nie zapomnę zapachów.

– O Boże. I co teraz zrobimy?

– Możemy powiedzieć o tym egzekutorowi Hobbesowi.

– Tak, tylko...

– Co?

– To nie jest twój świat. Nie można tu tak po prostu zażądać, żeby ktoś dowiódł swojego alibi. Żadna z informacji, które posiadamy, nie jest dla policji dostateczną podstawą, aby zażądać próbki DNA od Ruskina. – Już nie nazywała go „Corneliusem”.

– Mógłbym zaświadczyć w sprawie zapachu...

Pokręciła głową.

– Nie ma precedensu, jeśli chodzi o tego typu zarzuty. Nie potraktowano by tego nawet jako poszlaki. A gdyby Hobbes to kupił, i tak nie mógłby na takiej podstawie wezwać Ruskina na przesłuchanie.

– Co za świat... – Ponter z odrazą pokręcił głową.

– Jesteś absolutnie przekonany? – raz jeszcze upewniła się Mary. – Bez cienia wątpliwości?

- Cienia czego...? Aha, już rozumiem. Tak.
 - Nie chodzi mi o uzasadnioną wątpliwość. Czy jesteś przekonany ponad wszelką wątpliwość?
 - Tak.
 - Na pewno?
 - Wiem, że wasze nosy są małe, ale uwierz mi, moje zdolności w tej sferze nie są wyjątkowe. Wszyscy przedstawiciele mojego i wielu innych gatunków to potrafią.
- Mary zamyśliła się na moment. Rzeczywiście psy umiały odróżniać ludzi po zapachu. Nie miała podstaw, by podejrzewać, że Ponter się mylił.
- Co możemy w takiej sytuacji zrobić? – spytała.
- Ponter milczał przez długi czas, a w końcu powiedział cicho:
- Mówiłaś, że nie zgłosiłaś gwałtu na policję, ponieważ obawiałaś się tego, jak zostaniesz potraktowana przez waszą władzę sądowniczą.
 - Co to ma do rzeczy? – burknęła.
 - Nie zamierzałem cię zdenerwować – przyznał. – Chciałem tylko się upewnić, czy dobrze cię rozumiem. Co spotkałoby ciebie lub twoją przyjaciółkę, gdyby wszczęto oficjalne śledztwo?
 - Nawet gdyby dało się wykorzystać zebrane dowody gwałtu – a to nie jest przesądzone – adwokat Ruskina próbowałby dowieść, że wszystko stało się za moją i Qaiser zgodą.
 - W takim razie nie powinnaś przez to przechodzić – stwierdził Ponter. – Nikt nie powinien.
 - Ale jeśli nic nie zrobimy, Ruskin może znowu kogoś skrzywdzić.
 - Nie. Nie robi tego.
 - Ponterze, nic nie możesz na to poradzić.
 - Proszę cię, zawieź mnie na uniwersytet.
 - Ponterze, nie. Nie, nie zrobię tego.

– Skoro tak, to sam tam dotrę na piechotę.

– Nawet nie wiesz, gdzie to jest.

– Hak wie.

– To szaleństwo. Nie możesz go zabić!

Ponter przesunął dłonią po ramieniu w miejscu, gdzie został postrzelony.

– Na tym świecie ludzie zabijają ludzi przez cały czas.

– Nie. Nie pozwolę ci.

– Nie mogę dopuścić do tego, by znowu kogoś zgwałcił.

– Ale...

– Nawet jeśli zdołasz powstrzymać mnie dziś czy jutro, nie będziesz tego mogła robić bez końca. W którymś momencie uda mi się wymknąć, wrócić na uniwersytet i zlikwidować problem. – Ponter utkwiał w niej złote oczy. – Pozostaje tylko pytanie, czy zrobię to, zanim on znowu zgwałci. Zastanów się, czy naprawdę chcesz mnie powstrzymać?

Mary na moment zamknęła oczy. Z całych sił starała się usłyszeć głos Boga. Jeszcze nigdy dotąd nie zależało jej na tym tak bardzo. Wsłuchiwała się w ciszę, czekając, czy On postanowi interweniować. Ale nie dał jej żadnego znaku.

– Nie mogę do tego dopuścić, Ponterze. Nie mogę pozwolić ci zabić kogoś z zimną krwią. Nawet jego.

– Trzeba go jakoś powstrzymać.

– Obiecuj mi – poprosiła. – Obiecuj, że tego nie zrobisz.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? On nie zasługuje na to, by żyć.

Zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Wiem, że uważasz za niemądre to, co mówię o życiu po śmierci. Ale jeśli go zabijesz, twoja dusza zostanie ukarana. A jeśli ja pozwolę, byś go zabił, także moją duszę spotka kara. Przez Ruskina już wiem, czym jest piekło. Nie chcę spędzić tam wieczności.

Ponter zmarszczył brew.

– Chcę to zrobić ze względu na ciebie.

– Nie. Nie możesz zabić.

– W porządku – poddał się w końcu. – W porządku, nie zabiję go.

– Obiecujesz? Przyrzekasz?

– Obiecuję – powiedział i umilkł. – Na chrząstkę! – zachnął się po chwili.

Tylko tak umiał przeklinać. Mary pokiwała głową, ale zaraz potem pokręciła nią.

– Jest jeszcze możliwość, której nie wzięłaś pod uwagę – powiedziała wreszcie.

– Jaka?

– Taka, że Qaiser i Cornelius uprawiali seks, zanim ona została zgwałcona przez kogoś innego. Nie byłby to pierwszy przypadek romansu w pracy.

– Skąd niby mam to wiedzieć?

– Uwierz mi. Tutaj ciągle się to zdarza. Czy wtedy jego zapach zostałby na... no wiesz, na jej figach i w ogóle?

Pisk.

– Na figach – powtórzyła Mary. – Na części bielizny, którą nosi się pod wierzchnimi ubraniami. Na tym, co widziałeś w tamtej plastikowej torebce.

– Aha. Tak, to możliwe.

– Dlatego najpierw musimy zyskać pewność. Absolutną pewność.

– Mogłabyś zapytać Qaiser.

– Ona mi nic nie powie.

– Dlaczego? Sądziłem, że jesteście przyjaciółkami.

– To prawda. Ale Qaiser jest mężatką... jest związana z innym mężczyzną. I możesz mi wierzyć: związki pozamałżeń – skie też nie są

rzadkością.

– Hm. No tak...

– Nie sędzę, byśmy mogli zrobić coś więcej – westchnęła Mary.

– Możemy zrobić bardzo wiele, ale kazałaś mi obiecać, że się od tego powstrzymam.

– Tak, tylko...

– Powinniśmy chociaż dać mu do zrozumienia, że jego czyny wyszły na jaw – powiedział Ponter. – Uświadomić mu, że jest obserwowany.

– Nie mogłabym stanąć z nim twarzą w twarz.

– Nie, to zrozumiałe. Ale moglibyśmy zostawić mu wiadomość.

– Nie jestem pewna, czy to by coś dało.

Ponter podniósł lewą rękę.

– Cała idea Kompanów opiera się właśnie na takim sposobie rozumowania. Jeśli wiesz, że jesteś obserwowany lub że twoje działania są rejestrowane, postępujesz lepiej. Na moim świecie sprawdziło się to doskonale.

Mary znowu odetchnęła głęboko i powoli.

– No może... to na pewno nie zaszkodzi. Myślisz, że wystarczy anonimowa wiadomość?

– Tak.

– Mamy dać mu do zrozumienia, że od tej pory jest stale pod lupą? Że nie ma mowy, aby kolejna zbrodnia uszła mu na sucho? – spytała, rozważając taką możliwość. – Musiałby być idiotą, aby w takiej sytuacji zgwałcić jeszcze raz, wiedząc, że ktoś depcze mu po piętach.

– Właśnie – zgodził się Ponter.

– Taką wiadomość można by wsunąć do jego skrytki na uczelni.

– Nie. Nie możemy tego zrobić na uniwersytecie. Przecież już raz zniszczył zostawione tam dowody. Pewnie sądził, że nie wrócisz do

laboratorium przez cały rok. Myślał, że zdoła bez trudu pozbyć się próbek i nikt nigdy nie dojdzie, co się z nimi stało. Nie, tę wiadomość trzeba zostawić w jego siedzibie.

– W siedzibie? Masz na myśli jego dom?

– Tak – potwierdził Ponter.

– Rozumiem. Nie ma nic bardziej przerażającego niż świadomość, że ktoś wie, gdzie mieszkasz.

Ponter spojrział na nią pytająco.

– Wiesz, gdzie to jest? – spytał.

– Niedaleko stąd. Ruskin nie ma samochodu, mieszka sam i nie stać go na auto. Wiele razy odwoziłam go do domu, kiedy padał śnieg. Ma mieszkanie niedaleko Jane Street... ale nie, zaraz... Wiem, który to budynek, ale nie znam numeru.

– To dom dla wielu rodzin, tak jak twój?

– Tak. Tylko nie tak ładny jak mój.

– Może przy wej ściu będzie lista mieszkańców i dowiemy się z niej, który lokal zajmuje?

– Tego zwyczaju już się nie praktykuje. Mamy numery kodów i domofony. Chodzi właśnie o to, żeby ludzie nie mogli się dowiedzieć dokładnie, gdzie ktoś mieszka.

Ponter ze zdumieniem pokręcił głową.

– Wy, Gliksini, zrobicie wszystko, aby uniknąć wprowadzenia Kompanów...

– Ruszajmy. Po drodze do mnie przejedziemy obok jego budynku – zaproponowała Mary. – Będę wiedziała, który to,

kiedy go zobaczę, i przynajmniej dowiemy się, jaki jest numer bloku.

– Dobrze.

Kiedy z Finch Street skręcili w ulicę, przy której stał blok Ruskina, Mary poczuła, jak sztywnieje z napięcia. Wiedziała, że nie chodzi o strach przed spotkaniem z nim – choć na pewno wytrąciłoby ją to z równowagi. Po prostu oczyma wyobraźni zobaczyła scenę z ewentualnego procesu o gwałt. *Pani Vaughan, zna pani miejsce zamieszkania mężczyzny, którego pani oskarża? Była pani kiedyś u niego w domu? Naprawdę? A mimo to twierdzi pani, że kontakt seksualny nie odbył się za pani przyzwoleniem?*

Okolice Jane Street i Finch Avenue West nie należały do tych, gdzie osoba przy zdrowych zmysłach chciałaby zamieszkać na dłużej. Przestępczość w tej dzielnicy była największa w całym Toronto – a nawet w całej Ameryce Północnej. Fakt, że znajdowała się tak blisko Yorku, stanowił dla uczelni źródło kłopotów i powód do wstydu. Prawdopodobnie właśnie przez to sąsiedztwo linia metra UniwersytetSpadina nie została doprowadzona aż do samego kampusu.

Ale ta strefa miała jedną zaletę: niski czynsz. Ktoś, kto nie mógł sobie pozwolić na samochód i z trudem wiązał koniec z końcem, zarabiając grosze na uczelni, tylko tutaj mógł znaleźć tanie lokum blisko uniwersytetu.

Blok Ruskina przypominał wieżę z białej cegły, z rdzewiejącymi, zaśmieconymi balkonami. Co najmniej jedną trzecią okien zasłaniały gazety lub arkusze folii aluminiowej, przyklejone do szyb taśmą. Budynek miał piętnaście lub szesnaście pięter i...

– Chwila! – odezwała się Mary, przypominając coś sobie.

– Co takiego?

– On mieszka na ostatnim piętrze! Teraz pamiętam: kiedyś nazywał swoje mieszkanie „apartamentem w slumsach”. – Umilkła na moment. – Oczywiście nadal nie znamy numeru, ale Ruskin mieszka tu co najmniej od dwóch lat, listonosz na pewno go zna. Pracownicy uniwersytetu dostają pocztą sporo czasopism i innych publikacji.

- Tak? – Ponter najwyraźniej nie rozumiał, o co jej chodzi.
- Możemy wysłać list do „doktora Corneliusa Ruskina” na ten adres i po prostu napisać „najwyższe piętro”. Jestem pewna, że do niego dojdzie.
- Aha. To dobrze. W takim razie nie mamy tu nic więcej do roboty.

Rozdział

Trzydziesty Ósmy

Rzeźbiarz osobowości przez jakiś czas przyglądał się Ponterowi.

– *Widzę, że masz dar do ironii.*

– *Co chcesz przez to powiedzieć?*

– *„Nie mamy tu nic więcej do roboty”. Wcześniej powiedziałeś mi, że w świecie Gliksinów popełniłeś zbrodnię. Nietrudno zgadnąć, o co chodzi.*

– *Czyżby? Naprawdę wątpię, byś domyślił się prawdy.*

Selgan nieznacznie wzruszył ramionami.

– *Może i nie. Domyślam się za to czegoś, co tobie umknęło.*

– *Czyli? – W głosie Pontera pojawiła się irytacja.*

– *Mare podejrzewała, że zamierzasz zrobić coś Ruskinowi.*

– *Nie, nie, ona jest całkowicie niewinna.*

– *Doprawdy? Kobieta o jej inteligencji tak po prostu dała się nabrać na twój marny wybieg i pokazała ci, gdzie mieszka Ruskin?*

– *Mieliśmy szczerzy zamiar wysłać mu list z ostrzeżeniem! Dokładnie tak, jak wcześniej mówiliśmy. Mare jest czysta, bez grzechu... właśnie to oznacza jej imię! Nazwano ją tak na cześć matki jej Boga, kobiety, która została niepokalanie poczęta, bez grzechu pierwородnego. Dowiedziałem się tego podczas pierwszego pobytu w jej świecie. Ona nigdy by nie...*

Selgan podniósł rękę.

– *Nie chciałem cię urazić. Proszę cię, opowiadaj dalej...*

*

– Ponterze? – usłyszał głos Haka przez implanty ślimakowe.

Nieznacznie skinął głową.

– Z analizy rytmu oddechu Mare wynika, że śpi głęboko. Nie obudzisz jej, jeśli teraz wstaniesz.

Powoli podniósł się z łóżka. Świejące na czerwono cyfry budzika na nocnym stoliku pokazywały 1:14. Z sypialni przeszedł do pokoju dziennego. Jak zawsze założył pas medyczny i sprawdził, czy w jednej z kieszeni nadal znajduje się kartaklucz, którą wcześniej dostał od Mary. Wiedział, że będzie musiał jakoś wejść z powrotem do jej apartamentowca.

Po cichu otworzył drzwi na korytarz i ruszył do windy. Zjechał na sam dół. Wiedział już, że parter czasem oznacza się symbolem „O”, a czasem „P”; w tym przypadku na przycisku znajdował się ten drugi znak.

Pokonał duży hol i wyszedł przez podwójne drzwi prosto w noc.

Zupełnie nie przypominała nocy na jego świecie! Wszystko się świeciło: okna, elektryczne światła na pionowych słupach i reflektory przejeżdżających ulicą samochodów. Czułby się pewniej, gdyby otaczał go prawdziwy mrok. Wprawdzie wiedział, że z daleka nie różni się aż tak bardzo od Gliksina – a przynajmniej od gliksińskiego ciężarowca – ale wolałby iść w zupełnych ciemnościach.

– No dobrze – powiedział cicho do Haka – którądy teraz?

– W lewo – odparł Kompan, nadal używając implantów ślimakowych. – Wracając z uniwersytetu do domu, Mare zwykle wybiera drogę przeznaczoną wyłącznie dla pojazdów silnikowych, a nie dla pieszych.

– Czterystasiedem – przypomniał sobie Ponter. – Tak ją nazywa.

– Będziemy musieli *znaleźć* inny, bezpieczniejszy trakt, równoległy do niej.

Ponter zaczął spokojnie biec. Od miejsca, do którego zmierzał, dzieliło go około pięciu tysięcy długości ramion. Dotarcie tam powinno mu zabrać

nie więcej niż decymę. Musiał tylko utrzymać odpowiednie tempo.

Noc była chłodna – cudownie chłodna. Na swoim świecie widział wiele liści, które zmieniły już barwę na jesienną, lecz tutaj wszystkie wydawały się zielone – naprawdę zielone. Nawet w środku nocy światła było dość, aby bez trudu rozróżnić kolory.

Ponter nigdy dotąd nie rozważał zabicia kogoś, ale...

Ale też wcześniej nikt tak bardzo nie zranił bliskiej mu osoby, a...

A nawet gdyby tak się stało, to wcywilizowanym świecie władze bez kłopotu pojmałyby przestępcę i odpowiednio się z nim rozprawiły.

Ale tutaj? Na tej pełnej absurdów Ziemi...

Czuł, że anonimowy, papierowy list nie wystarczy. Ruskin musiał się dowiedzieć nie tylko o tym, że został zdemaskowany, ale też kto odkrył jego tajemnicę. Trzeba mu było uzmysłwić, że już nigdy więcej nie uniknie kary za taką zbrodnię. Ponter czuł, że dopiero taka pewność przywróci Mare spokój, którego dotąd nie potrafiła odnaleźć. A on sam przekonałby się, czy Hak miał rację, sugerując wcześniej, że zachowanie Mare wobec Pontera mogło być nietypowe u jej gatunku.

Biegł teraz ulicą, wzdłuż której stały jednopiętrowe domy. Przed wieloma, na prostokątach trawy, rosły drzewa. W oddali pojawiła się jakaś postać – Gliksin o białej skórze i niemal zupełnie bez włosów. Mężczyzna szedł w jego kierunku. Ponter przebiegł na drugą stronę ulicy, aby nie znaleźć się zbyt blisko nieznanego, ale nie zwolnił. Kierował się na zachód.

– Tutaj skreć w lewo – powiedział Hak. – Nie widzę żadnego wyjścia na wprost spomiędzy tych domów.

Ponter wykonał polecenie i spokojnym truchtem pobiegł ulicą prostopadłą do poprzedniej. Kiedy dotarł do następnej przecznicy, Hak

kazał mu skręcić w prawo i kontynuować bieg na zachód, w stronę uniwersytetu.

Mały kot przebiegł przez drogę tuż przed nim, zadzierając ogon wysoko do góry. Ponter dziwił się, że tutejsi ludzie udomowili te zwierzęta. Przecież koty zupełnie nie nadawały się do polowań i nie potrafiły nawet przynieść patyka. *No, ale – pomyślał – każdy wybiera to, co mu się podoba...*

Biegł dalej, płaskimi stopami uderzając w twardą nawierzchnię drogi.

Przed sobą zauważył dużego, czarnego psa. Zwierzę człapało ku niemu. Psi pupil to co innego! Ponter podczas pobytu na tej Ziemi zauważył, że Gliksini mają wiele różnych ras psów – podobno powstałych w wyniku hodowli selektywnej. Niektóre wyglądały na mało przydatne do polowań, ale najwidoczniej ich wygląd podobał się właścicielom.

W Waszyngtonie słyszał, jak paleoantropologowie rozmawiali na temat jego aparycji. Podobno miał klasyczne neandertalskie rysy – i to w skrajnej postaci. Tutejszych uczonych dziwił fakt, że wśród ludzi Pontera nie doszło do redukcji rozmiarów wału nadoczodołowego i nosa oraz że nie zaczął się pojawiać ten śmieszny element wyrastający z żuchwy.

Odkąd wśród Barastów zaczęła się rozwijać prawdziwa świadomość – czyli od momentu, gdy mniej więcej pół miliona miesięcy temu doszło do rozszczepienia wszechświata – tylko dzięki celowemu doborowi partnerów udało się zachować, a nawet doprowadzić do nasilenia cech, które jego ludzie uważali za tak piękne.

– Zaczynasz się męczyć? – spytał Hak.

– Nie.

– To dobrze. Jesteś mniej więcej w połowie drogi.

Nagle Pontera zaskoczył głośny szczek. Inny pies – duży i brązowy – biegł prosto na niego. Nie wyglądał na przyjaźnie nastawionego. Ponter

wiedział, że nie prześcignie czworonoga, więc się zatrzymał.

– No dobrze, już dobrze – powiedział w swoim języku, mając nadzieję, że nawet jeśli zwierzę nie zrozumie słów, to przynajmniej wychwyci uspokajający ton. – Dobry piesek.

Brązowa bestia nadal pędziła w jego stronę, nie przestając ujadać. W oknie na piętrze pobliskiej siedziby ludzkiej za paliło się światło.

– Dobry piesek – powtórzył Ponter, czując rosnące zdenerwowanie. Wiedział, że to błąd. Pies, tak jak Barast, potrafił wyczuć strach...

Nie miał pojęcia, dlaczego psisko gna ku niemu. Pewnie nie atakowało każdego, kto pojawiał się na tej ulicy. No, ale Ponter sam potrafił odróżnić Gliksina od Barasta po zapachu i przypuszczał, że ta bestia też nie ma z tym problemów. Choć nigdy wcześniej nie spotkała żadnego Barasta, wiedziała, że ktoś obcy wkroczył na jej teren.

Ponter ustawił się tak, by złapać psa za kark, gdy ten się na niego rzuci, ale...

W półmroku pojawił się krótki błysk...

Rozległ się dźwięk przypominający odgłos mokrej skóry uderzającej o lód...

I skowyt psa.

Bydlę skoczyło na Pontera z prędkością, która wystarczyła do uruchomienia tarczy Goosy Kuska. Zaskoczone, ogłuszone i – wyczuł to wyraźnie – z krwawiącym pyskiem podkuliło ogon i uciekło równie szybko, jak się pojawiło. Ponter odetchnął głęboko, starając się uspokoić, i ponownie zaczął biec.

– Tutaj niedaleko musimy przedostać się na drugą stronę tej drogi czterystasiedem – odezwał się Hak po jakimś czasie. – Kieruj się w lewo, na tamten most, o tam. Tylko uważaj, żeby nie uderzył cię żaden samochód.

Ponter zrobił to, co radził Kompan, i wkrótce znalazł się po drugiej stronie autostrady. Teraz biegł na południe. W oddali widział mrugające światła na szczycie CN Tower nad brzegiem jeziora. Mare opowiadała mu o wspaniałych widokach, jakie można było podziwiać z góry, ale jeszcze nie miał okazji zwiedzić tej budowli; oglądał ją tylko z daleka.

Pokonał jeszcze jedną szeroką ulicę, po której nawet o tak późnej porze co kilka taktów przemykały samochody. Chwilę potem wbiegł na teren York University. Hak przeprowadził go przez campus, bezbłędnie wskazując drogę między budynkami i parkingami, oraz przez otwarte przestrzenie.

Przebiegł jeszcze kilkaset długości ramion i znalazł się na małej, brudnej ulicy, nieopodal domu, w którym mieszkał Ruskin. Stał pochylony, opierając dłonie o kolana i próbując wyrównać oddech.

Chyba się starzeję – pomyślał. Przyjemny wiatr chłodził mu twarz.

Możliwe, że Mare obudziła się i zauważyła jego nieobecność, ale miał nadzieję, że nadal śpi. Choć dzielili łóżko dopiero od niedawna, zauważył, że przeważnie ma mocny sen. Do wschodu słońca zostały jeszcze co najmniej dwie decymy. Wiedział, że wróci przed świtem, ale...

– Łapy do góry – syknął jakiś głos za nim i Ponter poczuł, jak coś twardego wciska się w jego plecy na wysokości nerki. Nagle zrozumiał, jaką wadę ma tarcza Goosy. Bez kłopotu odbijała pocisk wystrzelony z daleka, ale nie chroniła w żadnej mierze przed takim, który zostałby wyrzucony z broni przytkniętej bezpośrednio do ciała.

Wprawdzie to była Kanada i jak twierdziła Mare, niewiele osób posiadało tutaj broń palną. Jednak wcale nie czuł się lepiej z myślą, że to, co wbija się w jego nerkę, jest tylko nożem.

Nie miał pojęcia, co robić. Przypuszczał, że w słabym, padającym z tyłu świetle napastnik nie zorientował się, że zaczepił neandertalczyka.

Wystarczyło jednak, by się odezwał, nawet najciszej, a zdradziłby, kim jest i...

– Czego chcesz? – odezwał się Hak, przejmując inicjatywę.

– Dawaj portfel – odparł męski głos. Ponter z niechęcią zauważył, że nie ma w nim nawet cienia zdenerwowania.

– Nie mam portfela – powiedział Hak.

– A to szkoda, bo chcę albo pieniędzy, albo krwi...

Ponter miał pewność, że dałby radę niemal każdemu nieuzbrojonemu Gliksinowi, ale ten miał broń. W tym momencie Hak zorientował się, że Ponter nie widzi, co to za broń.

– Gliksin trzyma stalowy nóż – poinformował Pontera przez implanty ślimakowe – z ząbkowanym ostrzem, długim na około 1,2 rozpiętości dłoni i z rękojeścią, której sygnatura termiczna wskazuje, że jest wykonana z twardego drewna.

Ponter rozważał, czy nie obrócić się szybko. Przypuszczał, że sam widok twarzy Barasta odstraszyłby Gliksina, ale nie chciał przecież mieć świadka tego, że pojawił się pod domem Ruskina.

– Gliksin ciągle przestępuje z nogi na nogę – powiedział Hak w implanty ślimakowe. – Słyszysz to?

Ponter nieznacznie skinął głową.

– Teraz opiera się na lewej... teraz na prawej... znowu na lewej. Złapałeś rytm?

Kolejne delikatne skinienie.

– To jak będzie? – syknął Gliksin.

– Kiedy powiem „teraz” – uprzedził Hak Pontera – z całą siłą pchnij prawym łokciem do tyłu i lekko w górę. Powinieneś trafić go w splot słoneczny i przynajmniej spowodować to, że Gliksin się cofnie. Tarcza ochroni cię przed ciosem zadany z większej odległości. – Hak przełączył

się na zewnętrzny głośnik. – Naprawdę nie mam przy sobie nic a nic. – Gdy tylko to powiedział, Ponter zrozumiał, że Kompan popełnił błąd. Dźwięk „i” w słowie „nic” był nagraniem gliksińskiego głosu, brzmiącego inaczej niż głos Haka.

– Co jest? – zdziwił się Gliksin. – Co z ciebie za...

– Teraz! – powiedział Hak w ucho Pontera.

Ponter szarpnął łokciem w tył z całą mocą i wbił go w żołądek napastnika. Obcy zdołał tylko sapnąć „uf!” gdy powietrze zostało siłą wypchnięte z jego płuc. W tej samej chwili Ponter obrócił się przodem do niego.

– Jezu! – jęknął Gliksin, dostrzegając wał nadoczodoło – wy i zarośnięte policzki neandertalczyka. Rzucił się do przodu z wystarczającą siłą, aby uruchomić tarczę ochronną, która z krótkim błyskiem zablokowała ostrze noża. Ponter w tym samym momencie wyrzucił prawą rękę do przodu i schwycił Gliksina za chudą szyję. Obcy wyglądał na dwa razy młodszego od swojej niedoszłej ofiary. Przez moment Ponter zastanawiał się, czy nie zacisnąć palców i nie zgnieść krtani młodzika, ale nie, nie mógł tego zrobić.

– Rzuć nóż – powiedział. Gliksin spojrział w dół. Ponter powędrował za jego wzrokiem i dostrzegł, że ostrze wygięło się od zderzenia z tarczą. Lekko zacisnął palce. Pięść Gliksina otworzyła się i nóż z brzękiem upadł na drogę.

– A teraz wynoś się stąd – nakazał Ponter, a Hak przetłumaczył jego słowa. – Zmykaj i nikomu nigdy o tym nie mów.

Puścił chłopaka, który zaczął zachłannie łykać powietrze. Ponter podniósł rękę.

– No, już cię nie ma!

Gliksin skinął głową i ruszył biegiem, jedną ręką trzymając się za żołądek w miejscu, gdzie trafił go łokieć neandertalczyka.

Ponter nie chciał marnować więcej czasu. Ruszył chodnikiem z popękanego betonu prosto do głównego wejścia do bloku.

Rozdział

Trzydziesty Dziewiąty

Ponter zaczekał w przedsionku budynku – niewielkiej przestrzeni między dwojgiem przeszklonych drzwi. Upłynęło kilkaset taktów, zanim ktoś się wreszcie pojawił. Jakiś człowiek szedł od strony wind widocznych przez szklany panel wejścia. Ponter odwrócił się plecami do niego, ukrywając twarz. Zaczekał, aż Gliksin opuści blok, i bez trudu zatrzymał skrzydło szklanych drzwi, zanim ponownie się zamknęły. Szybko przeszedł przez hol, zwracając uwagę na płytki podłogowe – chyba jedyny element w gliksińskiej architekturze, który miał kształt kwadratów. Wcisnął guzik. Winda, którą Gliksin zjechał na parter, wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Ponter wszedł do środka.

Przyciski pięter układały się w dwie kolumny. Dwa najwyższe oznaczono parami symboli: „15” i „16”. Ponter wybrał ten po prawej stronie.

Kabina – najmniejsza i najbrzydliwsza ze wszystkich, jakie widział na tym świecie, brudniejsza nawet od windy górniczej w Sudbury – ruszyła z dudnieniem. Ponter obserwował wyświetlacz nad stalowymi drzwiami, czekając, aż pojawią się na nim takie znaki jak te na przycisku. W końcu dotarł na ostatnie piętro. Wszedł z windy na korytarz. Zwykła beżowa wykładzina na podłodze była w kilku miejscach przetarta i w wielu poplamiona. Ściany wyklejono cienkim papierem z zielonymi i niebieskimi zawijasami; niektóre arkusze częściowo odstawały od murów.

Widział czworo drzwi po każdej stronie korytarza na lewo oraz czworo drzwi po każdej stronie korytarza na prawo od wind; w sumie szesnaście

mieszkań. Podeszedł do najbliższych i przysunął nos do framugi po przeciwnej stronie niż zawiasy. Szybko pociągnął nosem, starając się odizolować zapachy dochodzące z wewnątrz od stęchłego smrodu wykładziny w holu.

To nie te. Przeszedł do następnych i te również obwąchał. Ten zapach rozpoznał – podobnie cierpka i gorąca woń dochodziła czasami z piwnicy Reubena Montego, kiedy Reuben był tam z Lou Benoit.

Przesunął się do trzeciego wejścia. W środku znajdował się kot, ale w tej chwili nie było tam ludzi.

Kolejne mieszkanie śmierdziało uryną. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Gliksini nie zawsze spuszczają wodę w swoich toaletach. On sam, gdy już poznał zasadę działania sanitarnych urządzeń, nigdy o tym nie zapomniał. Ze środka dochodziły też zapachy czworga lub pięciorga ludzi, a Mare mówiła, że Ruskin mieszka sam.

Dotarł już do końca korytarza, więc przeszedł na drugą stronę i głęboko wciągnął powietrze nosem przy pierwszych z kolei drzwiach. Niedawno gotowano tam krowę i jakieś ostro pachnące warzywa. Żadna z woni mieszkańców nie wydała mu się znajoma.

Spróbował obok. Tytoń i feromony jednej... nie, dwóch kobiet.

Przeszedł do następnych drzwi, ale te wyglądały inaczej, nie miały numeru ani żadnego zamka. Otworzył je i zajrzał do niewielkiego pomieszczenia z małymi drzwiczkami, które na zawiasach odchyłały się do dołu i prowadziły do jakiejś szybu. Wycofał się stamtąd i ruszył do kolejnego mieszkania, machając ręką przed twarzą, aby pozbyć się okropnego smrodu, który wydobywał się z przewodu zsykowego. Głęboko wciągnął powietrze...

Znowu poczuł woń tytoniu i...

I zapach mężczyzny... chudego mężczyzny, który mało się pocił.

Raz jeszcze wciągnął powietrze, przesuając nosem wzdłuż framugi przy drzwiach. Chyba...

Tak, nie mylił się. Miał pewność, że to tu.

Ruskin.

Ponter był fizykiem, nie inżynierem, ale odkąd trafił na świat Gliksinów, wszystko uważnie obserwował, podobnie jak Hak. Przez kilka chwil się naradzali. Ponter szeptał, stojąc pod drzwiami mieszkania Ruskina, a Hak mówił prosto w jego implanty ślimakowe.

– Drzwi na pewno są zamknięte – stwierdził Ponter. Na jego Ziemi rzadko stosowano takie zabezpieczenia i zwykle robiono to tylko po to, by chronić dzieci przed niebezpieczeństwem.

– Najprościej byłoby, gdyby on sam je otworzył – zauważył Hak.

Ponter skinął głową.

– Ale czy możemy na to liczyć? Wydaje mi się, że ta rzecz – wskazał palcem dziwne oko – to soczewka, która pozwala zobaczyć, kto stoi po drugiej stronie.

– Pomimo podłych cech charakteru Ruskin jest naukowcem. Gdyby człowiek z innego świata stanął na progu twojego domu w Saldak, nie wpuściłbyś go?

– Warto spróbować. – Ponter zastukał kłykciami w drzwi. Kilkakrotnie widział, jak Mare tak właśnie robiła.

Hak uważnie nasłuchiwał.

– Drzwi są puste w środku. Jeśli cię nie wpuści, powinieneś bez trudu je połamać.

Ponter ponownie zastukał.

– Może ma mocny sen.

– Nie – stwierdził Hak. – Słyszę, jak się zbliża.

Światło za soczewką obserwacyjną zmieniło się: Ruskin pewnie spoglądał przez nią, aby sprawdzić, kto dobija się do niego w nocy.

W końcu Ponter usłyszał metalowy szcęk mechanizmu zamka. Drzwi uchyliły się nieznacznie i wyjrzała zza nich ściągnięta twarz gospodarza. Krótki łańcuch złotego koloru przytrzymał je na wysokości ramion, nie pozwalając otworzyć ich bardziej.

– Dodoktor Boddit?

Początkowo Ponter planował zmyślić jakąś historyjkę o tym, jak to potrzebował fachowej pomocy Ruskina, ale stwierdził, że nie jest w stanie w cywilizowany sposób rozmawiać z tym... z tym prymitywem. Zamierzył się prawą ręką i uderzył otwartą dłońią w drzwi. Złoty łańcuch puścił i skrzydło otworzyło się gwałtownie. Ruskin poleciał w tył.

Ponter błyskawicznie wszedł i zamknął drzwi za sobą.

– Co jest?! – wrzasnął Ruskin, gramoląc się z podłogi.

Ponter zauważył, że pomimo późnej pory gospodarz ma na sobie zwykłe ubranie. Może dopiero niedawno wrócił do domu po kolejnym ataku na kobietę.

– Zgwałciłeś Qaiser Remtulle. Zgwałciłeś Mare Vaughan – powiedział, podchodząc bliżej.

– Co to ma znaczyć?

Ponter nie podnosił głosu.

– Mogę cię zabić gołymi rękami.

– Zwariowałeś? – krzyknął Ruskin, cofając się.

– Nie. – Ponter zrobił kolejny krok. – Nie zwariowałem. To ten wasz świat zwariował.

Ruskin niespokojnie wodził oczami po zagraconym pokoju, szukając możliwości ucieczki... albo jakiejś broni. Za nim w ścianie znajdował się

otwór – Mare też miała taki w swoim mieszkaniu – za którym było pomieszczenie, gdzie przygotowywano posiłki.

– Odpowiesz za swoje czyny przede mną. Spotka cię sprawiedliwość – oznajmił Ponter.

– Zaczekaj, wiem, że od niedawna jesteś na tym świecie. My mamy tutaj prawo. Nie można tak po prostu...

– Jesteś wielokrotnym gwałcicielem.

– Brałeś coś, czy jak?

– Mogę to udowodnić. – Ponter podszedł jeszcze bliżej.

Nagle Ruskin obrócił się, sięgnął przez otwór w ścianie i wyciągnął stamtąd ciężką patelnię. Ponter widział już takie naczynie podczas kwarantanny w domu Reubena. Gliksin ujął uchwyt w obie ręce.

– Nie zbliżaj się – ostrzegł.

Ponter szedł dalej, niezrażony. Kiedy znalazł się o krok od Ruskina, ten się zamachnął. Ponter lewą ręką zasłonił twarz. Opór powietrza spowolnił ruch patelni na tyle, że tarcza nie zadziałała i Hak przejął niemal całą siłę uderzenia. Prawa ręka Pontera wystrzeliła do przodu i zacisnęła się wokół krtani mężczyzny.

– Rzuć tę rzecz – nakazał – bo jak nie, to zmiążdżę ci gardło.

Ruskin próbował coś powiedzieć, ale Ponter zacisnął palce. Gliksin zdołał raz jeszcze uderzyć go patelnią w ramię – na szczęście nie w to z raną postrzałową. Ponter podniósł go w górę za gardło.

– Rzuć to! – warknął.

Twarz Ruskina zrobiła się fioletowa, a jego oczy – jego niebieskie oczy – wychodziły z orbit. Upuścił patelnię, która z głośnym brzdękiem uderzyła w drewnianą podłogę. Ponter obrócił się i cisnął nim o ścianę. Materiał, z którego była zrobiona, wgniół się od uderzenia i pojawiło się w nim spore pęknięcie.

– Widziałeś w mediach relację z tego, jak Ambasador Prat zabiła człowieka, który do nas strzelał?

Ruskin z trudem chwycił powietrze.

– Widziałeś? – ponaglił go Ponter.

Gliksin skinął głową.

– Ambasador Prat jest z generacji 144. Ja jestem ze 145. Mam o dziesięć lat mniej niż ona. Choć mądrością jeszcze jej nie dorównuję, to moja siła przewyższa jej siłę. Jeśli będziesz dalej mnie prowokował, rozwalę ci czaszkę.

– Czego... – odezwał się Ruskin potwornie zachrypniętym głosem – ...czego chcesz?

– Po pierwsze, chcę usłyszeć prawdę. Masz się przyznać do swoich zbrodni.

– Na litość boską, przecież wiem, że ta rzecz w twoim ramieniu wszystko nagrywa.

– Przyznaj, co zrobiłeś!

– Nigdy nie...

– Egzekutorzy z Toronto mają próbki twojego DNA z gwałtu dokonanego na Qaiser Remtulli.

– Gdyby wiedzieli, że DNA jest moje, to oni by tutaj byli, nie ty – wykrztusił Ruskin.

– Jeśli będziesz dłużej się zapierał, zabiję cię.

Ruskinowi udało się lekko pokręcić głową pomimo miazdzącego uścisku Pontera.

– Zeznanie pod przymusem nie jest uznawane przez sąd.

Hak zapiszczał, ale Ponter odgadł znaczenie określenia „pod przymusem”.

– W takim razie przekonaj mnie, że jesteś niewinny.

- O niczym nie muszę cię przekonywać.
 - Wiem, że ze względu na kolor twojej skóry i płeć ominął cię awans.
Ruskin nic nie powiedział.
 - Nienawidziłeś tego, że inni... że kobiety awansowały wyżej niż ty.
Mężczyzna szarpnął się, próbując się wyrwać, ale Ponter bez trudu go przytrzymał.
 - Chciałeś zadać im ból. Upokorzyć je.
 - Gadaj zdrów, jaskiniowcu.
 - Nie dostałeś tego, na czym ci zależało, więc wziąłeś sobie to, co może być tylko dane.
 - To nie było tak...
 - W takim razie – wysyczał Ponter, wykręcając rękę Ru – skina do tyłu – powiedz mi, jak to było.
 - Zasługiwałem na stały etat, ale przez nie ciągle miałem do tyłu. Te suki wszystko mi utrudniały, no to...
 - No to co?
 - No to pokazałem im, co może mężczyzna.
 - Hańbisz prawdziwych mężczyzn. Ile kobiet zgwałciłeś? He???
 - Tylko...
 - Kogoś jeszcze poza Mare i Qaiser?
- Milczenie.
- Ponter oderwał Ruskina od ściany i cisnął nim o nią raz jeszcze. Rysa się wydłużyła.
- Były inne?
 - Nie. Tylko...
 - Tylko kto? – Mocniej ścisnął rękę Ruskina. Drań zasko – wyczał z bólu. – Tylko kto?
- Ruskin stęknął i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Tylko Vaughan i ta pakistańska suka...

– Kto? – zdziwił się Ponter, słysząc pisk Haka. Ponownie wykręcił ramię Gliksina.

– Remtulla.

Ponter nieznacznie rozluźnił uścisk.

– Na tym koniec, rozumiesz? Już nigdy więcej nikogo nie zgwałcisz. Będę miał na ciebie oko. Inni też będą cię obserwowali. Już nigdy więcej.

Ruskin wystękał coś niezrozumiale.

– Nigdy więcej – powtórzył Ponter. – Przyrzeknij.

– Nigdy... więcej – wystękał Ruskin.

– I nikomu nie wspomnisz o mojej wizycie tutaj. Jeśli to zrobisz, ściągniesz na siebie karę, jaką twoje społeczeństwo wymierza za zbrodnie, które popełniłeś. Jasne? Jasne???

Ruskin zdołał skinąć głową.

– To dobrze. – Ponter na moment rozluźnił uchwyt, ale po chwili znowu trzasnął Ruskinem o ścianę. Tym razem odpadł od niej kawałek tynku. – Nie, właśnie że niedobrze. – Tym razem to on zacisnął zęby. – To nie wystarczy. To nie jest sprawiedliwość. – Rzucił się całym ciężarem na Gliksina, przyciskając krocze do jego pleców. – Przekonasz się, jak to jest być kobietą.

Ruskin zeszywniał.

– Nie, Chryste, tylko nie to...

– Jedynie takie rozwiązanie będzie sprawiedliwe. – Ponter – ter sięgnął do pasa medycznego i wyciągnął wtryskiwacz ze sprężonym gazem.

Urządzenie syknęło przy szyi Ruskina.

– Co to, do diabła, było? – wystraszył się. – Tak nie mo...

Osunął się bezwładnie. Ponter opuścił go na podłogę.

– Hak, nic ci nie jest?

– Uderzenie było mocne – stwierdził Kompan – ale nie zarejestrowałem żadnych uszkodzeń.

– Przepraszam cię za to. – Ponter spojrzał na Ruskina, leżącego na plecach na podłodze. Chwycił go za nogi i wyprostował je.

Sięgnął do paska. Trochę czasu zabrało mu wykombinowanie, jak go odpiąć, potem znalazł zatrzask i zamek, które zamykały gliksiński pantalon, i również je rozpiął.

– Powinieneś najpierw zdjąć jego ochraniacze na stopy – poradził Hak. Ponter skinął głową.

– Masz rację. Ciągle zapominam, że noszą oddzielne, a nie połączone z nogawkami. – Przesunął się do stóp Ruskina i po kilku próbach rozwiązał sznurówki i zdjął buty. Skrzywił się, gdy poczuł zapach jego nóg. Na kolanach przemieścił się z powrotem do pasa i ściągnął pantalon na uda mężczyzny, a potem zdjął go zupełnie. Następnie usunął spodnią część garderoby, przesuwając ją w dół po niemal bezwłosych nogach.

W końcu przyjrzał się genitaliom Gliksina.

– Coś jest nie tak... To nie wygląda normalnie. – Ponter przesunął ramię tak, aby Hak mógł się dokładnie wszystkiemu przyjrzeć przez obiektyw.

– Zdumiewające – stwierdził Kompan. – On nie ma napletka.

– Czego?

– Nie ma fałdu skórniego zasłaniającego żołądź.

– Ciekawe, czy wszyscy mężczyźni na tej Ziemi są tacy?

– To by oznaczało, że są wyjątkowi wśród naczelnych.

– Na szczęście nie przeszkodzi to w tym, co zamierzam zrobić – stwierdził Ponter.

*

Cornelius Ruskin ocknął się dopiero następnego dnia. Musiał być już rano, bo przez okna wpadało do środka mnóstwo światła. W głowie mu huczało, kłuło go w krtani, paliło w łokciu, bolał go tyłek i czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w jaja. Próbował podnieść głowę, ale poczuł falę nudności, więc opuścił ją z powrotem na drewnianą podłogę. Chwilę później spróbował ponownie i tym razem udało mu się unieść na łokciu. Miał na sobie koszulę i spodnie, a także skarpety i buty. Tylko sznurówki były rozwiązane.

Niech to cholera – pomyślał. – Niech to jasna cholera. Słyszał, że neandertalczyki są gejami, ale zupełnie nie był przygotowany na takie coś. Przetoczył się na bok i dłonią przesunął po siedzeniu, modląc się, aby spodnie nie były zakrwawione. Wymiociny podeszły mu do gardła. Zwalczył mdłości i przełknął ślinę pomimo koszmarne bólu.

„Sprawiedliwość”, tak mówił Boddit. Sprawiedliwe byłoby, gdyby mógł znaleźć porządną posadę i nie musiał się godzić na pomijanie go przy awansach na rzecz bandy niewykwalifikowanych bab i chłystków o innym odcieniu skóry...

Czuł potworny ból głowy, tak jakby neandertalczyk wciąż tu był i walił go w czaszkę patelnią raz za razem. Zamknął oczy, próbując zebrać w sobie siły. Wszystko go bolało tak bardzo, że nie potrafił się na niczym skupić.

Cholerny małpolud i jego wspaniała sprawiedliwość! Tylko dlatego, że przeleciał Vaughan i Remtullę, pokazując im, kto naprawdę był szefem, Boddit uznał, że odpowiednim rewanżem będzie stosunek analny.

To miało być ostrzeżenie, żeby trzymał gębę na kłódkę i pamiętał, co go spotka, jeśli oskarży Pontera o cokolwiek – taki przedsmak tego, co czekało go w więzieniu, gdyby trafił tam za gwałt...

Wciągnął w płuca potężny haust powietrza i podniósł rękę do gardła. Natrafił na wgłębienia pozostawione przez palce małpoluda. Chryste, na

pewno było nieźle posiniaczone.

W końcu przestało mu się kręcić w głowie na tyle, że zdołał się dźwignąć na nogi. Przytrzymał się występu przy wewnętrznym okienku i przez chwilę stał tak, czekając, aż znikną światła błyskające mu przed oczami. Wolał się nie schylać, żeby zawiązać sznurowadła, więc po prostu zrzucił buty.

Zaczekał jeszcze minutę, aż dudnienie w czaszce ucichnie na tyle, by wytrzymał w pionie, kiedy puści podporę. Potem pokuśtykał krótkim korytarzem do jedynej, obskurnej łazienki, pomalowanej na ohydny zieleń jeszcze przez poprzedniego lokatora. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, na których wisiało duże lustro, pęknięte w jednym rogu przy śrubie. Rozpiął pasek i spuścił spodnie. Potem odwrócił się tyłem do lustra i – psychicznie przygotowując się na to, co mógł tam zobaczyć – ściągnął slipy.

Obawiał się, że w pośladkach też znajdzie wgłębienia po palcach neandertalczyka, ale zobaczył tylko duży siniec z boku – pewnie po tym, jak poleciał do tyłu, gdy Ponter pchnął drzwi, zrywając łańcuch.

Odciągnął jeden półdupek na bok, aby przyjrzeć się zwieraczowi odbytu. Nie miał pojęcia, czego się spodziewał – może krwi? – ale nie zobaczył nic niezwykłego.

Nie wierzył, że taki atak nie zostawił żadnych śladów, ale naprawdę nic nie widział. Tylna część jego ciała wyglądała jak nietknięta.

Zdumiony, podszedł do sedesu, szurając nogami ze spodniami i slipami wokół kostek. Stanął przodem do porcelanowej muszli, przytrzymał członek, wycelował i...

Nie!

Nie, nie, nie!

Jezu Chryste, nie!

Pomacał palcami wokół, pochylił się, znowu się wyprostował, po czym chwiejnie wrócił do lustra.

O Boże, o Boże, o Boże...

Widział siebie, widział swoje niebieskie, okrągłe z przerażenia oczy, widział rozdziawione usta i...

Zbliżył się jeszcze bardziej, aby lepiej przyjrzeć się mosznie. Wzdłuż niej biegła pionowa linia, która wyglądała jak...

Czy to możliwe?

... jakby skórę w tym miejscu poddano kauteryzacji.

Jeszcze raz pomacał się tam palcami, badając luźny, pomarszczony worek i mając nadzieję, że się pomylił.

Ale nie.

Na Boga, nie.

Zatoczył się w tył, oparł się o zlew i zawył przeciągle.

Nie miał jąder.

Rozdział Czterdziesty

Jurard Selgan przez długi czas milczał. Oczywiście wszystko, co powiedział mu Ponter, było absolutnie poufne. Rozmowy między pacjentem a rzeźbiarzem osobowości kodowano czasowo. Selgan nigdy by nie śmiał wyjawić tego, co usłyszał od któregośkolwiek ze swoich pacjentów, i nikt nie mógł uzyskać dostępu do tych fragmentów archiwów alibi obu stron, które obejmowały sesje terapeutyczne. Mimo to czyn Pontera...

– Nie wolno nam samodzielnie wymierzać sprawiedliwości – zauważył.

Ponter skinął głową.

– Pak jak powiedziałem na początku, nie jestem dumny ze swojego postępu.

– Mówiłeś też, że postąpiłbyś znowu tak samo, gdybyś musiał – odezwał się cicho rzeźbiarz.

– On dopuścił się strasznych czynów. O wiele gorszych niż to, co ja jemu zrobiłem. – Ponter rozłożył ręce, jakby szukał sposobu usprawiedliwienia swojego postępowania. – Krzywdził kobiety i zamierzał robić to dalej. Musiałem go powstrzymać. Więcej już nie popełni takiej zbrodni nie tylko ze strachu, że potrafiłbym rozpoznać jego zapach, ale także z tej samej przyczyny, dla której sterylizowaliśmy agresywnych mężczyzn na naszym świecie. Przecież nie chodzi wyłącznie o to, by nie przekazali dalej swoich genów. Usuwając im jądra, doprowadzamy do znacznego obniżenia u nich poziomu testosteronu, co osłabia ich agresję.

– I czuleś, że gdybyś ty czegoś nie zrobił, nikt inny by go nie powstrzymał?

– Właśnie! Zbrodniarz uniknąłby kary! Mare Vaughan początkowo sądziła, że ma przewagę nad gwałcicielem. Myślała, że tamten nie wie, kogo zaatakował. Niestety, nie miała racji. On dokładnie wiedział, z kim ma

do czynienia. Umiał zadbać o to, aby nikt nigdy nie skazał go za zbrodnie, które popełnił.

– Podobnie jak ty wiedziałeś, że nigdy nie zostaniesz skazany za to, że go wykastrowałeś – przyznał cicho Selgan.

Ponter milczał.

– Mare o tym wie? Powiedziałaś jej?

Pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

– „Dlaczego nie?” – zdumiał się Ponter. – „Dlaczego nie?” Przecież dopuściłem się aktu przemocy, popełniłem przestępstwo. Nie chciałem jej w to mieszać; nie chciałem, aby prześladowało ją poczucie winy.

– Tylko dlatego?

Ponter w milczeniu przyglądał się otaczającej ich drewnianej ścianie z wypolerowanym wzorem słoików.

– Tylko? – ponaglił go Selgan.

– Bałem się też, aby nie zaczęła gorzej o mnie myśleć – przyznał Ponter.

– Możliwe, że zyskałbyś w jej oczach – zauważył rzeźbiarz osobowości. – Przecież zrobiłeś to dla niej, aby chronić ją i inne kobiety.

Ponter pokręcił głową.

– Nie. Nie. Byłaby na mnie zła, rozczarowana mną.

– Dlaczego?

– Jest chrześcijanką. Filozof, którego nauki wyznaje, uważał, że największą ze wszystkich cnót jest przebaczenie.

Selgan uniósł siwą brew aż nad wał nadoczodołowy.

– Niektóre rzeczy bardzo trudno jest wybaczyć.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – sarknął Ponter.

– Nie chodziło mi o twój czyn, tylko o to, co on... ten Glik – sin zrobił Mare.

Ponter odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Czy... czy wykastrowałeś tylko tego Ruskina? – zapytał Selgan.

Ponter spojrzał na niego ostro.

– Oczywiście!

– Nie dziw się, że o to pytam. Powinieneś rozumieć...

– Co?

Selgan zwlekał z wyjaśnieniem.

– Powiedziałeś komuś jeszcze o tym, co zrobiłeś? – odezwał się wreszcie.

– Nie.

– Nawet Adikorowi?

– Nawet Adikorowi.

– Ale przecież jemu możesz ufać, tak?

– Tak, ale...

– No właśnie. Chyba już wiesz, o co mi chodzi – stwierdził Selgan, gdy Ponter nie powiedział nic więcej. – W naszym świecie sterylizujemy nie tylko sprawcę aktu przemocy, prawda?

– No nie. Oprócz niego jeszcze...

– Tak?

– Każdego, kto ma przynajmniej pięćdziesiąt procent genów wspólnych z tą osobą.

– Czyli?

– Rodzeństwo. Rodziców.

– Tak, i?

– No i jeśli któreś z nich ma jednojajowego bliźniaka, sterylizuje się także tego drugiego. Dlatego mowa jest o przynajmniej pięćdziesięciu procentach genów. Bliźnięta jednojajowe mają identyczny materiał genetyczny.

– Tak, tak, ale zapominasz jeszcze o innej grupie.

– Bracia, siostry. Matka przestępcy. Ojciec przestępcy.

– I...

– Me mam pojęcia, o co ci... – Ponter umilkł nagle. – Och – powiedział po chwili cicho. Ponownie spojrzął na Selgana, a potem spuścił wzrok. – Potomstwo. Dzieci.

– Masz dzieci. Prawda?

– Dwie córki, Jasmel Ket i Mega Bek.

– Dlatego, gdyby ktoś się dowiedział o popełnionym przez ciebie przestępstwie, gdyby ta informacja w jakiś sposób wyszła na jaw i sąd zażądałby dostępu do archiwum alibi osoby, która by o tym wiedziała, wtedy nie tylko ciebie spotkałaby kara. Twoje córki także zostałyby poddane sterylizacji.

Zamknął oczy.

– Mam rację? – spytał Selgan.

– Tak – odparł Ponter bardzo cicho.

– Wcześniej spytałem cię, czy wysterylizowałeś kogoś jeszcze na drugim świecie, a ty zareagowałeś gniewem. Wiesz dlaczego?

Z ust Pontera wyrwało się przeciągłe westchnienie.

– Wykastrowałem jedynie sprawcę czynu, jego krewnych nie. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad... nad słusnością sterylizacji niewinnych osób tylko po to, by poprawić pulę genów. Ale... ale Hak i ja ostatnio zapoznaliśmy się z tą gliksińską Biblią. Już pierwsza opowieść mówi o tym, że całe potomstwo pierwszej dwójki ludzi zostało napiętnowane, bo ta pierwsza para popełniła zbrodnię. I to wydało mi się wielkim błędem i niesprawiedliwością.

– Dlatego, chociaż chciałeś oczyścić gliksińską pulę genów ze zła, jakie tkwiło w Ruskinie, nie mogłeś się zdobyć na odszukanie jego najbliższych

krewnych – zauważył Selgan. – Gdybyś to zrobił, przyznałbyś tym samym, że twoje dwie córki zasługują na karę za przestępstwo, które popełniłeś ty.

– jasmel i Mega są niewinne – zaprotestował Ponter. – Bez względu na to, jak zły był czyn, którego się dopuściłem, one nie powinny z tego powodu cierpieć.

– Ale tak się stanie, jeśli postanowisz się przyznać do przestępstwa.

Ponter skinął głową.

– Co zatem zamierzasz?

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Zatrzymam tę tajemnicę aż do śmierci.

– A potem?

– Jak to potem?

– Po twojej śmierci, co potem?

– Potem... potem nic.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Wprawdzie studiowałem tę ich Biblię i wiem, że Mare jest rozsądną i inteligentną kobietą, a nie kimś, kto cierpi na urojenia, ale...

– Jesteś pewien, że ona się myli? Że po śmierci nic nie ma?

– Właściwie to...

– Tak?

– Nie. Nie mówmy o tym.

Selgan zmarszczył brew. Uznał, że jeszcze nie pora zmuszać rozmówcę do odpowiedzi na to pytanie.

– Zastanawiałeś się może, dlaczego podobasz się Mare?

Ponter odwrócił wzrok.

– Pamiętam, jak wcześniej mówiłeś, że oni też są ludźmi – zauważył rzeźbiarz osobowości. – Ale przecież bardziej różnisz się od niej niż mężczyźni, których do tej pory spotykała.

– Fizycznie być może tak – zgodził się Ponter – ale pod względem psychicznym i emocjonalnym wiele nas łączy.

– Nie sądzisz jednak, że skoro Mare została skrzywdzona przez mężczyznę swojego gatunku, to może...

– Myślisz, że nie przyszło mi to do głowy? – przerwał Ponter.

– W takim razie powiedz to głośno. Wyrzuć to z siebie.

Ponter parsknął.

– Być może podobam się jej, bo w jej oczach nie jestem człowiekiem – nie jestem jednym z tych, którzy mogliby ją skrzywdzić.

Selgan milczał przez kilka taktów.

– Warto się nad tym zastanowić – powiedział w końcu.

– To nie ma żadnego znaczenia. Naprawdę. Kocham ją. A ona kocha mnie. Poza tymi dwoma faktami nic więcej nie jest ważne.

– No tak. No tak. – Selgan znowu zrobił pauzę, po czym zaczął mówić trochę nieobecny tonem, tak jakby coś właśnie przyszło mu do głowy, a nie jakby czekał na właściwy moment, by przedstawić tę myśl. – A powiedz mi, czy zastanawiałeś się w ogóle nad tym, dlaczego ona podoba się tobie?

Ponter przewrócił oczami.

– Rzeźbiarze osobowości! – westchnął. – Zaraz mi powiesz, że Mare w jakiś sposób przypomina mi Klast. Ale nie mógłbyś się bardziej mylić. Zupełnie inaczej wygląda i ma zupełnie inną osobowość. Mare i Klast nic nie łączy.

– Pewnie masz rację. – Selgan machnął ręką, tak jakby odrzucał ten pomysł. – No bo w czym miałyby być podobne? Nie należą nawet do tego samego gatunku...

– Właśnie. – Ponter usiadł z założonymi rękami.

– I wywodzą się z kompletnie odmiennych systemów ideologicznych.

– Absolutnie.

Rzeźbiarz osobowości pokręcił głową.

– To gliksińskie życie po śmierci jest zupełnie dziwnym pomysłem, nie sądzisz?

Ponter nie odpowiedział.

– Zastanawiasz się czasem nad tym? Zdarza ci się myśleć, że może, tylko może... – Selgan urwał i cierpliwie czekał, aż rozmówca dokończy myśl.

– W zasadzie – odezwał się w końcu Ponter – to bardzo interesujący koncept. Wracam do niego, odkąd Mare mi o tym opowiedziała. – Podniósł dłonie. – Oczywiście wiem, że nie ma życia po śmierci, a przynajmniej nie ma go dla mnie. Ale...

– Ale ona żyje w alternatywnej płaszczyźnie fizycznej – podpowiedział Selgan. – W innym wszechświecie. Takim, w którym tego typu rzeczy być może wyglądają inaczej.

Głowa Pontera poruszyła się w niemal niezauważalnym skinieniu.

– Ado tego ona nie jest jednym z Barastów, prawda? – ciągnął rzeźbiarz. – Należy do zupełnie innego gatunku. Sam fakt, że my nie mamy tych – jak oni je nazywają? Tych nieśmiertelnych dusz? No właśnie, sam fakt, że nie mamy nieśmiertelnych dusz, nie oznacza, że oni też ich nie mają, tak?

– Do czegoś zmierzasz? – spytał szorstko Ponter.

– Zawsze – odparł Selgan. – Dwadzieścia kilka miesięcy temu straciłeś partnerkę. – Przerwał na chwilę, a potem zaczął mówić najłagodniej, jak potrafił. – Nie tylko Mare próbuje sobie poradzić z traumatycznym wydarzeniem w życiu.

Ponter uniósł brew.

– Na pewno. Ale zupełnie nie rozumiem, jak śmierć Klast mogłaby mnie pchnąć w ramiona kobiety z innego świata.

Przez dłuższy czas obaj milczeli. W końcu Hak, który w trakcie całej sesji terapeutycznej nie odezwał się ani słowem, zwrócił się do Selgana przez

zewnątrzny głośnik.

– Chcesz, żebym ja mu powiedział?

– Sam to zrobię – stwierdził rzeźbiarz. – Ponterze, proszę cię, przyjmij to spokojnie. Widzisz... opowiadałeś mi o wierzeniach Gliksinów.

– I co z tego? – Głos Pontera nadal brzmiał ostro.

– Oni wierzą, że martwi nie są naprawdę martwi. Są przekonani, że świadomość jednostki żyje nadal po śmierci ciała.

– I?

– I może próbujesz oszczędzić sobie w przyszłości tego rodzaju bólu, jaki czułeś, kiedy umarła Klast. Gdyby twoja partnerka wierzyła w tę... tę nieśmiertelność umysłu, lub gdybyś ty uważał, nawet wbrew rozsądkowi, że być może ona naprawdę posiada taką nieśmiertelność, to... – Selgan ponownie przerwał, zachęcając Pontera, aby dokończył za niego.

Ponter westchnął.

– To gdyby stała się rzecz nie do pomyślenia i ponownie straciłbym partnerkę, być może nie czułbym tak wielkiej rozpacz, ponieważ ona nie opuściłaby mnie zupełnie.

Selgan jednocześnie uniósł brew i nieznacznie wzruszył ramionami.

– Właśnie.

Ponter wstał.

– Dziękuję ci za czas, który mi poświęciłeś, Uczony Selga – nie. Zdrowego dnia.

– Nie jestem przekonany, czy możemy na tym zakończyć – zauważył Selgan. – Dokąd się wybierasz?

– Muszę zająć się czymś, co powinienem był zrobić już dawno temu – odparł Ponter, wychodząc z okrągłego pokoju.

Louise Benoit weszła do gabinetu Jocka Kriegera. W Synergii nie miał żadnego geologa, ale Louise była fizykiem i spędzała dużo czasu na dnie

kopalni Creighton, dlatego właśnie jej powierzył pewne zadanie.

– Chyba to rozgryzłam – powiedziała, rozkładając na stole dwa arkusze z wykresami. Jock wstał zza biurka i dołączył do niej.

– Ten – Louise wskazała palcem z polakierowanym na czerwono paznokciem arkusz po lewej stronie – przedstawia standardową chronologię paleomagnetyczną opracowaną przez naszych ludzi.

Jock skinął głową.

– A ten – pokazała kartę, na której widniały dziwne oznaczenia – jest porównywalnym diagramem, który dostaliśmy od neandertalczyków.

Wprawdzie Mary Vaughan nie znalazła dowodów na to, że w neandertalskim świecie doszło do odwrócenia kierunku pola magnetycznego Ziemi, ale Jock i tak użył swoich wpływów, aby wymianę informacji z dziedziny paleomagnetyzmu potraktowano priorytetowo. Jeśli neandertalczyki mylili się co do szybkości zaniku pola, nie miał się czym martwić. Wolał jednak to sprawdzić.

– Jak widzisz, my nanieśliśmy na mapę o wiele więcej przebiegunowań niż oni. Ponad trzysta w okresie ostatnich 175 milionów lat. To dlatego, że badania dna morskiego dają pełniejsze rezultaty niż te prowadzone w oparciu o meteoryty.

– Punkt dla naszych – cierpko stwierdził Jock.

– Dlatego – ciągnęła Louise – połączyłam w pary te przebiegunowania, których dowody zostały odkryte zarówno przez nich, jak i przez nas. Jak widzisz, choć na ich diagramie jest sporo luk, to można prześledzić zgodność indywidualnych zjawisk niemal po dzień dzisiejszy.

Jock przyjrzał się wykresom, śledząc palec Louise.

– Rozumiem.

– Oczywiście, taka zgodność ma sens – zauważyła. – Znasz moją teorię, według której istniał tylko jeden wszechświat do momentu, kiedy przed

czterdziestoma tysiącami lat pojawiła się świadomość.

Jock przytaknął. Wprawdzie zjawiska kwantowe powodowały niezliczone krótkotrwałe rozszczepienia wszechświata – i prawdopodobnie działało się tak od zawsze – ale owe rozszczepienia nie robiły żadnej różnicy na skalę makroskopową, ponieważ powstające światy po upływie kilku nanosekund zawsze zapadały się z powrotem w jeden.

Jednakże działania istot rozumnych spowodowały rozszczepienia, które okazały się nieodwracalne. I tak, gdy czterdzieści tysięcy lat temu doszło do „wielkiego skoku” – gdy pojawiła się świadomość – nastąpiło pierwsze trwałe rozszczepienie. W jednym wszechświecie tę świadomość zyskał gatunek *Homo sapiens*; w drugim – *Homo neanderthalensis*. Od tamtego momentu oba światy istniały równolegle.

– Chwila moment – odezwał się Jock, zerkając na nean – dertalski diagram. – Jeśli to jest ostatnia zarejestrowana zmiana kierunku pola magnetycznego Ziemi, o której nam wiadomo...

– Zgadza się – wtrąciła Louise. – Według ich wyliczeń miała miejsce mniej więcej przed dziesięcioma milionami miesięcy, czyli 780 tysięcy lat temu.

– No tak, ale jeśli to jest ostatnie tego typu wydarzenie na naszym wykresie, czym jest to tutaj? – Jock wskazał inne, niedawne zjawisko przebiegunowania zaznaczone na neandertal – skim arkuszu. – Czy to jest to, które podobno zaczęło się dwadzieścia pięć lat temu?

– Nie – odparła Louise. Jak na gust Jocka, miała za dużo cech nauczyciela akademickiego. Starła się naprowadzić go na właściwą drogę, aby samodzielnie sformułował wnioski, choć sama znała już odpowiedź. Wolałyby, aby po prostu mu wszystko powiedziała.

– W takim razie kiedy ono miało miejsce? – spytał.

– Pół miliona miesięcy temu.

Jock nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia.

– Czyli?

Pełne wargi Louise rozciągnęły się w uśmiechu.

– Czyli czterdzieści tysięcy lat temu.

– Czterdzieści ty...! Ale przecież właśnie wtedy...

– Zgadza się – potwierdziła Louise, zadowolona ze swe – go ucznia. –

Właśnie wtedy doszło do wielkiego skoku, wtedy narodziła się świadomość i wtedy wszechświat uległ trwałemu rozszczepieniu.

– Ale... ale jak to możliwe, że oni o tym przebiegunowa – niu wiedzą, a my nie?

– Pamiętasz, co powiedziałam podczas naszej pierwszej rozmowy na ten temat? Kiedy pole magnetyczne zanika, prawdopodobieństwo, że ponownie pojawi się z określonym kierunkiem, wynosi pół na pół. W pięćdziesięciu procentach przypadków pole wraca z taką samą polaryzacją, a...

– A w pięćdziesięciu procentach z odwróconą! Zatem to wydarzenie musiało mieć miejsce po rozszczepieniu światów... i ponieważ zjawiska na obu wszechświatach nie były już zsynchronizowane, na świecie neandertalskim pole magnetyczne powróciło z odwrotnym kierunkiem...

– Co ustalono na podstawie badań meteorytów – przytaknęła Louise.

– Ale u nas powróciło z taką samą polaryzacją jak wcześniej, nie pozostawiając żadnych śladów.

– *Oui.*

– Fascynujące – przyznał Jock. – Ale chwila! U nich pole uległo odwróceniu czterdzieści tysięcy lat temu, tak? Tylko że według Mary kompas u neandertalczyków pokazuje taką samą polaryzację jak na naszym świecie, czyli...

Louise zachęcająco skinęła głową; Jock był na właściwej drodze.

– ...czyli – ciągnął – niedawno doszło tam do szybkiego zaniku pola magnetycznego i tym razem, zaledwie przed sześcioma laty, pole powróciło znowu z odwróconą polaryzacją, która odpowiada tej, jaka jest obecnie na naszej Ziemi.

– Dokładnie tak.

– Doskonale – stwierdził Jock. – Właśnie to chciałem wiedzieć.

– Ale to nie wszystko – zauważyła Louise.

– No to mówże, dziewczyno!

– Już, już. Sytuacja wygląda tak: na Ziemi – jedynej, która istniała w danym momencie – czterdzieści tysięcy lat temu doszło do zaniku pola magnetycznego. W tym czasie pojawiła się świadomość i według mnie nie jest to zbieg okoliczności.

– Chcesz powiedzieć, że zanik pola miał coś wspólnego z powstaniem sztuki?

– I kultury. I języka. I logiki matematycznej. I religii.

– Ale jakim cudem?

– Tego nie wiem. Nie zapominajmy jednak, że anatomicznie współcześni przedstawiciele *Homo sapiens* istnieli od stu tysięcy lat, a świadomość pojawiła się u nich dopiero czterdzieści tysięcy lat temu. Pod względem fizycznym mieliśmy takie same mózgi od sześćdziesięciu tysięcy lat, ale niczego nie stworzyliśmy ani nie przejawialiśmy żadnych oznak prawdziwej rozumności. A potem nagle *pstryk!*, coś się stało i włączyła się u nas świadomość.

– Aha.

– Wiesz, że niektóre ptaki potrafią określać kierunki świata dzięki magnetytowi?

Jock przytaknął.

– Rzecz w tym, że my, czyli gatunek *Homo sapiens*, także mamy w mózgach kryształy magnetytu. Nikt nie wie dlaczego, bo oczywiste jest, że nie służy nam jako wewnętrzny kompas. Według mnie, kiedy przed czterdziestoma tysiącami lat doszło do zaniku ziemskiego pola magnetycznego, coś się z tym magnetytem stało, powodując... hm, nazwijmy to, „uruchomienie” świadomości.

– W takim razie co się stanie, kiedy pole magnetyczne znowu zaniknie?

– No cóż, na neandertalskim świecie podczas ostatniego zaniku nie stało się nic – stwierdziła Louise. – Tylko że...

– Tylko że co?

– W tej chwili między obydwoma światami istnieją wyraźne różnice. W przeciwnym razie przebiegunowania nadal przebiegałyby synchronicznie.

– Ja też się nad tym zastanawiałem – przyznał Jock. – Jak sądzisz, skąd taka rozbieżność?

– Może spowodowały ją setki prób z bronią jądrową albo wysyłanie rakiet w kosmos. Najnowsze zjawiska zaniku pola magnetycznego na obu światach dzieli zaledwie dwadzieścia pięć lat, a poprzednie miało miejsce czterdzieści tysięcy lat temu. To różnica rzędu jedynie 0,000625. Eksplozje, o których wspomniałam, mogły na naszym świecie zakłócić geody – namo w stopniu, jaki spowodował to opóźnienie... ale to tylko moje przypuszczenia. Skoro jednak geodynamika obu światów nie są już jednakowe, to zanik pola magnetycznego u nas nie musi przebiegać tak jak u nich. Poza tym istnieją oczywiste różnice między tym, jak działają umysły neandertalczyków oraz nasze.

– I czego możemy się spodziewać u nas?

– *Je ne sais pas* – odparła Louise. – Musimy przeprowadzić więcej symulacji, zanim zyskamy pewność, ale...

– Znowu ale! Ale co? Co?

– No cóż, świadomość powstała w okresie zaniku pola magnetycznego. Tym razem więc może...hm, odwołując się do terminologii komputerowej, tym razem może się „zawiesić”.

Epilog

Ponter podziękował operatorowi sześcianu podróznego i wysiadł. Czuł na sobie wzrok kobiet – ukłucia ich pełnych dezaprobaty spojrzeń. Ale choć Dwoje miało się stać Jednym już nazajutrz, ta sprawa nie mogła poczekać.

Większą część miesiąca spędził z Mary na drugiej Ziemi. Wrócili na neandertalski świat przed trzema dniami. Ponter twierdził, że dzięki temu zobaczy się i z Adikorem, i z córkami – co oczywiście było prawdą. A ponieważ Mary musiała na ten okres znowu zamieszkać u Lurt, miał też czas spotkać się z rzeźbiarzem osobowości, licząc, że dzięki temu upora się z bezsennością i dręczącymi go koszmarami.

Teraz jednak szedł do laboratorium Lurt, kierowany przez Haka. Jeszcze nigdy tam nie był. Wszedł do budynku z kamienia i zapytał pierwszą napotkaną kobietę, gdzie pracuje Mare Vaughan. Zdumiona, pokazała mu kierunek, a on pomaszerował korytarzem w tę stronę. Wszedł do pracowni. Mary i Lurt stały pochylone nad stołem.

Już czas – pomyślał. Odetchnął głęboko i...

– Ponter? – zdziwiła się Mary, podnosząc głowę. Cieszyła się, że go widzi, ale...

Ale to był jego świat i zła pora. Próbowała zachować spokój.

– Co się stało?

Ponter spojrzał na Lurt.

– Muszę porozmawiać z Mare sam na sam – powiedział.

Lurt uniosła brew. Ścisnęła lekko ramię Mary i wyszła z laboratorium, zamykając za sobą drzwi.

– O co chodzi? – spytała Mary. Czuła, jak jej serce bije coraz mocniej. – Nic ci nie jest? Czy coś się dzieje z Jasmel albo...

– Nie. Nikomu nic się nie stało.

Mimo tego zapewnienia nadal czuła zdenerwowanie. Próbowwała jakoś rozładować napięcie.

– Nie powinieneś tu przychodzić, wiesz? Dwoje jeszcze nie jest Jednym. W głosie Pontera pojawiło się zniecierpliwienie.

– Do... do d i a b ł a z tym – oznajmił.

– Ponterze, o co chodzi?

Odetchnął głęboko i powiedział kilka słów w swoim języku. Po raz pierwszy to, co do niej mówił, nie zostało od razu przetłumaczone. Ponter przechylił głowę na bok, co oznaczało, że słucha Haka przez implanty ślimakowe.

Po chwili odezwał się znowu, tym razem ostrzej. Mary dosłyszała neandertalskie słowo „ka”. Wiedziała, że oznacza ono „tak”. Może Hak powiedział coś w rodzaju: „Jesteś pewien, że chcesz to powiedzieć?”. Jeśli prawidłowo zgadywała, to Ponter powiedział, że chce, i chyba upomniał Kompana za wtrącanie się w nie jego sprawy. Na kilka sekund zapadła cisza. Potem Ponter znowu otworzył usta, ale najwyraźniej to wystarczyło Hakowi, który w końcu przedstawił tłumaczenie jego wcześniejszych słów.

– Kocham cię – oznajmił swoim sztucznym głosem.

Mary tak na to czekała!

– Ja też cię kocham – odparła. – Bardzo.

– Powinniśmy razem budować życie, ty i ja – powiedział Ponter. – Jeśli... jeśli tylko mnie zechcesz.

– Tak, tak, oczywiście, że tak! – oświadczyła radośnie, ale po chwili zmarkotniała. – Ale... nie będzie nam łatwo wszystko poukładać. Ty masz swoje życie tutaj, a ja swoje tam. Ty masz Adikora i Jasmel, i Megameg, a ja... – Umilkła. Chciała powiedzieć, że nie ma nikogo, ale przecież to nie było prawdą. Miała męża. Wprawdzie pozostawali w separacji, ale nadal w

świetle prawa byli małżonkami. *Słodki Jezu* – pomyślała – *skoro Bóg nie pochwała rozwodów, to co by powiedział o związku z przedstawicielem innego gatunku?*

– Chce spróbować – powiedział Ponter. – Chcę, żeby nam się udało.

– Ja też – odparła z uśmiechem, ale po chwili ten uśmiech zgasł. – Musimy jednak rozważyć tak wiele spraw. Gdzie zamieszkamy? Co będzie z Adikorem? Co z...

– Wiem, że nie będzie nam łatwo, ale...

– Tak?

Potner podszedł do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

– Ale twoim ludziom udało się dotrzeć na Księżyc, a moim otworzyć portal do innego świata. Trudne zadania nie są niewykonalne.

– Nie obejdzie się bez poświęceń – zauważyła. – Iz twojej, i z mojej strony.

– Może tak. Może nie. Może uda nam się wydobyć szpik i zachować kość na dobre narzędzie.

Mary zmarszczyła brwi, ale po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

– U nas mówimy „chcieć to móc”. Pewnie masz rację: my i wy nie różnimy się aż tak bardzo. Chcemy mieć wszystko, a to przecież takie... – Umilkła, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia.

Ale Ponter je znał. Dokładnie wiedział, co to za słowo.

– Takie ludzkie – powiedział, przytulając Mary.